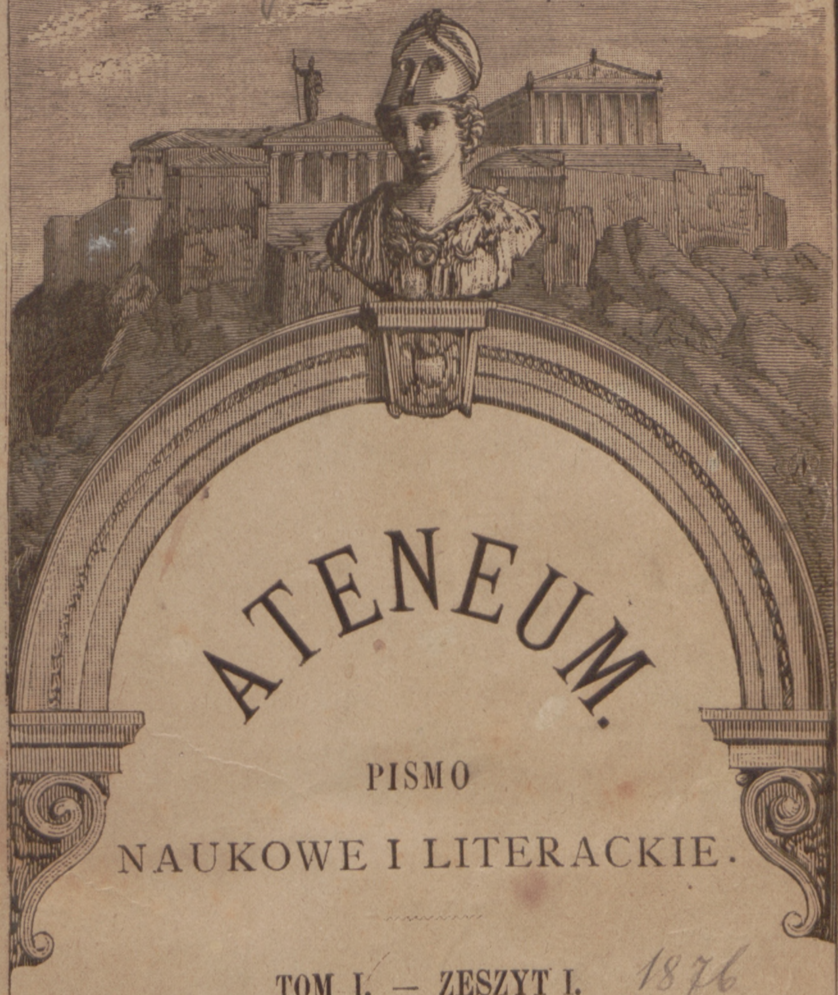


ATENEUM.

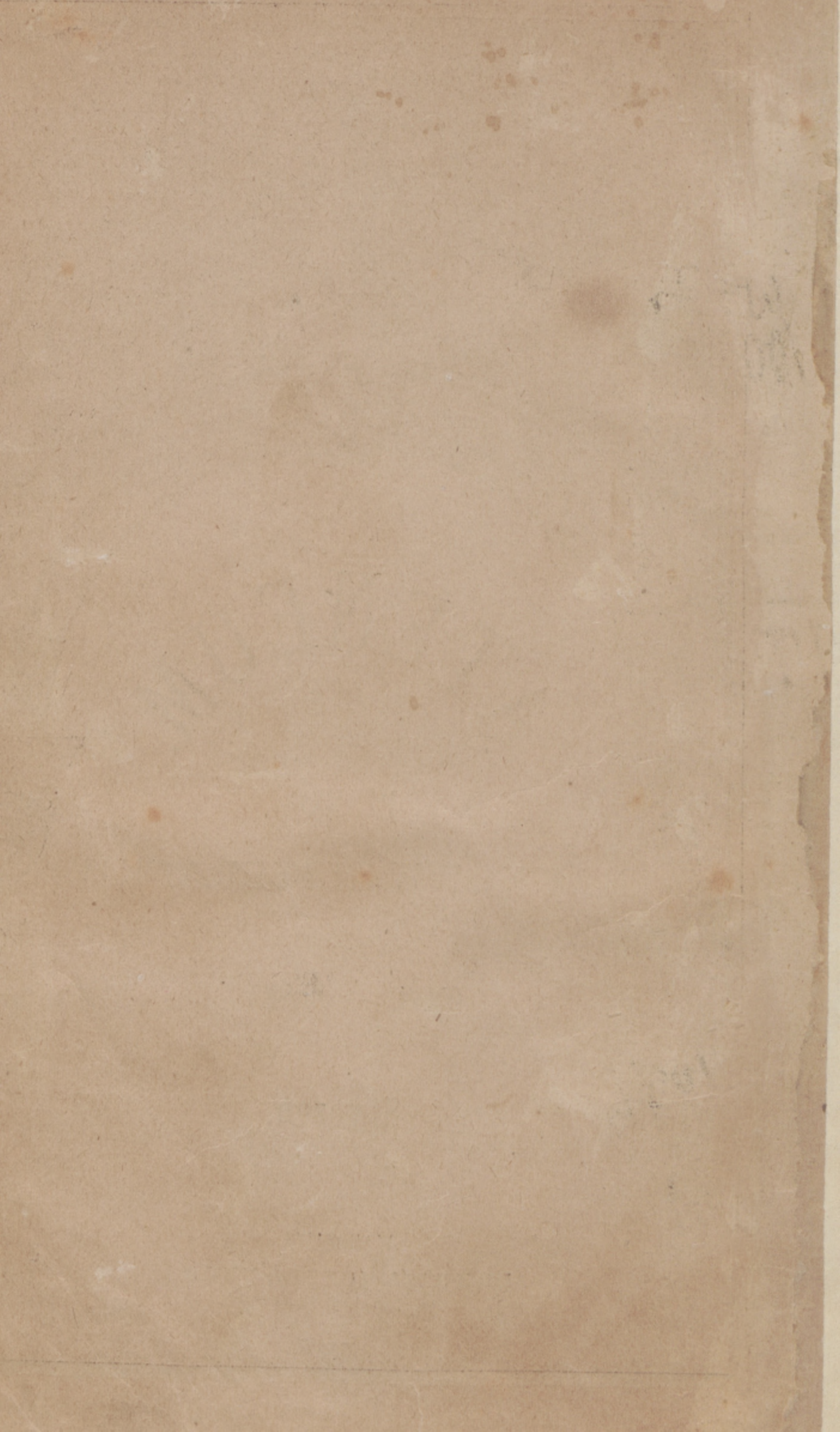
PISMO

NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM I. — ZESZYT I.

Styczeń.

WARSZAWA
DRUKIEM JÓZEFA UNGRA,
ulica Nowolipki Nr 2406 (3).
1876.



SŁOWO WSTĘPNE.

Nazwa pisma, które się dziś ukazuje, nie jest u nas nowością. Trzydzieści pięć lat temu zaczęło wychodzić w Wilnie *Ateneum* pod redakcyą zasłużonego w literaturze polskiéj pisarza J. I. Kraszewskiego i przez lat jedenaście było ogniskiém umysłowego ruchu owych czasów. Wskrzeszamy dawną nazwę, nie obawiając się zarzutu, jaki nas spotkać może, że wracamy do tego, co już raz było. Ateneum wydaje się być właściwém dla pisma naukowego i literackiego godłem. Ateneum było w Rzymie tém, czém akademia u Greków, czém u nas uniwersytet.

Mistrzami Rzymian w dziedzinie nauki, literatury i sztuk pięknych byli Grecy i być nimi nie przestali nawet wtedy, gdy w Rzymie zakwitnął pod pierwszymi cesarzami wiek złoty literatury rzymskiéj. Ateny zawsze jeszcze uważano za najważniejsze ognisko umysłowe. W pierwszéj połowie drugiego wieku cesarz Adryan, pragnąc w Rzymie wyższe rozkrzewić nauki, założył, podobno w pobliżu forum u stóp wzgórza awentyńskiego, szkołę, dawszy jéj nazwę, wziętą od miasta Aten, siedliska głównego oświaty i nauki. Ateneum w Rzymie, hojnie przez cesarza uposażone, ściągnęło do siebie licznych professorów, którzy poświęcili się kształceniu umysłowemu młodzieży rzymskiéj. Pielęgnowano naówczas ze szczególniejszą troskliwością filozofią i krasomówstwo. Urządzono także od-

czyty publiczne: poeci deklamowali swe utwory; wyższy świat rzymski chętnie przysłuchiwał się słowom głoszonym z mównicy w Ateneum. Częstokroć sami cesarze do grona słuchaczów należeli. Ateneum Adryana przetrwało długie lata, prawdopodobnie aż do upadku samego państwa Rzymskiego. Od pierwszéj chwili stanąwszy na wysokości nauki i oświaty spółczesnéj, utrzymało się ono w ciągu wieków na swém szczytném stanowisku, ze wszech krajów Zachodu ściągając do siebie młodzież, która dążyła po ukończeniu szkół prowincyonalnych do Rzymu po ostatnie słowo nauki, po ostateczną ogładę umysłową. Założono też późniéj podobneż Ateneum w Lugdunie nad Rodanem. W nowszych wiekach wskrzeszono nazwę Ateneum, dając ją wyższym zakładom naukowym, lub zbiorowym pismom peryodycznym.

Miedzy starożytnikami nie masz zgody co do pytania: gdzie się mieścił w Rzymie gmach Ateneum, którego żadne nie pozostały ślady, nawet w wizerunkach późniéjszych? Chcąc zaś obrazowo przedstawić godło pisma niniejszego, należało do pierwotnego wrócić źródła, zkąd samo Ateneum nazwę swą wzięło.

Drzeworycik przypomina Ateny, czyli raczéj to, co sercem Aten było: twierdzę Akropolis, miejsce najpiękniejszych arcydzieł sztuki greckiéj, Propylee i Partenon, owę wspaniałą świątynię, gdzie się mieścił posąg, co wyszedł z pod rąk Fidyasza, posąg bogini Pallas-Atene, którą w Atenach czcili jako opiekunkę tego, co jest ideałem, co w sztuce jest pięknem, w nauce prawdą, a w życiu człowieka i narodu — cnotą.

Też same trzy ideały wypisuje na swéj tarczy dziś ukazujące się Ateneum, i ten znak współpracownikom swym i czytelnikom podaje.

NOWE STUDYUM NAD SYROKOMLĄ

Napisał

WŁODZIMIERZ SPASOWICZ.

Ze wszystkich stron naszych najbardziéj obfitującemi nietylko w źródła mineralne, ale i w kastalskie krynice samorodnéj poezyi, są okolice nadniemeńskie. Z podań kronikarskich wiemy, że kwitła tam niegdyś poezya wajdelotów na dworach drobnych kunigasów; ale to źródło zostało całkowicie zasypane i przykryte krzyżem, tak, że odszukanie jego daleko jest trudniejsze, aniżeli wynalezienie w Puniach szczątków zamku Pullen, śród których Kondratowicz usadowił swojego Margiera. Z tego krzyża i z polskiéj szlacheckości wyrosła nowa roślina, któréj rozkwit pełen chwały i blasku nastąpił dopiero wtedy, gdy i krzyż był trochę zachwiany, i szlacheckość przestawała być instytucyą, przenosiła się z życia do pieśni, to jest gdy pieśniarstwu pozostawało balsamować jéj zwłoki. Pod względem wzrostu, poezya jest jak ta znana agawa amerykańska z gatunku aloesów, która wydaje kwiat raz w lat 30 przez godzin kilka, z tą różnicą, że kwitnienie bywa jeszcze rzadsze, w nieokreślonych odstępach, co kilka często wieków. Epokę poetycką otworzył Mickiewicz, na wieść o śmierci którego Zygmunt Krasiński napisał te znaczące słowa: „On był dla ludzi mego pokolenia miodem i mlekiem, żółcią i krwią duchową, my z niego wszyscy; on nas był porwał na wzdętej fali swego natchnienia i rzucił w świat,—największy poeta wszystkich plemion słowiańskich (*).“ Wszystkie umysłowe siły całego narodu zwróciły się głównie ku téj produkcyi poetyckiéj; w produkcyi téj uczęstniczyła i Litwa: nieprzejrzany był prawie szereg towarzyszów Mickiewicza, jego naśladowców, poetów polskich litewskiéj szkoły. Ostatnim w tym szeregu śpiewakiem zdolniejszym i wy-

*) Kronika Rodzinna 1875 r. str. 168. List na wieść o śmierci Mickiewicza.

datniéj oryginalnym był *Ludwik Kondratowicz*, znany pod przybraném imieniem Władysława i herbowém swém nazwiskiem Syrokomli. W pięknéj swéj pracy nad jego życiem i dziełami Tyszyński porównywa go do jaskrawéj jeszcze i wielkiéj, ale nie skwarnéj i o łagodnych promieniach głowy zachodzącego słońca poezyi nad Niemnem. Sam Kondratowicz o ile był drażliwy i sławy żądny, o tyle lękliwie skromny, nigdy nie próbował górnych lotów, nigdy nie wieszczył z trójnoga, lecz chciał uchodzić tylko za słowika nadniemeńskiego, za grajka poczciwych wiejskich nędzarzy (*), za lirnika wioskowego, który na uczcie bogacza nie szuka dusz bratnich, bo byłby gościem ostatnim z ostatnich i stałby tylko u proga (VI, 313); który unika jasnych panów mających narów, że za swój pieniądz chcą dobrych towarów; który dla ciebie śpiewa, gminu szaraczkowy, nutą żniwiarską w takt brzęku kosarzy (VII, 248). Na ten ulubiony temat Kondratowicz gra nieskończone, a zawsze świeże waryacye, wraca do niego tysiąc razy (VI, 247, Dedykacya gawęd; 154, Nie ja śpiewam; 186, Piosnka; 236, Fletnia; VII, 5, Orszak pogrzebowy; 206, Co jest poeta; 299, Milczenie poety). Najpiękniejszym z pomiędzy tych waryantów i jednym z najprzedniejszych w liryce polskiéj brylantów jest *Lirnik wioskowy* (VII, 242), sielanka skomponowana w Załuczu 1852 roku, znakomita apostrofa do liry śpiewnéj „z czarodziejskiego drewna," która stanowi i szczęście artysty, gdy do jego twarzy bladéj uderza krew gorąca:

Niech sobie boli ręka,
Niech sobie serce pęka;

która bywa i „pokaraniem bożém,

Bo niby ostrym nożem,
Piosnka serce przenika.

Lirnik, człek prosty, ale podejrzliwie dbały o swoję niezależność i o cześć dla swéj pieśni:

Znaj co hardość śpiewacza!
Ja przed nikim nie zniżę
Ani pieśni, ni głowy;
Hardy lirnik wioskowy,
Skonam grając na lirze.

---

*) Tom VI wydania poezyi L. K. str. 313.

Lirnik nie szerokie zakreśla sobie pole działania:

Grać wiele,
Panu Bogu w kościele,
Dobrym ludziom w gospodzie;

ale zna moc swoję nad sercami ludzkiemi, i zna nieśmiertelność swéj pieśni:

Ej rozgłośnie, rozgłośnie
Twoje echo urośnie,
Zolbrzymieją me słowa,
Pójdą z kraju do kraju,
Do samego Dunaju,
Do samego Kijowa.

Każdy poeta ma chętkę skreślić dla potomności swój własny konterfekt na pamiątkę; najczęściéj takie moralne portrety są pochlebione i piękniejsze od oryginałów; o Kondratowiczu tego powiedzieć nie można: oryginał pozostał wiernym wizerunkowi aż do samego końca, w biedzie i nędzy; grajek skonał grając na lirze, nie zniżywszy âni razu ni pieśni, ni głowy, z nieugiętą dumą nie osobistą, ale professyonalną, wynikającą z pojmowania swojéj sztuki jako pewnego rodzaju świętości; z obawy, aby pieśni „nie podać w ohydę.“ Kreśląc swój ideał w Lirniku wioskowym, Kondratowicz kładł sobie za cel i zadanie, być poetą nietylko narodowym, ale głównie ludowym; pomijając salony, być ulubieńcem ludzi niewybrednych a prostych. Z tego stanowiska rozważany, był on duchem w wielu względach pokrewnym Tarasowi *Szewczence*, którego „Kobzarza“ w znacznéj części na polski język przełożył. (X. 210—289). Pomijamy ogromne różnice stanu, pierwiastkowego wykształcenia i rasy; Kondratowicz, był to szlachcic, który się świadomie z wielkiéj miłości do ludu prostaczył, i do jego pojęć stosował i zniżał; Szewczenko, to chłop przesiąkły tradycyami kozaczyzny, który nie wiedzieć jak urósł niby dąb wielki na pustym, ukraińskim stepie. U obu taż prostota i świeżość wrażeń, jednakie prawie rozmiłowanie się w naturze dość ubogiéj kraju, tenże sam realizm w malowaniu prostych przedmiotów, branych przeważnie z życia wiejskiego; taż sama głębia uczuć z odcieniami większéj rzewności i lekkiéj żartobliwości u Syrokomli, ponuréj dzikości i namiętności u Szewczenki; taż sama niezdolność do realizowania tematów historycznych, głębszych i skomplikowańszych pomysłów, nakoniec taż sama bezdzietność, brak ludzi którymby

oddać mieli i przekazać swoje liry drewniane, przeznaczone na próchno. Taras Szewczenko jak był, tak i pozostał całkiem samotny, jako dąb na stepie, i bardzo długiego czasu i wyjątkowo sprzyjających okoliczności trzeba, by ten step zadrzewić pracowicie sadzonemi i pielęgnowanemi dębami, które nim wyrosną, może przemysł, koleje żelazne, cukrownie zmienią warunki bytu kraju. Kto wie, czy ukraińszczyzna nie utonie, pochłonięta wielkim prądem rossyjskiéj kultury, czy nie pójdzie na strawę i pokarm temu olbrzymiemu ciału, tracąc swoję odrębność i samoistność literacką. Inaczéj rzecz się ma z Kondratowiczem, który wyrósł i wychował się w wielkiéj i pełnéj wyrobionych podań szkole poetyckiéj. Kiedy Kondratowicz umierał, szkoła ta w całości swojéj wszechpolskiéj i w kompartymencie litewskim szła ku końcowi, po całkowitém wyczerpaniu swojego zadania, po ostatniém wyśpiewaniu swoich ideałów. Społeczeństwo każde témbardziéj się lubuje w ideałach, im mniéj ma możności tworzyć coś realnego w stosunkach towarzyskich. Nowe społeczeństwo kochało się w swoich półsennych marzeniach poetyckich zapamiętale, bo przez pół wieku przeszło nic nie zostawało innego, jak marzyć; żadnego nad niczém obradowania, żadnego łączenia rąk do jakiejkolwiek chociażby najdrobniejszéj, ale wolnéj i jawnéj roboty; lecz budowanie każde kończy się gdy nie stanie budulcowego materyału, kiedy ustanie zasób coraz to nowych, przybywających wrażeń. Przytém czas sprowadził i dawno wyglądane, a niecierpliwie oczekiwane zmiany bardzo rdzenne w składzie społeczeństwa, wyzwolenie włościan; w grze społecznéj przetasowane zostały karty, powstał zgiełk i zamęt pełen dyssonansów, jak zawsze gdy się biorą za boki i ścierają sprzeczne żywioły i interesa materyalne, gdy się pojawia jeszcze nieuregulowana zwyczajem i rutyną walka o byt i o miły grosz. Można z pewnością powiedzieć, że gdyby nawet nie zaszła wadliwa i zgubna w swoich następstwach zawierucha 1863 roku, życie popłynęłoby całkiem inném korytem, i nastąpiłby zwrót ku krytyce, ku pozytywizmowi, wylew doktryn przeważnie materyalistycznych, nieodbicie koniecznych dla użyźnienia mułem zjałowiałego przez tak długi czas gruntu. Kondratowicz znacznie z wielu względów przerastał swoję epokę i był, jak postaramy się dowieść, gorliwym a czynnym nowatorem przez swoje tendencye. Poezya szkoły kończyła w nim swoję ewolucyę, wracała do źródeł zkąd poszła pierwotnie, do ludu, spadała jako żołądź dojrzały zakopać się w ziemię, aby dać początek nowym na przyszłość porostom, ale na razie nie mogla tworzyć szkoły i była niesłychanie trudną do naśladowania, bo czar jéj cały zawierał

się nie w górnych lotach, nie w bogactwie i rozmaitości przedmiotów, nie w sposobie śpiewania i metodzie, ale w tém, co najindywidualniejsze w gardziołku słowiczém i szale śpiewaka, w tém, że sam on był z natury jako najdoskonalszy instrument muzyczny, dźwięczący harmonijnie i mocno za lada wrażeniem aż do zerwania się strun. Dla psychologa nie może być przedmiotu bardziéj uderzającego i ciekawego nad ten „szał pieśni,“ nad to dramatyczne zaśpiewanie się na śmierć, nad pełny blask talentu aż do ostatniego tchnienia, kiedy ręka piórem nie władła i w mózgu plątały się myśli. Zastanówmy się chwilę nad tym ostatnim okresem życia poety, obejmującym rok 1861 i sięgającym do daty śmierci poety przypadającéj na 15 Września 1862 roku; jest to okres szybkiego fizycznego rozkładania się organizmu, ale zarazem „Poezyi ostatniéj godziny“ i „Melodyi z domu obłąkanych.“ Z Tyszkiewiczowskiéj Borejkowszczyzny, Kondratowicz przeniósł się do Wilna, w gwar i turkot uliczny; nawiedzają go bez ustanku ludzie znajomi i nieznajomi, których on kocha, ale chciałby mieć zdaleka, bo go nudzą i męczą, zabierają czas i drogie, w stosunku do środków poety, cygara (List do Chęcińskiego w dziele Kraszewskiego *W. Syrokomla* str. 188). Przez całe życie poeta biedę klepał; *pane careo*, pisał jeszcze w 1854 roku do Kraszewskiego, utrzymując liczną rodzinę z kilkunastu osób. Ztąd konieczność pisania i sprzedawania jeszcze na pniu swoich przyszłych umysłowych plonów, przykra przez całe życie zależność od Żydów za komorne, za pobrane zadatki. Głośny na całą Litwę poeta nie ma często drzewa na opał, pracuje przy łojówce. Do udręczeń moralnych przyłączyły się straszne cierpienia ciała, nogi obezwładnił artrytyzm, na który nie pomogły Druskieniki ni Birsztany, zdeklarowało się rozszerzenie śledziony i wątroby, kaszlanie z krwią, suchoty, przytém pełna świadomość o zbliżającym się kresie (*Solum mihi superest sepulchrum*. Kraszewski, 172), przeczuwanym jeszcze na lat dwa przedtém w Śmierci Słowika (1859, VII, 195). Jeden tylko Heine cierpiał może więcéj i dłużéj; jak u Heinego pieśń nie ustaje, przedmiotem jéj staje się sama choroba, w przestankach cierpień czarodziéj śpiewak, któremu dano było cierpieć pięknie, przetapiał ostre uczucia bolu na szczere złoto pieśni, urągał się losowi najdobroduszniejszym żartem, szydził ze śmierci, zanosząc się od pustego i dźwięcznego jak dziecięcy śmiechu, pisał cudowną bufonadę: Owidyusz na Polesiu (VII, 252), opisywał najpociesznići swój własny pogrzeb, kaszlanie dzwonu szczerbatego, pochód czterech dziadów boso ze szpitalnicami, z organistą na czele, co się chysta i beczy antyfonę, niosących trumnę

poety, co w „obłokach się kołysał, Wiersze pisał, Dał każdemu wieść się w pole“ i umarł głodną śmiercią literata, po zgryzieniu jego wierszy w dobréj chęci przez recenzentów. Po tych utworach należących jednako do historyi literatury i do medycyny, jako będących objawami patologicznemi, szły już takie, które dyktowane były w saméj malignie konania, jak ta niedokończona powiastka: *Dwa obrazy*, na którą słusznie zwrócił uwagę Tyszyński, dziwaczna plątanina pięknych i pełnych świeżości widziadeł, kojarzących się bez sensu jak we śnie, kiedy ustaje grupowanie pojęć władzą rozsądku; nakoniec list niezrozumiały do Kraszewskiego, dyktowany na godzinę przed śmiercią. Kondratowicz spełnił prawie dosłownie co sobie założył: umarł grając na lirze, z tą tylko różnicą, że nie śród pól i lasów, lecz przy turkocie miejskim i prawie na bruku.

Na wieść o śmierci drgnęło uczucie publiczności, uprzytomniła się wszystkim wielka narodowa strata; wspaniała była pompa pogrzebu, wieniec laurowy naciśnięty był w trumnie na głowę zmarłego, tysiące rąk sypały mogiłę, zrobiono obywatelską składkę na rodzinę, obmyślano środki skupienia w jedném wydaniu tego niezliczonego mnóstwa drobnych broszur i lotników, w których na nędznéj bibule, żydowskim nakładem i ladajakim drukiem rozlatywały się po świecie pieśni poety. Mimowoli rodziło się do dziś dnia wielekroć powtarzane w literaturze naszéj peryodycznéj ubolewanie: czemu ta pomoc była tak spóźniona, czemu nie przybyła aby osłodzić ostatnie chwile chorego, i uwolnić go od dojmujących trosk o chleb powszedni dla niego, dla żony z dziećmi? Wynikała z tych ubolewań zawiła i trudna do rozstrzygnienia kwestya między światem i poetą, o to kto winien, że taki był koniec żywota, w takich warunkach i w takiém otoczeniu i materyalnie przykrém i moralnie zbyt chłodném? W téj kwestyi moralnéj o poczytaniu, w któréj w roli oskarżonego staje towarzystwo, głębsze i wszechstronniejsze rozważanie okoliczności prowadzi w końcu zwykle do wielkiéj wyrozumiałości i do wytłómaczenia, dla czego coś się stało tak a nie inaczéj. W życiu prywatném Kondratowicz nie był świętym człowiekiem, miał swoje jawne przywary i grzechy. Że się nie urządził ze swojemi środkami praktyczniéj, trudno mu mieć za złe, kiedy w najlepszym przypadku nakładcy płacili mu po dwa złote od wiersza, a często dziewiętnaście gąb głodnych czekało pożywienia od niego za stołem. Ale Kondratowicz odbieżał żonę, wiódł życie luźne w Wilnie w kółku aktorsko-literackiém, rozgrzewał natchnienie trunkiem, prowadził romans z zamężną kobietą, nawet próbował

rehabilitować ten romans w jedynym poemacie swoim, w którym miłość stanowi główną rolę: *Stella Fornarina.* Coś z tych zarzutów słyszano nawet z kazalnicy w czasie pogrzebu; trudno jednak przypuścić, aby w najbardziéj dbałém o obyczaje społeczeństwie, mogły te winy zaważyć na szali, gdyby się na seryo zajęto niesieniem pomocy cierpiącemu, wielce zasłużonemu człowiekowi. Bez porównania większe winy przebaczano, zbywano płazem, przepuszczano wiele w milczeniu, *tacito consensu*, stokroć mniéj zasługującym ulubieńcom publiczności, nie podnosząc i nie wytykając ułomności ludzkich czysto prywatnych, skoro pisarz i człowiek publiczny byli niepokalani i wolni od zarzutu. Ścisłe rachunki osobistych zarzutów są często upozorowaniem niechęci, z głębszego pochodzącéj źródła, przynajmniéj oznaką, że upodobanie w poecie nie jest bezwzględnie powszechne, jednako podzielane. Inaczéj być nie mogło; sam Kondratowicz nie taił się ze swemi predylekcyami, tysiąc razy powtarzał, że pisze dla gminu arcy-szaraczkowego, miał wrodzony wstręt do fraka i nienawiść do białego halsztuka, sam powiadał: „Chciałem kreślić gmach pański, ołówek się kruszy,“ a kiedy stawił błędne kreski, zawsze wychodziły z pod ręki „lub litewska chatka, lub kościołek wioskowy, lub dworek litewski“ (Co umiem nakreślić, 1860 r. VII, 220). Panowanie uznane i hołdy niezaprzeczone bywają najczęściéj udziałem nie tych, co byli najzdolniejsi i najlepsi, lecz tych, którzy przezorniéj łódkę swoję prowadzili, baczni by się nikomu nie narazić, i by się nie rzucać z arfą, niby z bronią w ręku, w wiry ścierających się materyalnie interesów. Całym światem rządzi wielkie prawo zamiany usług; dobrem płaci się tylko za nadobne: można posiąść królestwa świata, ale trzeba spełnić warunki kusiciela (Ew. Łuk. IV, 7): „Jeżeli pokłonisz się będą twoje wszystkie,“—a Kondratowicz, co sprzedawał Żydom nakładcom nienapisane jeszcze pomysły i brał z wdzięcznością zasiłki od tych, o których wiedział, że nie mogli go swoim datkiem od serca upokorzyć, o nic więcéj nie dbał, tylko o to, aby nie zniżyć ni pieśni ni głowy. Ztąd wynikło, że ci, którzy z rodu i mienia zajmowali pierwsze miejsca w obywatelstwie krajowém, a dla których Kondratowicz, jak sam to wyznawał, nie pisał, nie wzięli na się początkowania w składce narodowéj, jedynéj formie ofiary, którą mógł Kondratowicz bez upokorzenia przyjąć, a która była zupełnie możebną w warunkach 1862 roku, czego dowodem to, że taż składka na rzecz rodziny doszła do skutku w chwili zapału, pod naciskiem wstrząśniętéj elektrycznie śmiercią poety opinii publicznéj. Sypnięto kwieciem na mogiłę, otworzono kieszenie, pomy-

ślano o literackim namogilnym pomniku. Piękną podstawę do tego monumentu stanowi wydanie Poezyi Kondratowicza w 10-u tomach w Warszawie 1872 roku, bardzo starannie i chronologicznie uporządkowanych przez W. Korotyńskiego. Materyałów do życiorysu nie brak, pełno jest jeszcze ludzi, którzy ze swoich osobistych wspomnień, mogliby dużo i do życiorysu i do charakterystyki zmarłego dorzucić (pp. Korotyński, Pietkiewicz, Titius, Paszkowski, Horain, Walicki, Krupowicz); dwa nawet większych rozmiarów tymczasowe posągi zostały odlane przez J. I. Kraszewskiego (Władysław Syrokomla, Warszawa, 1863) i A. Tyszyńskiego (Zeszyty sierpniowy i wrześniowy Biblioteki Warszawskiéj za rok 1872, Ludwik Kondratowicz i jego poezye). W obu tych znakomitych wizerunkach, z których pierwszy jest nekrologiem, dorosłym do rozmiarów książki, a drugi próbą krytycznéj oceny Kondratowicza w całości jego utworów, Kondratowicz staje nam przed oczy w wierszach, domowém życiu i poufnéj korespondencyi jak żywy; wskazane dokładnie źródła natchnień, podział rozwijania się talentu na okresy, a zasłona rzucona na takie tylko szczegóły, które powinny były być zamilczane przez wzgląd na okoliczności czasu i na żyjące jeszcze osoby. Oba te wizerunki podobne są do szkiców nieoprawionych i rzuconych na luźne kartki papieru w białéj przestrzeni bez otoczenia, to jest bez charakterystyki epoki nie wchodzącéj w zakres założonego przez autorów zadania. Postać poety może tylko wygrać, jeżeli oprawiona będzie w ramki, jeżeli przedstawiona będzie na tle epoki tak jeszcze niedawnéj, ale już ubiegłéj w przeszłość, już dającéj się na dobre odgrodzić od dnia dzisiejszego. Zadanie się rozszerza i stawi w ten sposób: Co zawdzięcza Kondratowicz swoim poprzednikom, swojemu wiekowi, i w jaki sposób oddziałał, oddziaływa i oddziaływać będzie na swoje społeczeństwo i potomstwo? Zadanie obszerne i nie dające się prędko wyczerpać, ale do rozwiązania można się przyczynić nawet małym zasiłkiem i nawet po mistrzach. Biorąc się do téj próby, odsyłam czytelnika do szczegółów biograficznych, zebranych przez Kraszewskiego i Tyszyńskiego; przypuszczam, że mu te szczegóły znajome i zacytuję te z nich tylko, które podług mego rozumienia, miały w rozwijaniu się jego talentu istotne znaczenie.

II.

W domu prostego szlachcica, naprzód komornika czyli geometry, a późniéj drobnego dzierżawcy w dobrach Radziwiłłowskich,

Aleksandra Kondratowicza, herbu Syrokomla (Kraszewski, 214) urodził się 17 Września 1823 roku w Mińskiem, syn Ludwik Władysław, którego ojciec wychowawszy do lat dziesięciu w domu na razowym, jak to mówią, chlebie, bo byt małego dzierżawcy nie odznaczał się dostatkiem, oddał na wychowanie do Nieświeża do księży Dominikanów. Na téj skromnéj szkole zaczęło się i prawie skończyło jedyne systematyczne wychowanie, jakie kiedykolwiek otrzymał Ludwik, bardzo ubogie i niedostateczne, przytém ściśle wyznaniowe, księże, o którém przez podanie tylko można mieć pojęcie, bo już nie istnieje ono od dawien dawna w naszych stronach. Siła o niém możnaby rzec i dobrego i złego, to pewna, że niepodobne ono było do dawnego jezuickiego, opierającego się na Alwarze i batogu, ani nawet do pijarskiego; ale już było półświeckie, utemperowane dobroczynnym wpływem wileńskiego uniwersytetu, któremu szkoły duchowne były podwładne. Nie podlega wątpliwości, że klasztorne sposoby nauczania nie pasują do wymagań spółczesnéj pedagogiki, któréj główném zadaniem jest wyostrzyć rozum, rozwinąć w człowieku krytykę, samodzielność sądu i wzbogacić wiedzę. Ojcowie duchowni patrzyli na te rzeczy cokolwiek inaczéj, ich nauczanie gruntowało się na powadze, miało punkt wyjścia teologiczny, miało przedewszystkiém na celu wykształcić uczniów na ludzi bogobojnych, nie zaciekających się badawczo w dogmat, lecz przyjmujących sercem na wiarę tak ten skończony dogmat jako i gotowe a jak linie proste prawidła moralności. Nauczanie było to i fizyczne i moralne, ćwiczenie w nauce i w wierze (*Szkolne czasy Dęboroga* III, 312 i nast.), i więcéj w ostatniéj niż w pierwszéj, by człowiek:

„Nie latał nigdy skrzydłami Ikara,
I pewny swéj prawdy nie troszczył się wiele;
W Sobotę jadł z postem, a święcił w niedzielę.

Wszelka moralność na czémkolwiekbądź, chociażby na czystéj powadze oparta, jest godna największego poszanowania, i nie da się niczém dla ogółu zastąpić, jeżeli tylko jest z tego świata, to jest jeżeli jéj przepisy postępowania nie są w otwartéj wojnie z potrzebami wieku. Ostry tego rodzaju kryzys zdarza się rzadko, i nim nastąpi, wiara i wiedza układają się wzajem, zawierając tysiączne kompromisa, które z łatwością przychodzą do skutku, dopóki jeszcze sam morał nie jest do szczętu przeżytym, to jest dopóki jest możność dać mu oprócz teologicznéj — zasadę racyo-

nalną. Ze szkół klasztornych mogli wychodzić ludzie światli, postępowi, sam Mickiewicz uczył się u księży Dominikanów w Nowogródku, a na wielką zaletę nauczycieli mówi ta okoliczność, że mimo rygoru i chłosty, wychowańcy tych szkół J. Chodźko, Kondratowicz przechowali dla nich najserdeczniejsze, prawie synowskie uczucia. Kondratowicz sam podał w *Szkolnych czasach Dęboroga* wyidealizowane nieco sprawozdanie z tego, jak się uczył, i czego się uczył. Wychowanie nie było wcale ascetyczne. Uczniowie kwaterowali w zamożném miasteczku na wolnych kwaterach, i przychodzili tylko do klasztoru na lekcye. W miasteczku arcykatolickiém pełno było kościołów i klasztorów, erygowanych w tych samych miejscach, gdzie nieco przedtém czynne były kalwińskie zbory i aryańskie drukarnie. Nad wszystkiemi kościołami górowała w upadku nawet pyszna, ogromna rudera o trzech wieżach, oblana stawami, otoczona wałem, zamek Radziwiłłowski uszkodzony w 1792 r. i spustoszony jeszcze bardziéj w 1812 roku. Jeżeli ta prawie królewska ruina, w któréj sklepach butwiały kości właścicieli, a na strychach ich portrety, była jak grób pusty przez upiory tylko nawiedzany, za to klasztor ze szkołą był niby kawałkiem dawnéj Polski, żywcem przeniesionym w wiek XIX, zrosłym mimo to przeniesienie z całą przeszłością, nietylko religijną lecz i polityczną, z tradycyami samorządu, szlachectwa, wielkiego rygoru domowego i cnót publicznych. Dworki szlacheckie były w najściślejszéj zażyłości z klasztorem, w nieustanném obcowaniu na festach, popisach szkolnych, majówkach, na Ś-ty Piotr, i w dzień Bożego Ciała, kiedy pod gołém niebem przed ołtarzami ubranemi w kwiaty, śród świec jarzęcych i setnych chorągwi, a dymu kadzideł, grzmiały z tysiąca piersi suplikacye. Nic nie wyrówna mocy i trwałości tych pierwszych wrażeń młodocianych; jasne obrazy, ogrzane całą pełnią uczucia zapadają w głąb duszy, gromadzą się jak w skarbcu na całe późniejsze życie, stanowią główny zapas, prawie jedyny materyał dla artysty, z którego on wciąż snuje tkankę pajęczą swych pomysłów. Zapas ten do pewnego tylko wieku się przysparza, późniéj z przytępieniem wrażliwości, człowiek przestaje się odnawiać i tylko układa a grupuje to, co za młodu przeszło przez świadomość jego i zostało złożone w pamięci. W późniejszym wieku można się wielu rzeczy nauczyć, odmienić po kilkakroć swoje przekonania, pozbyć się swéj wiary, zwaliwszy ją aż do ostatniéj cegiełki, stać się zupełnym sceptykiem; a mimo to nie być pewnym siebie i zabezpieczonym przeciwko gwałtownemu powrotowi wyo-

brażeń, które zdawały się zapomnianemi i przeżytemi. Najmniejsza i najbardziéj obojętna okoliczność może prawem logicznego kojarzenia się pojęć trącić o przeszłe rzeczy, wywołać i odnowić obraz, a wraz z obrazem zjawiającym się jak zeskrobane pismo na palimpseście, to uczucie, które obraz ten ożywiało i przenikało. Uczucie to może być w danym przypadku silniejsze nad rozum, i sprawdzić poraz tysiączny tę bajkę Krasickiego, że Mędrzec co firmament mierzył, nakoniec nietylko w Pana Boga, ale i w upiorów uwierzył.

Od tych uwag ogólnych wróćmy do Kondratowicza. Ziarno religijności padało na bardzo dobrą rolę; co się zapisało wtedy wrażeniami do duszy, to pozostało niezeskrobane i niczém nie przykryte. Kondratowicz miał i przechował wiarę zupełnie prostą z katechizmu, ale wiarę artysty, to jest był w niéj jak w swoim żywiole, z niéj prządł swoje pieśni, bez niéj nie umiałby nic tworzyć. Przyszło potem doświadczenie; ocierając się o ludzi, nasłuchał się wszelkich zwątpień i negacyi; negacye te wchodziły jedném uchem, wychodziły drugiém; ani do badawczego zaciekania się w prawdę nie czuł on najmniejszego powołania, ani próbował poetyzować zwątpienia, od którego instynktowo stronił, bo było nieharmonijne i niepiękne. Po naukach w Nieświeżu, a potém w 5-téj klassie powiatowéj szkoły w Nowogródku, chociaż zakopany na wsi w Marchaczewszyznie, a potém w Załuczu, Kondratowicz nie był, o ileby się mogło na pierwszy rzut oka zdawać, pozbawionym możności znajomienia się z ruchem umysłowym wieku, z teoryami religijnemi i filozoficznemi, kursującemi w owym czasie. Prawie peryodycznie co rok na lato pojawiały się w jego ustroniu ptaki wędrowne, studenci uniwersyteccy z Petersburga i Moskwy, Dorpatu i Kijowa. Ściany się trzęsły od namiętnych dysput, w których brały udział najskrajniejsze odcienie myśli w najjaskrawszych okazach, od mistyków i obskurantów do wściekłych materyalistów. Kondratowicz słuchał uważnie, uczył się, ale będąc z temperamentu największym w świecie tolerantem, nie mógł się pogodzić z namiętną stronnością i niewyrozumiałością dysputantów. W 1851 roku wnet po wielkiéj burzy europejskiéj, któréj odległe echo zalatywało i na Litwę, Kondratowicz pisał do Kraszewskiego (str. 45), „Głowa mię boli od krzyków postępowych, myśl się rozbija, nie mogę się jeszcze skupić“ Pierwsze w tym roku dokonane odwiedziny Wilna odmalowane w czarnych kolorach (str. 42, 43): „Nie pojmowałem jak opłakany rozbrat wyobrażeń u nas panuje. *Obstupui.* Jedni z krzyżem w ręku do piekła odsyłają wszelki racyonalizm, szperania wiedzy nazywają czy-

nami szatańskiéj pychy. Drudzy z wyrazami postępu i braterstwa plwają na wiarę, tradycyą, na wszystko co drogie i święte... Chrystus na wszystkich ustach, ale Chrystusowéj miłości ku ludziom jak Bóg żywy nie spostrzegłem. Ludzie zkądinąd znakomici, wzajemnie się obmawiają i czernią. Dzięki mojéj milczącéj figurze, spokojnie wysłuchiwałem wszystkiego i z jezuickim uśmiechem zdawałem się wszystkiemu potakiwać, ale wróciwszy do siebie wieczorem, łzami się zalewałem. Miałem zamiar osiąść w Wilnie, dziś postrzegam że możebym umysłowo coś na tém skorzystał, ale serce na prochby zeschło. Ze mnie żaden dyalektyk..." Konieczność jednak kazala mu przenieść się na mieszkanie do Wilna, osiąść pomiędzy krytykantami i dysputatorami, śród ujadających się stronnictw, w atmosferze przesyconéj plotkami (str. 62, 67). Tu na saméj arenie walki przeróżnych potykających się pojęć, Kondratowicz zniechęcony i złamany chorobą, nie mógł się opędzić zwątpieniom, zakradającym się mimo woli do duszy: „Przyszedłem, pisał on w 1859 r. do Chęcińskiego (Kraszewski 173), do zupełnéj równowagi serca i rozumu, to znaczy, nie mam dziś ani rozumu ani serca..." Ale w tymże liście wyznaje, że nie może się oswoić ze stanem *téj wyrozumowanéj niewiary*, który znaczył dla niego tyleż co odrętwienie i pozbawienie wszelkiego bodźca do śpiewu. W obliczu śmierci powraca wiara i owiany nią znowu poeta pisze w Borejkowszczyznie 1861 roku jeden z utworów swoich z okresu choroby i konania: *Cupio dissolvi*, wiersz w którym głąb duszy odsłoniona i staje Syrokomla takim, jakim był przez cały czas życia: idealistą, deistą, bezwyznaniowym, ale arcyreligijnym w duchu chrześcijaństwa człowiekiem. Kawałek ten przypomina po części pewien przedśmiertny wiersz Edmunda Wasilewskiego: „Co mi tam? Wszystko mi jedno, czy dziś czy jutro..." a jeszcze większe i to rażące ma podobieństwo do ostatniéj poezyi Rylejewa pisanéj w więzieniu 1825 roku, ale całkiem nieznanéj aż do 1872 roku, kiedy ją poraz pierwszy ogłoszono drukiem (Diewiatnadcatyj wiek, wyd. Barteniewa, Moskwa, I, 327), podobieństwo wynikające z jednakiéj wiary co do treści, z analogicznéj sytuacyi, a więc i z podobnego nastrojenia lir obu. Wieszcz rossyjski ma wielką wyższość nad litewskim w tym ustępie, los jego tragiczniejszy, jęk jego duszy wstrząsa czytelnika elektrycznie jako ostatnia spowiedź i modlitwa. Podajmy go w przekładzie:

Jak na obczyźnie życie zbrzydło!
Kiedyż się z ciała tego zrzucę?
Kto da mi gołębicy skrzydło?

Polecę, spocznę, nie powrócę.
Świat cały cuchnie jak mogiła,
Dusza się z ciała rwie, kołacze.
Boże! Tyś przystań ma i siła,
Uważ, jak cierpię ja i płaczę,
Przychyl się k'memu modleniu,
Podobaj w mém upokorzeniu,
Daj przyjaciołom mym zbawienie,
A mnie daj grzechów odpuszczenie,
Od mego ciała rozwiąż ducha.

Kondratowicz nie modli się i raczéj filozofuje:

Na co mi, Panie, ta suknia z ciała,
Która swobodną duszę skowała?

Na co, będąc duchem, mam chodzić w szacie zwierzęcéj? Czyż mowa wytłómaczy choć cień myśli? Każdy z mych zmysłów ułomny i kłamliwy w swojéj osnowie.

W uchu i oku, w smaku i woni
Tylko się samo złudzenie chroni,
Tylko przeszkoda duszy człowieczéj,
By doskonaléj pojęła rzeczy.
W ziemskich warunkach ciała i kości,
Spada korona niezależności,
Głód i pragnienie, zimno i spieka
Dają poczucie nędzy człowieka,
Łakomstwo duszę przy ziemi trzyma,
Próżność piersiową klatkę wydyma,
Nienawiść ręce uzbraja w noże,
Miłość zbydlęca co było boże, i t. d.

Ztąd u Kondratowicza jak i u Rylejewa gorące pragnienie rozwiązania dwóch niby połówek składowych człowieka, rozdarcia zasłon, lotu w tajemniczy pozaświat, gdzie gore niewysłowiony i niedostępny ziemskiemu oku Bóg teologiczny, oczyszczony jednak tak dla Rylejewa, jak i dla Kondratowicza, od wszelkich różniczek wyznaniowych, bo w tym względzie obaj wieszcze byli skąpani w ideach tolerancyi, najpiękniejszym nabytku XVIII wieku.

Przytoczone powyżéj ustępy wystarczą na wytłómaczenie, jaką ogromną gra rolę w poezyach Kondratowicza pierwiastek religijny;

wypada nam dokładniej określić właściwość i wydatniejsze cechy téj religijności. Najprzód więc uderza w oczy ujemna cecha téj religijności: zupełny brak wszelkiego mistycyzmu. Umysł to był niesłychanie trzeźwy, głowa sensowna, serce mocno czujące, ale tylko rzeczy jasno rozumiane; natura tak nieusposobiona do wizyi ekstatycznych, tak niepochopna do bezpośredniego obcowania ze światem nadzmysłowym, do upatrywania w wypadkach życia samych tajemniczych symbolów i wnikania w zawinięte w tych symbolach objawienie: że nie znać w niéj najmniejszego śladu polskiego messyanizmu, chociaż ten messyanizm był górującym kierunkiem w chwili właśnie, gdy się Kondratowicz najmocniéj kształcił i rozwijał. Messyanizm ten, na którym zwichnęły skrzydła daleko potężniejsze geniusze, nie wywarł najmniejszego wpływu na Kondratowiczu, który nigdy przez całe życie nie stawił sobie innych zadań, oprócz czysto artystycznych. Jako artysta, Kondratowicz brał cudowność, ale całkiem gotową, to jest tylko taką, jaką albo znalazł w Piśmie Świętém, albo wyczytał w kronice, albo zasłyszał z opowiadania. Takiego rodzaju jest pierwszy dziecięcy prawie utwór, którym zbiór poezyi jego się zaczyna: Ś. Sadoch (I, 1, z 1845), takież Widzenie Pustelnika (1858 t. IV, 53); przydłuższa powieść Marcin Studzieński (IV, 81, 139 z roku 1859) i mnóstwo innych. Kondratowicz nie zawsze pamiętał na to, co sam zapowiedział w Studzieńskim (138) że:

Ojczyzna cudu, kruchciana wiara,
Dzisiaj z chrześciańskich serc uleciała.

Czasami łamał dane przyrzeczenie:

Czy cud być może, czy téż nie może?...
Ja w to nie wchodzę, lecz powieść piszę,
Z czasów gdy jeszcze w cuda wierzono.

Czasami próbował tworzyć cudowność i zmyślać rzeczy nadziemskie; wszystkie takie próby kończyły się na zupełnem niepowodzeniu, były to po prostu lichoty. Do rzędu takich słabych utworów należy wiersz niedrukowany Na śmierć Mickiewicza:

(Ponad Bosforem kędyś daleko
Obcy mężowie stoją boleśni.
Oto zapadło grobowe wieko
Nad bohaterem słowiańskiéj pieśni... etc),

w którym autor siląc się widocznie i zmuszając do wyższego lotu, by sprostać podniosłemu przedmiotowi, każe duszy Adama wstępować na Olimp chrześciański, obcować z Chrystusem i Najświętszą Panną, poczém promyki téj jaśniejącéj duszy posyłają się z najwyższego rozkazu do wszystkich tych miejsc i okolic, które Adam ukochał za życia i unieśmiertelnił. Chłodna i wymuszona ta próba świadczy o rozminięciu się środków z zamiarami; środki były zbyt małe i starczyly nie na postaciowanie w oryginalny sposób wielkich pojęć religijnych, lecz tylko na oddanie uczuć religijnych i wrażeń, jakie wywiera na duszy prostéj a wierzącéj sam obrządek kościelny i to w najskromniejszém i najuboższém otoczeniu, w lichym drewnianym kościołku wiejskim, gdzie na klęczkach ze skruchą czerń spożywa jedyny, dostępny sobie chleb życia. Co u Mickiewicza wylało się w poezyi raz tylko, i to w niewydanym za życia autora waryancie w IV części Dziadów, i co on schował jako niepokalanie święte, ale przeżyte wspomnienie lat dziecinnych:

(Pamiętasz kiedy miałeś dziewięć, dziesięć latek,
I po raz pierwszy w uniesieniu ducha,
Nabożnie kląkłeś u kratek,
A wtém się na ołtarzu rozdarły obsłonki,
Błysnął kielich, dzwonią dzwonki:
Wówczas mi się zdało...
Że dusza moja ze mną się rozstanie),—

to u Kondratowicza było głównym tematem, malowanym przezeń setki razy bez powtarzania się, coraz to inaczéj. Ksiądz czyta w mszale, organista fałszuje na klawiszach, żaki odpowiadają myląc się w łacinie, okopcone ściany, knoty grube na żółtych świecach, łachmany miasto chorągwi, w czarnych ramach święci i z krzyża zwisa okrwawiony Chrystus, który z rąk księdza schodzi w hostyi na spragnione usta (Wielki Czwartek, II, 278, Szkolne czasy III, 336). Biorąc czynny udział w nabożeństwie, Kondratowicz sam bierze na się funkcyą kościelnego organisty i nie uważa za niegodne siebie „grać wiele, Panu Bogu w kościele" a ludziom na pożytek na ochrypłym instrumencie, tłómaczyć hymny mszalne (VI, 293), komponować nawet nabożne legendy do kalendarza (VII. 65), rozmyślania na dni doroczne (VII, 68), świętami poznaczone, albo nawet modlitewki do świętych na obrazki, sprzedawane na odpustach (7, 13, 21, 117, 122, 161). A jednak i w tych okruchach, które stają prawie. na pograniczu literatury pięknéj, jest

jedna cecha nie dająca im utonąć w tłumie innych tegoż przeznaczenia kantyczkowych wyrobów, podnosząca je niezmiernie wysoko ponad rzemiosło: a cechą tą natchnienie wprawdzie nie religijne, ale czysto artystyczne; ogień, który Kondratowicz przynosił z sobą do kościoła, a nie rozniecał u ołtarzowych świeczek. (Do Zieńkiewicza, VII, 192). Był on poetą religijnym wprawdzie, ale nigdy ortodoksalnym, obchodziło go jak massy wierzą, ale nie brał nigdy dosłownie i był obojętnym na to, w co wierzą, i co bywa często wątpliwe i niedorzeczne, a nigdy nie da się ściśle obronić i dowieść. Przy swéj prawie dziecięcéj pobożności serca, strzegł nasz poeta wszystkich prerogatyw wolno myślącego człowieka, i w chwilach pustéj wesołości pozwalał sobie szczególnie w poufałych wylaniach się z przyjaciołmi, najdowcipniejszych żartów z rzeczy kościelnych, z kardynałów co się do Paryża zjadą, „maścić wybrańca ludu (Napoleona III) święconą pomadą“ (wiersz do Rumbowicza VI, 275), z księdza prałata, którego łeb uczenie się najeża,

„Gdy dogmatycznie nam rozprawia
O nieomylnéj władzy papieża“ (VII, 182).

Poeta obcuje arcy poufale ze świętą Zofią (VII, 280), Janem Baptystą (VI, 286), Św. Eustachym z racyi imienin Tyszkiewicza (VI, 306):

Wszak dziś dyżurnym jest przy Panu Bogu
Święty Eustachy.
Życzliwy dokład za swoim klientem,
Chętnie zaniesie w empiryjskie gmachy,
I zaforsuje swoim wpływem świętym,
Święty Eustachy.
Na pięknéj drodze twojego zawodu,
Posieje hełmy i pancerne blachy,
I stągwie pełne odwiecznego miodu
Święty Eustachy.

Ta pełna swoboda sądu o rzeczach duchownych, nie obrażająca religii, bo nie wybiegająca za obręb tego, z czego według przekonania poety śmiać się wolno (Do Krupowicza VII, 60), i nie wstrząsająca wiary w Boga, czyni religijne utwory Syrokomli nawskroś świeckiemi. Nic w nich ckliwego, cukrowego, nic coby przypominało zakrystyą i kościelne szaty, żadnego bawienia się w gwoździe męki i obwijania cierniowéj korony w folgę i kolorowe paiperki, bo wszędzie czuć podniosły idealizm strzelający

w górę w nieprzebranych lirycznych zwrotach do Boga, bez których nie obejdzie się żaden większy jego poemat, od epickich począwszy aż do prześlicznéj kantaty Franciszek z Assyżu (1857, Wilno, V, 81—86). Oprócz rzeczy religijnych jest jeszcze rodzaj utworów, które nam dostarczą ostatniego rysu do charakterystyki religijnego żywiołu w poezyi Kondratowicza, chociaż często nie traktują ani o Bogu, ani o rzeczach kościelnych: są to pod nazwą gawęd, dramatyzowane morały gminne, stanowiące praktyczną mądrość ludu i bezpośrednio z religijnego płynąca źródła głęboka wiara w natychmiastowość już tu w świecie doczesnym sprawiedliwości boskiéj, w przeklęte skarby, w diable pieniądze i w to, że czém kto grzeszy, tém i pokarany będzie. Że Kondratowicz nie brał tych prawd literalnie, że stał w pojmowaniu ich wyżéj od gminu i pojmował głębsze ich podstawy, dowodzi ładna przypowieść: *Kradzione* (1849, Załucze, I, 53), w któréj ojciec chcąc dać synowi proponującemu kradzież nauczkę, zmyśla kradzież wołu i jedząc go pospołu z synem, tyje we dwoje, kiedy tymczasem synalek dręczony obawą zbrodniarza wysycha jak szczapa:

„Ja, zakupiłem wołu—toć mi szło na zdrowie,
Ty kradnąc, schudłeś na charta.“

Właściwie więc mięso to samo jednemu idzie na zdrowie, drugiemu na złe, wedle różnicy pojmowania istoty czynu nabycia, wedle sumienia winowajcy; sumienie to jest w ostatecznym rezultacie szafarzem nagród, sędzią a nawet i oprawcą. Gnany przez te straszne Eumenidy pasiecznik Chodyka, oddaje się pod miecz katowskich na zamku słuckim w jednéj z najpiękniejszych gawęd Kondratowicza (1847, I, 31 — 52), a pan Korsak odbywa najstraszniejszą wedle jego szlacheckich pojęć pokutę, wysługuje się jako parobek swemu własnemu chłopu, którego syna zamordował (1853, I, 300—331). Lecz powiązanie tych pojęć lud prosty pojmuje zmysłowiéj: palec boży dosięga nieskruszonego zbrodniarza przez zewnętrzne, niby losowe przypadki; Hetmanowi polnemu, który dopuścił swawolę żołnierską nad chłopami, Tatarzy palą zamek i uprowadzają w jassyr żonę i dzieci (1851, t. I, 193); zaklęte przez Skargę, spadają stare wrota na karocę, w któréj jechał zdrajca ojczyzny, syn poczciwego Szeligi, i w ten sposób „dopełniają swojéj powinności“ (1856, III, 1—71). Już to użycie środków mechaniki (Deus ex machina) do rozwiązania zadań moralności, świadczy o pewnéj dziecięcości w pomysłach, o pewnym braku głębszéj myśli i gustu w doborze osnowy poematu. Lecz Kondratowicz nie prze-

staje na tém, i raz ująwszy morał gminny, wysysa go aż do ostatnich mętów, do zabobonu, do przesądnéj wiary w to, że czyn niecny kazi i zapowietrza rzeczy bezduszne, tak, że kto w najniewinniejszy sposób ich się dotknie, zostaje zarażony. Tak Zaścianek Podkowa zmienił się w uroczysko. Pomstę skoro hrabia zagrabił ziemię zaściankowym czynszownikom.

Biada gdy bydło trawy tu uskubie,
Biada człekowi, co tu wody żłopnie!
Gdy kto nieświadom zbłądzi w to bezdroże,
Musi przypłacić lub życiem lub zdrowiem.
(1850, t. I, 143—167).

Kondratowicz tłómaczy w przedmowie, że treść Podkowy wziął z zasłyszanego miejscowego podania (I, 143); ale owo pojęcie o rzeczy klętéj musiało tkwić bardzo głęboko w myślach poety, bo powrócił do niego, przerobił je i odlał powtórnie w jednym z najserdeczniejszych swoich utworów: *Kęsie chleba* (1854, Wilno, II, 115—152), w poemacie, który Kraszewski uważa za arcydzieło (94).

Gdy zajdziesz na Litwie do najpierwszéj wioski, powiada autor:

Tam ci naocznie pokaże lud boży
Chleb, co się sporzy, i co się nie sporzy.
W jednym być muszą kąkolu owoce,
Lub krzywda ludzka, albo łzy sieroce;
Takiego chleba, jeżeliś go świadom,
Nie kupuj w mieście, ani radź sąsiadom,
Nie jedz go w ucztę ani w dni powszednie.
To chleb przeklęty, czuć od niego pieklem;
W tym chlebie duchy gnieżdżą się nieczyste...
Garść tego zboża ciśnij na wicinę,
Pewno się cała wicina zatopi...

Oddamy słuszność w innéem miejscu wzorzystym haftom na tę kanwę rzuconym; wszakże nie podobna nie przyznać, że sama kanwa gruba. Kondratowicz wziął ją gotową od ludu, a w ludzie tym ona stanowi praktyczną stronę jego wiary religijnéj.

Gdyby Kondratowicz poprzestał na saméj tylko poezyi religijnéj, na opiewaniu obrzędów kościelnych, ani imię jego nie nabrałoby zapewne wielkiego rozgłosu, ani wpływ nie byłby bardzo znaczny. W wieku naszym, którego nikt religijnym nie nazwie, religia należy do potęg zachowawczych, miejsce zajmowane przez

nią w życiu jak jednostki, tak i społeczeństwa, maleje raczéj niżeli się powiększa, i udział jéj coraz słabszy w postępowém kształceniu się społeczeństwa. Literatura czasów Syrokomli miała rozmaite zadania, w liczbie których najpierwsze może było krzątanie się około utworzenia wielkiéj narodowéj epopei. W tę stronę poszły główne usiłowania Syrokomli: laur, o którym zamarzył, był laur poety historycznego Litwy i Polski; w tym rodzaju pieśniarstwa upatrywał on główne swoje zasługi. Dopiero późniejsze czasy okazały, że omylili się i Kondratowicz i jego spółcześni. Ani apoteoza przeszłości nie mogła wydać tych, jakich się spodziewano owoców, ani utwory historyczne Kondratowicza mogły się liczyć do lepszych i udatniejszych; upodobanie w nich prawie wyłączne przez czas niejakiś było raczéj omyłką z jego strony w wyborze powołania. By ocenić przyczyny tych niepowodzeń, musimy wrócić do przerwanego opowiadania o jego młodości i dziejach rozwijania się umysłowego.

III.

W każdém wykształconém społeczeństwie, które żyło historycznie, jest niemało materyału epickiego, ale w stanie ukrytym. Wydzielanie się jego, jak wydzielanie się osadu atmosferycznego w kształcie deszczu lub śniegu, odbywa się przy pewnych warunkach i bywa szczególniéj obfite po wielkich a gwałtownych katastrofach, po zmianach, a osobliwie po rozbiciach politycznych, gdy się raptem zmieszają dwie nieprzyjazne cywilizacye niby dwa prądy powietrzne mające różne temperatury, i zmieni się raptownie całe społeczne otoczenie człowieka... Po metamorfozie wszystkie przepadłe i pochowane właściwości dawnego bytu, tkwią jeszcze w pamięci, idą na pokarm pożerającéj je chciwie poezyi, która zajmuje się głównie rozpamiętywaniem najmniejszych dziejowych drobnostek, jak się ludzie spijali i sejmikowali, jak się czubili, procesowali i nawet odziewali przed laty kilkudziesięciu albo i dawniéj. Ludzie spółcześni młodości Syrokomli znajdowali się właśnie w takim opłakanym stanie, po rozbiciu się Rzeczypospolitéj, jak ryby wyrzucone z morza na brzeg, z tą tylko różnicą, że zwierzę ginie, skoro je pogrążyć w niewłaściwym mu fizycznym żywiole, a ludzie żyją i płodzą się w niezwyczajném otoczeniu społeczném, póki się nie zastosują w trzeciém czy czwartém pokoleniu do nowych zewnętrznych warunków życia. Pomię-

dzy chwilą rozbicia się a chwilą ostatecznego oswojenia się z otoczeniem, środkuje okres przejściowy mniéj lub więcéj długi, co zależy w bardzo znacznym stopniu od tego, jak się ma do nich samo otoczenie, czy wymaga od nich, aby zapomnieli naprzód przeszłości, nim się zastosują do nowego stanu rzeczy, czy ogranicza się ułatwianiem im zastosowania się poczém jest nadzieja, że o dawnych czasach zapomną. Jest śliczny ustęp u Syrokomli (III, 301, Sejm Lubelski, 1857), który wybornie maluje wielkie trudności wszelkiego zjednoczenia:

„Każdy, czy naród, czy plemię inszy obyczaj ma z ojców,
Insze prawa dziejowe, serca odmienne pukanie.
Wiele, ach wiele potrzeba w zlaniu dwóch plemion osobnych,
By się zrównał obyczaj, by się takt serca zespolił!
Wspólnie przebyte kamienie wirem połączą dwie rzeki,
Wspólna dola, niedola łączy dwa różne plemiona.

Okres przejściowy ma swe cechy odrębne. Ludzie, co go nie doświadczyli, żyją bardziéj w teraźniejszości i najbliższéj przyszłości, mają cele praktyczne i potrzebują pewnego wysilenia myśli, by dostrzedz jak dalece w nich siedzi człowiek dawny, mało co od teraźniejszego i to raczéj powierzchownie, niż w istocie odmienny. Przeciwnie, ponieważ dla człowieka okresu przejściowego otoczenie wydaje się czémś obcém, nie traci on ani na jednę chwilę ze świadomości swojego podobieństwa do dawnego człowieka, z tą tylko różnicą, że brak mu właściwego żywiołu, brak pola do działania i zastosowania swoich zdolności. Nowe uzdolnienia i przyzwyczajenia nabywają się z czasem i zastępują miejsce dawniejszych; lecz nim nastąpi ta odmiana, nawyknienia nowe zaledwo są widzialne, a przejście od dawnego ku nowemu wydaje się stopniowym upływem siły moralnéj, przerodzeniem się i karleniem, ztąd żal, przywiązywanie się do szczątków historycznych. Pieśń jak powój oplata stare gruzy, a wyobraźnia zajęta odszukiwaniem ukrytych skarbów w ruderach i zgliszczach. To usposobienie ogólne, które wydało Pana Tadeusza, rapsody i gawędy Pola, opowiadania i powieści H. Rzewuskiego, romanse Kaczkowskiego i nieprzebraną ilość innych pomniejszych utworów, wiązało się u źródła z kierunkiem literatur zachodnich europejskich, z romantyzmem, zwrotem ku średnim wiekom, walterskotyzmem, i wyrażało się w nieskończenie różnych odcieniach, począwszy od walki tytanów z losem, na którą się ważyły duchy wielkie i ognite, Bajronowi pokrewne, i od mistycznego rozeskrzydlenia w Bogu,

przy oczekiwaniu cudu, aż do usiłowań poetycznych, mających wyłącznie tylko artystyczne cele, bez żadnych dalszych następstw praktycznych. Okoliczności zewnętrzne przeciągały nad miarę to wstecz obrócone marzycielstwo, gromadziły niezliczone przeszkody nastaniu lepszego stanu rzeczy. Życie publiczne było słabe, zbiorowe działanie prawie żadne, nawet na polu przemysłu; gospodarstwo było przeważnie tylko rolne, a do tego odbywane za pomocą pańszczyzny. Szlachcic obywatel przy tych warunkach i wzrastającéj konkurencyi, zmieniał się i przerabiał na biczowładnego plantatora. W braku zbiorowego działania, zostawała działalność jednostek, i ta stawała na pierwszym planie. Jako najrozleglej wpływową zdawała się praca literacka, jedyna jaka się nastręczała Kondratowiczowi, i miał ją zapewne na myśli, kiedy kończąc Zaścianek Podkowę (1850), w te słowa każe przemawiać podróżnemu do szlachcica żebraka:

„Daj pokój mój dziadu!
Wy będziecie na świecie potrzebni na nowo,
Nie na sejmik z pałaszem, lecz z piórem, lecz z głową.
Świat—to szerokie pole, pełno na nim chleba,
Tylko uczyć się trzeba i pracować trzeba.“ (I, 166).

Literatura była dla Kondratowicza z jego gorącém sercem i dobremi chęciami pracowania dla dobra ogółu, linią najmniejszego oporu, po której poszedł. Unosiła go na swoich barkach fala ogólnego usposobienia towarzystwa, którego cechą było rozmiłowanie się w przeszłości wyobrażanéj idealnie. W duchu swojéj epoki Kondratowicz upatrywał w ludziach dawnych, kilko-sążniowych olbrzymów, którzy gdyby ożyli, patrzaliby na nas z ubolewaniem i pogardą (VI, 138) i wyglądaliby butnie jak wśród wioski nędzarzów rycerska mogiła (III, 136). Wielu nawrotami próbował wyrozumować to rozmiłowanie się w dawnych czasach, lecz racye podawane były zawsze niesłychanie słabe i dziecinne.

„Każdy kopiec na gruncie, każdy krzyż przy drodze,
Stos łomów na gościńcu, kaplica, gospoda,
Wszystko to jest pamiątką, i wszystko ci poda
Jakąś ciekawą powieść o życiu Litwina.“

Kondratowicz zapytuje naiwnie: Czemuż, ach czemuż nie było u nas zaporozkich lirników, szkockich bardów, albo greckich rapsodów?

Lirnik miałby tu piękne i bogate żniwo,
Opiewać nasze krzyże, kurhany i groby,
Od czasów Mendogowych do dzisiejszéj doby,
Od baszty w krewskim zamku, gdzie legł Kiejstut stary,
Aż do krzyża nad brzegiem Prypeci lub Szczary,
Co wzniosła po topielcu wioskowa gromada
I dotąd o tym krzyżu cuda rozpowiada.
Ej, każda taka powieść dla piewcy ciekawa!
Z każdéj ludziom nauka, płacz albo zabawa;
A pamiątka i pieśnia przywiązana do niéj,
Zawsze duszy litewskiéj choć cząstkę odsłoni.
(Dęboróg I, 67—68).

Nie ulega wątpliwości, że nietylko krzyż po topielcu, ale nawet szczątki kuchenne i pale mieszkań nawodnych są niesłychanie ciekawe, a strzałki kamienne albo czerepy od garnków warte może więcéj, niż cegły z krewskiego zamku. Najmniejszy szczegół ma znaczenie ogromne, jeżeli się powtarza przez miliony ludzi i przez setki lat, zatém w rezultacie wyrasta na fakt historyczny bytu społeczeństwa tyczący się, i czasami ciekawszy, aniżeli śmierć bohatera lub zmiana dynastyi. Lecz Kondratowicz nie dba wcale o wyciąganie tych bytowych pierwiastków z historycznych pomników. Rzecz pamiątkowa, to tylko znak wywołujący wspomnienie o umarłych, a umarli ci czuli i cierpieli; wszystko zaś co czuli ludzie może być wyśpiewane, więc każdy czerepek, kamyczek lub trzaska dadzą się na brylant przekrysztalić; a jeżeli się nie odbywa takowa przemiana, należy to przypisać brakowi chęci i talentu pieśniarzy, którzyby mogli, gdyby się ukazali, stworzyć epos równy greckiemu, albo Walter-scottowe ballady i poemata. A nawet idąc do gruntu rzeczy, i talent tu zbyteczny, byle była ochota. Połóżcie, powiada poeta, pod mikroskop duszy:

„Co łaska i wola,
Główkę motylą lub serce człowiecze,
Łezkę, co z oczu spłakanych wyciecze,
Lub kwiat urwany z litewskiego pola.
A rozpowiedzcie sumiennie a święcie,
Blask każdéj barwy, każde serca drgnięcie,
Każde ruszenie drobnego atomu,
A pieśń już sama utworzy się snadnie.“
(Kęs chleba, II, 117).

Skoro pieśń da się wyciągnąć podług recepty, któréj tajemnicę uniósł z sobą do grobu czarodziej, i z trawki, i z oczka muchy, i ze wszystkiego, czém gra wielkie życie kosmiczne, wypadałoby, że zgliszcza i groby zajmują w twórczości miejsce podrzędne, i że nawet z kronik doczytywać się o tém, co cierpieli ludzie zmarli, nie warto, kiedy daleko łatwiéj robić studya nad żywymi. Tak jednak nie jest według pojęć poety, bo co chwila przykłada on usta do trąby epickiéj i woła wielkim głosem:

Gdzie ty święta przeszłości macierzystéj ziemi,
Z twojemi bohatery, z bogami twojemi,
Z pieśnią dzielnych lirników, synów twego łona?
Przeminęłaś na świecie jakby snem prześniona.
Któż cię potrafi dzisiaj wyczytywać biegle
Na staroświeckiéj książce, albo staréj cegle?..
Kto w literze zamknięte życie nam objaśni?
Kto wyssać świętą prawdę z podaniowych baśni?
(Margier II, 6).

Tu oczywiście zadanie inne: przeszłość usadowiona jak sfinks tajemniczy na piedestale, i cel poety już nie wskrzeszać dzieje pojedynczych ludzi anegdotycznie, ale odkryć sens ogólny, ukryty w całym dziejów ogromie dający się wynaleźć przy wpatrywaniu się w ten ogrom, badawczém, metodycznem, umiejętném. Chwiejność w poglądach na cele poezyi, i w predylekcyach Kondratowicza, dowodząc słabości w rezonowaniu, da się bardzo łatwo wytłómaczyć. Upodobanie i przywiązanie do przeszłości było cząstką składową wielkiego i gorącego uczucia, które ogarniało Kondratowicza zewsząd, panowało w nim niepodzielnie, przenikało go aż do szpiku kości. Uczuciem tém bez granic była miłość rodzinnego kraju, jako niezbędnego żywiołu, bez którego nie można istnieć i oddychać. W miłości téj łączyło się wszystko od trawki i wiatru do pamiątek i obyczaju. A wieszże waści, mówi stary Derszniak do Hrehorego Sulimy w Noclegu Hetmańskim (III, 155), co jest ojczyzna?...

Starzy ją zwali swém życiem, swém zdrowiem,
Służąc jéj wiernie w złym i dobrym losie.
Co jest ojczyzna? To twéj chaty ściany,
To dach twój stary, słomą pokrywany,
To zagon żyta, co cię karmi w głodzie,
Z rzeczki twéj woda, co cię rzeźwi w lecie,

To piękność dziewcząt, co ci serce bodzie,
To twoje niebo najpiękniejsze w świecie,
Smak twego jabłka, cień twojéj jabłoni,
To dzwon kościelny, co ci na mszę dzwoni,
To twoich sejmów trwałość i swoboda,
To twego ojca osiwiała broda....
Oto ojczyzna—za jednym wyrazem—
Wszędzie cząstkami i pospołu razem.

Jeżeliby wypadło rozkładać to skomplikowane uczucie, na dnie jego znalazłyby się wrażenia pierwotne natury fizycznéj z niw nadniemeńskich:

„Tameczne łąki znam po aromacie,
Wodę tameczną po smaku odgadnę,
Inszego ptastwa śpiew mnie nie omami...
Poznam po szumie nadniemeńskie drzewa,
I wiatr tameczny rozpoznam płucami".
(Kęs chleba, II, 130).

Autor sam nam tłómaczy logiczną genezę swoich wyobrażeń, kojarzenie się ich pierwotne, a trwałe:

„Chlebie! po twoim smaku i zapachu
Czuję z nad Niemna polankę borową,
Widzę kaplicę o słomianym dachu,
Słyszę jéj dzwonek, jak brzęczy nad głową". (II 119).

Do wrażeń natury fizycznéj przybyły niby nowe kolanko na łodydze, wrażenia wsi, odpustu, karczmy, szkoły, chudoby chłopskiéj i miernoty szlacheckiéj, nakoniec wystrzeliło i trzecie kolanko, górujące ponad wspomnieniami i pól i wsi: bajki, klechdy, anegdoty, wspomnienia przywiązane do krzyża na drodze, do gruzów staréj baszty, do domu lub kościołka i zrosłe w myśli z temi przedmiotami. Ponieważ epokę cechował ogólny popęd do zbierania tych rzeczy pamiątkowych i do układania z nich narodowego eposu, Kondratowicz rzucił się z zapałem do tego narodowego dzieła. By mu podołać, oprócz wrodzonego talentu trzeba jeszcze nauki, a téj właśnie Syrokomla nie posiadał, bo był co się nazywa samouczek, a wykształcił się sam w najdziwniejszy i najoryginalniejszy sposób, jak się nikt dziś nie kształci i nie uczy.

IV.

Oddany po zamknięciu szkół klasztornych do szkoły powiatowéj w Nowogródku, Ludwik Kondratowicz, piętnastoletni jeszcze podrostek, po ukończeniu klassy piątéj a ostatniéj w tym zakładzie, wzięty był przez ojca do domu i zaprzęgnięty do gospodarki, do któréj okazał się całkiem niezdolnym, bo go natura ciągnęła do książki, jak wilka do lasu. Drobny radziwiłłowski dzierżawca, ojciec Kondratowicza, oddał go w jesieni 1842 r. do mieszczącego się w ruderach zamku nieświezkiego głównego zarządu dóbr radziwiłłowskich. Na zamku stawili się: ojciec—zagonowy szlachcic staréj daty, a za nim 19 letni nieśmiały i niezgrabny synalek, powtarzający niewolniczo każdy gest i każdy ukłon ojca. Zaprzężony do kancelaryjnéj roboty rustykan oswoił się z biurem, a że był wesoły, bardzo zdolny, dowcipny, a sypał wiersze jak z rękawa, pokochali go koledzy, starsi zaś: Dobrowolski, Rychter, Kątkowski, dostrzegłszy niepospolitych zdolności, starali się do poważniejszych rzeczy zachęcić.—Rymy łatwo klejone nie wiele były warte, i trawestacye, parodye albo naśladowania Sonetów Krymskich w Sonetach Nieświezkich także słabe (VI, 135—159). Niebawem nadeszła miłość, do któréj poeta był od lat chłopięcych bardzo pochopny. Anielskie oczy 16-letniéj Pauliny Mitraszewskiéj zatruły spokojność mało co od niéj starszego młodzieńca (VI, 135). Po niedługim namyśle pobrała się ta para; mąż nic nie miał, żona nic nie wniosła, a że potrzeba było pomyśleć o gniazdeczku i przyszłości, ojciec Kondratowicza ustąpił mu dzierżawę pod Mirem w nadniemeńskim Załuczu.—Małżeństwo nie ziściło marzeń poety; żona, dobra kobieta, ale prosta, prozaiczna, nie odpowiadała jego ideałom. Dzieci przybyło pięcioro. Zdawało się, że ożenieniem się i zagrzebaniem w głuchym zakątku Kondratowicz zawiązał sobie przyszłość na zawsze; stało się przeciwnie, bo właśnie w tém ustroniu pracą nad sobą znakomicie się wyrobil w ciągu dziewięciolecia (1844 — 1853), bo mu na dobre posłużyła samotność „wielkich ludzi mistrzyni“ (Mick.). Wejdźmy do starego domu pogarbionego, o krzywych, zapadłych w ziemię ścianach i o dachu pokrytym dranicami zakwitłemi mchem (O moim starym domku VI, 177—182, Załucze, 1847 r.), o dwóch izbach, z których w jednéj mieściła się rodzina, a druga ceglanego koloru starczyła poecie za cały uniwersytet. Tam były: „stolik ze szpargałami—tron potęgi“, szafa, a w niéj księgi („zguba moja—szczęście moje“). Tu wpatrując się w komin, albo w nici pajęczyny, snuł Kondratowicz

pasmo myśli „wątłych, słabych jak pajęczyna“. — Książki z których czerpał swój pokarm umysłowy, były stare, zarzucone i najmniéj poczytne; klucz do nich posiadał nauczywszy się w szkołach gruntownie łaciny. W rzędzie tych zmarłych pierwsze zajmowali miejsce poeci polscy i polsko-łacińscy XVI i XVII wieku. Przez zmudną pracę przekładania wielkich mistrzów złotéj Zygmuntowskiéj epoki: Kochanowskiego, Klonowicza, Sarbiewskiego, Kondratowicz nabrał gustu, skąpał się w duchu europejskiego renesansu, zachwycił nieco z pięknéj klassycznéj starożytności i wyrobił potężnie język, którym władał po mistrzowsku, chociaż aż do końca nie mógł się pozbyć prowincyonalizmów a nawet rusycyzmów (nadużywanie prawie ciągłe słowa *grzmotnąć*, zamiast uderzyć, częste używanie wyrazu *kocić się*, zamiast spływać *i woda się koci*, *kolnąć* zamiast ukłóć, (Margier II, 16,) *niedowolen* tamże 35, *ugniecie*, zamiast uciśnie 70, to je żal *obezsili*, to rozpacz załamie, 74; kędy huf *obezsilon*, świeżym się odnowi, 103). Oprócz poetów, Kondratowicz przekładał nawet suchych dziejopisarzy; drabując starych, przeglądał i nowych, wczytywał się w historyą litteratury Wiszniewskiego, podarowaną mu przy ożenieniu się, ceniąc ją jako skarb największy (Kraszewski 15); zbierał wszystkie wiadomostki archeologiczne, z których wyrosły późniéj „Wędrówki“ i zabierał się do pisania dziejów literatury polskiéj. Przy warunkach jego pracy, ta historya literatury mogła być tylko kompilacyą ozdobioną niewielu rysami, których dostarcza każde przestudyowanie na nowo znanych już i zaregestrowanych oryginałów. Oczywistą jest jednostronność takiego wykształcenia. W skutku całkowitéj jego niemetodyczności odbywało się ono na opak, i szło nie od ogólnych, przyjętych w danym czasie w nauce zasad i zarysów ku szczegółom, ale od najdrobniejszych szczegółów ku ogólnym zasadom, których się Kondratowicz chwytał na domysł i one dorysowywał. W latach czwartego dziesiątka panującym w szkołach kierunkiem była niemiecka metafizyka przesadzona na nasz grunt przez Trętowskiego, Kremera, Libelta. Każdy z nas otrzymał do ust rozżuty, gotowy system historyozoficzny, zaczynający dzieje świata nie tak jak teraz, od prapraojców kamiennego wieku, ale wszakże zdaleka, od Indyi i Chin, i kończący szereg ewolucyi o trzech tempach bezwzględnego ducha, na kulturze germańskiéj—koronie wszechstworzenia. Nasze zachcianki miały na celu tylko dotoczyć do odegranych ewolucyi jeszcze jednę, nową, w przyszłości dla narodów słowiańskich. Dziś łatwo śmiać się z bezwzględnego ducha, z fatalizmu stawania się, ze sztucznego ugrupowania faktów history-

cznych, z powiązania ich w trójki z tez, antytez i łączników; korzyść jednak téj historyozofii była niezmierna w swoim czasie, bo streszczała ona ogrom wiadomości uporządkowanych tak ściśle, że i jedność zasadnicza wszechdziejów była zupełnie jasna, i przebieg życia każdego narodu dał się wyśledzić od poczęcia jego aż do śmierci, jako rozwijanie się zbiorowego organizmu, będącego cząsteczką jeszcze większéj całości. Historyozofia dawała możność odrazu oryentować się w ogromie, przecinała dalekie perspektywy, stawiała drogoskazy, a historycznemu poecie dawała gotowe tło do malowidła. Ponieważ duch narodu i wieku mógł być uważany jako czytelnikom z góry wiadomy, mógł więc poeta ograniczyć się niewielu rysami, i odrazu stawić działające osoby. Téj szkoły Kondratowicz nie przechodził, pracowite zbieranie po ziarnku drobnostek historycznych z najbliższego otoczenia wykwalifikowałoby go co najwięcéj na powiatowego starożytnika, bo daléj nie sięga wartość jego Wędrówek, albo na kompilatora, bo takie znaczenie mają jego Dzieje literatury.—Gdy się brał do skreślenia poematu historycznego, Kondratowicz uważał za konieczne zagruntować tło, opisać dokładnie a szczegółowo epokę; a że wiadomości historyczne posiadał tylko średnie, to jest wiedział tylko to, co wyczytał w opracowaniach późniejszych, lub co przynajmniej już posłużyło za materyał do opracowań; zatém były wiadome: więc i te opisowe obrazy epok, zajmujące nieraz całe stronice, są po większéj części tylko retoryką, to jest wystylizowaniem prawd bardzo wiadomych, parafrazą ich obrazową i dowcipną, ale całkiem zbyteczną. Przytaczamy kilkanaście przykładów na poparcie naszego założenia. W Janku Cmentarniku, poemacie z roku 1856, zatém z najlepszéj epoki, Kondratowiczowi wypadło dać charakterystykę blizkich, dobrze wiadomych Napoleonowskich czasów. Zapytujemy, czyż nie jest najczystszą retoryką cały ustęp X, jako dyktator Gallów zagrał dziejowy poemat, jako:

„Z mnogich zastępów tworzył wyrazy,
Z hufców układał ogniste frazy,
Takt jego piersi bije armata,
Za kartę użył połowy świata,
A każda fraza i każda głoska
Wrzały tak silnie jak myśl mistrzowska,
Kipiały ogniem piersi człowieczéj... (III, 87)
To była tylko zwyczajna droga,
Którędy tytan szedł na półboga“.

Gdyby nie wstawiony frazes: *Dyktator Gallów* i kilka terminów geograficznych, jako to:

Krwawym zygzakiem przekreślił Romę (??),
Przekroczył Alpów urwiska strome,
Trącił o stare Piramid głazy,
Ziemię germańską przeszedł dwa razy (?)
Przerznął skalisty grzbiet Pirenei, i t. d.,—

można byłoby gubić się w domysłach, jakiego ze zdobywców nowoczesnych (bo działających za pomocą artyleryi) ma wyobrażać to opowiadanie, kończące się morałem w kaznodziejskim guście:

„Wielki poemat krwi, ognia, czynu
Myślą nie wyszedł za obrąb gminu,“

bo podyktowała go pycha, a pycha nie napisze boskich rzeczy:

„Czy biorąc słowa kolory bledsze,
Czyli kartaczem ryjąc powietrze“.

Można złorzeczyć geniuszowi, że sprawy jego były niedobre i nieboskie, ale pomawiać same pomysły genialne o gminność, znaczy stawać w sprzeciwieństwie z przyznanemi uprzednio téjże głowie cechami tytaniczności i genialności.

Cofnijmy się nieco daléj w przeszłość, w najlepiéj znany i upodobany przez autora wiek XVI. W Stelli Fornarinie, długi ustęp kreślący genezę renesansu (IV, 4—9) jest splotem pospolitości, albo pojęć mylnych, bynajmniéj nie odpowiadających temu zakochaniu się w nagiém ciele ludzkiém, temu spojrzeniu na naturę okiem dawnego poganina, temu opanowaniu religii przez sztukę, przeciwko któremu, jako przeciwko profanacyi, założyła swój gorący i surowy protest Reformacya. U Kondratowicza, po pełnym rutyny obrazie dwóch panowań: rzymskich cesarzów i rybaka Pańskiéj łodzi, wypada, że cud i klątwa, pióro filozofa i sztuka, były opatrznie udzielanemi narzędziami panowania kościoła:

„Swiatło zabłysło nad Piotrową skałą,
I przyszli na świat sztuki geniusze“

Przy tak fałszywém nadaniu cechy kościelnéj całéj sztuce renesansu, sztuce tak bardzo mało religijnéj, nawet w Rafaelu,

i niereligijnie wyobrażającéj nawet kościelne rzeczy, wszyscy wielcy mistrzowie robią się niesłychanie do siebie podobnymi. Leonardo i Rafael, Luini i Buonarotti, to samo co Fra Angelico da Fiesole, stają się wcieleniami Ducha Bożego w obrębach i na chwałę kościoła („Przemówił Duch Boży, I przyszedł na świat Rafael z Urbino"); ulatnia się natomiast duch renesansu, a pozostają tylko frazesa retoryczne bez wewnętrznéj treści. Jeżeli obraz renesansu chybiony, to ocena Reformacyi jest niezmiernie powierzchowną (Kanonik przemyski 1851 t. I 211, 238); Reformacya tłómaczy się po prostu swawolą szlachecką (Szlachta pobratawszy się z królem, już z Bogiem się brata) i zapalczywością mistrzów z Genewy i Witenbergi, wołających, że posiedli całą mądrość bożą, zaś Luter i wielcy odszczepieńcy zbyci lekko i potępieni łatwym kaznodziejskim sposobem:

„Świętą cechę miłości zatarli troskliwie,
Żółcią, nie zaś balsamem ich serce oddycha,
Na ustach złorzeczenie, a na czołach pycha".

Tego rodzaju komunałami przepełnione są wszystkie utwory Kondratowicza, pisane na seryo i z pretensyami do historyczności. Są pomiędzy niemi i takie, którym można zrobić ten tylko zarzut, że są najzupełniéj zbyteczne, bo na kilku kartach autor podaje samę tylko wierszowaną lekcyą historyi, pracowicie nanizany sznurek wypadków ściśle dziejowych, ale najmniejszego związku z fabułą powieści nie mających, a z których tyle się można dowiedzieć, ile z pierwszego lepszego podręcznika (Wieś Lubraniec, I 202; strofa XII o Krzywoustym jest jakby żywcem wzięta ze śpiewów historycznych Niemcewicza). Polska Piastowska w Ostatnim z Toporczyków (III, 125), Zaporoże w epilogu Noclegu Hetmańskiego (III, 180) rażą pospolitością; Skarga, czasy Jana Kazimierza w Starych Wrotach (III, 5-7, 59), spółubieganie się Leszczyńskiego z Augustem III w Staroście Kopanickim (III, 47), opisane rozwlekle, nudnie, bez smaku. Całe tło Margiera wygląda szaro dla braku świeżości w pomysłach, mimo staranne opracowanie stylu. Że Jaśko z Melsztyna poseł Kazimierza W. odprawiony został z niczém z Malborga, jest to fakt znaczący w Długoszu i w dziejach dyplomacyi polskiéj; ale przy najlepszych chęciach, niepodobna zaciekawić czytelnika klecąc całą pieśń bohaterskiego poematu z samego ceremoniału téj odprawy, jak niepodobna podzielić na wierszowane strofy traktatu wiedeńskiego, albo konferencyi w Leoben

lub Paryżu. Weźmy z téj pieśni dwanaście wierszy potoczystych a gładkich:

Dzisiaj nad grobem Pańskim już nie pełniąc warty,
Usiadł mnich na książęcéj stolicy rozparty:
Wyprobowawszy miecza na świętéj posłudze,
Zatopił chciwe szpony w posiadłości cudze;
A nad sąsiednią Litwą, Prusakiem i Lachem
Wywiera swoje wpływy krzyżem i postrachem.
Nienasycona żądza, nieugięta pycha
Zagnieździły się w sercu bogatego mnicha;
Komu ślub przysiężony pokornym być każe,
Chce potęgą prześcignąć króle i mocarze;
Potworną (?) jego piersią niespokojnie miota
Tylko pragnienie władzy, rozkoszy i złota...

Forma zewnętrzna udatna, lecz jeżeli rozłożymy obraz na jego pojedyncze rysy, nie okaże się ani jeden, któryby nie był wytartym komunałem, tak, że nad tę tkankę pożyczanych nici, piękniejszy Szajnocha, daleko lepszy nawet Długosz, a cóż dopiero Wallenrod, który dostarczył wszystkich farb swoich Kondratowiczowi na Margiera! Opowiadania i opisy są zwykle ckliwe u Kondratowicza, a jeszcze ckliwsze towarzyszące im morały. Kondratowicz uważa za obowiązek nietylko kreślić obraz wieku, ale jeszcze tłómaczyć dzieje; i nietylko tłómaczyć, ale rozłupawszy podać czytelnikom sens ich moralny w rodzaju przestrogi dla potomków. Nic wznioślejszego zdaje się na pierwszy rzut oka nad to zadanie, lecz każdy przyzna, że aby mu podołać, trzeba przedewszystkiém patrzeć na dzieje z bardzo wysoka, mieć ogrom wiedzy i znać prawa konieczne wzrostu i upadku społeczeństw, być biegłym w rozpoznawaniu tego, co w języku teraźniejszego pozytywizmu nazywa się warunkami statycznemi bytu, od których to warunków zależy bezwzględnie i funkcyonowanie wszystkich członków organizmu, i samego organizmu trwałość i wiekowość. Patrzący zwysoka, widzi same tylko massy, nie zaś jednostki; wpływ tych jednostek z ich dobremi albo złemi chęciami staje się drobniutki, malutki, nic prawie nieznaczący; przez zbiorowe wysilenia przegląda działanie innych przyczyn stałych, wciąż jednako działających, w układzie organizmu ukrytych i głębszych, niż wolna wola jednostek, albo całych stanów, plemion i narodów. Po uwydatnieniu warunków, od których zło zawisło, kończy się rola nauki i posługującéj się nauką sztuki; resztę pieśni dośpiewa w duszy swéj każdy słuchacz, i sam wyciągnie sens moralny z wypadków, to jest poczuje się

do obowiązku położyć żywot na obronę warunków bytu, albo wszystkich usiłowań użyje do zmienienia przyczyn ciągnących za sobą konieczną zgubę i zagładę. Skoro zadanie dziejoznawstwa zostanie tak pojęte, skoro obejmie badanie przyczyn i warunków, w skutek téj zmiany w zadaniu, zaciekanie się w winy ludzkie staje się rzeczą zupełnie podrzędną; winy te służyć mogą tylko za illustrowane przykłady na poparcie głównych założeń dziejoznawstwa. Kondratowicz téj tak prostéj rzeczy nie pojmował, i nie domyślał się nawet, że obok kwestyi dynamiki społecznéj są jeszcze do rozstrzygnięcia daleko ważniejsze kwestye statyki, że główne wady tkwiły nie w grze żywiołów społecznych, ale w samym składzie społeczeństwa, że Jezuici nie mogli nie prześladować Acerna (II, 234), że Lechita nie mógł nie zostać przy pewnych warunkach bytu bezładnym, panowie nie frymarczyć starostwami, szlachta nie hulać i nie miotać się pijaném słowem na wszystko (III, 54), że sejm polski połowy XVIII wieku nie mógł być, inny jeno gwarliwy i ślepy, że w najnaturalniejszy w świecie a fatalny sposób:

> Senator chowa swe grosze do skrzyni,
> Mnich się panoszy, bogaci bez granic,
> A szlachcic na pobory nie zgadza się za nic. (III, 55 Stare
> [Wrota).

W prostocie ducha Kondratowicz wierzy, jak wierzyli wszyscy jego poprzednicy, począwszy od Jana z Czarnolasu, że wszelkie zło poszło ztąd, iż człek zniewieściał:

> Z gościńca przodków odbieżał Sarmata (I, 54).
> W czystéj miłości i w gorącéj wierze
> Potężnych czynów była tajemnica;
> Ci wielcy ludzie, nie tak jak my mali,
> W Boga wierzyli i swój kraj kochali (III, 188).

W prostocie ducha i zgodnie ze swoim religijnym kierunkiem Kondratowicz w winowaniu stanów, wieków i pokoleń zakłada całą treść historyi; z grzechów i przewinień konkludując teologicznie o różczce chłosty boskiéj podnoszonéj na narody (I, 53). Daleko dobitniéj niż w historycznych poematach, wyraził Kondratowicz swoje pojmowanie dziejów polskich w jednym z późniejszych i pod względem formy najpiękniejszych utworów swoich: Staropolskich Roratach (1858, Wilno). Na ołtarzu stoi świecznik siedmioramienny, każdy z siedmiu stanów Rzeczypospolitéj (król, prymas, senator, ziemianin, żołnierz, mieszczanin i kmieć) zapala po jednéj świecy,

wyobrażającéj cnotę stanu kardynalną; i żyło się dobrze, póki gorzały światła. Zmieniły się obyczaje, zardzewiał świecznik, wtedy los siedmiu stanów został odmienny:

Na królów twarde włożono pęta,
W pasterzach znikła gorliwość święta,
Senatorowie poili braci,
Szlachta się ciągle konfederaci,
Żołnierz jął gnębić tych, których bronił,
Kupiec przez lichwę bogactwa strwonił,
Kmiotek niewolnik zmarniał we dworze,
Anioł zatrąbił na sądy boże (VII, 168).

Staropolskie Roraty pisane w czasie największéj dojrzałości talentu Kondratowicza, są podobne do oszlifowanego kamienia, ale kamienia nie osobliwego gatunku; jeszcze mniéj warto rozmyślanie w Starych Wrotach (1856 Borejkowszczyzna, III, 47) o najcięższym grzechu przeszłości, któremu było imię *swoboda*, ale tylko zła, a nie ta dobra, którą ma od Boga

I myśl człowiecza i niebieski ptaszek,

i która wie dobrze, że gdyby w zakresie

Śmiała przekroczyć choć na jeden atom,
To zamiast szczęścia, które daje światom,
Straszliwe światu skończenie przyniesie.

Zarzucamy temu ustępowi nie myśl jego zasadniczą, która jest oklepaną prawdą, że nadużycie swobody jest szkodliwe, ale dziwaczne pogmatwanie pojęć swobody myśli ludzkiéj, o którą tu nie chodzi, i która może i powinna być bezwzględną, ze swobodą niebieskiego ptaszka, która stawiona człowiekowi za przykład jest po prostu niedorzecznością, i ze swobodą czynów ludzkich, która jest szkodliwa jeżeli przechodzi swój zakres, ale w największéj części przypadkowo nie wie i nie domyśla się, że go przekracza, i która najczęściéj błądzi przez brak rozpoznania swoich granic naturalnych, przez błąd logiczny raczéj, niż moralny.

Wskazawszy, że podług naszego rozumienia Kondratowicz w skutek braku wyższego naukowego wykształcenia, nie był uzdolniony na historycznego poetę, że poezya jego historyczna nie wysoko się podnosi i często upada, łamiąc się z wielkiemi kwestyami dziejowemi, oddajmy jednak cześć zasługom, uszanujmy zalety. Do wielkich należy ta, że Kondrotowicz patrzał na dzieje

trzeźwo, że nigdy nie hołdował panującemu naówczas messyanizmowi, że nie kanonizował jawnogrzesznicy, lecz i owszem powtarzał: „Tylko narzędziem Pańskiém są krukowie, co lecą martwém nasycić się ciałem. Nie oni zgonu twojego przyczyną, Kraje przez siebie, nie przez obcych giną.“ (Stare wrota III, 58). Jak gdyby lękając się śmiałości swojéj myśli, autor uważa za obowiązek tłómaczyć się i przepraszać: „Przeszłości święta! tyś nasza mistrzyni... A nie poczytuj nas za świętokradce, jeśli się zdala przypatrując matce, na jéj obliczu odkryjemy skazy.“ Że te grzeczne ukłony były tylko frazesem, udowodnimy to bliżéj, gdy będziemy rozważali stronę talentu poety satyryczną.

Ta okoliczność, że tło dziejowe w poematach historycznych Kondratowicza bywa nieszczególne, często chybione, a w każdym razie nieodpowiadające warunkom spółczesnéj sztuki, nie może mieć stanowczego znaczenia w sądach o wartości utworów, jak nic nie stanowi w obrazach dawnéj szkoły włoskiéj Leonarda Perugina i samegoż Rafaela niedoskonałość krajobrazów, na malowidłach brak powietrza, perspektywy, płaskość dalekich gór i lasów, które jak gdyby pasmami poprzylepiane na płótnie. Techniczne usterki w malowaniu tła nikną i zapominamy o nich w obec zalet działających osób, w obec piękności ich, rozlanego w nich życia i wyrazu. Nawet przy stosunkowo małym zasobie wiadomości o historycznéj osobie, udawało się mistrzom z kilku rysów tak odtworzyć charakter tego człowieka, że późniejsze badania potwierdziły tylko potém pomysł poety. Kondratowicz nie posiadał tego rodzaju intuicyi poetycznéj, i nie był szczęśliwym ani w wyborze, ani w pojęciu i oddaniu swoich bohaterów; brał się do wielu, i nie kończył, a tym, których wykończył, można bardzo dużo zarzucić.

(Dokończenie nastąpi.)

NAJNOWSZA LITERATURA HISTORYCZNA NIEMIECKA

przez

KAZIMIERZA JAROCHOWSKIEGO.

I. Geschichte der Revolutionszeit, von Heinrich Sybel. Band V. Berlin (od pokoju w Campo-Formio, w Październiku 1797 r., do końca miesiąca Kwietnia roku 1799).

II. Zur Genesis der zweiten Theilung Polens 1792—1793, von Alfred Ritter von Vivenot, Wien 1874.

III. Der Rastadter Gesandtenmord von Alexander Helfert, Wien 1874.

IV. Ursprung und Beginn der Revolutionskriege von 1791 bis 1792, von Leopold von Ranke, Leipzig 1875.

V. Maria Theresia und der siebenjährige Krieg, von Alfred Ritter von Arneth, 2 Bände, Wien 1875.

VI. Der Fall des Hauses Hannover in Grossbritanien und Irland im Zusammenhange der europäischen Angelegenheiten von 1660—1714, von Onno Klopp' Wien 1875.

VII. Geschichte Schwedens von F. F. Carlsson, von 1675 bis zum Tode Karls XI, Gotha 1875.

VIII. Europäische Geschichte im XVIII Jahrhundert, von Carl von Noorden, II-ter Band. Der Spanische Erbfolgekrieg 1704—1709.

IX. Die Kronprinzessin Charlotte von Russland, Schwiegertochter Peters des Grossen nach ihren ungedruckten Briefen 1707—1715, Bonn 1875.

X. König Sigmund und die Reichskriege gegen die Hussiten, von Dr. Friedrich von Bezold, 2 Bände, München, 1875.

XI. Vorträge und Abhandlungen geschichtlichen Inhalts, von Eduard Zeller. Leipzig 1875.

Nie potrzeba zaiste ani zbyt wielkiéj przenikliwości, ani wielkiego zasobu sztuki spostrzegawczéj, aby obeznawszy się choćby najpobieżniéj tylko za stanem całéj literatury niemieckiéj w obecnéj chwili, przyjść do przekonania, jak dalece *nauka* wszelkiego rodzaju i miana przyjmuje wrażenia politycznéj natury, jak dalece ulega prądom, namiętnościom i drażliwościom panującym a idącym z góry, jak coraz większém niepodobieństwem dla ludzi nauki staje się sztuka utrzymania równowagi, umiejętność zachowania olimpijskiego spokoju dla świątyni nauk, któraby powinna być nietykalną i nieprzystępną szczękowi broni, szermierkom dziennikarsko-parlamentarnym. Tak a nie inaczéj jest przecież niestety! Cała owa wielka i poważna tyle niegdyś nauka niemiecka idzie

dzisiaj w usługę polityki; cała literatura z rzadkiemi wyjątkami, wszystkie katedry uniwersyteckie zamieniły się na najrozmaitsze narzędzia muzyczne olbrzymiéj orkiestry, która zgodnym a wspólnym chórem wygrywa „cześć i chwałę" pana. Jeżeli charakter podobny, jak niedostrzegalny płyn chemiczny przenika całą literaturę i całą naukę niemiecką, jest, jak bardzo naturalnie, kierunek ten tém widoczniejszym, tém więcéj uderzającym na pierwszy rzut oka, na polu *historyografii.* Tutaj przychodzi do chorobliwego, cynicznego rozkwitu kierunek, który kiełkował oddawna w szkodliwy dla nauki, a zgubny dla prawdy historycznéj sposób jeszcze na długi czas przed ostatniemi wojennemi powodzeniami, a nawet przed objawieniem się dzisiejszego ks. kanclerza na horyzoncie politycznym. Ojcem dzisiaj panującego w polityce prusko-niemieckiéj narodowo-liberalizmu, był, jeżeli tak wolno powiedzieć, *Nationalvereinizm* autoramentu Benningsenowego, który torował drogę Prussom w najrozmaitszych szczegółach i sferach publicznego życia. Pod jego firmą odbywały się rok rocznie zjazdy śpiewaków, turnerów, strzelców niemieckich, wszystko to zawsze wiernie i nieunikalnie z sensem moralnym obracającym się na rzecz jedności niemieckiéj pod egidą pruską. Kierunek podobny, wzmagający się coraz bardziéj między rokiem 1855 a 1860, znalazł echo dość naturalne w nauce, mianowicie w nauce historycznéj. Nauka historyczna właśnie miala do owego czasu w Niemczech ludzi zacnego charakteru, czystéj przedmiotowości i nadewszystko stanowiska moralnego, które się oburzalo uczciwie na widok *każdéj* niesprawiedliwości. Racya stanu, jedność niemiecka, Darwinowa teorya o konieczności naturalnéj absorbcyi organizmów niższych przez organizmy wyższe nie zarażały jeszcze pojęć ówczesnéj historyografii niemieckiéj, a Rotteck, Schlosser, Stenzel, Dahlmann, Raumer, Gervinus nawet jeszcze nie uznawali teoryi potrzeby podziału moralności, na moralność publiczną i prywatną. Smutną zasługą epoki *Nationalvereinizmu* było zachwiać i zakwestyonować wartość podobnego stanowiska, zacząć torować w sumieniu zbiorowém społeczności niemieckiéj drogę redykalnie odmiennym pojęciom. Dwóch przedewszystkiém znalazło się pisarzy, którzy dzięki nauce i talentowi, potrafili wyjść na inicyatorów i patronów razem wspomnianego co dopiero kierunku, *Haüsser* i *Sybel.* Jednemu i drugiemu niepodobna zaprzeczyć w wysokim stopniu przymiotów, które im co dopiero przyznaliśmy. Nauka postępuje, czy postępowała u nich w równym stopniu z talentem pisarskim; pierwszy był professorem uniwersytetu heidelberskiego, drugi professorem historyi uniwersytetu w Bonn. Pierwszy wystąpił ze swém

cztero-tomowém wspaniałém dziełem: *Historyą Niemiec od zgonu Fryderyka II aż do traktatów wiedeńskich*; drugi z *Historyą epoki rewolucyi francuzkiéj*, która jeszcze nie jest dokończona. Obaj wytknęli sobie, mniejsza o to czy w porozumieniu czy bez wpólnego porozumienia, jeden i ten sam cel idealizowania Pruss i Brandenburga w *przeszłości*, ku stworzeniu im tytułu na *przyszłość*, z systematyczném poniżaniem tak cesarskości habsburskiéj, jak federalizmu niemieckiego reprezentowanego przez małe państwa niemieckie (*Kleinstaterei*). Tendencya podobna obu historyków, sterujących praktycznie ku przystani centralizacyi pruskiéj, nie ograniczała się zresztą na dziełach historycznych większych rozmiarów i sporadycznie tylko się ukazujących. Professor Sybel stworzył jéj ciągle systematycznie i attrakcyjnie działające ognisko w wydawaném przez się miesięcznie w Monachium czasopiśmie historycznéin, tak zwaném *Sybel's Historische Zeitschrift*. Nie będziemy uwłaczali bynajmniéj naukowéj wartości pomienionego czasopisma. Zawierało ono dawniejszemi mianowicie czasy (teraz znajduje się w stanie powolnego upadku) znakomite prace współpracowników, których imiona zapisane bardzo zaszczytnie w historyografii współczesnéj niemieckiéj. Waitz, niezrównany badacz średniowiecznéj przeszłości niemieckiéj; Wattenbach i Grünhagen, wyborni specyaliści w poszukiwaniu nowych, nieznanych dokumentów z najrozmaitszych archiwów Niemiec; Schäfer, niepospolity historyk wojny siedmioletniéj; Noorden, autor znakomitych dziejów XVIII wieku; Baumgarten, autor historyi Hiszpanii w czasach nowszych; Bernhardi, historyk dyplomacyi europejskiéj po roku 1815; Zeller, badacz i znawca dziejów pierwszych wieków chrześciaństwa: otoż plejada znakomitości naukowych, które Sybel potrafił zgromadzić około wspólnego ogniska swego *Historycznego czasopisma*. Mimo to, było ono jednakże tendecyjném w kierunku unitarno-centralistyczno-pruskim, a nadto polemiczném, zacięcie i nieugięcie polemiczném przeciw odzywającéj się na témże samém polu *podwójnéj* opozycyi *austryackiéj* i tak zwanéj *wielko-niemieckiéj*. Wzmianką tą trącamy zarazem o przednie straże, jeżeli tak wolno powiedzieć, obozu przeciwnego, którego nieszczęściem było i jest jeszcze, że mając za sobą więcéj prawdy a zarazem i więcéj warunków wartości naukowéj, niż pierwszy, nie mógł się z nim przecież mierzyć ani pod względem liczby, ani pod względem talentu. Stan niewoli duchowéj, w jakiéj Austrya przez długie lata panowania cesarza Franciszka i księcia Metternicha trzymaną była, zemścił się na niéj w chwili duchowéj walki, jaka zawrzała. Kiedy Sybel, Haüsser, następnie Droysen i Ranke wstąpili w szranki, by dowodzić ra-

cyi historycznéj parweniuszowskiéj królewskości pruskiéj ze stanowiska patryotyzmu i unitaryzmu niemieckiego, nie znajdowała prawie cesarskość habsburgo - lotaryńska obrońców swego historycznego prawa i swéj dobréj sprawy na polu dziejowém. Kiedy dążności wyłamywania się i nieposłuszeństwa Brandenburga wobec reprezentującego prawo publiczne i jedność Niemiec cesarstwa, za wojny trzydziestoletniéj, za tak zwanego wielkiego elektora, za Fryderyka II, jako wojen szlązkich i siedmioletniéj, za wojny przeciw rewolucyi francuzkiéj i w czasie traktatu bazylejskiego, znajdowały w wymienionych co dopiero pisarzach zręcznych rzeczników, odzywała się słabo tylko, sporadycznie j jakby bojaźliwie obrona sprawy przeciwnéj. Obrońcy Ferdynanda II nie śmieli mieć racyi przeciw zdradliwemu wahaniu się elektora Jerzego Wilhelma; pisarze austryaccy nie odważali się przemawiać zbyt głośno za Maryą Teressą przeciw Fryderykowi II, za Cobenzlem i Thugutem przeciw opuszczającemu sprawę Niemiec w pokoju bazylejskim Fryderykowi Wilhelmowi II. Stanowczy ton reprezentantów obozu przeciwnego, niemniéj prawie stanowczy, jak głos księcia kanclerza w praktycznéj polityce, robił obronę Austryi i małych dynastów rzeczą niemal niepopularną, a jeżeli komu, to *Czasopismu historycznemu* Sybla naczelna się pod tym względem należy zasługa. Taktyka jego pod tym względem była równie zręczna i obcesowa, jak ze stanowiska przedmiotowo-naukowego nieuczciwa. Obóz austryacki i wielko-niemiecki znalazł przecież mimo swego liczebnego ubóstwa pewny zastęp ludzi pióra i nauki, zasługujących na szacunek i uznanie choćby przeciwników politycznych nawet. Do takich należy zaliczyć Hurtera, suchego i niesmacznego, ale wielce sumiennego autora *Historyi cesarza Ferdynanda II*, i Vivenota, pisarza uzdolnionego, charakteru prawego i szlachetnego, który w swéj *Historyi polityki cesarsko-niemieckiéj podczas rewolucyi francuzkiéj* postępował z tropu w trop za Syblem i Haüsserem, a był dla nich tém niewygodniejszym, iż z archiwalnemi dowodami w ręku, zbijał ich tendencyjne potwarze przeciw Austryi. Należy następnie zaliczyć do tegoż samego zastępu z rzędu pisarzy *wielko-niemieckiego* stanowiska, Hannowerczyka Onno-Kloppa, i Sasa hrabiego Vitzthuma. Pierwszy wystąpił z dziełami o wojnie trzydziestoletniéj i Fryderyku II ze stanowiska równie przychylnego cesarskości niemieckiéj, jak niechętnego Prussom; drugi w chwili niemal wybuchu wojny r. 1866 z dziełem o genezie siedmioletniéj wojny, na podstawie ciekawych dokumentów archiwum saskiego. Jakąż, zapytalibyśmy, postawę zajęło *Czasopismo historyczne* Sybla wobec podobnéj opo-

zycyi? Żegnając się z przynależnym jeśli komu, to z pewnością ludziom nauki spokojem, odezwało się przedewszystkiém przeciw nieprzysięgającym na jego słowa oponentom z zarzutami zdrady ojczyzny niemieckiéj, wśród homerycznych epitetów niezwykłych równie w polemikach naukowo-literackich. Nie dość na tém: taktyką owych pionierów narodowo-liberalizmu na polu dziejopisarskiém, było zaprzeczyć przeciwnikom wszelkiéj kwalifikacyi naukowéj i pisarskiéj, odmówić im zdolności i nauki, okryć śmiesznością, poddawać zjadliwéj krytyce powyrywane ze związku różne ich twierdzenia i zdania, zrobić o ile możności z ich imion strachy na ptaki wobec publiczności. Robota czernienia i spotwarzania przeciwników, systematycznie prowadzona przez *Czasopismo historyczne* Sybla, wzięła sobie za szczególny i uprzywilejowany jakoby przedmiot osoby Hurtera, Onno-Kloppa i Vivenota. Pierwszy wychodził jeszcze z podobnéj krytyki obronną ręką. Sumienność pionierów narodowo-liberalizmu robiła zeń tylko nudnego bezmózgowca, zostawiając nietkniętą jego uczciwość; za to piętnowała taż sama taktyka Vivenota jako głupca i spekulanta razem, z Onno Kloppa robiła wyraźnie zdrajcę wielkiéj ojczyzny niemieckiéj. Czy w tém wszystkiém było źdzbło moralnéj, krytycznéj i faktycznéj prawdy, o to wszystko nie kłopotała się naturalnie taktyka Syblowego pisma. Nie potrzeba dowodzić, jak wyborną wodą na młyn podobnego systemu były trzy z kolei zwycięzkie wojny Pruss, duńska z r. 1864, austryacka z r. 1866, francuzka z r. 1870. Co dotąd traktowali Sybel i Haüsser śmiało, zaczepnie, ale jednakże jeszcze w pewném odosobnieniu i wśród pewnéj powściągliwości innych powag naukowych, stało się wszystko porywającym prądem, któremu się oprzeć nie była zdolną nadal choćby najpoważniejsza i choćby najzabieglej od wrażeń teraźniejszości stroniąca nauka. Przysłowiowéj przedmiotowości historyk Ranke, niesmaczny i nie strawny jako pisarz, ale uczony cokolwiekbądź Droysen w swéj *Historyi polityki pruskiéj*, Giesebrecht w swéj *Historyi cesarzów niemieckich*, Mommsen w swéj *Historyi Rzymskiéj*, Strauss nawet, głośny autor życia Jezusa Chrystusa, — wszystko to pospieszyło z kolei, czém prędzéj zwiększyć narodowo-liberalny zastęp, poddać się prądowi, którego zwycięztwo *Nationalvereinizm* z przed roku 1860 tak wybornie przeczuć umiał. Nie ma potrzeby dodawać, że zyskawszy w ten sposób prozelitów nowych, nie stracił narodowo-liberalizm historyograficzy dawnych swych wyznawców, i że Sybel tak w swém upadającém coraz bardziéj naukowo-czasopiśmie, jak we własnych swych pracach prowadzi nadal dzieło propagandy pruskiéj w historyi i przez historyą. Stosownie do tego

ukształtowały się też i wyosobniły wyraziście w historyografii niemieckiéj charakterystyczne gruppy, bez których choćby pobieżnego naszkicowania nie możnaby pojąć i zrozumieć ani zewnętrznéj fizyognomii, ani wewnętrznego ducha dzisiejszéj literatury historycznéj niemieckiéj. Antagonizm z epoki *Nationalvereinizmu* trwa daléj, nabrał więcéj świadomości, obrał sobie wyraźniejsze cele polityczne, udyscyplinował sobie lepiéj szkołę swych pracowników. Z tego co powiedziano wyżéj, znamy już potrosze zastęp narodowo-liberalny czyli unitarno-pruski w dziejopisarstwie niemieckiém, znamy imiona Sybla, Rankego, Droysena, Giesebrechta, Mommsena, Noordena, Röppla, by nie wspominać powag i imion niższego rzędu. Naprzeciw owéj plejady stoi dotąd, jak dawniéj, obóz austryacki i obóz wielko-niemiecki. Austryacki zapisuje zaszczytnie imiona Alfreda Arnetha, Aleksandra Helferta; na czele wielko-niemieckiego widzimy ciągle obok publicystów Gustawa Rascha i Konstantego Frantza, niezmordowanego mimo prześladowań pruskich, Onno-Kloppa. Dwa te obozy walczą z sobą i kontrolują się nawzajem; przewaga prawdy i nauki jest po stronie *drugiego*, z téj bardzo naturalnéj przyczyny, że ani obóz austryacki, ani wielko-niemiecki nie mają wyraźnie wytkniętego, praktycznego, politycznego celu, do któregoby za pomocą historyi zdążały. Czegobyśmy tylko *temu* obozowi życzyli, to większéj liczby pisarzy i większego zasobu talentu, bo przewaga jednéj i drugiego niewątpliwie po stronie przeciwnéj. W uzupełnieniu tego ogólnego obrazu historyografii niemieckiéj w obecnéj chwili, powiedzieć nam jeszcze przecież należy, że po za polem walki owych dwóch polemizujących z sobą obozów, stoją nieliczni, neutralni lub zbliżający się do neutralności pisarze, których pracom w przeglądzie naszym odpowiednie miejsce poświęcić wypadnie. Trzymając się porządku rzeczy w powyższym wstępie wskazanego, zastrzegając sobie zastosowanie powyższych naszych uwag ogólnéj treści do sprawozdań z pojedynczych dzieł, które późniéj rozbierzemy,—pozwolimy sobie rozpocząć rzecz naszę od dzieła najnowszego professora Henryka Sybla, któremu się „z wieku i urzędu“ podobne pierwszeństwo należy.

* *
*

Professor Henryk Sybel, przed kilku miesiącami zaledwie jeszcze professor historyi uniwersytetu w Bonn, obecnie wyniesiony dzięki swym zasługom około ks. Bismarka, na stanowisko naczel-

nego dyrektora tajnego archiwum państwa w Berlinie z wyraźnem przeznaczeniem i poleceniem „wprowadzenia teraźniejszości w bliższy związek z przeszłością“, — trudni się przedewszystkiém, obok rozlicznych innych prac z dziedziny dziejowéj, *specyalnie* i w szczególności historyą epoki rewolucyi francuzkiéj. Zadanie swe pojmuje szeroko, a podejmuje z prawdziwym talentem, co naturalnie nie przeszkadza, abyśmy nie mieli nie dostrzegać wskazanéj wyżéj tendencyjności jego pracy, lub zgadzać się na jego stanowisko. Zasługą dziejopisarską professora Sybla w dziele jego *Geschichte der Revolutionszeit* pozostanie przedewszystkiém pewna *wszechstronność*, która wręcz przeciwna *jednostronności* historyografii francuzkiéj traktującéj tęż samę epokę, idzie na wyraźną korzyść prawdy historycznéj. Historycy francuzcy rozumieją zadość czynić swemu zadaniu, skoro się ograniczą na opisie scen rewolucyjnych z bruku paryzkiego począwszy od niekrwawego szturmu Bastylii, a skończywszy na równie bezkorzystnym zamachu stanu z 18 Brumaire'a. Ożywiwszy ten szkielet faktyczny długiemi cytatami z mów parlamentarnych, okrasiwszy swój obraz portretami głównych aktorów i ofiar olbrzymiéj katastrofy, ubarwiwszy go jaskrawo opisem najdramatyczniejszych scen rewolucyi, uzupełniwszy go w dodatku Marsylianką i legendą o czternastu armiach wyrosłych jakby za uderzeniem różczki czarodziejskiéj ku pogromowi inwazyi nieprzyjacielskiéj,—kończą pisarze francuzcy w dlugim szeregu tomów rzecz swą, w przekonaniu, iż dopełnili obowiązku sumienności i prawdy historycznéj. Tymczasem nie dowiaduje się czytelnik nic, co się działo na prowincyi we Francyi po za obrębem linii celnych miasta Paryża, a tém mniéj, jak się Europa zachowała wobec wybuchu rewolucyi francuzkiéj, najmniéj zaś, co było rzeczywistą przyczyną wojennego porodzenia rewolucyi *przed* wystąpieniem na scenę Napoleona. Otoż, professorowi Syblowi należy się zasługa, iż w czterech dotychczasowych tomach swéj *Historyi epoki rewolucyjnéj*, trzyma się metody wręcz przeciwnéj, aniżeli historycy francuzcy. Co się tycze nasamprzód *Francyi*, jest jego obraz o tyle dokładniejszym, iż obejmuje kraj cały, iż skreśla położenie rzeczy na prowincyi, smutne, pełne nędzy i niezadowolenia. Co się tycze Europy, przedstawia professor Sybel na podstawie najrozmaitszych badań archiwalnych organiczną tkankę robót dyplomatycznych, a następnie akcyi wojennéj, podjętéj przez dwory europejskie przeciw Francyi. Z obrazu tego, *aż dotąd* sumiennego wynika, iż owe czternaście armii epoki rewolucyjnéj *przednapoleońskiéj*, są bańką mydlaną wyobraźni francuzkiéj, że mimo owych czternastu armii, hołoty, niedotrzymującéj nigdzie

placu, koalicya w razie energicznéj akcyi byłaby mogła oddać wizytę Paryżowi, a *że prawdziwą* ocalenia Francyi w latach od 1792 do 1795 przyczyną i sprężyną, były jedynie i wyłącznie tylko współczesne wypadki w Polsce. Interes *bliższy*, jaki *tutaj* miały Prussy i Austrya, nie pozwalał im zwrócić głównéj uwagi na widownią nadreńską czy nadmozelską. Siła i energia akcyi była podzielona, i wojna przeciw rewolucyi francuzkiéj prowadziła się miękko i bez należytego przycisku: główny punkt ciężkości działania obu mocarstw znajdował się nad Wartą i Wisłą... Otoż w wielkich i głównych zarysach sens moralny dzieła Sybla, za który prawda historyczna ma mu powód być tylko wdzięczną. Po za tém jednakże rozpoczyna się ujemna strona dzieła; jest zaś nią nie co innego, jak *tendencyjność* w interesie pruskim. *Tendencyjność* owa każe niby to w imię dobra *Niemiec* poniżać cokolwiekbądź Austryą, jéj politykę, jéj mężów stanu Cobenzla i Thuguta, rehabilitować, cokolwiekbądź, ze względów teraźniejszości i przyszłości, politykę ówczesną Pruss, politykę oddanego wygodom i lubieżności Fryderyka Wilhelma II, faworytów jego Bischoffswerdera, Luchesiniego, Mannsteina, politykę gnuśną i ospałą, co najwięcéj niekiedy dynastyczną, nigdy przecież niemiecką. Otoż to biorą sobie tak Sybel, jak dawniéj Haüsser, nie bez pewnéj drażliwości wobec zdania przeciwnego, za trudne i niewdzięczne zadanie,—rehabilitacyą owéj polityki. Tymczasem możnaby wobec podobnéj roboty powiedzieć z Mickiewiczowym klucznikiem: „Jacku!... mądre ty przyczyny znajdujesz: cóż? one nie zmniejszą twéj winy!“ Bo jakże się ma rzecz według niefarbowanéj prawdy historycznéj?—Prussy trzymają się koalicyi reichenbachsko-pillnitzkiéj dopóty, dopóki im, jako jéj *spolia opima* nie dostają się w zysku nabytki w Polsce. W negocyacyach z miesiąca Stycznia 1795 domagają się jako warunków, *sine qua non*, wytrwania dalszego w węźle koalicyjnym całego lewego brzegu Wisły, województwa Sandomierskiego i Krakowskiego wraz z księztwem Siewierskiém. Austrya, poparta przez Rossyą, odmawia podobnemu żądaniu; Prussy poprzestają na swym dziale polskim z roku 1795, ale w zamian rozpoczynają bezzwłocznie traktaty pokojowe z Francyą i zawierają w Kwietniu r. 1795 przez Hardenberga w Bazylei pokój z Rzecząpospolitą Francuzką. Prussy ustępują tedy z teatru wojny przeciw „dziedzicznemu nieprzyjacielowi Niemiec“, ustępują zeń, jak się zaprzeczyć nieda, w imię interesu swego separatystycznego, wylamując się z pod węzła jedności niemieckiéj reprezentowanéj naówczas acz kulawo, przez cesarskość niemiecką habsbursko-lotaryńskiego rodu, rzucając

Niemcy same na pastwę zaczepności francuzkiéj pod wznoszącą się naówczas właśnie gwiazdą Napoleona. Austrya i Rzesza Niemiecka, pozostawione na widowni wojennéj *same*, nie są zdolne wytrzymać ciosów francuzkich. Traktat w Campo-Formio z miesiąca Października 1797 r., poświęcający Francyi cały lewy brzeg Renu, pieczętuje ten stan rzeczy ze szkodą Niemiec, staje się żywém stwierdzeniem niemocy austryackiéj wobec Francyi. Zdawaćby się mogło, że tak nader prosty i oczywisty przebieg rzeczy nie pozostawia adwokatom polityki pruskiéj z owego czasu żadnego wybiegu, że im pozostanie tylko w imieniu ich klienta zawołać *mea culpa*, i przyznać się do grzechu. Tymczasem rozpoczyna się zamiast téj prostéj i uczciwéj procedury, z ich strony gimnastyka, torturująca zarówno logikę, jak prawdę historyczną, któréj rezultatem ma być, iż Thugut i Cobenzel swą machiawelską, podstępną polityką, zmusili Prussy do opuszczenia koalicyi, któréj użytecznemi nadal być nie mogły, a że następnie dyplomatyczne i wojenne niedołęztwo Austryi doprowadziło do przepaści traktatu z Campo-Formio. Wystąpił przeciw podobnemu pojmowaniu i przedstawieniu rzeczy skromnie i powściągliwie, istnie jak bojaźliwy uczeń wobec surowego mistrza, kolega Sybla, także professor historyi uniwersytetu w Bonn, Hüfner, w dziele bardzo sumiennie. a nadewszystko umiarkowanie napisaném. Professor Hüfner odważył się tylko zaprzeczyć pewnéj części odpowiedzialności, zwalanéj przez Sybla na karb Austryi za traktat w Campo-Formio; Pruss nie obwiniał wcale, i powstrzymywał się ostrożnie od wszelkiego względem nich zarzutu. Już i ten jednakże głos skromnego protestu starczył, by ściągnąć narodowo-liberalne gromy na tego, co go podniósł, a opinia nieskazitelności Pruss w pomienionym przypadku ma, cokolwiekbądź, panować pośród społeczności niemieckiéj... Otoż to stanowisko; oto strony dodatnie i ujemne czterech, wydanych dawniéj tomów Syblowego dzieła *Geschichte der Revolutionszeit*. Piąty, wydany teraz, przed kilku miesiącami, obejmuje ową epokę niedomagającego pokoju od miesiąca Października roku 1797 do miesiąca Kwietnia roku 1799, od traktatu w Campo-Formio aż do krwawéj katastrofy, jaka położyła koniec kongresowi rasztadzkiemu i stała się hasłem ponownie wybuchającéj wojny. Szkielet faktycznych wypadków, mieszczących się w owym przeciągu czasu, dobrze wiadomy i pamiętny naturalnie każdemu ze światłych czytelników naszych. Zamordowanie generała Duphota przy boku posła Rzeczypospolitéj Francuzkiéj, Józefa Bonapartego, sprowadza pod koniec roku 1797 okupacyą Rzymu przez Francuzów, i uwięzienie papieża Piusa

VI. W dalszém następstwie wybucha wojna z Neapolem; detronizacyą dynastyi Burbonów sprowadza świetne zwycięztwo Championneta; dalszym skutkiem detronizacyi jest metamorfoza królestwa neapolitańskiego na Rzeczpospolitą Partenopejską. Inwazya francuzka do Szwajcaryi, wyprawa Bonapartego do Egiptu zaciemniają coraz bardziéj pogodę horyzontu pokojowego na lądzie stałym Europy. Obelga wyrządzona sztandarowi Francyi przez pospólstwo wiedeńskie, zmusza do wyjazdu ze stolicy Austryi posła Rzeczypospolitéj Francuzkiéj, generała Bernadotta. Pokój wisi na włosku; wojna trwająca na *morzu* między Anglią a młodą Rzecząpospolitą Francuzką, zagraża ogarnieniem cochwila kontynentu europejskiego. Wśród takich to okoliczności rodzi się myśl *pokojowego* załatwienia licznych spornych kwestyi między interesowanemi mocarstwami, a reprezentanci Austryi, Pruss, Piemontu, małych książąt niemieckich, Francyi, zjeżdżają się na kongres rasztadzki, który trwa kilka miesięcy, który jednakże ze względu na usposobienie upokorzonych traktatem w Campo Formio mocarstw, nie może doprowadzić do prawdziwie *pokojowego* rezultatu. Nadzieja ostatecznego zwycięztwa koalicyi na polu bitwy przy zapewnionėm zwłaszcza współdziałaniu ze strony Rossyi, uniepodobnia z góry *pokojowe* zadanie rasztadzkiego kongresu. Sprawę jego można uważać za skończoną i chybioną nawet jeszcze przed barbarzyńskiém zamordowaniem posłów francuzkich w chwili opuszczenia miejsca kongresu. Otoż to faktyczny obszar, który P. Syblowi w ostatnim tomie wielkiego jego. i pod każdym względem uwagi godnego dzieła: *Geschichte der Revolutionszeit*, opowiadać przychodzi. Jak się z tego zadania wywiązuje, łatwo odgadnąć po tém, cośmy o autorze samym i o stanowisku dzieła powiedzieli dotąd. Talent przedstawienia rzeczy niezrównany istotnie, górujący niezaprzeczenie nad wszystkimi razem, i nad każdym z osobna z historyków niemieckich. Również uznania wszelkiego godna źródłowość dzieła. Autor czerpał materyał z archiwum państwa w Berlinie, było mu także przystępném archiwum państwa w Wiedniu; opis np. wyprawy Napoleona do Egiptu, należy do wspaniałych ustępów książki. Za temi wszystkiemi, tyle znakomitemi przymiotami dzieła postępuje przecież *ujemnie*, jako wierny cień, wiecznie jedna i ta sama *tendencyjność* w interesie pruskim, która wszystko złe, co się i w *tym* przeciągu czasu dzieje, zwala na niedołęztwo austryackie, na machiawelizm i niezręczność razem Cobenzlów i Thugutów, a która nie chce umyślnie dopatrzyć się, jak szerokim udziałem w owych niedomaganiach Austryi, pociągających za sobą bardzo naturalnie klęskę *ogólnéj* sprawy Niemiec,

świeci grzeszna i egoistyczna abstynencya Pruss. Tak np. nie znajduje autor ani słowa nagany przeciw wątpliwéj postawie na kongresie rasztadzkim reprezentantów Pruss, którzy w nieporozumieniu z Austryą, popierali z cicha żądania i pretensye posłów francuzkich. Równie należy uważać za naturalny wynik stanowiska, zajmowanego przez autora, jeśli ciemną sprawę zamordowania wyjeżdżających z miejsca kongresu ambassadorów Francyi, przypisuje intrydze mężów stanu austryackich.

* *
*

W ogóle zdaje się być owa epoka rewolucyjna polem uprzywilejowaném spotkania między historykami obu obozów. Jeśli Sybel rzucił Austryi wyzwanie przez swą *Historyą epoki rewolucyjnéj*, pośpieszył mu z odpowiedzią zmarły przed niejakim czasem Alfred Vivenot w swéj wydanéj przed kilku laty *Geschichte der deutchen Kaiserpolitik während der Revolutionsperiode.* W dziele tém, które z prostego względu na odległość czasu, w jakim zostało wydane, nie może być przedmiotem bliższego rozbioru w niniejszém naszém sprawozdaniu,—starał się autor bronić cesarzów Józefa i Leopolda, mężów stanu Cobenzla i Thuguta, przeciw zarzutom, jakie ich spotykały ze strony historyografii pruskiéj, a równocześnie wymierzał silne ciosy przeciw separatystycznéj, wyłamującéj się z pod przykazów ogólnego dobra niemieckiego polityce Fryderyka Wilhelma II i jego najbliższych doradców. W ostatnich dniach niemal, zbyt rychło dla dobra nauki zgasłego żywota, wydał przecież Vivenot w uzupełnieniu co dopiero wspomnionego dzieła broszurę równie małych rozmiarów, jak ważną przez treść i materyał do niéj użyty, pod tytułem *Zur Genesis der zweiten Theilung Polens 1792—1793.* Ostatnia ta praca austryackiego historyka zwraca się polemicznie przeciw polityce pruskiéj w r. 1792, wyrzuca jéj już wtenczas zdradę cesarstwa niemieckiego w akcyi jego przeciw Francyi i opowiada na podstawie archiwalnych dokumentów, jak już od miesiąca Października 1792 r., czyli tuż po odwrocie z Szampanii, podczas pobytu króla Fryderyka Wilhelma II na zamku Meol w Luksemburskiém, — jedyném staraniem mężów stanu pruskich było, wytargować sobie od Austryi nabytki na Polsce w charakterze indemnizacyi za koszta wojny podjętéj przeciw Francyi. Stary, 80-letni blizko Kaunitz, który doczekawszy jakoby tylko dla zakończenia swego zawodu politycznego

koronacyi cesarza Franciszka II, ustępuje ze sceny, był aż do końca przeciwnym podobnéj robocie i podobnym zamysłom Pruss. Sukcessorowie jego gabinetowi Spielmann i Cobenzl, wdali się w proponowany sobie podstępnie przez Prussy interes, spekulując na anneksyą Bawaryi w zamian poświęcić się mających austryackich Niderlandów. Na tém tle rozwija się względem Polski i Pruss polityka Austryi dwóch lat następnych, przez rok 1792 i 1793, polityka, dla której zacny Vivenot ze swego stanowiska moralności stanowcze wyznaje oburzenie. Zapytywany przez młodego cesarza Franciszka i jego doradców o radę i zdanie, sędziwy Kaunitz dał następną odpowiedź: „Widzę w tém całém postępowaniu nic więcéj, jak chciwość i polityczne zasady, które na przyszłość bardzo mało zaufania wzbudzać mogą, a dlatego też mało dobrego zapowiadają. Tego rodzaju moralność polityczna nie jest odpowiednia moim zasadom, Według moich pojęć, należałoby tedy cały projekt porzucić, ponieważ ze złéj sprawy nic dobrego wyniknąć nie może. Jest więc, według obecnego położenia rzeczy, jedyném mojém życzeniem i jedyną moją nadzieją, aby sprawa skończyła się na niczém, a jak bardzo tego pragnę, trzeba się według mego uważania strzedz troskliwie, by się daléj nie zapuszczać i równie bezużytecznie jak drobnostkowo nie kompromitować“. Całą zmianę zdrowéj polityki księcia Kaunitza, zbliżenie się do Pruss i zgodę na ich nieściśle sformułowane jeszcze intencye powiększenia terrytoryalnego kosztem Polski, zgubne w rezultatach i szkodliwe dla Austryi oziębienie przyjaźni między gabinetami wiedeńskim a petersburskim, przypisuje autor na podstawie sumiennie odbytych studyów archiwalnych, polityce nowych kierowników nawy państwa austryackiego hr. Filipa Cobenzla i barona Spielmanna. Obaj łudzeni przez Schulenburga, Haugwitza i Bischofswerdera widokami ważności zamiany austryackich Niderlandów na Bawaryą, zgodzili się na powiększenia terrytoryalne Pruss w Polsce, przez co wszakże rozumieli tylko Gdańsk i Toruń wraz z mało-znacznemi okręgami. Rossya opierała się długo podobnemu planowi. We Wrześniu r. 1792 nawet jeszcze oświadczył minister spraw zagranicznych rossyjski, hr. Osterman, reprezentantowi Austryi, hrabiemu Ludwikowi Cobenzlowi, iż Rossya będzie się opierała z bronią w ręku wszelkiemu zamiarowi powiększenia Pruss w Polsce. Zmiana pod *tym* względem usposobień gabinetu petersburskiego, nastąpiła ze strony nowych osobistości, wchodzących w skład jego, Zubowa i Markowa,—tudzież na niespodziane instancye gabinetu wiedeńskiego, popierającego ciągle zamiary pruskie. Wśród takich to okoliczności, w końcu miesiąca Grudnia r. 1792,

uważał się gabinet berliński za upoważnionym przez Austryą do rozpoczęcia akcyi w Polsce; poczém też w te tropy nastąpiła znana deklaracya pruska z dnia 6 Stycznia 1793 r. i inwazya wojsk pruskich do Polski. Autor upatruje w tym całym przebiegu rzeczy wyraźną szkodę interesu politycznego Austryi, wielką niezręczność jéj mężów stanu, Cobenzla i Spielmanna. Następca ich od roku 1793, Thugut, znalazł się wobec faktu dokonanego i już w niemożności powrotu do zdrowych Kaunitzowych tradycyi, i naprawy złego zdziałanego przez obu poprzedników.

* *

*

Tak pod względem czasu, jak pod względem dążności staje w blizkiém sąsiedztwie obok dzieła Vivenota, obszerne studyum historyczne jednego z najpłodniejszych i najutalentowańszych historyków austryackich, Aleksandra Helferta, pod tytułem *Der Rastadter Gesandtenmord.* Autor, nie ograniczając się na badaniu szczegółów téj sprawy, równie ciemnéj i równie nierozwikłanéj dla nauki historycznéj, jak sprawa *Żelaznéj Maski* lub Kaspra Hausera, skreśla w obszernym wstępie obraz całéj sytuacyi europejskiéj, jaka kongres rasztadzki spowodowała i poprzedziła. Jest to, jak już powiedzieliśmy wyżéj, rozbierając dzieło professora Sybla,—chwila rwania się i prócia na wszystkie strony nienaturalnéj sytuacyi, utworzonéj traktatem z Campo-Formio. Lewy brzeg Renu znajduje się wprawdzie cały w posiadaniu Francyi, nie przeszkadza to jednakże, że Francuzi, nie kłopocząc się o paragrafy zawartego co dopiero traktatu, szerzą się po Włoszech i Szwajcaryi, że Bonaparte wybiera się na zdobycie Egiptu, że Bernadotte, jako reprezentant Rzeczypospolitéj Francuzkiéj w Wiedniu, przyjmuje postawę groźną i dumną wobec gabinetu równie jak samegoż ludu wiedeńskiego. Ministrem kierującym naówczas sprawami Austryi jest znany baron Thugut, istna *bête noire* historyografii narodowo-liberalnéj pruskiéj, według historyków austryackich mąż stanu uzdolniony i niezrównanéj czynności, zarazem niepodejrzanéj sumienności, kontynuator politycznéj roli księcia Kaunitza wśród wielce zmienionych okoliczności. Thugut był dotknięty do żywego stypulacyami traktatu w Campo-Formio, odstąpieniem lewego brzegu Renu, w którém, jak sam pisze, upatrywał początek końca Austryi,—a przypisując wszystko złe antagonizmowi między Prussami a Austryą, zwołał w Listopadzie r.

1797 ów kongres do Rastadtu, który na pozór miał się trudnić uregulowaniem rozlicznych, spornych kwestyi, wynikających naturalnym porządkiem rzeczy z traktatu pokojowego; w gruncie rzeczy zaś sterować wśród prawdopodobnéj zmiany okoliczności ku zerwaniu pęt uciążliwego pokoju. Wszystkie państwa i państewka składające ówczesną Rzeszę Niemiecką, posłały na tenże kongres swych reprezentantów, figurantów mniéj więcéj, których znaczenie nikło i malało naturalnie wobec posłów Austryi, Pruss i Francyi. Tymczasem i tutaj zaraz odezwał się nurtujący tradycyjnie między Prussami a Austryą antagonizm. Autor mówi o nim jak następuje: „Główną rolę w tym wielogłowym, dyplomatycznym niemieckim świecie odgrywali, jak łatwo pojąć, reprezentanci obu głównych mocarstw, Austryi i Pruss. Do dawniejszych rywalizacyi między niemi przystąpiły różne nowe w ostatnich latach. Monarchowie wprawdzie nie wyznawali względem siebie ani gniewów, ani drażliwości. Młody król pruski, Fryderyk Wilhelm III, zaledwie do tronu doszły, ozdobiony wszystkiemi domowemi cnotami, wzór małżonka i ojca, w publiczném wystąpieniu skromny i bojaźliwy, był pod temi wszystkiemi względami podobnym do starszego tylko o dwa lata od siebie króla Czech i Węgier. Między ich mężami stanu i ministrami za to były ciągłe, jakkolwiek nie występujące otwarcie, nieporozumienia i niesnaski wszelkiego rodzaju, a raczéj było to wynikiem obustronnéj polityki bez względu na osobistości. Austrya nie mogła ciągle jeszcze wybaczyć Prussom bazylejskiego pokoju, a Prussy natomiast nie mogły strawić tajemnych stypulacyi traktatu z Campo-Formio, których treść raczéj odgadywały, aniżeli znały. Przypisywały Austryi sekretne zachcenia na Bawaryą lub przynajmniéj pewne jéj części, kiedy Austrya podejrzywała Prussy o chęć zbogacenia się przez ułożone z Francyą sekularyzacye, mianowicie: Kolonią, Monaster i Paderborn wraz z Hildesheimem. Gdy Prussy późniéj, częścią przez intrygę francuzką, częścią przez nieostrożność rossyjską dowiedziały się o prawdziwych, tajemnych stypulacyach między Francyą a Austryą, i ztamtąd się przekonały, że zawierające pokój mocarstwa uregulowanie nowego podziału krajów same sobie zastrzegły, a nawet Prussy od wszelkiego wynagrodzenia wyłączyć chciały; nie mogło usposobienie poselstwa elektorsko-brandeburskiego względem cesarskiego stać się przyjaźniejszém. Ten tajemny antagonizm, ta wzajemna nieufność i przeszkadzanie sobie, trwały przez czas całego kongresu i odegrały też swoję nienawistną rolę przy ocenieniu katastrofy, która na koniec jego cień rzuciła“. Reprezentantami Austryi na tym kongresie byli:

stary Metternich i Cobenzl; Pruss hr. Görtz, Jacobi i Dohm; Francyi przez początkowych dni kilka generał Bonaparte ze swym sekretarzem Bourienne'm, następnie Treilhard, Roberjot, Bonnier i Debry. Kongres wlókł się wśród wskazanych już wyżéj wydarzeń w Szwajcaryi, Włoszech i Egipcie przez cały rok 1798. Miasteczko Rastadt przedstawiało wśród niego niezmiernie ożywiony widok; było, po za obrębem i czasem toczących się politycznych konferencyi, miejscem głównych zabaw i uroczystości. Stan rzeczy w Europie, chaotyczne położenie rzeczy w Niemczech, nurtujący wciąż między Prussami a Austryą antagonizm,—wszystko to ośmielało niezmiernie pretensye reprezentantów Francyi i podnosiło ich butę. Buta ta i pożądliwość, opierająca się na Prussiech i na małych dynastach niemieckich, dawała się mianowicie we znaki Austryi, i ztąd też widzimy austryackiego historyka kongresu przemawiającego z ciągłą drażliwością, ile razy mówi o „*obywatelach*" Bonnier, Roberjot i Debry. Nie może być naszém zadaniem opowiadać szczegółowo za autorem całego przebiegu wypadków, które w końcu już Marca roku 1799, po rozmaitych kolejach, doprowadziły nareszcie do wojennego rezultatu, do rozwiązania kongresu, do wydalenia reprezentantów Rzeczypospolitéj Francuzkiéj ze stolic południowo-niemieckich, do wyjazdu ambassadorów cesarskich z Rastadtu, wreszcie do zajęcia centralnego dotąd miejsca kongresu przez wojska cesarskie. Było to w końcu miesiąca Kwietnia r. 1799. Odtąd rozpoczyna się ciemna i zawiła strona sprawy. Reprezentanci Francyi dostali od dowódców pułku Szeklerów zajmującego Rastadt, rozkaz bezzwłocznego wyjazdu. Z prostéj relacyi faktów wynika według nas wcale nie dwuznacznie, *kto* był sprawcą zamachu, i jak mało kosztowało pracy dojść po nitce do kłębka, byle tylko była dobra wola rozwikłania go naprawdę. Na dzień wyjazdu reprezentantów Francyi przeznaczono 28 Kwietnia. Prosili rano jeszcze o eskortę wojskową dla swego bezpieczeństwa aż do przeprawy Renu, prosili daléj w tym samym czasie o jak najprędsze wygotowanie dla siebie paszportów. Pułkownik Barbaczy i rotmistrz Burkhardt odmówili im pierwszéj, a kancelarya miejscowa cesarska leniła się z wygotowaniem paszportów aż do wieczora, tak, że wyjazd mógł nastąpić dopiero z zapadającą ciemnością, wśród pory do tego słotnéj i dżdżystéj. Zaledwie powozy, wiozące reprezentantów Francyi, wyjechały z miasta przez bramę Rheinauską i znajdowały się o kilkaset kroków za nią w poblizkim lesie, zatrzymali ich nagle jeźdźcy w huzarskich mundurach, uzbrojeni w szable i pistolety. „*Est-ce que tu es Jean Debry?*" zapytał jeź-

dziec zatrzymujący pierwszy z powozów. „*C'est moi, qui suis Jean Debry, ministre de France!*“ odpowiedział Debry, poczém zaraz otrzymał cios pałaszem w głowę i kark, powstrzymany przecież nieco okryciem, jakie miał na sobie. Wysunąwszy się z powozu, udając zabitego, potoczył się umyślnie w naddrożny rów, gdzie go napastnicy wśród ciemności znaleźć nie mogli. Tymczasem powtórzyła się taż sama scena przy następnych powozach. Napastnicy stwierdziwszy zapytaniami w równie złéj francuzczyźnie, jak niemczyźnie tożsamość reprezentantów Francyi,—wywlekli z powozów, z pośród płaczących żon i dzieci Bonniera i Roberjota, i zarąbali ich pałaszami. Debry jeden, którego rany nie były ciężkie, przeczekał noc w lesie, poczém rano wkradł się napowrót do Rasztadtu, przerażonego wieścią o nocném wydarzeniu. Dnia następnego wyjechał Debry pod bezpieczną eskortą do Strasburga; oficerom zamordowanym wyprawili koledzy kongresowi i władze badeńskie uroczysty pogrzeb. Taki jest, opowiedziany w krótkich słowach, faktyczny przebieg tego tragicznego zajścia. Zależy teraz na rozwiązaniu ciągle jeszcze otwartéj kwestyi, kto był sprawcą?—Ogólna opinia, nie wyjmując najpoważniejszych głosów niemieckich, jak Rottecka, Schlossera, Haüssera, i Sybla, obwiniała głośno jako sprawcę zamachu Thuguta, obawiającego się podobno być skompromitowanym przez papiery pozostawione w ręku ministrów francuzkich. Wszelkie prawdopodobieństwo, wszelkie okoliczności przemawiają ciągle za témże przypuszczeniem. Barbaczy i Burkhardt, dowódcy siły zbrojnéj cesarskiéj na miejscu, odmawiają Francuzom żądanéj eskorty bezpieczeństwa; władze cesarskie lenią się aż do wieczora z ekspedycyą paszportów. Po dokonanym zamachu zwala Burkhardt winę na niepowściągliwość i niesubordynacyą Szeklerów, ale odmawia pogoni i poszukiwania winnych. Następnie zatrzymują władze cesarskie papiery zabrane w powozach reprezentantów francuzkich. Nie dość na tém, uprowadzają Szeklery, tłómacząc się wyraźnie *rozkazem wyższym*, powozy mieszczące jeszcze rodziny, dzieci i bagaże pomordowanych, nie napowrót do Rasztadtu, lecz do główněj kwatery cesarskiego plackomendanta, pułkownika Barbaczego, w Muckensturmie, zkąd ich zwracają dopiero na nader energiczne przedstawienia pozostałych w Rasztadzie dyplomatów. Co najważniejsza wreszcie, zamianował arcyksiążę Karol, naczelny dowódca wojsk cesarskich przeciw Francyi, natychmiast po dokonanym zamachu, napisawszy równocześnie list pełny szlachetnego oburzenia do generała Masseny, komissyą śledczą w miasteczku Villingen, która

miała się zająć zbadaniem całéj sprawy. Cóż się jednakże stało?— Fakt zamianowania téjże komissyi pozostał jedynie tylko dowodem uczciwości i niewinności w ohydnéj sprawie arcyksięcia Karola. Komissya sama wsiąkła jakoś, nie przyszła na prawdę do skutku, a przynajmniéj nie doprowadziła nigdy do żadnego rezultatu, i akta jéj znikły. Takie to poszlaki, które wyraźnie dowodzą, że mord rasztadzki, jeśli był dokonany podrzędną ręką Szeklerów, miał przecież wyższych inicyatorów, których gabinet wiedeński zbytniém wydobywaniem na światło białego dnia, kompromitować nie chciał. Otoż wniosek według naszego uważania rzeczy bardzo prosty i naturalny, którego logiczności przecież sumienna zresztą i nader dokładna pod względem faktycznym praca P. Helferta, ze stanowiska źle rozumianego patryotyzmu austryackiego uznać nie chce. Przeciwnie, jak studyum p. Helferta jest jasne i dokładne w opowiadaniu wydobytych na wierzch *faktów*, tak jest, powiedzielibyśmy, widoczna jego intencya, zamącić rzecz całą w *konkluzyi*. W tym celu zamącenia rzeczy, w téj intencyi odwrócenia uwagi czytelnika od prawdziwie w sprawie téj winnego, wylicza autor wszystkie osobistości, wszystkie czynniki, wszystkie gabinety europejskie, którym kolejno autorstwo pomienionego zamachu przypisywano. Winną miała być Karolina, królowa neapolitańska, winną emigracya francuzka, winnym sam dyrektoryat ówczesny francuzki, winnym gabinet londyński. Wśród utworzonego w ten sposób zamętu ginie jakoby i chroni się prawdziwy sprawca; co zaś najoryginalniejsza, to że autor, nie konkludując wprawdzie wyraźnie, nie wskazując stanowczo winowajcy, zdaje się chcieć przypisywać ohydę smutnego faktu w pierwszym rzędzie emigrantom francuzkim, w drugim bardziéj może jeszcze samemuż dyrektoryatowi francuzkiemu. Szeklery miały tylko być w tém dziele prostém narzędziem i ślepym mieczem. Ku uzasadnieniu podobnego przypuszczenia, opowiada autor, z jaką w gruncie rzeczy obojętnością rząd francuzki, a późniéj sam Napoleon sprawę owego zamachu traktował, jak Debry wpadł w niełaskę i poszedł za rządów cesarstwa na prefekta departamentu Doubs,—wreszcie jak liczne współcześnie już głosy odzywały się we Francyi, które skład ówczesny dyrektoryatu za zdolny do podobnéj zbrodni uważały. W ten sposób wprowadza studyum p. Helferta ciemną sprawę w ciemniejszy jeszcze odmęt. Zagadka nietylko nie rozwiązana, ale dodano jeszcze do niéj kilka nowych problematów. Tak to „*intencya patryotyczna*", wyprawiając swe sztuki w dziedzinie historyografii pruskiéj i narodowo-liberalnéj, nie omieszkuje przed-

stawiać ich próby i na polu historyografii *austryackiéj* w przedłużającym się aż dotąd antagonizmie obu obozów.

* *

*

Tejże samej epoki i tegoż samego pola dotyka w najnowszém swém dziele sędziwy Leopold Ranke. Z dawniejszéj nieco chwili datuje się jego dzieło, którego obecne: *Ursprung und Beginn der Revolutionskriege 1791 und 1792*, jest jakoby dalszym ciągiem: Dziełem owém *poprzedniém* jest obszerne studyum, pod tytułem *Die deutschen Mächte und der Fürstenbund; Deutsche Geschichte von 1780—1790.* W dziele tém, mającém za przedmiot opowiadanie wypadków poprzedzających wybuch rewolucyi francuzkiéj,— wziął sobie znakomity historyk za cel, skreślić pochwalną kartę przeszłości *pruskiéj*, w szczególności za utrzymanie książęcego związku, który zapobiegł anneksyi Bawaryi przez Austryą, i który jéj przeszkodził stanąć na czele jedności niemieckiéj *swego* autoramentu pod koniec XVIII wieku. Znakomity historyk pruski opuścił na niejaki czas wątek rzeczy podjęty w owém dziele. Wydał tymczasem *Historyą Wallensteina*, wydał następnie *Genezę Pruskiego państwa*, *Początek wojny siedmioletniéj*, *Korrespondencyą Bunsena z Fryderykiem Wilhelmem IV.* Nadto trudnił się przeglądaniem i rewizyą drugiéj, a zupełnéj edycyi wszystkich dawniejszych dzieł swoich. Teraz dopiero wychodzi jakoby dalszy ciąg owéj *Historyi Niemiec od roku 1780 do 1790*, lecz w charakterze osobnéj monografii, obecne dzieło o genezie wojny rewolucyjnéj z roku 1792. Autor przyznając fakt ciągłego antagonizmu między Prussami a Austryą nawet na polu dziejowém, przypisuje mu przecież zbawienne w rezultacie następstwa, ponieważ pod wpływem jego, a w chęci obrony własnéj, *Austrya* uznała za rzecz konieczną wyrzec się dotychczasowego systemu tajemniczości i otworzyć gościnnie swe archiwa dla użytku publicznego. Korzystając daléj z archiwów pruskich, opowiada tedy autor na ich podstawie początek i przyczynę autentyczną wojny rewolucyjnéj. Rozpocząwszy rzecz od uwagi ogólnéj treści, iż wybuch rewolucyi francuzkiéj poprzedził na obszarze całego niemal chrześciańskiego świata prąd reformistyczny, i wspomniawszy o emancypacyi Ameryki, o encyklopedystach francuzkich, o reformach Pombali i Arandy, o podobnych usiłowaniach cesarza Józefa II, o państwie Fryderyka II i o wspaniałym ruchu literatury niemieckiéj pod koniec XVIII wieku,—zwraca się autor następnie w osobnym rozdziale

do skreślenia stosunków mocarstw kontynentalnych między sobą, jako też ich wzajemnego stosunku do poczynającego się ruchu rewolucyi francuzkiéj. W ostatnich dniach niemal przed wybuchem olbrzymiéj katastrofy, króluje jeszcze na porządku dziennym wielkiéj polityki europejskiéj sprawa antagonizmu między połączonemi, w celu upokorzenia Porty Ottomańskiéj, gabinetami wiedeńskim i petersburskim a potrójném przymierzem Pruss, Anglii, i Holandyi, ku ocaleniu Turcyi. Wśród takiéj to konstelacyi politycznéj na kontynencie europejskim, w którą i Polska do pewnego stopnia wchodzi, następuje wybuch rewolucyi francuzkiéj, uzewnętrzniony Europie z jednéj strony przez zmieniające się na zgromadzenie narodowe Stany Generalne, a z drugiéj przez szturm Bastylii. System aliansów europejskich, cele polityki europejskich mocarstw, widownie rozmaite ich akcyi,—wszystko to razem miało powoli zmienić postać pod wpływem i wrażeniem wielkiéj katastrofy zapowiadającéj się na Zachodzie. Autor skreśla charakterystycznemi pociągami dziejowego pędzla wewnętrzny rozwój rewolucyi francuzkiéj, jako wstęp nieuniknionéj konieczności do zrozumienia i pojęcia jéj następnego zwarcia z mocarstwami europejskiemi, ów początek obrad zgromadzenia narodowego w dniu 4 Maja, ów ostatni akt obecności starodawnéj monarchii francuzkiéj przez ukazanie się Ludwika XVI dnia 23 Czerwca w łonie tegoż zgromadzenia, szturm Bastylii, wreszcie kapitulacyą staréj królewskości przez zawezwanie reprezentacyi narodu do obmyślenia środków przywrócenia zachwianego spokoju i przyjęcie trójkolorowéj chorągwi. Noc 4 Sierpnia że swym dekretem znoszącym przywileje szlachty, zamach na Wersal 5 i 6 Października, przenosiny króla i królewskiéj familii z Wersalu do Paryża już w niedwuznacznym charakterze więźniów,—otóż stopy, jakiemi rewolucya znaczy coraz daléj swój pochód ku fatalnemu dla staréj monarchii rozwiązaniu. Wreszcie następuje fakt zdzierający ostatecznie maskę z upozorowanego jaką taką jeszcze dla monarchii względnością stanu rzeczy. Jest nim gwałt ludu paryzkiego spełniony na swobodzie króla i jego rodziny, gdy dnia 8 Kwietnia 1791 r. chcą wyjeżdzać z Paryża na przepędzenie świąt wielkanocnych w Saint-Cloud. Fakt ten poprzedzający tylko o dwa miesiące późniejszą ucieczkę Ludwika XVI i przytrzymanie go w Varennes, — jest według autora stanowczém już stwierdzeniem bezpowrotnego pogrzebania dawnego stanu rzeczy wraz ze wznoszącą się krwawo zorzą nowego. „Aż dotąd panował ciągle jeszcze przekonanie, mówi autor, że z pośród ruin znaczących upadek starego systemu, wytworzy się zdolna do życia konstytucya, i że królewska władza da się przywrócić

w swoim blasku ze swemi prerogatywami. Z tą optymistyczną nadzieją trzeba się jednakże było pożegnać; król przekonał się, że tylko wydalenie się z Paryża pozwoli mu utrzymać autonomią korony i swobodę religijnéj samodzielności, która dlań była najwyższą potrzebą. Wiedział dobrze, że zbiorowe poczucie monarchów eruopejskich było pod tym względem po jego stronie. Przez odwołanie się doń króla, wszedł ruch rewolucyjny nietylko w zatarg z Europą, lecz poszedł nadto jeszcze całkiem innemi drogami, niż dotąd.“ Przystępując do opisu genezy owego zatargu, robi autor charakttrystyczne, uwagi godne spostrzeżenie, iż zasadnicza jakaś antypatya nie była bynajmniéj pierwszém i główném uczuciem, z jakiém mocarstwa europejskie przyjęły metamorfozę wewnętrznych stosunków francuzkich. W pierwszym względzie kłopotała je praktyczniejsza daleko kwestya, o ile Francya silniejszą lub słabszą na zewnątrz wyjdzie z odbywającéj się w jéj wnętrzu przemiany. Pierwsza inicyatywa konfliktu wyradzająca się z tego pytania, wyszła ze strony sąsiadujących z Francyą elektorów duchownych nadreńskich, których prawa były nadwerężone przez zniesienie na mocy nowéj ustawy francuzkiéj, praw ich metropolitalnych w Alzacyi. Zgromadzenie narodowe francuzkie nie doznawało skrupułów wobec obrazy tychże praw i wzięło w posiadanie Alzacyą, po raz pierwszy, zupełne i nieograniczone. Z tą kwestyą łączyła się jednakże nierozerwalnie inna, o ile cały aparat prawa publicznego i traktatowego obowiązujący Francyą wobec Niemiec i innych państw europejskich, miał jeszcze znaczenie i walor. Przedewszystkiém znalazło się zakwestyonowaném pod skalpelem podobnéj krytyki niepopularne, trwające od roku 1756, przypieczętowane małżeństwem Ludwika XVI z córką Maryi Teressy, przymierze austryackie. Aby podobnego niebezpieczeństwa uniknąć, aby się przedwcześnie, niepotrzebnie a z nadwerężeniem interesu austryackiego w innéj stronie nie wystawiać na konflikt z nowym stanem rzeczy we Francyi, zachowują tak mądry cesarz Leopold II, jak kanclerz państwa ks. Kaunitz, względem rewolucyi wyczekujące, ostrożne, bynajmniéj nie zaczepne stanowisko; odradzają Ludwikowi XVI zamierzoną ucieczkę z Paryża, strzegą się jakąkolwiekbądź prowokacyą wywoływać wylew wewnętrznego nurtu na zewnątrz. Po chybionéj ucieczce Ludwika XVI w miesiącu Czerwcu roku 1791, obudza się dlań przecież zachowawczo-romantyczny udział króla pruskiego Fryderyka Wilhelma II i zwraca się ze pośrednictwem nadzwyczajnego jego posła, Bischoffswerdera, do ostrożnego dotąd dworu wiedeńskiego. Wśród takich okoliczności stanął dnia 4 Sierpnia 1791 r. pokój między Austryą

i Portą Ottomańską, a w te tropy za nim, nastąpiło zbliżenie się Austryi do Pruss z wyraźną intencyą akcyi przeciw rewolucyi francuzkiéj. Stwierdza ją zjazd cesarza Leopolda II i Fryderyka Wilhelma II w Pillnitz wśród nader niedyskretnego udziału książąt i innych emigrantów francuzkich. Cel tego zjazdu i wydanéj przezeń deklaracyi nie obejmował jeszcze swym programem wojny przeciw Francyi, ale zwracał się nieokreślnie przeciw ideom demokratycznym i radykalnym, na których ognisko Francya wychodzić poczęła. Nadto stwarzał zjazd pilnicki odmienny całkiem od dotychczasowego, system aliansów. Prussy nie zrywając przymierza z Rossyą, zbliżały się przecież do Austryi, i uznawały do pewnego stopnia jéj hegemonią w tworzącéj się embryonicznie koalicyi przeciw Francyi. Kaunitz ze strony Austryi, Schulenburg, Alvensleben, Bischoffswerder i Luchesini ze strony Pruss są ojcami chrzestnymi tego zmienionego stanu rzeczy, który sobie przedewszystkiém emigranci francuzcy na korzyść własną tłómaczą. Przeciw podobnemu ich optymizmowi nie omieszkał jednakże co prędzéj nastąpić protest interesowanych mocarstw. „Okoliczność, mówi Ranke, iż emigranci deklaracyą (pilnicką) tłómaczyli sobie na swą korzyść i dla swych celów wyzyskać pragnęli, jako też że i późniéj zapowiadali wszędzie wystąpienie zbrojne mocarstw europejskich, mianowicie dwóch państw niemieckich, spowodowała takowe do bardzo stanowczego protestu. Zaraz z Pragi dał cesarz, który tamże na koronacyą swą wyjechał, pretensyom hrabiego Artois (Karola X) energiczną, a do pewnego stopnia gorzką odprawę. Gdy emigranci zamieścili ową deklaracyą wraz z własną jéj interpretacyą w jednym z dzienników bruxelskich, pociągnął rząd niderlandzki redaktora do odpowiedzialności i oświadczył, że w tym sensie deklaracyi rozumieć nie należy. W tym samym duchu odezwał się król pruski, że owa konwencya, która nawet za takową uważaną być nie może, brzmi tylko na nieprzewidziane wypadki. Warunek zastrzeżony w niéj, nie jest jeszcze dopełnionym; o niezwłoczném zbrojném wystąpieniu nie może więc być jeszcze mowy. Niezaprzeczenie było wewnętrzą trudnością odosobnić opór przeciw rewolucyjnym zasadom od popierania sprawy emigrantów, gdyż emigracya była przecież tylko następstwem rewolucyjnych pojęć, które przyszły we Francyi do panowania. A jakkolwiek sami przez się bezsilni, znajdowali przecież emigranci wszędzie sympatyczne usposobienia. Mieli, jak nie ma wątpliwości, za sobą ogólną sympatyą wysokiego duchowieństwa i szlachty w Europie. Jeżeli obaj królewscy bracia, a z wyjątkiem jednego wszyscy książęta krwi wzięli udział w emigracyi, znaczyło to

więcéj, aniżeli zwyczajną tylko ucieczkę i usunięcie się z zimie ojczystéj. Emigracya nie reprezentowała właściwie idei staréj Europy, gdyż nie było europejskiego państwa, w którémby była istniała władza, do jakiéj ona dążyła; miała przecież z istniejącym stanem rzeczy społeczną analogią. Najwięcéj współczucia znajdowała u niemieckich książąt Rzeszy, którzy uchwałami zgromadzenia ustawodawczego sami byli dotknięci; następnie w całéj hierarchii katolickiéj Zachodu. Papież czuł się spowodowanym na wieść o szczęśliwie dokonanéj ucieczce króla do wydania powinszowalnego *breve*, które prawda, dopiero po sprowadzeniu króla stało się wiadome, ale właśnie dla tego przeciwieństwo sprzecznych idei na wierzch wyprowadziło. Nuncyusz papiezki i poseł hiszpański żalili się, że na dworach ich zważają mniéj na własne ich sprawozdania, aniżeli na insynuacye emigrantów. Antypatya przeciw istocie rewolucyjnych idei, którą emigracya wywoływała, była silniejszą, anieżeli wzgląd na usiłującą przyjść do konsolidacyi we Francyi władzę państwową, wzgląd zalecany przez posłów. Polityka usiłowała zachować pokój; uniwersalne przeciwieństwa stawiały wojnę w perspektywie.“ Wśród podobnie naprężonéj sytuacyi przyszła do skutku ustawa konstytucyjna francuzka z r. 1791. Jakiekolwiek było względem niéj usposobienie *prawdziwe* dworów: wiedeńskiego i berlińskiego, tyle przecież pewna, że oba mocarstwa wyznając wstręt do mieszania się w wewnętrzne stosunki Francyi, niepewne programu własnéj akcyi, wydały deklaracyą uznającą swobodę króla francuzkiego w przyjęciu owéj konstytucyi, do czego tém ważniejszy i naturalniejszy znalazł się powód, że wysłany właśnie naówczas w charakterze nadzwyczajnego ambassadora z Paryża do Berlina baron Moustier, oświadczył w imieniu swego dworu, że teraz zależy przedewszystkiém na ułagodzeniu stronniczych namiętności i na utrwaleniu dla bezpieczeństwa osoby i władzy królewskiéj obecnego konstytucyjnego stanu rzeczy. Wśród takiéj sytuacyi okazują się jednakże okoliczności zawsze silniejszemi od woli i rozumu ludzkiego, a ludzie wychodzą po prostu na ich narzędzia i zewnętrzny wyraz. Nie inaczéj miało się stać w obecnym przypadku. Ludwik XVI bawił się, dzięki swéj słabości, w grę dwulicową, zamiast dla własnego bezpieczeństwa uznać szczerze nowy stan rzeczy. Marya Antonina za to odgrywa, według własnego wyrażenia Rankego, rolę demoniczną, prowadzącą w następstwach swych do nieuniknionéj katastrofy. Stanowisko jéj odpowiada najzupełniéj stanowisku i intencyom emigracyi, z tą tylko może różnicą, że blizkość niebezpieczeństwa, że znajomość otaczających ludzi i stosunków robią ją mędrszą politycznie i ostro-

żniejszą w działaniu. Trwa nieprzerwanie korrespondencya jéj z bratem cesarzem Leopoldem II za pośrednictwem gubernatora jego w Niderlandach, le Mercy d'Argenteau. Królowa wywoluje wszelkiemi siłami ideę kongresu mocarstw europejskich, któryby wydał rodzaj wezwania do rewolucyjnéj władzy Francyi, a który nieusłuchany, uważałby za obowiązek przeprowadzenia siłą zbrojną swéj woli. W obec podobnych insynuacyi, rzecz dziwna, były trzy tylko, odleglejsze przestrzenią i interesem od głównéj widowni wypadków mocarstwa europejskie, które już w owych miesiącach zimowych z r. 1791 na 92 były za zbrojną interwencyą we Francyi w połączeniu i porozumieniu z emigracyą: Hiszpania, Szwecya i Rossya, Austrya, z dwoma ostrożnymi kierownikami, cesarzem Leopoldem II i sędziwym Kaunitzem na czele, wzbraniała się do ostatniéj chwili wystąpić wojennie przeciw rewolucyi i łączyć się z emigracyą francuzką. Co się zaś tycze Pruss, nie myślały na téj widowni traktować odrębnéj i własnéj polityki, któraby nie była zgodną z Austryą. Wśród takich to okoliczności znalazły się oba mocarstwa skazane na konieczność wspólnego porozumienia i wspólnéj akcyi, nie tyle może jeszcze *przeciw*, ile raczéj *wobec* rewolucyi francuzkiéj. Ojcami chrzestnymi tego ujętego w aliansowe artykuły porozumienia stali się ze strony Pruss hrabia Schulenburg i Bischoffswerder; ze strony Austryi stary Kaunitz, który aliansem podobnym wyparł się długo traktowanéj przez się polityki przymierza rossyjskiego. Traktat ten stanął między obu mocarstwami dnia 7 lutego 1792, zaręczał mianowicie Austryi ze strony Pruss 20,000 wojska posiłkowego w razie zaczepki przez Francyą, ale nie wyrażał jeszcze stanowczo zaczepnych intencyi przeciw Francyi. Traktat ten stanowił jakoby kopiec graniczny między dotychczasową a następną polityką obu wielkich niemieckich mocarstw. Obejmował on głównie *dwie* ówczesne najważniejsze widownie polityczne: *Polskę* i dziedzinę zatargu książąt *Rzeszy niemieckiéj* z rewolucyjną Francyą. Osobny artykuł pomienionego traktatu dotyczący spraw polskich, jest dotykalnym dowodem, jak fatalnie katastrofa zachodnia wpływała na stan rzeczy naszego kraju, jak dalece pod jéj naciskiem Austrya uważała za rzecz konieczną zmienić swą politykę okazującą pewny interes dla istnienia i powodzenia sąsiedniéj Rzeczypospolitéj. „Kaunitz, mówi Ranke" oświadczał zawsze, iż bez porozumienia o sprawach polskich, nie może się czynnie wdawać we francuzkie. Traktat stypulował, że Rossya ma być zawezwana do mającego się uskutecznić porozumienia między obu innemi mocarstwami. Jeśli mocarstwa te przyrzekały sobie nawzajem nie przed-

siębrać niczego przeciw całości kraju i wolnéj ustawie w Polsce, nie miało to znaczyć, iż biorą w opiekę konstytucyą 3 -maja. Austrya oświadczyła, iż pochwała tejże konstytucyi z jéj strony nie obejmuje wcale jeszcze zobowiązania jéj *obrony*. W wygotowanéj pod dniem 18 Lutego dla Bischoffswerdera instrukcyi oświadcza król to samo; powiada, że nigdy nie zagwarantował Polakom ich konstytucyi. Zobowiązanie, jakie przyjął względem Austryi, wolną konstytucyą w Polsce popierać, nie obowiązuje go brać właśnie w opiekę nowo tamże zaprowadzonéj. Przedewszystkiém należy się zapewnić o zamiarach ze strony Rossyi. Powiada, że *sam* nie odebrał jeszcze w téj sprawie żadnéj komunikacyi. Skoro to nastąpi, udzieli jéj przedewszystkiém Austryi, jak się spodziewa równie, iż to samo nastąpi ze strony tegoż mocarstwa. Jakkolwiek jest zgoda na kandydaturę elektora saskiego do tronu polskiego, należy też przecież mieć na względzie, iż silna postawa Polski nie będzie bez niebezpieczeństwa dla sąsiadów. Było zamiarem utrzymać Polskę w stanie jéj ówczesnéj politycznéj niemocy; pozwolić jéj przyjść do rzeczywistéj potęgi nie myślał król pruski nigdy. Zdawało się, jakoby to w pewnéj, ograniczonéj mierze było intencyą Austryi, tak bowiem kanclerz (Kaunitz), jak cesarz Leopold, mieli myśl naprawy konstytucyi, a powitali z radością ideę dziedzicznéj monarchii w Polsce. *Silnéj* Polski także przecież nie chcieli Kaunitz polecając dziedzicznego króla, zwracał na to uwagę, iż tenże w Polskiéj Rzeczypospolitéj więcéj znajdzie opozycyi aniżeli Piast, król obieralny. Elektor saski wahał się i teraz przyjąć koronę bez wyraźnego zezwolenia Rossyi. Nadto wystąpił też z konstytucyjną pretensyą, nie chciał być poddanym większości rady polskiéj. Rzeczą zgodną z interesem systemu dworu austryackiego było, skłonić elektora do ustąpienia; próba jednakże w tym względzie, zainicyowana przez Polaków, nie powiodła się. Aż do ostatniéj chwili objawiała się niemożność pogodzenia arystokratycznych przywilejów z monarchiczną władzą, co trwałości Polskiego Państwa przeszkadzało. Najszersze widoki otwierało następnie oświadczenie księcia Kaunitza, że ognisko nieładu i ciągłego zaburzenia, jakie się nietylko przy elekcyi, ulecz w razie każdego sejm w Polsce objawia, dłużéj cierpianém być nie może, ponieważ w niém tli wieczne zarzewie ciągłych nieporozumień między trzema mocarstwami. Widać ztąd jak wahającém się i niepewném było położenie rzeczy w Polsce i stosunek trzech mocarstw do niéj w téj chwili. Wśród wszystkich tych nieporozumień, mają Austrya i Prussy jednę tylko rzecz na widoku: zgodę między sobą i z Rossyą utrzymać, aby ze swą potęgą

módz się bez niebezpieczeństwa na Wschodzie zwrócić na Zachód.“

Otóż treść traktatu z dnia 7 Lutego 1792 roku w przedmiocie spraw *polskich*. Co się tycze książąt Rzeszy zagrożonych w swych prawach przez postanowienia zgromadzenia ustawodawczego francuzkiego, brał ich traktat pomieniony w wyraźną opiekę, zapowiadał im czynną pomoc, a w ostatecznym razie, miał na widoku zabór Alzacyi i Lotaryngii, jako najlepszego środka bezpieczeństwa dla zagrożonych książąt Rzeszy i ograniczenia wybuchu i katastrof rewolucyjnych na właściwe, stare terrytoryum francuzkie. Niewiadomo, czyby mimo owego traktatu, wybuch wojny nie był się dał powstrzymać, a przynajmniéj przedłużyć. Dnia 1 Marca 1792 roku umarł przecież mądry i ostrożny kierownik polityki austryackiéj, cesarz Leopold II, a razem z nim umarł wpływ działającego w tym samym duchu Kaunitza, by ustąpić miejsca stawającéj wyraźniéj ku wojennemu rozwiązaniu polityce Cobenzlów i Spielmanna. Równocześnie zmuszała poniekąd niemieckie mocarstwa do wojny, mimo wszelkich ich do niéj wstrętów, postawa Francyi, a raczéj jéj rewolucyjnych elementów. Alians austryacki był począwszy od roku 1756 niepopularnym; zerwać go stało się dla rewolucyjnych elementów zadaniem dnia i polecającém hasłem. Dopomogła niemało podobnemu usposobieniu i podobnéj robocie deklaracya zbiorowa obu niemieckich mocarstw, wydana w sprawie zagrożonych praw pogranicznych książąt Rzeszy. Odpowiedzią na nią była sławna mowa Brissota w łonie zgromadzenia ustawodawczego, z dnia 10 Marca 1792 roku, w któréj szukać należy jądra późniejszego o kilka tygodni tylko wypowiedzenia wojny Rzeszy i królowi pruskiemu, ze strony króla francuzkiego.

Kaunitz starał się po odebraniu wiadomości o tym wypadku z Paryża raz jeszcze odbić swe stanowisko, poprowadzić wojnę, nieuniknioną już teraz, przeciw Francyi, jedynie tylko w interesie zaprowadzenia trwałéj monarchicznéj ustawy we Francyi; proponował wreszcie utworzyć z Polski w połączeniu z Saksonią, dziedziczną neutralną monarchią, któréjby nigdy więcéj nad 50,000 nie było wolno trzymać żołnierza, i podał swój plan do zatwierdzenia aliantowi pruskiemu. Bischoffswerder zadrżał jednakże, jak powiada Ranke, w obec podobnego pomysłu, który uważał za arcy-niebezpieczny dla Pruss; projekt Kaunitza upadł, a wojna z Francyą miała się zacząć bez żadnych stypulacyj regulujących, w interesie austryackim, stosunki wschodniéj Europy. Jeżeli z jednéj strony z pominieniem wszelkich kwestyi zasadni-

czych, było zamiarem korzystać z wojny *materyalnie*, a w nagrodę odniesionego zwycięztwa, odzyskać Alzacyą i Lotaryngią, tak znów z drugiéj strony istniał zamiar równoległy skorzystania ze zwycięztwa ku odzyskaniu Francyi postradanego europejskiego stanowiska, i zdobycia Austryackich Niderlandów. Wśród podobnych usposobień i intencyi z obu stron, rozpoczęła się wojna w Kwietniu roku 1792, od wkroczenia Francuzów pod dowództwem Dumouriez'a do Belgii, zkąd ich przecież Austryacy bez trudu wyparli. Prusacy mieli się według umowy z generałem austryackim Hohenlohem w miesiącu Maju, zgromadzić między Renem a Mozellą i rozpocząć działania we Francyi. Odtąd znany już przebieg rozpoczętéj wojny, a mianowicie fatalny jéj i zgubny wpływ na losy uciśnionéj w Paryżu królewskości. Każdy niemal nowy strzał działowy na widowni z obu stron miękko i niedołężnie prowadzonéj wojny, odzywa się echem zgubném dla królewskości na bruku paryzkim. Upokarzający osobę królewską rozruch z dnia 20 Czerwca, wybuch 10 Sierpnia, mordy Wrześniowe, są wierną odpowiedzią na wyzywy inwazyi zagranicznéj. Co jednakże już w owéj chwili rozpoczętéj obu mocarstw akcyi najciekawsza, to konferencye ich w Moguncyi. Prussy robią z koncessyi austryackiéj na zabory pruskie w Polsce warunek *istotnego* rozpoczęcia akcyi przeciw Francyi. Austrya zgadza się po niejakim targu, ale żąda w zamian zezwolenia Pruss na zajęcie Bawaryi. Poparte przez Rossyą, odmawiają Prussy zezwolenia; za to poświęca Austrya Prussom nabytki polskie, by nie być osamotnioną w wojnie przeciw Francyi. Po tym za kulisami odbytym handlu, nastąpił słynny manifest księcia Brunświckiego, grożący nieostrożnie przed odniesieniem zwycięztwa, obrażający naród francuzki, manifest, na który straszną odpowiedzią był wybuch 10 Sierpnia. Inwazya wojsk pruskich do Francyi, okupacya części kraju i miasta Verdun, znalazły jeszcze straszliwszą odpowiedź w mordach z dnia 2 Września. Otoż to etapy, któremi okoliczności i natura rzeczy, wbrew usiłowaniom ludzkim pragnącym stanąć bezpiecznie wśród burzy i zachować pokój, zaprowadziły społeczność europejską od zjazdów pilnickich i konferencyi wiedeńskich, na pola Szampanii; otoż geneza dwudziesto-trzech letnich zapasów, którą znakomity historyk aż do *tego* rozwiązania właśnie opowiedzieć sobie zamierzył. Co jeszcze z dziejów owéj kampanii roku 1792 w Szampanii, zakończonéj znanym odwrotem króla pruskiego z powodu spraw polskich, ważna, a dotąd francuzkim historykom rewolucyi nieznana, to układy Dumouriez'a podjęte w miesiącu Wrześniu roku 1792 na własną odpowiedzialność z Prusakami. Wysłanemu niby to

w przedmiocie traktowania o wymianę jeńców do siebie pułkownikowi Mannsteinowi, proponował Dumouriez, by król jego zerwał przymierze z Austryą, wycofał swe wojska z granic Francyi, i ograniczył akcyą na interwencyi w interesie osoby Ludwika XVI bez żadnych ściśle sformułowanych warunków. W takim razie ofiarował mu współdziałanie, a na tymczasem obdarzył go przesyłką kawy, cukru i bułek, na czém wiedział, że zbywa w pruskim obozie. Rzecz wiadoma, że układy te nie doprowadziły do żadnego rezultatu, i że droga taka zawiodła ostatecznie generała francuzkiego, jako emigranta, do obozu koalicyi. Ranke kończy swe dzieło następnemi słowy: „Wielka walka mocarstw rozpoczęła się, mając odtąd zapełniać stronnice dziejów Europy. Można powiedzieć, że co się tycze przynajmniéj zewnętrznych stosunków, została dopiero rozstrzygnioną w roku 1870.“

* *

*

Naturalną i słuszną zdaje nam się być rzeczą, mając ciągle jako przewodnią nić sprawozdania naszego na oku ów antagonizm historyografii pruskiéj z austryacką, narodowo-liberalnéj z wielko-niemiecką, dać w naszym przeglądzie z kolei miejsce najznakomitszemu bez wątpienia pojawowi nowoczesnéj historyografii austryackiéj, dziełu professora Alfreda Arnetha o *wojnie siedmioletniéj*. Autor, jak światłemu czytelnikowi niniejszego sprawozdania zaledwie przypominać trzeba, należy do najzasłużeńszych i najpłodniejszych, a zarazem do najsprawiedliwszych badaczy historyi austryackiéj. Gorliwy patryota austryacki, jakkolwiek daleki od stronniczości teutońsko-austryackiéj Aleksandra Helferta, w swoim rodzaju wiernego naśladowcy Syblów i Droysenów,—odznacza się Arneth przedewszystkiém wielką dozą powściągliwości i przedmiotowości. Ztąd budzi jego opowiadanie mimowolnie pewny stopień zaufania w czytelniku, na jakiby mu się w obec dzieł szkoły narodowo liberalnéj, trudno zdobyć przyszło. Stwierdza się to w *Historyi Eugeniusza księcia Sabaudzkiego*, stwierdza w wydanéj sumiennie *Korespondencyi między Maryą Teressą a Maryą Antoniną*, stwierdza teraz dowodnie na najdrażliwszym ze wszystkich dla austryackiego historyka przedmiocie,—*Historyi Maryi Teressy*.

Poprzednie tomy, traktujące pierwsze 16 lat panowania cesarzowéj, obejmujące opowiadanie ich kłopotliwych początków, obu wojen szlązkich, nie mogą już jako zbyt odległe czasem swego ogłoszenia, wchodzić w zakres niniejszego sprawozdania, mającego

za przedmiot publikacye historyczne niemieckie z ostatnich kilku miesięcy. Za to zatrudnią naszą uwagę szczegółowo dwa wydane co dopiero tomy, traktujące tyle tragiczną dla Austryi epokę wojny siedmioletniej. Jakaż to wymowna, a zarazem bezstronna i przedmiotowa odpowiedź, na najnowsze dzieło pruskiego historyka Droysena o Fryderyku Wielkim, na genezę wojny siedmioletniéj Rankego! Arneth nie wdaje się w sofizmata, ani w przekręcanie moralnéj i faktycznéj prawdy, oddaje cześć energii i geniuszowi Fryderyka, wykrywa bez osłony błędy i niedołężność mężów stanu Austryi i dworu wiedeńskiego, przedstawia zaś co najważniejsza w jasném i przezroczystém, opartém na autentycznych źródłach z pierwszéj ręki sprawozdaniu, cały przebieg rozpoczętéj z rokiem 1756 wojny. Po tym wstępie, niechaj nam będzie wolno przystąpić do krótkiego streszczenia opowiadania pana Arnetha. Rozpoczyna je autor, jak inaczéj być nie może, od opisu owéj inwazyi Fryderyka II do Saksonii, w początku Września r. 1756, która się skończyła tragiczną kapitulacyą armii saskiéj pod Pirną, po nadaremnéj próbie odsieczy feldmarszałka austryackiego Browna, w bitwie pod Łobosicami dnia 1 Października. Saksonia poświęcając się w ten sposób, stępiła jednakże pierwszą siłę zamachu pruskiego, dała Austryi możność przyjść do pewnego ładu i organizacyi, przedewszystkiém zaś poszukać sobie sprzymierzeńców. W pierwszym rzędzie byli nimi Francya i Rossya. Co się tycze pierwszéj, znalazła Austrya gotowego swéj sprawy rzecznika na dworze wersalskim w osobie energicznego, dzielnego posła francuzkiego przy Rzeczypospolitéj Polskiéj, księcia de Broglie. W skutek jego starań stanął wkrótce tyle niepopularny we Francyi, przekreślony dopiero przez rewolucyą, traktat przymierza między dworami wersalskim i wiedeńskim, mocą którego pierwszy zobowiązywał się dostarczyć drugiemu 24,000 posiłkowego żołnierza na jego wojnę z Fryderykiem. Podpisał traktat ten w Wersalu w imieniu Austryi poseł jéj hr. Stahremberg. Równocześnie pracował w Petersburgu, nad pozyskaniem przymierza rossyjskiego i doprowadził nareszcie rzecz do pożądanego rezultatu, jakkolwiek znajdował niemało przeszkód w ociężałym, oddanym interesowi angielskiemu, kanclerzu Bestużewie i feldmarszałku Apraksinie, który, wyprawiony już nawet z korpusem wojsk rosyjskich przeciw Prusakom, zatrzymał się pod Rygą, tłómacząc swą bezczynność niedostatkiem jazdy. W negocyacye owe między Rossyą a Austryą wchodziła do pewnego stopnia i Rzeczpospolita Polska. Umowa między Petersburgiem a Wiedniem, zaręczała Rossyi posiadanie Kurlandyi; w zamian miała Rzeczpospolita Polska odzy-

skać znów jako lennictwo Księstwo Pruskie, któreby nie było nigdy połączone z nią zupełnie, lecz oddane w posiadanie arcyksięciu Karolowi, drugiemu synowi Maryi Teressy. Tenże sam traktat z Rossyą zakreślał cel wojny, w razie gdyby była zwycięzką, w sposób następny: Austrya miała odzyskać hrabstwo Kłodzkie i Szlązk; Saksonia pozyskać Magdeburg i okrąg nad Salą. Czego jedynie obawiano się w Wiedniu ze strony petersburskiéj, to skłonności angielskich kanclerza Bestużewa, i niedwuznacznych sympatyi pruskich feldmarszałka Apraksina. Świadczy o téj obawie wyraźnie korespondencya Kaunitza. Równocześnie rozpoczęły się negocyacye Austryi z Rzeszą Niemiecką, doprowadzając do częściowo szczęśliwego przynajmniéj rezultatu. Najtrudniejsza była mimo zawartego przymierza, sprawa z Francyą. Panowały tu sympatye dla Pruss, nie chciano ich zbytecznie osłabiać, targowano się z Austryą o posiadanie belgijskich portów Ostendy i Nieuportu, jako nagrodę zwycięztwa i aliansu. Sięgnęła nareszcie dumna i cnotliwa Marya Teressa po skuteczny w owéj epoce i we Francyi środek; ofiarowała markizie de Pompadour za pośrednictwem swego ambassadora hr. Stahremberga, kosztowny prezent za 6,000 dukatów, a przymierze Francyi znalazło się zabezpieczone. Na tych negocyacyach zeszła zima z roku 1756 na 1757, a z wiosną rozpoczęła się wojna od marszu Fryderyka II na Pragę. Dnia 6 Maja 1757 roku przyszło do morderczéj walki pod Pragą, w któréj ze strony pruskiéj poległ feldmarszałek Schwerin, ze strony austryackiéj został śmiertelnie ranny feldmarszałek Browne, w któréj Austryacy zostali pobici i wparci do miasta, a następnie oblężeni. Kilka tygodni trwało owo oblężenie, załoga znajdowała się w kłopotliwém położeniu, gdy wtém nadciągnęła nareszcie powoli odsiecz pod dowództwem wahającego się jeszcze i w téj stanowczéj chwili kunktatora austryackiego, feldmnrszałka Dauna. Fryderyk znalazł się w konieczności wypuszczenia ze swych kleszczów zdobytéj już niemal Pragi, i ruszył naprzeciw Dauna. Dnia 18 Czerwca 1757 roku nastąpiło spotkanie obu wojsk pod Kollinem, zakończone najzupełniejszą klęską Fryderyka. Nieskąpy udział w pogromie Prusaków wzięli Sasi, zmuszani służyć w szeregach pruskich od czasu kapitulacyi pirnańskiéj. Radość w Wiedniu z powodu odniesionego zwycięztwa była tém większa, że przejęty przez Pandurów ścigających w odwrocie wojsko pruskie, list księcia Henryka, brata Fryderykowego, skreślał w żywych barwach i nie bez pewnego zadowolenia strach zwycięzkiego dotąd króla wobec siedzącéj mu ciągle na karku pogoni austryackiéj. Zwycięztwo kollińskie miało nadto prócz owéj moralnéj doniosłości,

bardzo dotykalne materyalne korzyści. Pod wrażeniem jego opuścił Fryderyk Drezno, nadto zaczęli się szerzyć Austryacy w Szlązku. Jak zawsze jednakże w ciągu téj nieszczęsnéj wojny, tak i teraz przyszła Fryderykowi w pomoc niedołężność działania austryackich wodzów w wiecznêm przymierzu ze złą wolą niechętnych aliantów. Szybkie, koncentryczne działanie brata cesarskiego, księcia lotaryńskiego Karola, feldmarszałka Apraksina wkraczającego do Pruss książęcych i Francuzów rozpoczynających wreszcie akcyą nad Renem, mogło zgnieść i przywalić swą przewagą Fryderyka, położyć koniec wojnie i doprowadzić do pokoju z zamierzonym programem koalicyi. Niedołężny książę lotaryński tymczasem zdobył się po miękkiêm i powolnêm działaniu zaledwie na zajęcie Świdnicy i Wrocławia.

Z przeciwnéj strony zawahał się kanclerz Bestużew i dał Apraksinowi po odniesionêm w Prussiech przeciw feldmarszałkowi Lewaldowi pod Grossjägerndorfem zwycięztwie, rozkaz zatrzymania się na miejscu. Francuzi wreszcie pod wodzą księcia de Soubise posuwali się wolno i leniwie bez nadziei możności skombinowania swych ruchów z akcyą na północnym i południowym teatrze wojny. Fryderyk był bez wątpienia wielkim i znakomitym wojownikiem, ale co także pewna, to, że najlepszymi jego sprzymierzeńcami byli fałszywi przyjaciele jego nieprzyjaciół. Mimo to, było położenie jego w drugiéj połowie roku 1757 prawdziwie fatalnêm. Austryacy znajdowali się w posiadaniu całego prawie Szlązka i jego stolicy. Ludność miejscowa powitała ów powrót panowania austryackiego z nieudanêm zadowoleniem. Utrwaliło się ogólne pośród niéj przeświadczenie, że rządy pruskie na Szlązku skończone; jeńcy pruscy wstępowali w skutek tego dobrowolnie w szeregi austryackie. Książę biskup wrocławski Schaffgotsch odśpiewał *Te Deum* na cześć powodzeń austryackich, a ludność protestancka Szlązka, sami nawet pastorowie, ujęci toleranckiêm postępowaniem Maryi Teressy, wyrażali dla powracających jéj rządów najżywsze współczucie. Równocześnie z tym stanem rzeczy na Szlązku zapisuje kronika wojenna *téj* właśnie epoki, śmiały zamach jednego z najdzielniejszych partyzantów armii austryackiéj przeciw samemuż sercu Fryderykowéj monarchii. Generał Haddick wybiera się w miesiącu Październiku 1757 r. z korpusem saméj tylko jazdy, i przedarłszy się szczęśliwie przez otaczające zewsząd wojska pruskie, oddaje niespodzianą wizytę Berlinowi, ściąga zeń kontrybucyą i powraca nienapastowany do swoich. W téj krytycznéj chwili błyszczą jednakże energia, czynność i zdolność Fryderyka równą świetnością, jak współcześnie wysilają się niedo-

łęztwo, powolność i najzupełniejsza nieudolność jego przeciwników na przedstawienie widowiska w przeciwnym wręcz sensie. Początek Listopada 1757 r. zapisuje w kronice wojennéj sromotną klęskę Francuzów pod Rossbachem, początek Grudnia mniéj haniebną, ale dotkliwszą nieskończenie w następstwach swych klęskę Austryaków pod Leuthen. Książę lotaryński cofa się po téj przegranéj do Czech, Fryderyk odzyskuje jednym zamachem Szlązk, Wrocław i Lignicę. Zemsta Fryderyka, króla filozofa, na przychylnych powrotowi panowania austryackiego mieszkańcach Szlązka była sroga i odbija jaskrawo od czynów tolerancyi Maryi Teressy. Książę biskup Schaffgotsch, zagrożony uwięzieniem i wyrokiem sądu wojennego, był zmuszony szukać w ucieczce schronienia. Fryderyk wydał następnie dekret odsądzający katolików szlązkich od prawa zajmowania urzędów przynoszących więcéj niż 300 talarów rocznego dochodu; „katolickiego zaś księdza Faulhabera,“ mówi p. Arneth dosłownie, „ukarał, jakkolwiek go sędzia śledczy niewinnym uznał, z tym wyraźnym rozkazem: powiesić i przed śmiercią nie dopuszczać doń żadnego spowiednika.“ Odzyskanie to Szlązka spowodowało równocześnie Fryderyka do poszukiwania *pokoju* w stronie przeciwnéj, u dworu wersalskiego, na którym ciągle cieszył się jeszcze licznymi zwolennikami. Przez wziętego do niewoli od Francuzów barona Wieda pukał król pruski ostrożnie do sympatyi wersalskich, a kluczem do ich niezawodnego otworzenia miała być ofiara księztwa Neufchatelskiego, dla markizy Pompadour. Obawy z tego powodu Maryi Teressy i hr. Stahremberga, były tém większe, że książę Richelieu minister wojny, zaczął jak się zdawało wchodzić w pewne podejrzane stosunki z królem pruskim. Przemógł jednakże dotyla wpływ przychylnego aliansowi z Austryą ministra spraw zagranicznych kardynała, iż o stanowczéj zmianie polityki gabinetu wersalskiego nie było na prawdę mowy. Wystosowany w tymże samym czasie do dworów wersalskiego i petersburskiego memoryał Maryi Teressy o polityce Fryderyka II i jéj właściwym charakterze, nie omieszkał wywrzeć swego wrażenia i na powolny dotąd a mało skuteczny bieg akcyi wojennéj rossyjskiéj. Kanclerz Bestużew kompromitował się ciągle zbyt wyraźnie w usługach Anglii, feldmarszałek Apraksin zaś kompromitował się znów zbyt przezroczystą zależnością od polityki kanclerza, aby dwór pragnący szczerze wojny z Fryderykiem, pierwszego był mógł pozostawić na czele działającéj przeciw Prussom armii. W Styczniu 1758 roku, nastąpiła równoczesna destytucya kanclerza Bestużewa i feldmarszałka Apraksina, a nowi naczelnicy wojska rossyjskiego Sołtykow i Fermor, wkraczają do

Pruss i zajmują Królewiec na rzecz cesarzowéj Elżbiety, któréj panowanie mieszkańcy nie bez zadowolenia przyjmują. Radość ztąd w Wiedniu, według opowiadania pana Arnetha, była niesłychaną, a byłaby mogła być trwałą i uzasadnioną, gdyby nie chwiejna postawa Francyi, którą Bevais i poseł francuzki w Wiedniu Stainville utrzymywali w zamiarach wojennych, którą inni, jak książę Richelieu, usiłowali sprowadzić jedynie tylko na stanowisko obronnéj naprzykład akcyi. Fryderyk sięgał rownocześnie po angielską pomoc i zawarł w Styczniu 1758 roku konwencyą, na podstawie któréj Hanower miał być zneutralizowany. Powodzenie Rossyi na teatrze wojny wschodnio-pruskiéj, wywołało i ze strony austryackiéj pewne energiczniejsze postanowienia. W Marcu 1758 roku usunięto wreszcie od naczelnictwa armii niedołężnego i niepewnego nawet w swych usposobieniach dla Austryi księcia lotaryńskiego, a powierzono dowództwo feldmarszałkowi Daunowi, uczciwemu kunktatorowi, od którego powolnéj metodyczności odbijała dziwnie korzystnie zdolność i przedsiębierczość dodanego mu do boku Laudona. Koniec roku 1757, początek roku 1758 patrzą jeszcze na bezpośrednie następstwa pogromu Francuzów pod Rossbachem, Austryaków pod Leuthen. Fryderyk zdobywa Świdnicę, następnie w Maju 1758 roku wkracza do Morawii i oblega Ołomuniec. W téj chwili jednakże swego działania, spotyka się po raz pierwszy z energiczną i skuteczną akcyą dzielnego Laudona. Laudon niezmordowany w czynności partyzanckiéj zwłaszcza, przecina dowozy, zabiera transporta amunicyi i rekrutów, tak, że oblężniczéj armii pruskiéj nie pozostaje nic innego, jak po ciężkich stratach rozpocząć w miesiącu Czerwcu odwrót do Czech, niepokojony ciągle pogonią austryacką. Była to znów powtarzająca się często w dziejach téj wojny chwila, w któréj przy pewnéj sprężystości ze strony koalicyi, przy energiczniejszéj akcyi ze strony cieszącéj się z powodzeń austryackich w Morawii Francyi, i szerzącéj się w Prussiech brandeburskich Rossyi, przy poddaniu się wreszcie planowi operacyjnemu Laudona, zguba Fryderyka była nieuchronną. Na szczęście jego jednak otwierała niedołężność jego przeciwników własnéj jego energii pełne pole. Napróżno przedstawia w miesiącu Lipcu Laudon plan szybkiéj akcyi na Szlązku, śpieszny pochód ku Marchii brandeburskiéj, by podać rękę równoczesnéj inwazyi rossyjskiéj i zgnieść ostatecznie Fryderyka przemagającą siłą. Metodyczność i powolność wiedeńska nie pozwalały na to; kiedy w obozie pruskim naczelna komenda znajdowała się w osobie Fryderyka na miejscu, rozstrzygały spory między powolnym Daunem a energicznym Laudonem rozkazy przychodzące dopiero z dalekiego Wie-

dnia, dając zawsze pierwszemu racyą. W ten sposób przemijała regularnie zawsze ku ocaleniu Fryderyka korzystna chwila akcyi. Równoległe zupełnie akcyi, a raczéj bezczynności Daunowéj, było działanie Fermora na przeciwnéj stronie. Daun nie mógł się zdobyć na marsz ku Marchii brandeburskiéj, Formor zamiast ze swéj strony podać Austryakom rękę na Szlązku, podążył tam dopiero pod koniec Sierpnia. Naturalnie, powtórzyło się tylko w skutek tego widowisko z przeszłorocznéj jesieni, a dnia 25 Sierpnia 1758 roku, przychodzi do bitwy pod Zorndorfem, w któréj waleczność żołnierza rossyjskiego świeci równym blaskiem, jak wykazuje się w całéj pełni niedołężność dowódcy. Armia rossyjska okaleczona, ogłodzona cofa się do Polski, Austryacy pozostają znów *sami* na teatrze wojny przeciw Fryderykowi, który zajmuje stanowiska w Saksonii w okolicy Budyszyna. W téj to pozycyi gotuje przedsiębiorczość Laudona, odnosząca chwilowe zwycięztwo nad kunktatorstwem Daunowém, Austryakom niespodziany tryumf. Wykonany śmiało i rezolutnie napad nocny pod Hochkirchem dnia 13-go Października 1758 roku, zadaje armii pruskiéj ciężkie straty i pozbawia ją niemal całéj artyleryi; następuje przecież znów zwykła koléj rzeczy. Daun przestraszywszy się własnego powodzenia, nie ściga Fryderyka, lecz wykonywa bezskuteczne zamachy w okolicy Drezna i przeciw twierdzy Nissie na Szlązku. Fryderyk za to sroży się w Saksonii, a generał jego Schmettau bombarduje w równie niepotrzebny, jak barbarzyński sposób Drezno. Była to może najstosowniejsza chwila usunąć od naczelnego dowództwa Dauna, zwłaszcza że opinia publiczna w Wiedniu głośno przeciw niemu odzywać się poczęła. Mimo to przemogła i na ten raz metodyczność wraz z rutyną. Zdawało się niepodobieństwem poddać starszego wiekiem i stopniem Dauna, pod rozkazy parweniusza w zawodzie wojskowym, Laudona. Skończyło się więc na wyniesieniu Laudona na stopień feldmarszałka pod rozkazami Dauna, na obdarowaniu Dauna za jego niepowodzenia majoratem w Austryi. Do Pompadoury zaś w nagrodę zwycięztwa księcia Soubise nad generałem pruskim Obergiem pod Kasselem i na dwór petersburski poszły z nowym rokiem 1759 nowe bogate upominki...

Rok ten był istotnie rokiem nieszczęścia dla Fryderyka. Po wojnie na ody i satyry między Choiseulem a Fryderykiem, po targach z Francyą o ustąpienie Moguncyi, w zamian mającéj się wypowiedzieć Holandyi wojny; po pewném wahaniu się w Wiedniu, w wyborze między planem operacyjnym rossyjskim, projektującym akcyą na Saksonią i Drezno, następują owe wielkie ciosy przeciw Fryderykowi, będące wyłączną zasługą Laudona. Połą-

czeni po raz pierwszy w jedną wspólnę siłę, Austryacy i Rossyanie pod dowództwem Dauna, Laudona, Sołtykowa i Fermora, znoszą prawie doszczętnie w Lipcu 1759 r. armią pruską pod Kunnersdorfem, a jeśli Fryderyk ze swemi pięciotysiącznemi niedobitkami nie staje się jeńcem koalicyi, jest to tylko zasługą Sołtykowa i Fermora, którzy mimo nalegań Laudona, odmawiają dalszego współdziałania. Niedługo potém bierze Laudon do niewoli cały korpus pruski generała Finka w Saksonii pod Maxenem. Drezno dostaje się w skutek tego w ręce austryackie, a na dobitkę zapisuje pan Arneth, mówiąc o niedołężności Sołtykowa i Fermora, następny fakt tryumfu rossyjskiego na inném polu: „Że zaś,“ mówi dosłownie, „właśnie w owym czasie przybyła do Petersburga z Pruss deputacya, która się składała z hr. Schlippenbacha oraz pp. Finka i Auera, a miala polecenie wyrazić cesarzowéj rossyjskiéj jak najuniżeniéj podziękowanie za jéj łagodne rządy, wpływało tamże z pewnością na utrwalenie zamiaru nie wypuszczenia tak łatwo z opieki tych, którzy się zdawali uważać sami za najwierniejszych Rossyi.“ Wśród podobnych okoliczności, przyszło w obozie saméjże koalicyi do ułożenia ostatecznego programu po odniesioném zwycięztwie. Po niejakich targach zgodziła się Austrya, przez swego posła hr. Esterhazego w Petersburgu, na ustąpienie Rossyi Pruss brandeburskich. Dania miała dostać Holsztyn i Oldenburg, jako indemnizacyą w. księcia Piotra; Francya wreszcie, któréj ówczesny minister spraw zagranicznych ks. Choiseul, już się zaczął przechylać na stronę pokojowéj, przychylnéj Prussom polityki, miała być wynagrodzoną nabytkami portów belgijskich i nadreńskiemi twierdzami. Co się tycze planu operacyjnego *wojennego* na rok 1760, wpływała na jego ułożenie *osobiście* cesarzówa Marya Teressa, co było rzeczą tém szkodliwszą, że kiedy sam Kaunitz nareszcie przekonał się o niedołężności Dauna i oświadczał się za jego usunięciem na rzecz Laudona, cesarzowa nie pozwalała w żaden sposób tykać osoby i stanowiska starego feldmarszałka. Zgubne skutki podobnéj decyzyi nie omieszkały się co prędzéj objawić. Laudon rozpoczął kampanią świetnie, zwyciężając dnia 22 Czerwca 1760 roku, generała pruskiego Fouqué pod Landshutem. Fryderyk, który oblegał właśnie wtedy Drezno i zamienił je prawie całkiem w stos gruzów i popiołu, widział się w skutek Laudonowego zwycięztwa, zmuszonym odstąpić od oblężenia saskiéj stolicy. Nadto zdobył Laudon Kłodzko i zyskał w ten sposób podstawę działania na Szlązku. Znów teraz nie czego innego było trzeba, by zgnieść i zdławić opór Fryderykowy, tylko ruszyć czémprędzéj naprzód ku Wrocławiowi i podać rękę Sołty-

kowowi i Fermorowi, którzy w miesiącu Lipcu nadciągali od strony Poznania ku Szlązkowi. Napróżno jednakże: i w téj stanowczéj chwili wystąpiła znów przeszkadzająco na scenę powolność Dauna. Mimo nalegań i próśb Laudona, trzymał się Daun ostrożnie pogranicza gór szlązkich. Tauenzien, waleczny plac-komendant pruski we Wrocławiu, odparł szczęśliwie zamach rossyjski, a Laudon, opuszczony przez Dauna, poniósł klęskę w okolicy Lignicy i musiał cofnąć się do Czech. Mimo świetnie tedy rozpoczętéj kampanii, mimo wielce trudnego położenia Fryderyka, mimo wizyty nawet, jaką w Październiku 1760 roku rossyjski generał Czerniszew i austryacki generał Lascy oddali na kilka tygodni stolicy pruskiéj, korzyści odniesione z początku przez Landona zmarnowały się, a ostatecznie przypieczętowała klęska Austryaków pod Torgawą, w Listopadzie roku 1760, szereg błędów i niepowodzeń Dauna. On sam okupił ciężką raną spokój przynajmniéj osobisty od zaczepek i wyrzutów, coraz to już liczniejszych teraz przeciwników. Koniec roku 1760, jest to właściwie chwila przesilenia się wojennego obu stron. Obie strony znużone i wyczerpane, obie strony odzywają się raz po raz z propozycyami pokoju, który przecież Fryderykowi był daleko potrzebniejszy, niżeli koalicyi. Wzięty do niewoli przez Austryaków hr. Schwerin odbywa konferencye z ks. Kaunitzem, i z samą cesarzową Maryą Teressą. Dopomaga temu usposobieniu pokojowemu finansowe i wojskowe znużenie Francyi, a myśl zwołania w celu negocyacyi kongresu pokojowego w mieście Augsburgu, staje się coraz popularniejszą w kołach dworskich wiedeńskich. Odwłoka wykonania sprowadza jednakże z wiosną roku 1761 odżycie wojny, i to wojny ubogiéj już teraz w wielkie czyny wojenne, tém obfitszéj za to w dotkliwe klęski pruskie, wynikające z prostego znużenia i wyczerpania sił. W początku roku 1761 zabierają Austryacy Świdnicę, później nieco biorą Rossyanie szturmem Kołobrzeg; Fryde-deryk ze swą przetrzebioną armią, trzyma się skoncentrowany w środku otaczającego go ognistego pasa. Upadek jego mimo energii i geniuszu wojennego jest już tylko kwestyą czasu; nic więcéj, tylko nieco dłuższego jeszcze, choćby leniwego jak dotąd trwania koalicyi, nieco wytrwałości z jéj strony, a ruina Fryderyka byłaby się niechybnie spełniła. Z rokiem 1762 tymczasem następuje znana zmiana dekoracyi przez śmierć cesarzowéj Elżbiety, i wstąpienie na tron Piotra III-go. Ten sam Czerniszew, który oddawał w przeszłéj jesieni późne odwiedziny Berlinowi, dopomaga teraz w Lipcu roku 1762 Fryderykowi, do odniesienia zwycięztwa przeciw Austryakom pod Burkersdorfem. Wstąpienie

na tron Katarzyny nie wiele już zmienia w charakterze ogólnéj sytuacyi. Austryacy zaś jeszcze pobici pod Reichenbachem, wojska Rzeszy niemieckiéj raz jeszcze pobite przez Fryderyka, pod dowództwem hr. Stolberga, a w Lutym 1763 r. przychodzi do zawarcia znanego w dziejach pokoju hubertsburskiego. Traktat zatwierdza tylko stan rzeczy przedwojenny w Niemczech; krew lała się przez siedm lat na to, by obie strony znalazły się *terrytoryalnie* w tych samych granicach, w jakich były przy rozpoczęciu wojny.

Otoż krótki szkic treści Arnethowego dzieła, pierwszego wyczerpującego, sumiennego i bezstronnego głosu austryackiego o téj fatalnéj dla Austryi epoce. Autor wywiązał się z zadania swego znakomicie, nie dla tego, aby miał górować nad swymi współzawodnikami pruskimi, talentem opowiadania, świetnym stylem i Macaulayowemi charakterystykami; lecz dla tego, że relacya jego robi wrażenie niezrównanéj sumienności i wstrętu do sofizmatów pociąganych werniksem fałszywego patryotyzmu.

* *
*

Z powyższém dziełem kończymy sprawozdanie nasze z *polemicznego*, jeśli tak wolno powiedzieć, działu historyografii niemieckiéj, z ubiegłych kilku miesięcy. Grzeszylibyśmy jednakże niedokładnością w naszym przeglądzie, gdybyśmy poza granicami owéj nowéj szermierki między Prussami i narodowo-liberalizmem z jednéj między Austryą a Wielko-niemieckością (Grossdeutschthum) na polu dziejowém z drugiéj strony, nie mieli już dostrzegać uwagi godnych pojawów historyografii niemieckiéj, z pojedynkiem owym nic wspólnego nie mających. Z kolei rzeczy wypadnie nam i o nich pomówić, o owych płodach historycznéj nauki, których wrażenie toczącéj się walki nie dotknęło, jakkolwiek w ich przeglądzie wypadnie nam przyśpieszyć kroku. Na owém rozdrożu między jednemi a drugiemi, napotykamy w pierwszym rzędzie dzieło znanego historyka hanowerskiego *Onno-Kloppa, O upadku domu Stuartów i sukcessyi domu hanowerskiego w Wielkiéj Brytanii i Holandyi w związku z europejskiemi sprawami od roku 1660 do 1714.* Osobie autora, wspomnionéj już wyżéj przez nas, należy się jeszcze i tutaj objaśniająca wzmianka. Hanowerczyk Onno-Klopp, historyk wojny trzydziestoletniéj, historyk Fryderyka II-go nie ze stanowiska narodowo-liberalnego, lecz raczéj wielko-niemieckiego, podobnie naprzykład jak p. Vitzthum von Eckstädt w historyi genezy wojny siedmioletniéj, — wydawca daléj pism pozostałych po Leibnitzu, jest oddawna osobistością uprzywilejowaną szczególnym ciężarem nienawiści prusko-niemieckiéj. Wszyscy Haus-

serowie, Syblowie, Droysenowie w orszaku licznych gadzin bezimiennego dziennikarstwa, lubią się bawić jego szarpaniem w szczególnie zjadliwy sposób. Że Klopp po upadku politycznym dynastyi Welfów pozostał jéj wiernym i przeniósł się wraz z nią do Wiednia, że późniéj jeszcze przeszedł na wiarę katolicką i żyje, by gniewać wojującego z katolicyzmem księcia kanclerza, wszystko to naturalnie nie posłużyło do podniesienia kredytu Kloppa w obozie narodowo-liberalnym, a krytyka historyczna tegoż obozu, odzywająca się głosami Wehrenpfenniga, Treitschkego, Syblowego czasopisma, posługuje się imieniem Kloppa, prawdziwie jak straszydłem na ptaki. Co się tyczo najnowszego dzieła jego poświęconego dziejom upadku Stuartów i wyniesieniu domu hanowerskiego na tron angielski, będzie ono jak nam się zdaje kłóło narodowo-liberalizm w oczy jedynie tylko *nazwiskiem* autora; *treść* sama dostarczy im do zwykłych jego szarpanin mało pożądanego materyału. Autor rozpoczyna rzecz od restauracyi domu Stuartów w roku 1669, i opowiada dzieje téj niepopularnéj w opinii i pamięci angielskiéj epoki w ciągłym związku ze współczesnemi sprawami europejskiemi. Ostatnie może zajmują nawet w opowiadaniu autora szersze stosunkowo miejsce, aniżeli dzieje samejże restauracyi angielskiéj. Materyał swój czerpie autor z archiwów *British Museum* i wiedeńskiego, nadto z niewydanych papierów politycznéj treści po uczonym Leibnitzu, mianowicie z korrespondencyi jego, utrzymywanéj przez długie lata z elektorową hanowerską Zofią. Z téj to korespondencyi widać, że w roku 1701 Leibnitz głównie wpłynął na przychylenie się domu hanowerskiego do przyjęcia ofiarowanéj mu po Stuartach i dogorywającym bezdzietnie Wilhelmie sukcessyi.

Co się tycze stanowiska autora, odstępuje on poniekąd od utartych w traktowaniu téjże epoki pojęć. Macaulay, Ranke, Guizot potępili mniéj lub więcéj stanowczo intrygancką na wewnątrz politykę Karola II-go. Klopp, pisząc ze stanowiska katolickiego, rehabilituje ją poniekąd, broni przymierza Anglii z Ludwikiem XIV-tym, spogląda wreszcie sympatyczném okiem na ów udramatyzowany tyle w opowiadaniu Macaulayowém akt, na ową spowiedź katolicką umierającego króla, który w tym celu każe sobie potajemnie sprowadzać mnicha Huddlestona. Autor objął w dwóch tomach aż do śmierci Karola II w Lutym r. 1685, dzieje *wstępu* tylko do głównego przedmiotu swego opowiadania. Ciekawszy niezawodnie zapowiada być dalszy ciąg poświęcony katastrofie Jakóba II, wstąpieniu na tron Wilhelma księcia Oranii, i zapasom jego z fakcyami wewnętrznemi i potęgą Ludwika

XIV. Co się tyczy sposobu opowiadania i stylu autora nie powiemy, by mógł zadowolnić czytelnika; relacyą uważalibyśmy bezbarwną i chłodną, styl niepotrzebnie afektowanym. Wspominając o udziale Polaków w bitwie pod Wiedniem, wyraża się autor o czynie króla Jana III-go dość nieprzychylnie, i przyznaje mu zaledwie pośredni udział w tryumfie chrześciańskim.

* *
*

W nowo wydanym co dopiero tomie *Historyi Szwecyi*, piątym, w zbiorze Historyi Państw Europejskich Heerena i Ukerta podjętym obecnie przez nakładcę Perthesa w Gocie, — traktuje professor Carlsson tę samę prawie co Klopp epokę. Zacny professor Carlsson, przez niejaki czas minister oświecenia w gabinecie Karola XV, obecnie wypoczywający po trudach katedrowych i ministeryalnych, ale na szczęście dla nauki nie wypoczywający w pracach swych i zatrudnieniach historycznych, jest jak wiadomo kontynuatorem Geiera w zbiorze wspomnionego wyżéj wydawnictwa. Geier doprowadził w trzech pierwszych tomach rzecz swą aż do abdykacyi Krystyny, — Carlsson podjął ją następnie, skreślił w czwartym tomie dzieje panowania Karola Gustawa wraz z tyle interesującą nas wojną jego w Polsce, daléj dzieje małoletniości Karola XI. Dwudziestoletnią przerwę między czwartym wydanym w r. 1855, a piątym wydanym przed kilku miesięcami tomem — spowodowały urzędowe zatrudnienia autora w ministeryum oświecenia. Co się tycze sztuki pisarskiéj i talentu przedstawienia rzeczy, jest może autor wyższym od poprzednika swego, suchego i ścisłego w opowiadaniu swém Geiera, choć niższym bezwątpienia od historyka Karola XII Fryxella; natomiast dostrzega się mimowolnie między jednym a drugim, niezaprzeczenie zaś na korzyść Carlssona, ową różnicę, jaką się czuje w stosunkach codziennego życia między talentem a charakterem. Jeżeli Fryxell w dziejopisarstwie szwedzkiém reprezentuje żywioł *talentu*, reprezentuje w nim z pewnością Carlsson pierwiastek charakteru. W każdém słowie jego prostéj, nieubarwionéj żadnemi niepotrzebnemi stylowemi ozdóbkami relacyi, czuć powagę, spokój, — przedewszystkiém ścisłą, opartą na źródłach z pierwszéj ręki sumienność historyczną. Takie wrażenie sprawia na czytelniku jego historya Karola Gustawa i małoletniości Karola XI; takież same wrażenie wywołuje obecna historya ośmnastoletnich rządów tegoż króla po dojściu do pełnoletniości. Dzięki znakomitéj źródłowości

dzieła, rozgrzewa się nawet, powiedzielibyśmy, mimowolnie opowiadanie autora w obrazie dziejów Karola Gustawa, a opis wojny jego w Polsce ma dla nas mianowicie wagę bardzo znakomitego do historyi naszego Jana Kazimierza materyału.—Nim przystąpimy do krótkiego, jak inaczéj być nie może, sprawozdania z ostatniego tomu dzieła professora Carlssona, powiedzmy zaraz z góry, iż jak widzimy z przedmowy jego nakładcy gotajskiego, wielce zasłużonego owém wydawnictwem Perthesa, było jego postanowieniem zakończyć swą dziejopisarską działalność na dokończonych w obecnym tomie dziejach Karola XI, i nie wkraczać już dalszém opowiadaniem w zakres panowania jego bohaterskiego następcy. Na szczęście dla nauki, i dla naszéj także historyi początków XVIII wieku, odstępuje przecież zacny professor od swego pierwotnego zamiaru, a p. Perthes zapowiada w jedném z ostatnich ogłoszeń, że Carlsson zdecydował się dostarczyć do wydawanego przezeń zbioru tom, obejmujący jeszcze dzieje panowania Karola XII. Nawiasowo powiedziawszy, zrobił już on pod pewnym względem do tego początek przed trzema laty, wydając interesującą broszurę o wpływie Karola XII na elekcyą Leszczyńskiego. Po tym wstępie, dotyczącym osoby i działalności naukowéj autora, poświęcimy kilka słów rozbioru jego obecnie wydanemu dziełu. — Tom niniejszy piąty, rozpoczyna się z rokiem 1679, z chwilą zawartego w Nimedze (Nimwegen) pokoju, który i Szwecyi pozwolił nareszcie odetchnąć po długich zapasach z Europą, po zniszczeniu daléj samegoż kraju szwedzkiego przez inwazyą duńską. Ośmnastoletnie odtąd dzieje Karola XI nie przedstawiają tak ciekawego, tak urozmaiconego, tak dramatycznego obrazu, jak dzieje jego poprzednika i jego następcy, ale za to mają w *wewnętrznych* stosunkach państwa, w jego przyszłościowym rozwoju, w jego cywilnéj, wojskowéj i politycznéj organizacyi niesłychanie wielką wagę. Słusznie charakteryzuje professor Carlsson rządy Karola XI w Szwecyi, nazywając je przedewszystkiém *rządami administracyi;* a historyą ich, *historyą administracyi.* Mimo to wybijają owe rządy swe niezatarte, ponure piętno na fizyognomii współczesnych dziejów szwedzkich. Wyciągniona przez Karola XI zbytnie struna, struna bezwzględnéj, nieograniczonéj niczém prerogatywy monarchicznéj, daje synowi jego środki odegrania wielkiéj, świetnéj, europejskiéj roli, wraz ze złowrogim dla Szwecyi saméj rezultatem. Nareszcie pęka ona i wtrąca naród w ostateczność przeciwną, przewagi szlacheckiéj przeciw władzy monarchicznéj, począwszy od zgonu Karola XII w r. 1718, aż do rewolucyi Gustawa III 1772. Otoż sens moralny wynikający z suchych

dat i mało na pozór interesujących szczegółów sumiennego i źródłowego opowiadania professora Carlssona. Nie wdając się z autorem w opowiadanie szczegółów tego ośmnastoletniego okresu z dziejów Szwecyi, nie wdając się ani w specyalne opisy owych sejmów szwedzkich, na których oponujące, ale wystraszone ostatecznie zawsze Stany kapitulują wobec powagi królewskiéj; niewdając się daléj w opis zatargów króla z radą stanu i magnatami szwedzkimi; nie powtarzając z autorem genezy owych niebezpieczeństw, które od czasu do czasu, mianowicie ze strony Danii z powodu Holsztynu groziły pokojowi Szwecyi, a które Karol XI zawsze skutecznie zażegnać umiał; pomijając wreszcie nawet fakt uproszonego w czasie negocyacyi ryswickich roku 1697, przez mocarstwa europejskie pośrednictwa pokojowego króla szwedzkiego,—możemy powiedzieć krótko a prawdziwie, że dzieje pełnoletniości Karola XI są niczém innémn, jeno dziejami genezy i przeprowadzenia wielkiego środka politycznego, znanego do dziś dnia pod nazwą „*redukcyi*". W gruncie rzeczy jest też cały tom niniejszy Carlssonowego dzieła niczém innémn, jak opowiadaniem dziejów owéj straszliwéj „*redukcyi*". „Co do tego", mówi autor, nie łudzili się królewscy przeciwnicy, że ten nadzwyczajny człowiek chował już w namiętnie rozbudzonéj piersi plany, których wykonanie nadało późniéj ustawie i organizacyi Szwecyi nową postać. Podczas wojny dojrzały owe plany. Były dlatego tém trwalszémi, iż były owocem nie jego własnéj wyobraźni, lecz wynikiem namysłu nad rozwojem przeszłości, i wymagań istniejących stosunków. Jakkolwiek był milczącym, wyjawił przecież osobom blizko z sobą związanym aż nazbyt wiele, aby dać poznać, jak jasno swój cel pojmuje. Zaledwie przeminął rok od sejmu w Halmstädzie, gdy dał przez swe oświadczenie do zrozumienia, iż państwo winno mieć pokój, ponieważ wewnętrznemu nieładowi wtedy tylko zapobiedz będzie można, a że zaraz, skoro tenże pokój będzie zawartym, a król w Sztokholmie stanie, trzeba będzie, jeszcze, nim się wpływ przeciwników odezwie, zwołać sejm, który wszelkie niedomagania uprzątnie. Na tymże samym sejmie miała władza królewska być zatwierdzoną, zażądanym rachunek z powodów wszystkich nadużyć, dalsza redukcya uchwalona, a z dochodów skonfiskowanych dóbr utworzona stała, od króla zależna siła zbrojna, która miała być podporą królewskiéj władzy, a zarazem utrwalić emancypacyą od zagranicznych mocarstw. — A więc redukcya, organizacya siły zbrojnéj, i jedynowładztwo! W oświadczeniach tych można poznać plan cały do sejmów z roku 1680 i 1682. Te trzy powyższe wyrazy stanowią też cały

program, całą treść rządów ponuréj, groźnéj, zamkniętéj w sobie, demoniczną energią obdarzonéj postaci, jaką był Karol XI. Chodziło o *pokój*. Król szwedzki umiał go zabezpieczyć, emancypując się coraz bardziéj z pod wpływów Ludwika XIV, jakim dotychczasowe rządy Szwecyi podlegały. Chodziło o utworzenie armii i floty, które rzeczywiście stanęły, dzięki staraniom króla, ale by jedno i drugie módz utworzyć, zależało na pieniądzach, które tylko można było wydobyć systemem godnym najwyuzdańszych despotyzmów. Systemem tym właśnie w Szwecyi i we wszystkich należących do niéj krajach, była owa straszliwa *redukcya*. Ustanowione przez króla, zatwierdzone przez następujące po sobie sejmy *komissye*, poddały całą gruntową własność szwedzką najściślejszemu rozpoznaniu, a jeśli się wykazało, iż cokolwiekbądź z niéj pochodzi od korony, zabierano na skarb. *Jedna* redukcya nie wystarczała potrzebom Karola XI. Po pierwszéj nastąpiła druga, po drugiéj pod nazwą *Likwidacyi* trzecia, daléj jeszcze różne jéj poprawki i uzupełnienia, tak, że szlachta szwedzka znalazła się, dzięki owemu systemowi, zubożoną, w wielu razach przyprowadzoną do ostatecznéj nędzy. W straszliwém tém dziele konfiskowania całego mienia narodowego na rzecz korony, wśród owego wywłaszczania licznych rodzin i całych często okolic, uderza, nie wiemy, jakby powiedzieć, czy korzystnie, czy zadziwiająco, okrutna sprawiedliwość Karola XI. Nie zna on ani ulubieńców, ani przyjaciół, ani stanowiska, ani zasługi. Wobec okrutnego skalpelu redukcyi nie ma różnicy. Najzasłużeńsze rody, imiona, najznamienitsze cywilne i wojskowe powagi z epoki Karola Gustawa i z rządów opieki, ulegają bez miłosierdzia systemowi *redukcyi*. Magnaci i bogacze dnia wczorajszego wychodzą na nędzarzy i biedaków w chwili obecnéj. System ten, znoszony w Szwecyi saméj z cichém oburzeniem, z chowaną na późniejsze czasy mściwością, któréj dopiero w kilkadziesiąt lat późniéj odezwać się wolno, wywołuje w Inflantach na scenę Patkula wraz z późniejszém następstwem wojny północnéj. Nawiasowo powiedziawszy, poświęca autor opisowi *redukcyi* w Inflantach, opozycyi, jaką tamże wywołuje, i missyi Patkula do Sztokholmu, osobny wyczerpujący w szczegółach, rozdział. Co się tycze Pomorza szwedzkiego w Niemczech, zapisuje autor spostrzeżenie, że *tam* stosunkowo system redukcyi znalazł się przeprowadzonym z największą jeszcze dla ludności względnością. Wśród trudnych tych, okrutnych rządów, w obec téj srogiéj, ponuréj postaci, odbija dobroczynnie i łagodnie niewieścia prawdziwie, dobroczynna, cierpiąca ciągle i schodząca rychło z tego świata małżonka królewska,

Ulryka Eleonora, córka Krystyana V króla duńskiego. Nie mogąc zapobiedz *redukcyi*, nie chciała przecież z niéj w niczém korzystać; umarła w r. 1693 zostawiając ogólny żal po sobie, żałowana mianowicie głęboko przez samego Króla... Kończy autor swe opowiadanie z chwilą śmierci Karola XI, dnia 5 Kwietnia 1697 r. Sympatyzując z jego żelaznym charakterem i niezmordowaną czynnością, ocenia go przecież sprawiedliwie, a zamyka dzieło samo następném ogólném o charakterze rządów jego spostrzeżeniem: „Przez niezmordowaną czynność podniósł dobro kraju pod wielu względami; przez zbytek siły woli, zgotował jednakże ogromną przemianę, stał się powodem utraty jego zewnętrznéj wielkości, a wewnątrz, upadku stworzonego przez się jedynowładztwa. Zniszczył każdą inną władzę prócz własnéj, nasamprzód rady stanu, następnie Stanów. Uciśnione żywioły podniosły przecież niezadługo głowę i pomściły swój upadek. *Redukcya*, owo nasienie niezadowolenia, wywołała w Inflantach nienawiść, która przemyśliwając nad zemstą, nie zawahała się przed związkiem z obcemi mocarstwami. Pominięta sposobność doprowadzenia do ugody między Danią a Holsztynem, miała pociągnąć za sobą w następstwie między niemi nowy zatarg, który zagrażał rozszerzeniem się na całą północ. Po nad grobem Karola XI spotkały się wszystkie te sporne kwestye, i wywołały wielką wojnę, która miała Szwecyi nową pozyskać sławę, ale zarazem zgotować nowe klęski."

* *
*

Jedném z najważniejszych dzieł współczesnéj historyografii niemieckiéj, stojących wyjątkowo poza obrębem widowni pojedynku między dziejopisarstwem pruskiém a wielko-niemieckiém, jest dzieło professora Karola von Noorden, pod tytułem: *Historya europejska w XVIII wieku.* Autor należy wprawdzie i stanowiskiem politycznem i osobistym udziałem, jako współpracownik, dawniejszemi przynajmniéj czasy, Syblowego czasopisma historycznego, do falangi narodowo-liberalnéj. Z jednéj przecież strony powaga rzeczywistéj nauki, jakiéj autorowi odmówić niepodobna, z drugiéj nieobecność konfliktu między Brandenburgią a Rzeszą w epoce, którą opisuje, pozwoliły mu być całkiem przedmiotowym i utworzyć dwutomowe dotąd dzieło, któremu się jedno z pierwszych miejsc w nowoczesnéj historyografii niemieckiéj należy. Wielka zasługa autora, iż jest w dziele swém *wszechstronnym*,— wszechstronnym równie pod względem materyału, jak pod względ-

dem traktowanéj przez się widowni. Jego historya XVIII wieku jest rzeczywiście *europejską*, o ile siły i zasoby *jednego* człowieka starczą; składają się też na nią główne archiwa całéj niemal Europy. Czerpał autor materyał do opowiadania swego w archiwum berlińskiém, hazkiém, wiedeńskiém, londyńskiém, a do pierwszego tomu i w paryzkiém. Obejmuje daléj swém opowiadaniem ogromny obszar dwóch rozpoczynających się z nowym wiekiem wojen: sukcessyjno-hiszpańskiéj i północnéj. Pierwszy tom wydany już w roku 1871 obejmuje wypadki wojny sukcessyjno-hiszpańskiéj, aż do pogromu Francuzów pod Hochstädtem w Sierpniu 1704 roku; drugi, rozpoczyna rzecz od pierwszych początków wojny północnéj, by ją w głównych zarysach także aż do téj doprowadzić epoki; poczém już opowiadanie obu wojen równoległym postępuje krokiem aż do roku 1707. Trudność przedstawienia zależy tu na umiejętném ugrupowaniu wypadków, na jasném i plastyczném objęciu tak ogromnego obszaru, w jeden wyraźny i zrozumiały dla czytelnika obraz. Trzeba przyznać, że autor wywiązuje się ze swego zadania znakomicie, że daje wyczerpujący a wierny obraz całéj ówczesnéj sytuacyi europejskiéj od dnia do dnia niemal; co zaś najważniejsza, a coby ważném mianowicie było dla każdego historyka jakiegobądź narodu, trudniącego się jakąbądź specyalną częścią dziejów owéj epoki,—wprowadza w zrozumiały i umiejętny związek wojnę sukcessyjno-hiszpańską z przebiegiem i kolejami współczesnéj wojny północnéj. Jeśli wolno zrobić porównanie, wprowadza autor czytelnika na wyżynę, z któréj mu dano objąć okiem *cały* obszar ówczesnego zatargu europejskiego, tak dyplomatycznego, jak wojennego. Łatwiéj dlań następnie ze stanowiska téj ogólnie zrozumianéj i wyjaśnionéj sytuacyi, zstąpić do szczegółów, wprowadzić je w naturalny i harmonijny z nią związek. Z tego stanowiska zapatrując się na dzieło profesora Noordena, nie jest ono mianowicie bez znaczenia i dla naszych w szczególności dziejów. Mniejsza, że rozpoczynając drugi tom swego dzieła poglądem na stosunki wewnętrzne Danii, Polski, Szwecyi i Rossyi, na schyłku XVII wieku, ocenia słusznie i prawdziwie warunki ich bytu i siły; mniejsza daléj, że skreśla równie wiernie, choć w głównych tylko zarysach przebieg faktyczny wojny północnéj, począwszy od wtargnięcia Karola XII do Polski aż do elekcyi Leszczyńskiego. Co natomiast dla wszechstronnego poznania dziejów téj wojny ważniejsza, a co autor tylko po głębokich studyach archiwalnych mógł wydobyć na wierzch, to dokładne wyjaśnienie stosunku różnych mocarstw zachodnio-europejskich do państw wojujących na północy i do zmieniających się i ważących rozmaicie

kolei owéj wojny. Przegląd ów rozpoczyna autor od charakterystyki państw morskich, Anglii i Holandyi. Oba te państwa miały interes powściągnienia srożącéj się na *północy* wojny, powrócenia pokoju, wyproszenia o ile możności w sposób najgrzeczniejszy Karola XII poza granice Polski, z téj bardzo prostéj przyczyny, że zawierucha polska więziła Austryą, Brandenburgią i Saksonią, nie mówiąc o innych książętach Rzeszy i Danii na północy, i nie pozwoliła im zwrócić się całym ciężarem siły wojskowéj i uwagi politycznéj na widownią wielkiéj wojny przeciw Ludwikowi XIV. Austryą trzymał nadto na uwięzi bunt węgierski, wywołany przez Francyą, podsycany przez panów polskich, wzięty nieco w opiekę przez samego Karola XII. Gdy mimo wszelkich usiłowań dyplomacyi holenderskiéj i angielskiéj, u młodego króla szwedzkiego pokoju uzyskać się nie dało, zamknęły się oba państwa w życzliwą dla Szwecyi neutralność. Sympatye religijne odgrywały tu przynajmniéj równą rolę co obawa, aby kapryśny i młody monarcha Szwecyi, nie przerzucił się ostatecznie na stronę Ludwika XIV. Ztąd tłómaczy się wizyta, oddana z rozkazu królowéj Anny, przez głównego bohatera koalicyi, Marlbourougha Karolowi XII, w obozie jego pod Altransztädtem, ztąd pochopność cesarza Józefa I w koncessyach dla protestantów szlązkich, którzy ze współwiercami Czech i Morawii drżeli tylko z chęci powstania przeciw panowaniu rakuskiemu na wieść, o zbliżaniu się w ich strony następcy Gustawa Adolfa. Stanowisko Austryi nie mogło w skutek tego być innem, jeno ostrożnem, wahającem się i wyczekującem wobec wojny północnéj. Tém samém tłómaczy się także wahająca się i niepewna postawa Pruss, jakkolwiek *tutaj*, według zdania autora, przy szczypcie większéj uwagi i zręczności dyplomatycznéj ze strony króla Fryderyka I i doradców jego Vastenberga i Ilgena lepsze i ważniejsze osiągnąć było można rezultaty. Owemi lepszemi i ważniejszemi rezultatami nazywa autor, mówiąc bez ogródki, zyskanie dla Brandenburgii, Prus królewskich i Gdańska. Patkul, jako wysłaniec imperatora Piotra i Augusta razem, poruszał tę myśl w Berlinie; gabinet berliński okazywał się już w Lipcu 1704 roku skłonnym sięgnąć po zdobycz w zamian mającéj się dać Augustowi pomocy,—w chwili wykonania jednakże nastąpił energiczny protest ze strony mocarstw morskich, Anglii i Holandyi. Późniejsze zaś konstelacye polityki północnéj nie pozwalały według autora, podjąć zarzuconéj, czy niewykonalnéj już naówczas myśli. Zresztą potwierdza opowiadanie autora w całéj pełni znany fakt bezinteresowności i szlachetności względem Polski Karola XII. Na wszelkie propozycye Augusta i Brandenburgii

uczestniczenia w zyskach mającego się za wspólnem porozumieniem dokonać podziału krajów Rzeczypospolitéj, odpowiada suchą i krótką odmową, pragnąc, jak zaręczał zawsze, oddać nietkniętą i nieuszczuploną niczém koronę polską swemu klientowi Stanisławowi Leszczyńskiemu. Sądząc w powyższy sposób ostro niedołężność, chorobliwą projektomanią polityki ówczesnéj brandenburskiéj, przyznaje autor, że w pierwszych owych latach wieku XVIII-go, budzi się przecież nareszcie duch niemiecki z długiego uśpienia, że dziedzina wojskowości, polityki, nauki wskazuje początki zmiany na lepsze, która się późniéj spełnić miała. Droesen w pierwszym rzędzie, Sybel, Haüsser, teraz może i Ranke, nie mówiąc naturalnie o historykach w rodzaju p. Treitschkego, byliby, nie wątpimy, ów dostrzeżony i przez nich może zwrot ku lepszemu, zapisali rezolutnie i bez ceremonii, na rachunek pracującéj już od Albrechta Niedźwiedzia dla wielkości i jedności Niemiec polityki *brandenburskiéj*. P. Noordenowi należy się uznanie, iż mając oczy otwarte na niedomagania ówczesnéj polityki i stanowiska moralno-niemieckiego Brandenburgii, wskazuje wyraźnie, iż początki owéj metamorfozy, ku promienniejszéj przyszłości objawiają się raczéj w osobie zbyt rychło zgasłego cesarza Józefa I-go, że są dostrzegalne w obozie jego doradców politycznych i dowódców wojskowych, że pierwszorzędne gwiazdy nauki niemieckiéj wreszcie, jak Leibnitz, ukazują się na skromnym horyzoncie małych książąt Rzeszy. Otóż co warto i co należy, jako rzecz stanowiska i zapatrywania się polityczno-historycznego autora, podnieść w pobieżném naszém sprawozdaniu z pięknego dzieła p. Noordena. Kończąc na tém nasze uwagi nad ostatnim tomem dzieła jego, o ile ma za przedmiot dotyczącą nas tyle zblizka wojnę północną, powiedzielibyśmy tylko jeszcze, że sąd autora o Patkulu, który w książce jego szerokie zajmuje miejsce,—wypada według nas zbyt korzystnie. Autor przyznaje mu przymioty serca i charakteru, których, o ile go nam się udało poznać, pewno nie posiadał. Patkul jest, według naszego pojmowania rzeczy, politykiem czynnym i zabiegłym, zręcznym i umiejącym spekulować na słabości ludzkie dyplomatą, ale w gruncie człowiekiem złym i przewrotnym, bez zasad i bez charakteru, zmieniającym pochopnie panów i obozy, któremu jeśli co, to jedynie tylko okrutna i tragiczna śmierć współczucie i pobłażanie potomności jednają... Nierównie obszerniejszym naturalnie, aniżeli wojny północnéj, jest w dziele pana Noordena dział poświęcony olbrzymiéj widowni wojny sukcessyjno-hiszpańskiéj, zwłaszcza że autor, nie ograniczając się na szczegółach ówczesnéj wojny i dyplomacyi, poświęca szerokie stosunkowo opisy sta-

nowi wewnętrznemu państw wojujących: Austryi, Piemontu, Anglii Holandyi, a mianowicie Hiszpanii. Co w obrazie tak wyczerpującym, a tak symetrycznym zkądinąd, jako ujemna uderza strona, to nieobecność w nim *Francyi*. Francyą Ludwika XIV-go widzimy w dziele p. Noordena w obrazie jego wypadków europejskich od roku 1704 do 1707 reprezentowaną jedynie tylko, jeśli tak wolno powiedzieć, przez prokuracyą jéj armii na rozmaitych ówczesnych teatrach wojny, czy to w Hiszpanii pod dowództwem księcia Bervika, czy to we Flandryi Villarsa czy to w Niemczech, pod wodzą Villeroya lub księcia Orleanu. Za to, nie widzimy wnętrza owéj cierpiącéj Francyi Ludwika XIV-go; owéj Francyi, męczącéj się i wysilającéj na obcą swemu interesowi wojnę, nie inaczéj jak późniéj za czasów Napoleona. Przyczyną tego może zamknięty autorowi po wypadkach roku 1870 i 1871 wstęp do archiwów francuzkich. Cokolwiekbądź, uderza jednakże owa nieobecność wnętrza francuzkiego w tym obrazie całości europejskiéj témbardziéj, że wszędzie gdzieindziéj jest ów obraz równie dokładnym jak zajmującym. Jakże wierny widocznie np. obraz dworu wiedeńskiego w chwili zgonu cesarza Leopolda i wstąpienia na tron cesarza Józefa I-go, który pragnie na seryo podnieść blask korony cesarsko-niemieckiéj, złagodzić koncessyami rozdraźnione okrucieństwami feldmarszałka Heistera Węgry, zdobyć sobie na Ludwiku XIV tytuł i prawo do *prawdziwéj* władzy w Niemczech! Toż samo powiedzieć można o interesującéj charakterystyce, jaką znajdujemy w dziele p. Noordena o dworze sabaudzkim, o księciu Wiktorze Amadeuszu II, spekulującym mądrze i wytrwale, z poświęceniem nawet do pewnego stopnia na wygraną koalicyi, i wystawiającym się dla tego śmiało i rezolutnie na pierwsze ciosy armii francuzkiéj, pod dowództwem Vendome'a. Mówiąc o Holandyi, rozwodzi się autor w szerokim ustępie nad niedołężnością rządów obiorowych Stanów Generalnych, wobec któréj jedynie tylko energia narodowa i osobista, choć cicha zdolność wielkiego pensyonarza Heinsiusa w interesie koalicyi, odnoszą zwycięztwo. Obszerniejszy ustęp jeszcze poświęca autor obrazowi wewnętrznych stosunków angielskich, owéj walce gabinetowéj i parlamentarnéj, wśród któréj się waży kwestya dynastycznéj sukcessyi domu hanowerskiego, sprawa przewagi ministerstwa whigowskiego nad ministerstwem torysowskiém, wreszcie najważniejsze zagadnienie nowoczesnéj wewnętrznéj historyi angielskiéj — sprawa ostatecznego jéj parlamentarnego i politycznego zlania się w jedną wspólną całość ze Szkocyą. Rok 1707 spogląda na spełnienie się ostateczne owéj unii, która się prawie sto lat przedtém rozpoczęła przez wstąpienie na

tron angielski Jakóba Stuarta. Najciekawszą jednakże może stroną dzieła p. Noordena jest charakterystyka wewnętrznych stosunków Hiszpanii. Autor przedstawia tu nową królewskość, z ramienia Ludwika XIV-go w ciężkich zapasach nasamprzód z niedostatkiem pieniężnym, z niepewnością i niewiernością nowych poddanych, z dwiema wreszcie współczesnemi inwazyami, angielską, pod dowództwem lorda Peterborougha, austryacką, pod dowództwem samegoż króla Karola III-go z ramienia cesarskiego. Filip V, istota słaba, niezdolna sprostać tylu razem przeciwieństwom, byłby może uległ pod ciężarem ciosów, a dumny Ludwik XIV, byłby widział ze wstydem i upokorzeniem dzieło swe upadające na półwyspie pirenejskim. Któż przecież bierze w owéj tragicznéj chwili na barki swe ciężar podtrzymania upadającéj królewskości francuzkiéj w Hiszpanii? Któż stwarza jéj stronników, skarb, wiarę w siebie? Któż zmusza przeciwnika Karola III-go pozostać w Barcelońskiém zamknięciu, a Anglików poprzestać na wydartéj Hiszpanom gibraltarskiéj zdobyczy? Tym wielkim mężem nowéj królewskości jest kobieta, Włoszka rodem, doradczyni i przyjaciołka małżonki Filipa V-go, księżna Orsini. Jest to na widowni hiszpańskiéj słusznie ulubiona i idealizowana przez autora postać — przez autora, który też jéj demonicznéj prawdziwie energii i czynności, jeden z najświetniejszych swego opowiadania rozdziałów przeznacza. Otoż to w najgłówniejszych, w najogólniejszych zarysach tło, na którém się dopiero rozwijają w opowiadaniu autora szczegóły ówczesnéj wojny, owe zwycięztwa Eugeniusza księcia Sabaudzkiego i Marlborougha, owe bitwy pod Ramillies we Flandryi i pod Turynem we Włoszech, owe boje w saméj Hiszpanii, wreszcie pośród których jako punkt kulminacyjny opowiadania autora, świeci opis wzięcia Gibraltaru przez Anglików i obrony ich, gdy im skoalizowana Hiszpanów i Francuzów siła, świeżą zdobycz wydrzeć się zabiera. W interesie nauki dziejowéj, życzyćby sobie bardzo należało, aby dalszy ciąg tego znakomitego dzieła wyszedł jaknajprędzéj na widok publiczny. Pod względem źródłowości stoi ono nieskończenie wyżéj od Historyi XVIII-go wieku Schlossera; co się tycze stanowiska, umiał się autor, jakkolwiek współpracownik Syblowego historycznego czasopisma i zwolennik narodowo-liberalnego kierunku, *dotychczas* przynajmniéj utrzymać w granicach wszelkiego uznania godnéj przedmiotowości.

* *
*

Pośród tych wielkich, pierwszorzędnych publikacyi historycznych, odnoszących się głównie do dziejów XVIII wieku, niechaj

w naszéj lustracyi najnowszych płodów literatury historycznéj niemieckiéj, znajdzie miejsce skromny, łzawy jeśli tak wolno powiedzieć, do dziejów téjże saméj epoki przyczynek. Jest to wydana roku bieżącego bezimiennie książeczka pod tytułem: *Die Kronprinzessin Charlotte von Russland*, a obejmująca życiorys i ciekawą korespondencyą księżniczki Karoliny Brunświckiéj, pierwszéj z rzędu księżniczki niemieckiéj, która opuściła ojczyznę, by dzielić nad Newą losy władców wielkiego północnego mocarstwa. Piotr Wielki, cywilizator i reformator swego kraju we wszystkiém, jest zarazem inicyatorem politycznego systemu, który monarchom Rossyi kazał poszukiwać węzłów małżeńskich w Niemczech. W roku 1707 będąc w Polsce, postanowił poszukać w ten sposób żony dla ośmnastoletniego naówczas syna swego Aleksego, a za pośrednictwem agentów politycznych Ubricha i Huyssena, znalazł sobie synową w osobie księżniczki Karoliny Brunświckiéj siostry późniejszéj cesarzowéj Elżbiety, żony Karola VI. Carewicz Aleksy, którego późniejszy tragiczny koniec dobrze znany, dzięki na autentycznych dokumentach opierającéj się relacyi professora Ustriałowa, był w czasie, w którym mu ojciec ową żonę przeznaczył, a dwór brunświcki na związek podobny zezwalał, młodzieńcem niedojrzałym, bardzo jeszcze małych zdolności, małego ukształcenia, posiadającym bardzo niedokładnie tylko nawet język rodzinny swéj narzeczonéj. Książka, o któréj niniejsza wzmianka, zamieszcza dosłownie jeden z listów nieszczęśliwego księcia do księżniczki Karoliny, mający być napisany niby to w języku niemieckim, a brzmiący jak następuje: „Ich sie schenken machen mit wass sie will, ich will weissen, das sie eben so lieb, als König in Spanien seine Frau haben.“ Zapewne, ani ta ortografia, ani ta problematyczna znajomość ojczystéj jéj mowy ze strony księcia Aleksego nie odstręczały od związku z nim młodéj księżniczki Brunświckiéj, ale co ją straszyło i dręczyło, co jéj jak sama pisze po bezsennych nocach łzy wyciskało, to wyjście z ukochanego rodzicielskiego narodu i języka w społeczeństwo, które naówczas mało jeszcze było oswojone z europejskim Zachodem. Obawy te biednéj księżniczki spełniły się i sprawdziły co do joty. Wyszła za mąż w r. 1707; odtąd prowadziła zakłopotane, koczownicze, smutne życie, przy boku twardo traktowanego małżonka w Toruniu, Elblągu, Malborgu. Obce stosunki otaczają młodą martwiącą się z cicha księżniczkę Brunświcką. Często jak pisze, dokuczają jéj zimno i niedostatek. Wśród owéj wędrówki po miastach pruskich i po Polsce, znajduje Karolina poufnego przyjaciela i powiernika, w osobie szambelana Pöllnitza, który nawet zazdrość powolnego

i łagodnego zresztą małżonka obudza. Po czterech latach pożycia młodych małżonków następują wreszcie ku wielkiéj boleści i smutkowi Karoliny przenosiny do Petersburga. Jak widać z jéj listów, uważa ona pobyt petersburski, mimo świetności, jaka ją tam otacza, mimo troskliwości, jaką jéj ojciec męża okazuje, za zerwanie ostateczne z domem rodzicielskim, za pęknięcie węzłów, które ją łączyły dotąd jeszcze z ojczyzną. Listy ówczesne téj biernéj zresztą i cierpliwéj wielce istoty, świadczą o podobném usposobieniu jéj zasmuconéj duszy. Odtąd zaczyna też trawić ją powolnie ale nieubłaganie choroba piersiowa. Umiera żegnając się raz jeszcze listownie z ukochaną rodziną dnia 22 Października 1715, wydawszy na świat dziecię, które miało nosić na Tronie rossyjskim miano Piotra II. Teść wyprawił zmarłéj świetny pogrzeb, wypytawszy poprzednio o ceremoniał europejski zachowywany przy tego rodzaju żałobnych uroczystościach, posłów zagranicznych mocarstw i znajdującego się w niewoli rossyjskiéj od czasu bitwy półtawskiéj szwedzkiego kanclerza Pipera. Co się tycze małżonka zmarłéj, oświadczył mu ojciec w dzień pogrzebu żony, że się ma przygotować do postrzyżyn na mnicha. Zagrożony podobną perspektywą carewicz Aleksy uciekł za granicę; dalsze jego losy już nie wchodzą w zakres niniejszego dziełka.

* *
*

Dzieło, któremu z kolei rzeczy kilka słów wzmianki poświęcamy, jest pod pewnym względem, tak pod względem czasu, jak przedmiotu i widowni, *unikatem* w historyografii niemieckiéj z dzisiejszéj chwili. Wiek XV—przedmiot *wojny husyckie*, widownia *Czechy*, otoż zadanie, które podjął professor Bezold w dziele swém o wojnach króla Zygmunta i Rzeszy przeciw husytom od r. 1421 do 1430. Autor dopełnia w ten sposób bardzo cenną monografią opowiadanie Palackiego w trzecim tomie jego wielkiéj *Historyi Czech*. Powiedzielibyśmy jednakże ku wyraźnéj czci i chwale pisarza niemieckiego, i to pisarza stojącego na stanowisku niezaprzeczonego patryotyzmu niemieckiego, że w głębokiém przeświadczeniu potrzeby oddania hołdu prawdzie historycznéj, choćby wbrew miłości własnéj narodowéj; wznosi narodowi czeskiemu z owéj epoki, wznosi bohaterom jego, Żyszce i Prokopowi wspanialszy może i piękniejszy jeszcze pomnik chwały, aniżeli narodowy historyk Czech.—Autor obejmuje swém opowiadaniem dziewięcioletni blizko przeciąg czasu od r. 1421 do 1430. Rozpoczynając rzecz od zgonu

Wacława i wstąpienia na tron Zygmunta już r. 1419, skreśla ogólnemi rysami tylko zatarg jego ze wzmagającym się coraz bardziéj ruchem husyckim aż do owego pamiętnego sejmu w Czasławie, który w Czerwcu r. 1421 odsądza syna Karola IV od korony czeskiéj. Od téj dopiero chwili rozpoczyna się właściwy przedmiot opowiadania professora Bezolda. Zygmunt jakkolwiek kochający niezaprzeczenie Czechy, ojczyznę swoję, ulubione dziedzictwo swego ojca Karola IV; jakkolwiek daléj, tchnący tajną chęcią ustąpienia wzburzonemu i poruszonemu do głębi społeczeństwu czeskiemu w kwestyi religijnéj, czuł się przecież z drugiéj strony zanadto, władcą, zanadto cesarzem Niemiec, zanadto ściśle związanym z duchowym mieczem owéj epoki wyklinającym husytyzm, papieztwem, aby na podobny wyzyw swego narodu odpowiedzieć tylko milczeniem. R. 1422 jest chwilą podjęcia tedy pierwszéj krucyaty cesarsko-niemiecko-rzymskiéj, przeciw oszańcowanemu w kotlinie swych gór Taborowi czeskiemu. Dzieło mimo wszelkich pozorów potęgi cesarskiéj i papiezkiéj, wcale niełatwe. Polska, czyli stary Władysław Jagiełło i Witold, wzywani przez cesarza i Rzym o pomoc, są niby to prawowierni, ale mimo to, wobec antagonizmu zwłaszcza z krzyżactwem i niemczyzną, odzywa się coraz silniéj węzeł wspólności słowiańskiéj; deputacye czeskie znajdują przyjęcie w Krakowie i na Witoldowym dworze, a synowiec Witoldowy Zygmunt Korybut wybiera się nawet, zrzuciwszy maskę na objęcie Zygmuntowego dziedzictwa z zastępem Polaków i Litwinów do Czech. Tak tedy, zamiast pomocy, grozi przeciwnie Zygmuntowi niebezpieczeństwo od strony polskiéj. Niepewną również podstawę przedstawiają ówcześni książęta Rzeszy Niemieckiéj. Nędza moralna, materyalna i polityczna,—otoż krótka definicya stanu rzeczy w cesarstwie Niemieckiém, jak go autor przedstawia. Nawiasowo powiedziawszy, nie uwalnia autor bynajmniéj od podobnego zarzutu, pierwszego Hohenzollerna na margrabstwie Brandenburskiém, Fryderyka, którego szkoła narodowo-liberalna pruska byłaby naturalnie zrobiła w obecnym przypadku, jedynym reprezentantem niemieckiéj energii i jedynym wyrazem unitarnéj myśli niemieckiéj. Najważniejszy ten położeniem geograficzném i środkami materyalnemi dla cesarstwa książę Rzeszy, wobec walki z husytyzmem, woli zajmować stanowisko wyczekujące i ostrożne, kierować swe żagle według wiatru powiewającego od Krakowa i Litwy. Starając się utrzymać z Jagiellonami dobry stosunek, pragnąc co więcéj połączyć się z nimi węzłami rodzinnemi, uważa margrabia Fryderyk Hohenzollern posłuszeństwo bezwzględne dla cesarza Zygmunta za rzecz podrzędną. Zygmunt widząc ze swéj strony, że możność

pozyskania sobie Brandenburgii zależy od Krakowa, stara się podobnież o względy Jagiellonów, którzy w ten sposób wychodzą na rozjemców trzymających w znacznéj części losy Rzeszy niemieckiéj w swych ręku. „Aleć i polityka Hohenzollerna,“ mówi autor, „nie była niestety niemiecką; i on opierał się w swéj chęci wydobycia się na wierzch na obcych, nieprzyjaznych Niemcom żywiołach. Obie strony spotykały się na dworze polskim, o którego przyjaźń współzawodniczo się ubiegały, a który w nienawistny spór między głową Rzeszy a elektorami najgłębiéj mógł zajrzeć.“ Równocześnie przedstawiała Bawarya straszny obraz krwawego domowego rozdarcia. Jedyne żywioły, na które cesarz Zygmunt w walce swéj z husytami z jakąkolwiek pewnością mógł liczyć, były miasta Rzeszy, elektorowie duchowni nad Renem i blizki teatrowi wojny margrabia miśnieński Fryderyk Waleczny. Duszą całéj krucyaty z r. 1422 na 23, jak wszystkich następnych, najrzeczywistszym i najdzielniejszym jéj wyrazem, jest legat papiezki kardynał Branda, jedyne ogniwo łączące w pewną spójnię i całość luźny organizm akcyi przeciw Czechom. Przenosząc się następnie do obozu czeskiego, skreśla autor następny jego obraz. Najwybitniejszą i najszlachetniejszą razem, ale wojskową jedynie tylko postacią, jest stary Żyszka, wielki organizator narodowego ruchu, twórca osobnéj taktyki wojennéj, wynalazca owego systemu ruchoméj twierdzy, sławnego *taboru*, zamykającego się dla obrony, otwierającego się nagle i niespodzianie dla zwycięzkiéj zawsze zaczepki. „Wszystko,“ powiada zawsze bezstronny i uczciwy autor, „co wiemy tylko o czernionym tyle zkądinąd naczelniku taborytów, zmusza nas uważać go jako najzupełniéj otwartego i uczciwego fanatyka... Wielkości jego wojowniczéj nie mogli mu naturalnie zaprzeczyć i przeciwnicy, czystość jego charakteru natomiast umiały dopiero zrozumieć nowsze czasy.“ Zarazem krytykuje autor ostro niesprawiedliwe sądy Eneasza Sylwiusza o Żyszce i śmieje się z bajki o skórze jego brzucha przeznaczonéj na husycki bęben... Żyszka tedy był uczciwym i zbyt żołnierzem jedynie tylko, aby pomyśleć o dyktaturze politycznéj, aby sięgnąć po najwyższą władzę w swym kraju. Jedyną według autora polityczną głową między Czechami był naówczas Mikołaj Hus; sprzątnęła go jednakże zbyt rychło śmierć w stanowczéj właśnie chwili krucyaty z r. 1423. Kraj więc pozostawał w stanie politycznéj anarchii i groźnego domowego rozdwojenia. Zachodnio-północna część Czech, miasto Pilzno, twierdza Karlstein znajdowały się w ręku oddanych sprawie cesarskiéj katolików czeskich. Obóz husytów samych, dzielił się na umiarkowanych, tak zwanych

utrakwistów, znajdujących zwolenników pomiędzy wyższą szlachtą i miastami, i *taborytów* reprezentowanych przez wielką massę ludu. Praga znajduje się z r. 1422 na 23 w posiadaniu taborytów pod rządami duchowno-politycznemi księdza Jana, osobistości w rodzaju Jana leydejskiego, Savonaroli florenckiego, czy Kalwina genewskiego. Ruch szlachecko-husycki pod wodzą Haszka z Waldsteinu obala te rządy i wprowadza uroczyście na stolicę czeską Zygmunta Korybuta, przybywającego naówczas właśnie do kraju z zastępem polsko-litewskim. Żyszka usuwa się wobec podobnego obrotu rzeczy pod namiot Achillesa i znika na chwilę ze sceny. Otoż to położenie na teatrze wojny czeskiéj z r. 1422 na 23; krucyata rzymsko-niemiecka zagląda trwożliwie tylko, to ze strony Bawaryi, to ze strony Saxonii, to ze strony Morawii i Austryi w zarzewie husyckiego kotła, niezdolna nawet zasłonić twierdzy Karlstein od oblężenia taborytów. Zygmunt Korybut robi tymczasem wyprawy wojenne w różne strony, okazuje nawet, jak mu autor przyznaje, wiele zdolności około utrwalenia własnéj powagi i organizacyi powierzonego swym rządom kraju; dzieje się z nim jednakże to samo, co ze wszystkimi pragnącymi budować na wulkanicznym gruncie rewolucyi. Gdy młody książę litewski wojuje w Morawii, podnosi ponownie radykalizm husycki głowę w Pradze. Zygmunt wraca, przytłumia ruch krwawo, ale tém samém traci popularność i wywołuje powstanie, które go (w Czerwcu 1423) pozbawia władzy i zmusza zarazem do ustąpienia za granicę. Z chwilą tą ogarniają całą władzę taboryci. Żyszka pojawia się ponownie na widowni wypadków, a odtąd rozpoczynają się najdotkliwsze klęski niemczyzny, owe wyprawy husytów sięgające zgubnie i niszcząco w głąb Szlązka, Saxonii, Bawaryi, Morawii i Węgier. Klątwy papiezkie i skargi książąt Rzeszy Niemieckiéj otaczają ten buchający na wszystkie strony wulkan. Jak za wojny siedmioletniéj, jak za rewolucyi francuzkiéj, wykazuje się cała bezsilność koalicyi, przeciw zwartemu silnie, roznamiętnionemu w swéj idei, pewnemu swego zadania nieprzyjacielowi.

Wobec tych wypraw i spustoszeń husyckich wznosi się okrzyk zgrozy przeciw cesarzowi Zygmuntowi, przeciw margrabiemu Fryderykowi Hohenzollernowi, przeciw Fryderykowi Miśnieńskiemu. Jedni oskarżają drugich o niedołęztwo, bezbożność, o tajne sprzyjanie niewiernym husytom. W gruncie rzeczy odgrywa tu najsmutniejszą dla Niemiec rolę Fryderyk Hohenzollern, który ilekroć zgoda i porozumienie cesarza Zygmunta z dworem krakowskim blizkie, ile razy wpływ Zbigniewa Oleśnickiego przeważy szalę na rzecz Rzymu i cesarza, występuje w swym partykularnym interesie

jako żywioł przeszkadzający. Wobec podobnego rozstroju i anarchii w Rzeszy, gotowało się dla Czech wielkie, europejskiego znaczenia stanowisko, gdyby w łonie ich istnie jak we Francyi podczas jéj wielkiéj rewolucyi, nie była wrzała równolegle niemniéj anarchiczna walka domowa. Z jednéj bowiem strony stronnictwo umiarkowane *utrakwistów* pragnące powrotu Zygmunta Korybuta i sprowadzające go ostatecznie mimo protestów dworu krakowskiego w Czerwcu r. 1424 do Pragi; z drugiéj strony występuje stronnictwo ludowe pod Żyszką, wojowniczy zastęp taborytów nienawistny pierwszemu, prześladujący go krwawo i wiążący z rokiem 1424 właśnie przez wyprawy do Bawaryi, Węgier i Morawii „*Krwawy rok Żyszki.*“ Krwawy ten rok jest przecież zarazem ostatnim życia wielkiego wodza taborytów. Umiera dnia 11 Października 1424, w chwili przejścia granicy morawskiéj, przekazując nazwę *Sierot* i *Taborytów* swemu wojsku i stronnictwu, naczelne dowództwo wraz z dziedzictwem zwycięzkiéj taborowéj taktyki Łysemu Prokopowi. Nieszczęście prawdziwe Czechów chciało, że zamiast stanąć w téj ważnéj chwili silnym, zwartym a wspólnym szeregiem przeciw otaczającéj burzy, woleli się kłócić i prześladować między sobą. Tak reprezentują przywrócony chwilowo do władzy Zygmunt Korybut wraz ze szlachtą i większością miast żywioł umiarkowany, gotowy może nawet do wejścia w porozumienie z Rzymem; kiedy Prokop na czele taborytów wysila się równocześnie na nie mniejsze prześladowanie utrakwistów, jak katolików czeskich. Nie przeszkadza jednakże ten swar domowy wylewać się istnie jak wezbranéj fali, wojowniczym i namiętnym elementom Czech na zewnątrz, a lata 1425 i początek 1426 są datą nowych, krwawych, niszczących taboryckich wypraw w głąb Szlązka, Bawaryi, Morawii i Austryi. Wyprawy te, pominąwszy stronę namiętności religijnych i mściwości narodowéj, mają nadto jeszcze bardzo praktyczny i dotykalny cel. Chodzi o zaopatrzenie Czech wyniszczonych długą wojną w bydło i zboże. Każda taka wyprawa przynosi w zysku jedno i drugie do domowéj zagrody... Tymczasem zaczynają Rzym przez kardynała legata Brandę, daléj wstyd własny działać nieco na lenistwo i niedołężność książąt Rzeszy. Zjazd książąt niemieckich w Wiedniu w Lutym r. 1426 uchwala nową przeciw husytom krucyatę, i ponowny zjazd ich w miesiącu Maju tegoż roku w Norymberdze uchwala szczegóły jéj wykonania. Gromadzi się też istotnie liczne, przynajmniéj 40,000 ludzi liczące, ale nieporządne i nieudyscyplinowane wojsko niemieckich krzyżowców w Saxonii pod dowództwem Bosona von Vitzthum i wkracza do Czech. Czeka Niemców

w zwartym taborze narodowe wojsko czeskie pod Osti nad Labą czyli Aussig, pod dowództwem Łysego Prokopa. Niemcy uderzają na słowiański obóz, Czesi wypadają zeń i zadają im (dnia 16 Czerwca r. 1426) staszliwą klęskę. Wszystkie drogi wiodące ku Saxonii zasłane trupami niemieckiemi. Tuż następujące po tym gromie powtórne wyprawy husyckie do Szlązka i Austryi, pomnażają ten postrach; zwykła kolej rzeczy przecież chce znowu w Czechach raczéj wojny domowéj, niżeli skutecznego raz na zawsze pościgu i pogromu nieprzyjaciela wraz z ostateczną nagrodą wewnętrznéj konsolidacyi. Układy Zygmunta Korybuta z Rzymem, jego umiarkowana postawa wzbudzają podejrzenie taborytów czeskich. Jakoż w Kwietniu r. 1427 następuje wybuch, który wypędza litewskiego księcia wraz z jego otoczeniem polskiém, a odtąd widzimy znów stronnictwo taborytów na czele w Czechach. Tuż po tym zwycięzkim owéj partyi wybuchu, robią sieroty i taboryci nową wyprawę w Maju r. 1427 na Saxonią i Szlązk. Przerażona Rzesza radzi znów we Frankfurcie nad Menem nad ponowną krucyatą. Rycerstwo Szwabii i Frankonii uchwala tak zwane pieniądze husyckie (Hussengelder), zaleca dyscyplinę nowemu wojsku, stawia naprzeciw wideł, cepów i jutrzni husyckich, widły, cepy i kosy wieśniaków, i mieszczan szwabsko-frankońskich, wywołuje przeciw fanatyzmowi religijnemu husytów gorliwość katolicką, powierza wreszcie dowództwo nowéj wyprawy Fryderykowi margrabiemu brandenburskiemu i elektorom duchownym kolońskiemu i moguncskiemu. Kardynał legat papiezki Branda daje zastępowi nowych krzyżowców w Norymberdze swoje błogosławieństwo, i obdarza go krzyżowniczą chorągwią. Przed rozpoczęciem wojennéj wyprawy, usiłują książęta Rzeszy, istnie znów jak koalicya przeciw rewolucyi francuzkiéj, zawiązać stosunki we wnętrzu kraju, wejść mianowicie w porozumienie z katolikami Czech, a choćby nawet tylko z utrakwistyczną szlachtą. Grunt niby więc w ten sposób dobrze i wszechstronnie przygotowany, a niemieccy krzyżowcy wkraczają w miesiącu Lipcu r. 1427 do Czech. Prosty postrach jednakże imienia husyckiego, prosta *panika*, by mówić pospolitym językiem teraźniejszości, rozpędza mimo próśb i błagań kardynała legata całą wyprawę pod Mies i Tachowem, a całym jéj zyskiem znów nic innego jak wzajemne rekryminacye i zarzuty zdrady, padające teraz mianowicie na Fryderyka margrabiego brandenburskiego. Od chwili tego sromotnego pogromu bez boju aż do roku 1430, panuje straszliwa jednostajność na teatrze wojny czeskiéj. Taboryci szerzą swe zagony po okolicznych Niemczech, Niemcy oskarżają się nawzajem i zbro-

ją się niedołężnie do nowéj krucyaty; zbierają jeszcze niedołężniéj „*pieniądze husyckie*,“ by je składać do wspólnéj kassy w Norymberdze... Otoż streszczone pokrótce opowiadanie professora Bezolda w dwóch jego dzieła tomach przynoszących autorowi zaszczyt niemniéj ze względu na źródłowość i talent przedstawienia rzeczy, jak ze względu na bezstronność i sumienność stanowiska. Wystawił w swém dziele piękny i zaszczytny pomnik energii słowiańskiéj, wskazał mimowolnie historyografii naszéj XV wieku stanowisko, z któregoby się na bieg i postać wypadków owego stulecia zapatrywać winna. Wielkość i potęga Polski mają się w prostym stosunku do jéj polityki słowiańskiéj. Traktowanie jéj znaczy wielkość i potęgę, odstąpienie od niéj upadek i rozstrój. Dzieło p. Bezolda daje pod tym względem bardzo wiele do myślenia.

* *

*

Na ostatniém miejscu przeglądu naszego najnowszych płodów historycznéj literatury niemieckiéj zapisujemy krótką i pobieżną wzmiankę o dziele professora Edwarda Zellera, zawierającém w pięknym zbiorze monograficznych rozpraw szereg studyów poświęconych głównie historyi, filozofii i religii. Professor Zeller, swego czasu także współpracownik, ale czysto tylko i szczerze naukowy, czasopisma historycznego Sybla, jest przedewszystkiém specyalistą na polu historyi pierwszych czasów chrześciaństwa i literatury kościelnéj, począwszy od Ewangelii, Dziejów Apostolskich i Apokalipsy. Pan Zeller jest w ten sposób wyznawcą i kontynuatorem tak zwanéj tybińskiéj szkoły, któréj twórcą był znany professor Bauer, z którą się wolno zgadzać lub nie zgadzać, która przecież położyła ni zaprzeczone krytyczno-historyczne zasługi w dziedzinie historyi pierwszych wieków chrześciaństwa i materyałów do niéj się odnoszących. Zbiór rozpraw wydany teraz w jednym obszernym tomie, zawiera między innemi, pominąwszy przedmioty z dziedziny filozofii greckiéj, rozprawy o Marku Aureliuszu, Pitagorasie, Wolffie, Fichtem i Schleiermacherze; ciekawe obserwacye, a pod względem formy nader ozdobne studya o *pierwszych wiekach chrześciaństwa*, o *tybińskiéj historycznéj szkole*, o *Ferdynandzie Krystyanie Bauerze*, wreszcie o *Straussie i Renanie*. Wszystko to napisane ze zmysłem krytycznym i zasobem nauki, który nie wyłączając ani własnego

zdania swobody, ani potrzeby i obowiązku własnéj krytyki, otwiera przecież obszerne do namysłu i zastanowienia pole.

*   *
*

Na dziele professora Zellera, czyli na powyższéj, *umyślnie* krótkiéj o niém wzmiance, kończymy nasz przegląd historycznéj literatury niemieckiéj z obecnéj chwili, nie kusząc się naturalnie nazywać go wszystko wyczerpującym. Cokolwiekbądź, przekonywa on jednakże, jak sądzimy, o żywym ruchu panującym w Niemczech w dziedzinie historycznéj. Przekonywa on daléj, że jakkolwiek polityczne prądy i namiętności wpływają tu potężnie na niezależność i swobodę stanowiska naukowego; to przecież pozostało jeszcze mimo to dość miejsca dla prawdziwéj nauki, która, wyzywając naszę własną w tejże saméj dziedzinie, odpoczywającą chwilowo działalność, niechaj nas strzeże zarazem od wkraczania, dzięki obcym powadze i godności nauki wpływom, na wskazane we wstępie bezdroża nowoczesnéj historyografii naszych uczonych sąsiadów.

LISTY HORACYUSZA,

W PRZEKŁADZIE

F E L I C Y A N A.

Do Lolliusza.

(Ks. I list II.)

Pod świeżém wrażeniem przeczytania na nowo obu poematów Homera bierze pochop do wypowiedzenia kilku prawd ostrych spółczesnemu sobie pokoleniu, wyszydzając i gromiąc: zmiękninie w obyczaju, opieszałość w poprawie życia, upędzanie się za zbytkiem, wreszcie, jak zawsze, zaleca umiarkowanie.

Gdy ty Lolliuszu, w mieście okazałém,
Na Forum, z Rostrów prawisz świetne mowy,
Ja, wiekopomny utwór Homerowy
W Preneście cichéj znowu odczytałem.

Jak się tam stokroć od Krantora jaśniéj
I od Chryzyppa lepiéj wypowiada:
Co jest uczciwość, co zbrodnicza zdrada,
Jak błogie skutki zgody, jak złe waśni!
Byś mógł osądzić: czy się ja nie mylę—
Chciéj mię posłuchać choćby krótką chwilę.

Opowieść, w któréj z przyczyn Parysowéj
Miłostki, Grecya barbarzyńców gniecie,
Niesfornych królów śpiewa złe narowy,
Ztąd klęski ludów głośne w całym świecie.
Antenor chciałby rzecz załatwić zwrotem—
Cóż na to Parys? Za nic on nie wyda
Branki, na równi cennéj z berłem złotém!—
W tym czasie Nestor chciałby znów Atryda
Z Achillem zgodzić mądrych rad swych pracą,—
Z nich każdy gniewem zapalczywym dycha!
W tym wre okrutnie miłość, w tamtym pycha—
Za ich szaleństwo Grecy krwią swą płacą...
Więc też niebawem, coraz natarczywiéj,
W murach i zewnątrz, nie już śmiercią bladą,
Lecz zawziętością, okrucieństwem, zdradą,
Broją Trojanie, równie jak Achiwi.

W drugiéj się części pożytecznie czyta:
Jak to cudowne iścić może dzieła
W parze z odwagą mądrość znamienita!
Tam Odyss, Troja kiedy już runęła,
Przez Oceanu prądu niezgłębione
Siebie i swoich wiodąc w lubą stronę,
W licznych u różnych ludów grodach gości,
Wiele też bardzo znosząc przeciwności,
W których otchłani, drudzy choć przepadną,
On jeden przecięż nigdy nie szedł na dno.
Więc też i Syren czarodziejska zgraja—
Zaczém i Circe ze swą czarą zdradną,
W któréj zwabionych głupców tłum upaja...
Niechby był Odyss, jak to drudzy czynią,
Dotknął téj czary łapczywemi usty,
W służbęby poszedł zbrodni i rozpusty,
Psem będąc podłym, albo brudną świnią.

To gdy czytamy—pytam: co należy
O nas dzisiejszéj sądzić ztąd młodzieży?
Żeśmy już z rodu liche wiercipięty,
Którym jedynie smaczny obiad w głowie—
Penelopei pełni cnót gachowie,
Którym rzecz cudza milsza niźli swoja—
Papinkowate z dworu Alcynoja
Gładyszki, każdy sobą tak zajęty,
Że pożytecznie myśl się im zatrudnia
Przy cytry brzękach leżeć do południa.

Złodziéj się w nocy zrywa z swéj pościeli,
By sobie zdobyć czego mu nie dano—
A wam, niezdarom, ciężko wstać jest rano,
Byście bez trudu samych siebie mieli?
Kto zdrów, chodź wolno—nie czekając pory,
Aż biegać przyjdzie, gdyś na astmę chory..
Jeśli przed świten, światło zapaliwszy,
Książką umysłu swego człek nie budzi,
Niż coby w wiedzę rósł i miłość ludzi,
Wstać może z łóżka wiele mniéj uczciwszy.

Czemu, gdy słomka utkwi w twojém oku,
Mówisz:—natychmiast precz ją wziąć ztąd muszę—
Lecz gdy zła żądza wpełznie w twoję duszę,
Do następnego rzecz odkładasz roku?
W odwłokę puszczać, czyż to jaka rada?
Mądry, gdy zaczął, to już najnieznaczniéj
Połowę zdziałał. Śmiéj być mądrym—zacznij!
Kto swą poprawę z dziś na jutro składa,
Bardzo głupiemu dziwnie jest w tym względzie
Podobien chłopu, co na brzegu czeka,
Aż mu się z drogi umknąć zechce rzeka—
A ta, jak płynie, tak i płynąć będzie...

Dostatki zbierasz, wziąłeś sobie żonę,
Z któréj potomki chowasz upragnione;
Lecz jeszcze lasy radbyś zmienić w pola—
Tak cię bez końca korci twoja dola!
Czyż na pałacach, przeglądając zbiory,
Które się drżącą ręką pozgarniało,
Podobna złotem cieszyć chore ciało,

A cóż dopiero leczyć umysł chory?
Gdyż, abym użył, czyż to ja nie muszę
Zarówno zdrowe ciało mieć jak duszę?...

Kto coraz chciwiéj garnie i gromadzi,
Temu i spokój służy coraz rzadziéj,
Aż w końcu nic mu z bogactw tych—bo wszakże
Któż się przejeżdżać będzie rad w podagrze?
W obrazy patrzeć przy ślepocie kurzéj?
Lub pieśń oceniać, gdy mu słuch nie służy?
Cobądź w nieczyste zechcesz wlać naczynie,
Postawszy chwilę, zaraz kwasem spłynie.

Tak więc nie bardzo pragnąć chciéj rozkoszy.
Płaci ją boleść—wreszcie niesmak płoszy.

Jest zaś żebractwem byt skąpego męża...
To pomnąc, zazdrość niech twych żądz nie drażni.
Bowiem na chciwcu, dobra czyja tusza,
Ciało, jak mówią, aż po kość wysusza.
Ten, co Sycylię niegdyś uciemięża,
Cięższéj nad chciwość nie wynalazł kaźni!

Twą popędliwość miéj też w mocnéj ryzie!
Zamiast uciechy, pomstę nazbyt skrzętną
Prędzéj czy późniéj żal niewczesny zgryzie!
Gdy zaś krótkiego szału gniew ma piętno,
Więc silnym bądź mu panem—tak ci radzę—
Bo gdy na chwilę stracisz nad nim władzę,
On, nie czekając, sam ci na kark wsiędzie!
Od czegoż twarde wkładasz w czas narzędzie
W pysk wierzchowcowi? Bo ten, póki młody,
Twych rąk ma słuchać, byś z nim nie miał szkody.
Też, gdy ku skórze się jeleniéj szczenię
Zawczasu w izbie zrywa i skowyczy,
To psem dorosłym stawszy się, szalenie
Pomknie się żywéj szukać ci zdobyczy...

Przebacz Lolliuszu prawdzie tego słowa—
Lecz właśnie tobie dość jest jeszcze rano
Cnoty się uczyć. Co w dzban świeży wlano,

Tego on zapach długo w sobie chowa.
Więc rady moje w serce zbierz. Co do mnie,
Już ja się zdawna ustaliłem skromnie.
Na szlaku prostym, którym wiernie chodzę,
Krok mój nikomu sprostać się nie sili—
Ni chcę tych sięgać co mię wyprzedzili,
Ni na tych czekać co zostali w drodze.

Do Numicyusza.

(Ks. I list VI).

Radzi niczém się nie roznamiętniać; równo się bowiem człek udręcza nienasyconemi pragnieniami, jak i obawą o utratę tego, co już z troską zdobył. Daléj, wyśmiewa chorobę miłego grosza, nieodłączny od niéj zbytek i zdobywanie sobie wpływów. Wreszcie chłoszcze smakoszów, kostery i kobieciarzy.

Kto tylko radby, wolen wszelkiéj trwogi,
Mieć i zachować trwały spokój duszy,
Ten niech jedynie, Numicyuszu drogi—
Zdumieniem żadném nigdy się nie wzruszy!
Znam takich, którzy jak najobojętniéj
W przyrody patrzą cuda niezrównane:
W zwroty pór ziemskich, w słońca, gwiazd odmianę—
To czyż térnbardziéj takich roznamiętni
Coś, dajmy na to, gdzie ich wzrok nie sięga,
Jak: ziem gdzieś dalszych piękność czy potęga?
Ani też takich rozgorączkowywa
To, co nas wszystkich wzburza w naszém mieście:
Cyrk, teatr, poklask tłumu—i nareszcie
Rzymskiego ludu łaska miłościwa.

Kto, wiele mając, wciąż się straty boi,
Takiemu rówien w téj obawie swojéj,
Co, nic nie mając, cierpi, iż go blada
Dostatków chciwość bezprzestannie zjada.

I ten i tamten, równo przeciw biedzie
Nagłéj, drażliwi. Niech się coś wydarzy,
Co ich nadzieje przejdzie, lub zawiedzie—
Zaraz wzruszenie czytasz na ich twarzy.
Czyli z obawy, czy ze smutku bledną,
Czyli z radości—wyjdzie to na jedno.
Rzecz to jest zresztą równa prawdzie staréj:
Że mędrzec nawet zgłupieć może snadnie,
A sprawiedliwy w niegodziwość wpadnie,
Jeśliby w dobrém nie chciał chować miary.

Więc, dajmy na to: człek się nieskończenie
W srebra, w posągi, w brązy zapomaga,
W szkarłatne szaty, w perły i kamienie;
Nie dosyć na tém: kusi go odwaga
Popisu szukać, żeby mu klaskano
W Rostrach, i na to wstaje bardzo rano,
A jak najpóźniéj chodzi spać. Ktoś spyta:
Zkąd mu to?—Oto, bojaźń go ukryta
Dręczy: że może w łaskach u gawiedzi
Niejaki Mucyusz dzielnie go wyprzedzi.
A ten zaś Mucyusz, co się z tobą mierzy,
Lichy jest równie z mięsa jak i z pierzy—
Więc raczéj niechże tobie on zazdrości,
Niżbyś z podobnym walczył na wyższości!
Zresztą, nad drugich, niechby choć najszerzéj
Raz ten, raz inny, zadarł dumnéj głowy,
Z upływem czasu oba spłyną w tłumy...
Gdym już dość deptał portyk Agrypowy,
Gdym już dość nagrzmiał na Apijskiéj drodze,
To zawsze, prędzéj później, tam odchodzę,
Kędy już odszedł Ankus śladem Numy.

Jeśli mię boli krzyż, lub w boku kole—
Niżeli cierpieć, wziąć lekarstwo wolę.
Tak samo, jeśli chcę mieć duszy zdrowie,
A wiem: że tylko w cnocie na to leki,
To czyż, od wszelkich lichych trosk daleki,
Nie lepszy dla mnie spokój co się zowie?
Tak uczyń każdy. Chyba ci się zdaje:
Że cnota tyleż próżne tylko imię,
Ile są zwykłym lasem Święte Gaje...

Ha! w takim razie, biada kto zadrzymie!
— Hej! nuż do zysków ludzie skrzętni srodze!
W lot! by was czasem kto nie ubiegł w drodze —
Każdy o sobie tylko niech pamięta!
Już jest okrągły tysiąc—daléj! śpieszcie
Zdwoić go—ztroić—do kwadratu wreszcie
Podnieść zgarniane pilnie w garść talenta!
Bo tu nie żarty. Pieniądz—to wszechwładza!
On ci posażną żonę w dom wprowadza—
On ci znaczenie—on przyjaciół grono,
On da to nawet, co ci odmówiono:
Ród, rozum, piękność. Śmieszny bezprzykładnie
Jest król ten, który w Kappadocyi władnie:
Za wszystkie twarde rządów swych mozoły,
Ma niewolników huk—a sam jest goły.
Taki Lukullus—to rozumiem. Oto
Raz się zdarzyło, jako ludzie plotą,
Że gdy od niego pragnął ktoś w teatrze
Pożyczyć setkę płaszczów—strach go zdejmie:
—Sto? zkąd ja wezmę? Zresztą—niech przepatrzę—
Ile się znajdzie, przyślę wam uprzejmie.—
W czas jakiś pisze: — Mam ich pięć tysięcy—
Czy chcecie wszystkie, czy też mniéj, czy więcéj?—
Tak, tak, dopiero ten jest dom prawdziwie
Zamożny, w którym zbytku masz po uszy—
I mniejsza o to: że złodziei żywię!
Więc gdy dostatki mają taką władzę,
Że z nich szczęśliwy jesteś bardzo trwale,
Tedy cię mocno z ich zbierania chwalę —
Lecz w téj czynności nie ustawaj, radzę.

Jeśli w zaszczytach kładziesz byt szczęśliwy,
Kup niewolnika gwoli dobréj radzie,
Ten, idąc z tobą, niech ci w ucho kładzie
Imiona osób, które mają wpływy,
I trąca łokciem w miarę jak nadchodzi
Ktoś, co się przyda we właściwéj porze:
— Ten oto na to być potrzebny może —
Ten znów od innych rzeczy jest dobrodziéj —
Ten tu, odbiera ludziom lub rozdawa
Kurulne krzesła lub liktorskie pęki... —

Nuż: słowo grzeczne, ukłon, uścisk ręki,
Chociaż w ulicy rwetes, ścisk i wrzawa.
Tu: — zacny ojcze!—powiedz uniżenie;
Tam: — bracie luby! — w bardzo tkliwy sposób.
Tak to, każdego w miarę czcząc znaczenie,
Wcześnie stronnika sobie w nim przysposób.

Kto znów rad życiu, że wybornie jada,
Ten, za przewodem brzucha, niechaj rusza
Zwierza lub ryby łowić, kiedy blada
Jutrzenka świta—wzorem Gargiliusza,
Który przez miasto całe, z wrzaskiem do dnia,
W obec licznego codzień wlókł przechodnia
Psy, niewolników z oszczepami, sieci —
Aby z powrotem, gdy się lud znów zleci,
Na mule jednym jechał dzik jedyny,
I to.. kupiony w składzie gdzieś zwierzyny.
Więc znowu, tylko co otarłszy usta,
Dalej do łaźni! — mniejsza już o zdrowie!
Jak ci Odyssa głupi współziomkowie,
Którym tak miłą zdała się rozpusta,
Że bałamuctwo obce już, niżeli
Powrót w rodzinny własny kraj, woleli.

W końcu, jeżeli ufasz Mimnermowi,
Który powiada: — Ani pełne skrzynie,
Ani zaszczytów blaski, lecz jedynie
Szczęście do kobiet, szczęście w grze, stanowi
Prawdziwe szczęście — tedy po malutku
Graj w kości, kochaj, baw się... aż do skutku.

Bądź zdrów. Co do mnie, wiesz co o tém sądzę.
Albo wraz ze mną miarkuj twoje żądze,
Lub gdy godziwsze nad to znasz rozkosze,
Bym twoim śladem poszedł—wskaż go, proszę.

Do Fuska Arystiusza.

(Ks. I list X.)

Zachwala cichy żywot ziemiański. Nad wszystko zaś zaleca: przestawanie na tém. co się z wyroków nieba wzięło w udziale—popierając filozofią swoję przypowieścią o smutnym losie konia w walce z jeleniem.

Zaciekły ty mieszczuchu! niech zawzięty
Hreczkosiéj ciebie listem dziś nawiedzę.
To jedno kładzie między nami miedzę—
Bo zresztą niemal równiśmy z bliźnięty,
Tak to nas w zdaniach naszych nic nie waśni!
Tylko, jak stoi w Ezopowéj baśni:
Z braci gołębi dwóch, tyś rad, gdy gnuśnie
Pilnując gniazda duch twój w tobie uśnie—
Mnie zaś, niesforny umysł mój wygania:
W szum puszcz, w łąk świeżość, w zboża falowania,
W skały obrosłe mchem, i w chłodne zdroje.

Cóż chcesz?—w tém życie i królestwo moje.
Bom ja dopiero wtedy, miły bracie,
Swobodny całkiem, kiedy mi się uda
Mieć za plecyma wasze duszne cuda,
Które wy w równi z niebem wywyższacie.

Jam, jak z kapłańskich jeden posługaczy,
Co, gdy mu kością w gardle już pierniki
Stanęły słodkie, drapnął drągal dziki,
I gdzieś się w kącie czarnym chlebem raczy.

Jeśli z przyrodą radbyś żyć wesoło,
To, jak gdy chatę stawiasz, wprzód, w swéj porze
Grunt opatrujesz—tak tu—czyż być może
Miejsce po temu: jak jest ciche sioło?
Kędyż jak na wsi znośniéj zbieży zima?
Kędyż łagodniéj wiatr na wodzy trzyma
Lwa, gdy słonecznym żarem wskroś przeszyty
Psią się wścieklizną miota? I gdzież proszę
Znane są komu słodsze snu rozkosze?
I czyż libijski marmur w drobne płyty
Zieleńszy u was, lub choć w woń bogaty,

Jak nasze łąki bujno tkane w kwiaty?
Woda, przemocą wzięta w ciasne rury,
Które rozsadzić w każdéj chwili rada,
Czyż jest czyściejsza od strumyka, który
Szemrząc, swobodnie z pochyłości spada?
Wszak nawet sami, w waszych kolumn lesie,
Chętnie drzew licznych las pielęgnujecie—
I dom jest u was tem cenniejszy przecię,
Im z niego widok w szersze błonia niesie.

Ci, co w Akwinie (pragnąc nieostróżni
Tyryjskiéj szaty) lichą czerwień kupią,
Mniéj stratni jeszcze, niż ów z głową głupią,
Który od błędu prawdy nie odróżni.

Im więcéj żądz swych kto w pomyślność włoży,
Tém w przeciwności cierpieć będzie srożéj;
Bo wszak utracić wielce cię rozżala
To, coś ukochał?

Miéj od siebie zdala
Wielkość wszelaką. Tam gdzie dach słomiany,
Rozkoszniéj żyjesz—niźli król z dworzany!

Jeleń przeważną obdarzony siłą,
Często koniowi nie dał jeść na łące;
Temu nareszcie gdy się to sprzykrzyło,
Człeka przyzywa w pomoc. Ten mu lśniące
Dał w pysk wędzidło.—Hajże! teraz gonim
Wspólnego wroga!—Ale gdy już po nim—
Koń wzdycha. Wprędce wspólka mu ta zbrzydła—
Bo... ni się jezdca pozbył, ni wędzidła!
Tak kto, ubóstwa gdy go zdjęła trwoga,
Swéj się swobody wyrzekł, która przecię
Ponad najdroższe skarby bywa droga,
Pana, podobnie jak ten koń, na grzbiecie
Wciąż w ujarzmionéj dźwigać będzie dumie—
Przeto, iż sobie starczyć sam nie umie.

I kto chce lepiéj niźli ma, ten blizki
Człeka, co zprędka wszedł w obuwie nowe:
W nazbyt przestronném padł i rozbił głowę,
W ciasném, ból srogi zyskał i odciski.

Więc, drogi Fusku! żyć tak, jak nam bywa
Z góry znaczono—mądrość to prawdziwa.
Dla tego, proszę: jeśli nad potrzeby
Ujrzysz co u mnie, cóż dopiéro, żeby
Dojść miało wiedzy twojéj: że gromadzę
Dostatki w znoju—to ci daję władzę
Zelżyć mię zaraz ostatniemi słowy.
Gdyż pieniądz—wierz mi—w miarę, jak kto woli:
Lub z niego sługa, albo pan gotowy—
Co do mnie... wolę wolność od niewoli.

List ten skreśliłem u świątyni staréj,
Kędy się modlą ludzie cichéj cnoty—
Lecz nie zupełnie jestem swój, z téj miary:
Że ciebie nie ma ze mną Fusku złoty.—

Stan ekonomiczny włościan w Królestwie Polskiém

przez

Witolda Załęskiego.

Zarysy stanu ekonomicznego włościan w guberniach Królestwa Polskiego w r. 1873 i t. d. przez generał-majora Anuczyna. Radom 1875 (*).

Pomimo zwiększającego się u nas ruchu naukowo-literackiego, rzadko ukazują się dzieła, któreby dokładne podawały wiadomości o ekonomicznym stanie kraju naszego. Tymczasem powszechnie słyszymy głosy, dowodzące, jak dotkliwie czuć się u nas daje potrzeba tych dokładnych wiadomości. Każde źródło, które choć częściowo téj potrzebie zadość czyni, staje się dla nas wielce pożądaném. Korzystamy ze świeżo wyszłego dzieła p. Anuczyna, żeby przytoczyć ważniejsze dane odnoszące się do stanu ekono-

(*) Очерки экономическаго положенія крестьянъ въ губерніяхъ Царства Польскаго въ 1873 г. i t. d. подъ редакціею Генералъ-Маіора Д. Г. Анучина. Радомъ 1875

micznego włościan w Królestwie Polskiém. Przy innéj sposobności postaramy się uwydatnić znaczenie tych lub owych niżéj przytoczonych liczb, dziś je tylko polecając uwadze czytelnika.

Otrzymali włościanie prawo wolnego przechodzenia od jednego właściciela do drugiego, pod warunkiem pozostawienia mu jego własności ziemskiéj, i należącego do niéj inwentarza żywego i martwego wraz z potrzebném na zasiew ziarnem. Ostateczne uwłaszczenie włościan i obecna ich organizacya polityczna i administracyjna, nastąpiły w skutek Ukazu z 19 Lutego (2 Marca) 1864 r.

Na początku 1864 r. w pięciu ówczesnych guberniach Kr. Polskiego (Augustowskiéj, Warszawskiéj, Lubelskiéj, Płockiéj i Radomskiéj), było *gmin włościańskich* 3,083. Z téj liczby zniesiono w 1864 r. 496. W 1869 i 1870 r. większą liczbę miast Królestwa zamieniono na osady, z zastosowaniem do nich urządzeń gminnych. W skutek tych zmian liczyło Kr. Polskie w 1873 r. 1,313 gmin, z których 981 złożonych z samych wsi włościańskich, 41 z byłych miasteczek zamienionych na osady, i 291 było gmin mieszanych, składających się jednocześnie ze wsi włościańskich i byłych miasteczek.

Podług *ilości domów* znajdujących się w gminach, liczyło Kr. Polskie w 1873 r. gmin mających:

od	100	do	200	domów	było	30
„	200	„	300	„	„	177
„	300	„	400	„	„	358
„	400	„	500	„	„	343
„	500	„	600	„	„	214
„	600	„	700	„	„	111
więcéj	niż		700	„	„	80
Razem	.	.	.	.		1,313

W 1864 r. stosunek ten był następujący: gmin mających

od	50	do	75	domów	było	1,010
„	75	„	100	„	„	580
„	100	„	200	„	„	915
„	200	„	300	„	„	268
więcéj	niż		300	„	„	310
Razem	.	.	.	.		3,083

Trudno było oznaczyć stanowisko t. z. *szlachty zagrodowéj*, należącéj pod względem stosunków ekonomicznych do włościan, ze swych praw politycznych, do większych właścicieli (szlachty). Posiadłości szlachty zagrodowéj było w Kr. Polskiém 33,360, nale-

żącéj do nich ziemi 704,154 morgów; wypada zatém na każdą posiadłość średnio po 21¼ m. Względy polityczne przeważyły, i rozciągnięto do nich obowiązek opatrzenia włościan osiadłych w ich posiadłościach ziemią, wyłączając ze szlachty zagrodowéj tych, co posiadali mniéj niż 15 morgów gruntu, 498 drobnym właścicielom, mającym po mniéj niż 60 morgów gruntu, w zamian za straty poniesione przez nich w skutek przeznaczenia części ich posiadłości dla włościan, przyznano pomoc pieniężną z summy 58,769 rs. na ten cel wyznaczonéj. Należąc do drobnych właścicieli ziemskich, szlachta zagrodowa zalicza się pod względem ekonomicznym do włościan, w porównaniu ich z większą własnością.

Osób mających *prawo głosowania* na zebraniach gminnych liczono w 10 guberniach Kr. Polskiego 464,162, wypada zatém średnio na gminę 353 osób. Najmniéj było w gminie rządowéj *Stawiszyn* gub. Kaliskiéj (21 osób), najwięcéj w gminie *Jeziorko* gub. Łomżyńskiéj (1,126 osób).

W dniu 1 Stycznia 1874 r. liczono *ludności wiejskiéj* obojéj płci w Kr. Polskiém 5,273,136. Podług *wyznań* było pomiędzy tą ludnością:

Prawosławnych	9,913
Katolików	4,348,694
Greko-unitów (którzy obecnie prawie wszyscy zostali Prawosławnymi)	256,500
Protestantów	283,790
Żydów	371,929
Mahometan	2,310
Razem . . .	5,273,136

Początkowo przyjęto jako normę dla jednéj gminy pojedynczéj od 2½ do 3 tysięcy ludności, lecz w skutek ukazu 1 Czerwca 1869 r., zamieniającego wiele miasteczek na osady, normę tę zniesiono. Ztąd obecnie w Kr. Polskiém znajduje się gmin mających:

od 1,000	do 2,000	ludności		52
„ 2,000	„ 4,000	„		688
„ 4,000	„ 6,000	„		444
„ 6,000	„ 8,000	„		114
więcéj niż 8,000		„		15

Wypada zatém średnio na gminę 4,016 mieszkańców; najwięcéj liczy gmina *Zambrów* gub. Łomżyńskiéj (10,087), najmniéj gmina *Jasionka* gub. Siedleckiéj (1,203).

Ponieważ przy tworzeniu gmin zwracano przeważnie uwagę na ludność, nie zaś na *przestrzeń*, przeto różnice pod względem przestrzeni pomiędzy gminami pojedynczemi, są znaczniejsze niż pod względem ludności. Najmniejszą jest *osada górnicza* gub. Kieleckiéj, licząca 152 morgi przestrzeni; najrozleglejszą gmina *Łentupy* gub. Suwalskiéj, mająca 36,952 morgi przestrzeni.

Gmin mających mniéj niż 5,000 morgów jest		65
mających od 5,000 do 10,000	morgów	282
„ „ 10,000 „ 20,000	„	784
„ „ 20,000 „ 30,000	„	168
mających więcéj niż 30,000	„	18
wypada więc przeciętnie na gminę 13,839	„	
i na jednę osobę 3,4	„	

Przeciętnie największe gminy są w gub. Lubelskiéj (18,096 m.), najmniejsze zaś w gub. Radomskiéj (11,426 m.) W stosunku do ludności wypada najwięcéj ziemi na osobę w gub. Siedleckiéj (4,4 m.), najmniéj w gub. Kaliskiéj (2,8 m.)

W Kr. Polskiém liczą *przestrzeni* 18,170,991 morgów; z tego posiadają:

włościanie i mieszczanie rolnicy	8,523,960
drobna szlachta	704,154
inni właściele niezaliczeni do kategoryi powyższych	8,942,877
Razem . .	18,170,991 m.

To wynosi 1824 mil □, a ponieważ podług obliczeń *Strelbickiego* Kr. Polskie liczy 2,312 mil □, przeto różnicę tych cyfr, czyli 488 mil □ zajmują przestrzenie wodne, miasta i komunikacye publiczne.

Opłat gminnych w 1873 r. było	1,093,188	rs.	75½	kop.
wydatki wynosiły	1,091,922	„	97¾	„
Główne pozycye wydatkowe są następujące:				
opłata wójtów	250,905	„	84	„
„ ławników	57,945	„	61	„
„ pisarzy i ich pomocników	283,727	„	58¼	„
na kancelarye i inne wydatki zarządu gminnego	238,410	„	57¾	„
na potrzeby ogólne gminy. .	260,933	„	36¾	„
Razem .	1,091,922	rs.	97¾	kop.

Opłatę gminną wnoszą włościanie, posiadacze większych

własności ziemskich, i rząd za ziemie rządowe; razem z 15,050,449 morgów 32 prętów; wypada zatém przecięciowo z morga 7,2 kopiejek.

Średnia ta cyfra jest różną dla gmin włościańskich i mieszanych z jednéj strony i gmin rządowych z drugiéj strony. Pierwszéj kategoryi gminy płacą najmniéj w gub. Suwalskiéj (5 kop. z morga), najwięcéj w gub. Warszawskiéj ($8^3/_4$ kop.); dla drugiéj kategoryi gmin, różnica zawartą jest pomiędzy $10^1/_2$ kop. z 1 morga (gub. Suwalska) i 21 (gub. Płocka).

Posiadacze większych własności i rząd, chociaż nie mają głosu w zebraniach gminnych i nie należą do ich zarządu, ponoszą połowę ich kosztu. Dla tego niedokładnie się wyraża *p. Anuczyn* w przedmowie, przytaczając, że włościanie opłacają rocznie na utrzymanie zarządu gminnego blizko 1,093,000 rs., albowiem wypada na nich ledwie połowa wyżéj oznaczonéj summy.

Z liczby ogólnéj 1,313 gmin Królestwa 861 dla zarządu wybudowały osobne *domy*, t. j. 65,63 proc. liczby ogólnéj; 395, (30,04 proc.), gmin, najmują lokale dla zarządu; w 37 gminach obywatele oddali pomieszczenie dla kancellaryi gminnéj, nie żądając wynagrodzenia; w 14 gminach uczynił to rząd, i tylko w 6 gminach (0,45 proc.) zarząd gminny znajduje się w domu wójta gminy. Licząc 1,000 rs. na koszta budowy, 861 nowo wybudowanych domów mogło kosztować 861,000 rs.

W 1873 r. liczono w Kr. Polskiém

wójtów gmin .	1,313
ławników . .	3,061
Razem . .	4,374

Z liczby *wójtów* było na służbie:

1-sze trzech-lecie	874	czyli	66,6	proc.
2-gie „	277	„	21,1	„
3-cie „	120	„	9,1	„
4-te „	42	„	3,2	„

Liczba wójtów, pełniących swój obowiązek dłużéj niż 3 lata, wynosiła najmniéj w gub. Radomskiéj (19 proc. liczby ogólnéj), najwięcéj w gub. Suwalskiéj (45 proc.)

Z liczby *ławników* było na służbie:

1-sze trzech-lecie	2,285	czyli	74,7	proc.
2-gie „	616	„	20,1	„
3-cie „	125	„	4,1	„
4-te „	35	„	1,1	„

Liczba ławników, pełniących swój obowiązek więcéj niż 3

lata, jest stosunkowo mniejszą niż wójtów; najwięcéj ich wypada w gub. Suwalskiéj i Kieleckiéj (po 34 proc. liczby ogólnéj), najmniéj w gub. Radomskiéj (9 proc.)

Podług *stanu* liczono:	*wójtów*	*ławników*
ze szlachty (zagrodowéj)	183 (14 proc.)	196 (6,4 proc.)
z włościan	989(75,3) „	2,625 (85,8) „
z mieszczan	141(10,7) „	240 (7,8) „

Wójtów niepochodzących ze stanu włościańskiego było najwięcéj w gub. Łomżyńskiéj (45 proc.) Płockiéj (43 proc.), i Warszawskiéj (37 proc.); *ławników* w gub. Łomżyńskiéj (29 proc.), Płockiéj (29 proc.) i Siedleckiéj (23 proc.) Urzędników gminnych włościan, było najwięcéj w gub. Lubelskiéj, Kieleckiéj i Suwalskiéj. Z liczby ogólnéj ławników jest 7 *Żydów:* 3 w gub. Suwalskiéj, 2 w Siedleckiéj i po jednym w gub. Płockiéj i Lubelskiéj.

Piśmiennych wójtów było:

w 1870 r. 60 proc. liczby ogólnéj
„ 1871 „ 63 „ „
„ 1872 „ 65 „ „
„ 1873 „ 66 „ „

W 1873 r. liczba ogólna		*Oddano pod sąd.*	*Oddalono ze służby.*
wójtów	(4,627)	316	427
ławników	(9,712)	124	385

Co do czynności urzędów gminnych, było ustanowionych *opiek* w 1873 r. 57,542; z téj liczby przypada opiek:

nad nieletnimi	56,762
„ sierotami	351
„ waryatami i słabego umysłu	77
nad majątkiem nieobecnych	352

W celu podziału pomiędzy spadkobiercami *sprzedano* dóbr zostających pod opieką, ruchomych . . . 351
nieruchomych . . 407

Razem . 758

Wydanych przez zebrania gminne *postanowień* było w 1873 r. 6,249: z nich dotyczyły rozkładu podatków pomiędzy wsie, należące do gminy 318; oznaczenia i rozkładu opłat na utrzymanie zarządów gminnych i zaspokojenie potrzeb gminnych 2,597; odnosiły się do wyborów na urzędy 412 i innych przedmiotów dotyczyły 2,922.

Sądy gminne roztrzygnęły w 1873 r.

spraw sądowo-policyjnych	65,582—60,8 proc.
„ cywilnych	36,681—34 „
„ spadkowych i podziałowych	4,770— 4,4 „
spraw dotyczących opiek	809— 0,8 „
Razem . .	107,842

Prócz tego zapisano do ksiąg sądowych gminnych *sądów polubownych* 2,796.

Spełniono wyroków sądów gminnych w 1873 r. 84,877 czyli 78 proc. liczby ogólnéj.

Podane były *skargi* przez strony interesowane na postanowienia sądów gminnych:

w sprawach sądowo-policyjnych	2,596— 3,8 proc.
„ cywilnych	3,853—10,5 „
„ spadkowych . . .	1,725—36 „
„ dotyczących opiek	46— 5,6 „

Przedstawiono do *kassacyi* komissarzom włościańskim:

spraw sądowo-policyjnych . . .	31
„ spadkowych	32

Z powyższego okazuje się konieczność dopuszczenia apelacyi w sprawach spadkowych.

W 1864 r. było *szkół wiejskich* w całém Królestwie 848; z nich 266 znajdowało się po miastach, a 582 po wsiach, z ostatnich liczba największa przypadała na gub. Warszawską (534); w pozostałych 4 guberniach było 314. Od 1865 do 1873 r. w przeciągu 9 lat liczba szkół wiejskich urosła z 848 do 2,090, przybyło zatém 1,242 szkoły, czyli 146 proc. liczby 1865 r. Najmniéj przybyło szkół w gub. Warszawskiéj (29 proc. liczby 1865 r.) i Kaliskiéj (39 proc.); w pozostałych guberniach powiększenie liczby szkół wynosi więcéj niż 100 proc., największém ono jest w gub. Siedleckiéj (473 proc.) i Lubelskiéj (462 proc.).

Podług *wyznania* dzieliły się te szkoły na prawosławne 15

greko-unickie, które obecnie zamieniono na prawosławne . .	318
katolickie . . .	1,569
protestanckie .	182
żydowskie . .	6

W stosunku do gmin, było gmin mających po 1 szkole	490
„ „ „ „ 2 szkoły	293
„ „ „ „ 3 „	146

W stosunku do gmin,	było	gmin	mających	po 4	szkoły	72
"	"	"	"	5	"	29
"	"	"	"	6	"	17
"	"	"	"	7	"	5
"	"	"	"	8	"	1
		gmin	nie mających	szkół	. .	260

Etat większéj części szkół, bo 1,775, wynosił rocznie od 100 do 300 rs., 268 szkół nie dochodził 200 rs., i tylko 47 szkół przenosił 300 rs. rocznie.

Budżet 2,090 szkół wynosił w 1873 roku 366,313 rs. 16 kop. Na summę tę złożyły się:

Zasiłek z kassy państwa	68,278 rs.	89 kop
Zasiłek od gmin	2,705 "	70 "
Procent od kapitałów lokowanych w Banku Polskim	3,306 "	13½ "
Z summ kościelnych parafii ewangelickich . .	735 "	50 "
Dochód od dzierżawy gruntów szkolnych . .	1,122 "	82 "
Opłata mieszkańców:		
pieniędzmi	280,841 "	82 "
przedmiotami	9,322 "	29½ "
Razem	366.313 rs.	16 kop.

Wypada zatém rocznie na jednę szkołę 175 rs., najmniéj w gubernii Piotrkowskiéj (160 rs.), najwięcéj w gubernii Łomżyńskiéj (199 rs.).

Uczącéj się młodzieży w szkołach wiejskich było:

	Chłopców	dziewcząt	razem
w 1864 r.	— 28,613	— 18,938	— 47,551
w 1872 r.	— 72,669	— 37,882	— 110,551

powiększenie wynosi zatém 63,000, czyli 132%.

W szkołach wiejskich było w 1873 roku:

nauczycieli	1,908
nauczycielek	154

Z téj liczby było nauczycieli, którzy pokończyli seminarya nauczycielskie, 490. Ponieważ w przeciągu okresu od 1867 do 1874 roku ukończyło nauki w 9 seminaryach nauczycielskich 609 nauczycieli elementarnych, zatém 20% téj liczby wybrało sobie inną, nie nauczycielską karyerę.

Od 1 Stycznia 1872 r. wykład języka rossyjskiego w szkołach elementarnych jest obowiązującym.

W 1869 roku rząd wyznaczył summę 166,560 rs. w celu urządzenia *Kass wkładowo-pożyczkowych* w każdym powiecie, najprzód po jednéj w 1869 roku, następnie jeszcze po dwie w 1870 roku.

Tym sposobem urządzono 258 kass. Pożyczki z nich wydają się do 100 rs. przy zabezpieczeniu majątkiem nieruchomym, i do 15 rs. za poręczeniem. Procent od pożyczek liczy się 8 od sta rocznie. Następnie od 1870 r. do 1 Stycznia 1874 r. urządzono z funduszów gminnych nowych 209 kass. Najwięcéj kass wkładowo-pożyczkowych liczy gubernia Radomska (86), najmniéj gubernia Suwalska (27). Z ogólnéj liczby gmin Królestwa Polskiego (1313), w 826 nie ma jeszcze kass pożyczkowych.

Stan 258 *Kass utworzonych z funduszów rządowych*, od czasu ich otwarcia, aż do 1 Stycznia 1874 roku, był następujący:

Kapitał zakładowy wynosił . .	169,215	rs.	52¾	kop.
Ofiary na rzecz kas	1,540	„	27½	„
Depozytów procentowych . . .	320,694	„	11¼	„
„ bezprocentowych . .	11,016	„	06	„
Zwrócono pożyczek	1,084,814	„	77½	„
Zapłacono procentów	111,774	„	23¾	„
„ kar	8,560	„	87½	„
Cały dochód	1,707,615	„	86½	„
Cały rozchód	1,682,911	„	02¼	„
Było gotówki 1 Stycznia 1874 r.	24,704	„	84¾	„
Było rozpożyczonych	483,810	„	08½	„
Kapitał obrotowy wynosił zatém	508,514	„	93¼	„
Liczba depozytów	3,716	„		
Największy depozyt wynosił . .	2,074	„	30½	„
Najmniejszy „ . .	0,25	„		
Udzielono pożyczek	70,987			
Z tego na majątek nieruchomy .	69,417			
Za poręczeniem	1,570			
W 209 *Kassach z funduszów gminnych*				
wynosił kapitał zakładowy . .	174,293	„	04¼	„
Ofiary na rzecz kass	1,109	„	54	„
Depozyta procentowe	129,970	„	10	„
„ bezprocentowe . . .	4,959	„	59½	„
Zwrócono pożyczek	276,633	„	81	„
Zapłacono procentów	43,219	„	62	„
„ kar	1,913	„	72¼	„
Cały dochód do 1 Stycznia 1874 r.	632,099	„	43	„
Cały rozchód	618,215	„	54¼	„
Wypożyczono	587,708	„	63½	„
Było gotówki 1 Stycznia 1874 r.	13,883	„	88¾	„
Wypożyczonych	311,074	„	82½	„
Cały kapitał obrotowy	324,958	„	71¼	„

Liczba depozytów	1,693	rs.
Największy depozyt	3,000	„
Najmniejszy „	0,21	„
Udzielono pożyczek	22,645	
Na nieruchomości	21,634	
Za poręczeniem	1,011	

Podatki opłacane przez włościan Królestwa Polskiego są następujące: *Bezpośrednie:* podymny i gruntowy, ostatni znowu główny i dodatkowy. Podatek *podymny* wynosi od zabudowań włościańskich, mających więcéj niż 15 morgów gruntu po 4 rs. rocznie, od zabudowań mających od 3 do 15 m. po 2 rs. i od osad mających mniéj niż 3 m. gruntu po 1 rs.; uwolnione są od tego podatku gmachy publiczne i instytucye dobroczynne. Dla podatku *gruntowego*, tak głównego jak i dodatkowego, podzielono grunta na 4 kategorye: do 1-éj należą grunta pod zabudowaniami, ogrody i grunta pszenne, do 2-éj grunta żytnie, do 3-éj łąki, i do 4-éj lasy, zarośla, pastwiska, wygony i grunta gorsze, zasiewane raz w 3 lub 6 lat.

Do podatków zwanych *opłatami specyalnemi* należą: opłata *transportowa* mająca na celu wynagrodzenie rządu za koszta transportu włóczęgów i przestępców; *opłata kwaterunkowa* dla pokrycia kosztów kwaterunku wojskowego; następnie *składka ubezpieczeń budowli* od pożaru i *bydła* od zarazy, i nakoniec *opłata drogowa* ustanowiona w zamian dawniejszéj powinności naturalnéj szarwarkowéj.

Nareszcie, trzecim rodzajem opłat są *opłaty gminne*, pobierane na utrzymanie zarządu gminnego, szkół wiejskich i inne potrzeby gminy, płacone od gruntów położonych w gminie, zatém nietylko przez włościan, ale także przez właścicieli większych i rząd.

W 1873 roku wynosiły podatki bezpośrednie	rs.	3,795,000
opłaty specyalne	rs.	1,568,000
„ gminne	rs.	811,000
Razem	rs	6,174,000

Pierwsze zatém wynoszą 61% summy ogólnéj, drugie 25%, i ostatnie 14%.

Co do *opłat gminnych* zrobimy uwagę, że p. Anuczyn poprzednio podaje ich wysokość na 1,093,188 rs. 75½ kop., przy wyliczeniu zaś wszelkich podatków i opłat, zniża ich wysokość do 811.000 rs.

W gminach utworzonych z byłych miasteczek i w gminach mieszanych, opłaty specyalne i gminne przenoszą każda oddzielnie wysokością podatki bezpośrednie.

Wszystkie powyższe opłaty, wzięte w stosunku do morga gruntu, wynoszą najwięcéj w gubernii Kaliskiéj (86 kop. z morga), najmniéj w gubernii Suwalskiéj (57 kop.); w stosunku do ludności wiejskiéj, wynoszą najwięcéj w gub. Suwalskiéj (1 rs. 50 kop. od jednéj osoby), najmniéj w gubernii Łomżyńskiéj (82 kop.)

Gmin płacących do 50 kop. od morga jest		94
od 50 kop. do 1 rs.	„	1,006
od 1 rs. do 2 rs.	„	196
od 2 rs. do 4 rs.	„	10
od 4 rs. do 6 rs.	„	4
od 6 rs. do 10 rs.	„	3

Najwięcéj płaci gmina *Stawiszyn* gubernii Kaliskiéj (9 rs. 90 kop. od morga), gmina *Słomniki* gub. Kieleckiéj (7 rs. 15 kop.) i gmina *Dobrzyń* nad Drwęcą gub. Płockiéj (7 rs. 80 kop.)

Osad włościańskich w Królestwie Polskiém liczą 694,747 posiadających 8,698,134 morgów gruntu.

Z téj liczby znajduje się: w dobrach prywatnych, instytutowych i majoratach 440,721 osad z 5,561,931 m. gruntu; w dobrach rządowych 160,088 osad z 2,506,382 m. gruntu; i po miastach i miasteczkach rządowych i prywatnych 93,938 osad z 629,821 m. gruntu.

Porównywając z 1864 r., grunta włościańskie powiększyły się od tego czasu o 28%, a mianowicie przybyło: po wsiach prywatnych, instytutowych i majoratowych 219,778 osad z 1,502,121 m. gr.

po wsiach prywatnych, instytutowych i majoratowych	219,778 osad	z 1,502,121	m. gr.
we wsiach rządowych	38,533 osad	z 281,651	m. gr.
po miastach i osadach miejskich	8,687 osad	ze 132,583	m. gr.
Razem	266,998 osad	z 1,916,355	m. gr.

Na osadę włościańską wypada średnio po 12 morgów gruntu, najwięcéj w guber. Suwalskiéj (20 m.), najmniéj w gub. Kieleckiéj i Płockiéj (po 8 m.).

Osad mających mniéj niż po 3 morgi jest	204,705
Mających od 3 do 15 morgów	280,141
Mających więcéj niż 15 morgów . . .	205,904
Osad, których przestrzeń jeszcze nie wymierzona	3,997
Razem	694,747

Z majątków rządowych i byłych duchownych *rozdano* 42,344 familiom nie posiadającym gruntów 154,188 morgów 64 pręty; w téj liczbie 5,203 morgów 249 prętów na szkoły elementarne i zarządy gminne.

Grunta włościańskie w stosunku do całéj przestrzeni Królestwa Polskiego wynosiły najwięcéj w gubernii Suwałskiéj (75% po-

wierzchni ogólnéj), następnie w gubernii Radomskiéj (59%), Piotrkowskiéj (51%), Łomżyńskiéj, Lubelskiéj i Siedleckiéj (po 46%), Kieleckiéj (45%), Kaliskiéj (43%), Warszawskiéj (42%), i Płockiéj (31%).

Grunta włościańskie zajmowały:

w 77	gminach	mniéj niż 20%	przestrzeni ogólnéj
„ 444	„	od 20 do 40%	„
„ 396	„	40 „ 60%	„
„ 209	„	60 „ 80%	„
„ 132	„	80 „ 100%	„

nakoniec w 55 gminach były tylko grunta włościańskie.

Stosunek ludności włościańskiéj do gruntów włościańskich był jak 1 : 1,6 morgów, najwięcéj w gubernii Suwalskiéj (1 osoba : 2,7 morg.), i Siedleckiéj (1 : 2 m.); najmniéj w gubernii Płockiéj i Kaliskiéj (1 : 1,2 m.).

Gmin, w których na jednę osobę wypada po

1-ym morgu	gruntu jest	243
do 2	„	679
„ 3	„	291
„ 4	„	81
od 4 do 6 m.	„	19

Z ogólnéj ilości gruntów włościańskich wypada

na grunta orne	6,164,000 m.	—71,4%
łąki	1,006,000 m.	—11,4%
lasy	214,600 m.	—2,4%
pozostałéj przestrzeni	1,313,000 m.	—15,3%

Najwięcéj *gruntów ornych* w stosunku do przestrzeni ogólnéj gruntów włościańskich jest w gubernii Kaliskiéj (78,6%), najmniéj w gub. Łomżyńskiéj (57,5%); *łąk* najwięcéj w gub. Łomżyńskiéj (17,7%), najmniéj w gub. Piotrkowskiéj i Radomskiéj (po 8%); *lasów* najwięcéj w gub. Siedleckiéj (5,1%), najmniéj w gub. Warszawskiéj (0,6%).

Grunta orne tworzą:

w 6	gminach mniéj niż		20%
„ 29	„	od 20 do	40%
„ 133	„	40	60%
„ 565	„	60	80%
„ 580	„	80	100%

Łąki zajmują:

w 314	gminach mniéj niż		5%
„ 361	„	od 5 do	10%
„ 409	„	10	20%

w 158 gminach od 20 do 40%
„ 12 „ 40 „ 53%
50 gmin nie ma prawie łąk.

Lasy zajmują:

w 289 gminach	mniéj niż	5%
„ 78	od	5 do 10%
„ 45		10 20%
„ 29		20 40%
„ 7		40 60%
„ 3		60 80%

862 gminy nie posiadają prawie lasów.

W całém Królestwie Polskiém liczą w ogólności:

gruntów ornych	10,429,000	morg.
łąk	1,764,000	„
lasów	3,411,000	„

Jest zatém w posiadaniu włościan:

gruntów ornych	59%	ogólnéj przestrzeni
łąk	42%	„
lasów	6%	„

W czasach ostatnich zaczęli włościanie nabywać grunta dworskie od właścicieli większych. Tak od 1864 r. do 1 Września 1873 roku, nabyli gruntów dworskich 7,164 włók (po 30 morgów każda); licząc włókę średnio po 1,000 rs., nabyli włościanie gruntów za 7,164,000 rs.

W kwestyi zniesienia *służebności* (serwitutów) nie możemy się zgodzić na pogląd p. Anuczyna. Autor ten utrzymuje, że przy obowiązkowém zniesieniu służebności na żądanie tylko jednéj strony, tą stroną żądającą będą zawsze obywatele, i zniesienie nastąpi zawsze na niekorzyść włościan.

Na to odpowiadamy, że wyzyskiwania włościan obawiać się nie ma najmniejszéj racyi; mają oni bowiem w administracyi obecnéj kraju i w urzędach włościańskich pewną gwarancyą, że ci, którzy całe dzieło wywłaszczenia przeprowadzili bez krzywdy włościan, potrafią bronić ich interesu, i przy zniesieniu służebności nie dopuszczą ich krzywdy na korzyść większéj własności.

Co zaś do pierwszego, to włościanie zbyt niedawno zostali właścicielami, ażeby sami już byli w stanie zrozumieć wszystkie korzyści ekonomiczne, wypływające ze zniesienia wszelkich służebności; następnie, nie są jeszcze w stanie ocenić, jaką mają wartość wymienną posiadane przez nich służebności, ażeby sami dobrowolnie na ich zniesienie, przez wydzielenie pewnych części na zupełną własność, przystać chcieli. Z drugiéj strony poszukiwania komissyi

wyznaczonéj do zbadania stanu rolnictwa w cesarstwie Rossyjskiém pokazały, że włościanin tylko to umie cenić i szanuje, co jest jego własnością wyłączną; spólną zaś własność i używalność bardzo mało ceni i zupełnie zaniedbuje.

Zresztą mamy przykład na sąsiednich: W. Ks. Poznańskiém i Prussiech Zachodnich, w których separacya gruntów oraz zniesienie własności i używalności wspólnéj i serwitutów nastąpiły na żądanie kogobądź z interesowanych drogą urzędową, tak, że obecnie nie ma tam już żadnych służebności, a ich zniesienie obowiązkowe bynajmniéj nie nastąpiło z krzywdą włościan i małych właścicieli. (Patrz: Encyklopedyą Rolnictwa, tom II, str. 903 i nast.).

Z liczby osad włościańskich Królestwa Polskiego korzystają:

Ze *służebności* pastwiskowych		. . . . . .	299,837
„	leśnych: na opał	. . . . .	241,859
„	„	na reparacyą budn .	168,807
„	„	na ściółkę	86,433

W 31,000 osad zamienione zostały służebności przy sprawdzeniu tabel likwidacyjnych; od tego czasu nastąpiło umów dobrowolnych o zniesienie szachownic i ich rozgraniczenie w 5,027 osadach:

o zamianę służebności	36,519 „
o zniesienie szachownic, i służebn. jednocześnie .	15,843 „

Jako wynagrodzenie otrzymali włościanie gruntów i lasów 147,834 morg. 269 prętów.

Służebności ciążą przeważnie na gruntach i lasach, należących do osób prywatnych; na gruntach i lasach rządowych tylko bardzo mała ilość osad włościańskich zatrzymała służebności.

W dobrach rządowych z ilości 15,355 osad włościańskich, korzystających ze służebności w 1864 r., zamieniono je przy układaniu danych na ziemie w 10,688 osadach; pozostały zatém służebności naturalne w 4,665 osadach; ciążą one jednak tylko w małéj części na dobrach rządowych, w przeważnym zaś stosunku na dobrach osób prywatnych, na mocy dawniejszych przywilejów lub zwyczaju.

Z ogólnéj ilości gruntów należących obecnie do włościan, *oznaczonych na planach* jest 5,576,528 mor. 167 prętów czyli 64%; nie mają jeszcze planów 3,121,606 m. 41⅓ prętów, czyli 36%.

Na 1,313 gmin tylko w 275 zrobiono plany dla wszystkich wsi, a 31 nie posiada żadnego planu.

Pomiar dokonany już w 431, 404 osadach włościańskich, miasteczkach i miastach; pozostaje zatém do zrobienia pomiar w 263,342 osadach.

Budowli należących do włościan liczą w Królestwie Polskiém 1,289,268, ubezpieczonych na 103,668,517 rs., średnia zatém wartość jednéj budowli wynosi 80 rs.; największą jest ta wartość średnia w gub. Warszawskiéj (129 rs.), najmniejszą w gub. Lubelskiéj i Radomskiéj (59 rs.). W stosunku do osad wypada przecięciowo na *jednę osadę* 156 rs.; najwięcéj w gub. Suwalskiéj (269 rs.), najmniéj w gub. Kieleckiéj (107).

Na *jeden morg* wypada średnio 12 rs.; najwięcéj w gub Warszawskiéj (15 rs.), najmniéj w gub. Łomżyńskiéj (9 rs.).

Gmin, w których wartość budowli na 1 morg wynosi mniéj

niż 10 rs., jest	546
od 10 do 20 rs.	594
„ 20 „ 40 „	131
„ 40 „ 60 „	16
„ 60 „ 100 „	17
„ 100 „ 200 „	6
wyżéj 200 „	3

Zwierząt domowych było u włościan:

Koni	568,356—12,9%
Bydła rogatego .	1,673,073—38,2%
Owiec	1,260,981—28,6%
Nierogacizny. . .	892,572—20,3%
Razem .	4,394,982—100%

Najwięcéj *koni* liczono u włościan gub. Kieleckiéj (17%), najmniéj u włościan gub. Siedleckiéj (6%); *bydła rogatego* było najwięcéj u włościan gub. Kieleckiéj (47%), najmniéj u włościan gub. Suwalskiéj (22%); *owiec* najwięcéj znajduje się u włościan gub. Siedleckiéj (42%), najmniéj u włościan gub Kieleckiéj (12%); nakoniec co do *trzody chlewnéj*, najwięcéj jéj znajduje się u włościan gub. Suwalskiéj (23%), najmniéj u włościan gub Piotrkowskiéj (14%).

Jedna sztuka zwierząt domowych wypada na 2,1 morg., jeden koń na 16 m., jedna sztuka bydła rogatego na 5 m., jedna owca na 7 m. i jedna nierogacizna na 10 m.

Najwięcéj stosunkowo jest zwierząt domowych w gub. Siedleckiéj (1 szt. na 1,5 m.), mianowicie najwięcéj owiec (1 szt. na 3 m); najwięcéj bydła rogatego liczy gub. Suwalska (1 szt. na 10 m.); najmniéj koni w gub. Siedleckiéj (1 koń na 21 m.); najmniéj trzo-

dy chlewnéj w gub. Piotrkowskiéj (1 szt. na 15 m.), i nakoniec najmniéj owiec w gub. Kieleckiéj (1 szt. na 14 m.).

W 10-ciu guberniach Król. Polskiego naliczono *ulów* 242,071; wypada zatém 1 ul na 3 osady i na 40 morg. gruntu.

Najwięcéj ulów liczy gub. Lubelska (1 ul na 1 osadę i na 21 m. gruntu); najmniéj gub. Suwalska (1 ul na 5 osad i 106 morgów). W stosunku do gmin, w 45 gminach znajduje się jeden ul na mniéj niż 10 morg. gruntu, ale za to w 225 gminach albo nie ma ich zupełnie, albo jeden ul wypada na więcéj niż 100 m. gruntu.

P. Anuczyn daje nam także liczbę *kolonistów cudzoziemców*, osiadłych w Król. Polskiém. Rodzin cudzoziemskich jest 28,616 liczących 116,102 osób płci obojéj; z téj liczby przyjęło poddaństwo rossyjskie: 77,758 osób, nie przyjęło 38,344 osób. Posiadają ci obcy koloniści gruntu 361,307 morgów, dzierżawią zaś 131,569 morg.

Prócz nich znajduje się 543 większych własności ziemskich w rękach cudzoziemców, posiadających gruntu 970,999 morgów. W ogólności zatém w posiadaniu cudzoziemców jest 1,332,306 m. gruntu, nie licząc dzierżawionych, czyli 7,3% przestrzeni ogólnéj.

Prócz tego znajduje się w rękach cudzoziemców 633 *fabryk i zakładów* przemysłowych wytwarzających produktu rocznie za 19,722,090 rs., t. j. stanowiących 27% całéj działalności przemysłowéj kraju, która wynosiła w 1873 r. 73,037,000 rs. Z ilości 396 kolonii, znajduje się zamieszkanych wyłącznie przez Niemców 291.

Szynków liczono w Kr. Polskiém 18,065, co przy 5,273,136 ludności wiejskiéj wynosi jeden szynk na 292 osoby. Najwięcéj ich w gub. Radomskiéj (1 szynk na 235 osób), najmniéj w gub. Łomżyńskiéj (1 szynk na 474 osób). W stosunku do gmin wypada jeden szynk na mniéj niż 100 osób w . . 8 gmin.

od 100 do 250	„	. . 424	„
„ 250 „ 500	„	. . 678	„
„ 500 „ 1000	„	. . 158	„
więcéj niż 1000	„	. . 45	„

Podobno ludność wiejska coraz to mniéj używa mocnych trunków.

Atlas pana *Anuczyna* ma niezwykłe co do wielkości rozmiary. Każda bowiem z 25 mapp liczy długości 1,52 metrów, szerokości 1,21 metrów. Są to rozmiary dotąd nieużywane w atlasach chyba wyjątkowo do mapp, przeznaczonych do zawieszenia na ścianie. Prócz bowiem wielkich kosztów wydawnictwa, a ztąd nieprzystępności dzieła dla szerszego koła czytających, tak wielki format utrudnia ogromnie korzystanie naukowe z przedstawionych przed-

miotów. Mamy bardzo dobre atlasy, jak np. *Guary'ego* atlas sądowo-karny Anglii i Francyi, daleko mniejszych rozmiarów, na których wszystkie wiadomości statystyczne przedstawione są z największą dokładnością. Nadto Królestwo Polskie nie jest tak wielkie i 1,313 gmin nie tak luźne, żeby się nie dały przedstawić z największą dokładnością na mappach wielkości zwyczajnego arkusza. Dzieło pana *Anuczyna* czyni przez to wrażenie bardziéj okazu popisowego litografii tutejszéj, niż dzieła czysto-naukowego.

Jeżeli prócz zarzutu dotyczącego zewnętrznéj formy wydawnictwa, wolno nam jeszcze zrobić uwagę co do saméj treści, to żałujemy bardzo, że pan *Anuczyn* przedstawiając stosunki ekonomiczne małéj własności w Król. Polskiém, nie uczynił tego porównawczo z własnością wielką. Metoda porównawcza jest teraz ogólnie przyjętą w statystyce, a szczególniéj w dziele przez nas rozpatrywaném byłaby bardzo pożądaną; albowiem autor pomimo woli, musiał dotykać własności większéj, przy opłatach gminnych obarczających wszelką posiadłość ziemską, i przy służebnościach, ciążących wyłącznie na większéj własności na korzyść małéj.

Ciekawém byłoby przeciwstawienie własności małéj i większéj pod względem ilości i jakości posiadanych przestrzeni, a mianowicie pod względem rezultatów produkcyi rolniczéj. Mając wszelkie wiadomości urzędowe, mógł był autor przedstawić nam wpływ jaki uwłaszczenie włościan wywarło na gospodarstwo wiejskie i jego zbiory, i o ile się w przeciągu 11-stu lat ostatnich, stosunki rolnicze obu rodzajów własności zmieniły.

Tymczasem nie uczynił tego autor; nawet gdy mowa o gospodarstwach włościańskich i o zbiorach rolniczych, nie znajdujemy żadnych danych, chociaż wnosząc z tytułu dzieła najprędzéj tych wiadomości spodziewać się mogliśmy. Podaje wprawdzie autor liczbę inwentarza żywego, ale o wysiewach i zbiorach rolniczych, obecnie i przed 11-stu laty milczy zupełnie.

Nakoniec uderzyła nas różnica zachodząca pomiędzy ilością gmin podaną przez p. Anuczyna, a ilością zawartą w spisie oficyalnym włości i gmin Rossyi europejskiéj, w dniu 1 Stycznia 1875 r. wydanym przez komitet centralny statystyczny ministeryum spraw wewnętrznych 1).

---

1) Списокъ волостей и гминъ Европейской Россій по свѣдѣніямъ къ 1 Января 1875 года, изданный Центральнымъ Статистическимъ Комитетомъ Минист. В. Д. Спб. 1875 года.

Podług tego ostatniego źródła było wszystkich gmin w Król. Polskiém 1,298; z tego gmin liczących ludności wiejskiéj:

od	501	do	1,000	ludn. męzkiéj	45 gm.
„	1,001	„	2,000	„ „	692 „
„	2,001	„	3,000	„ „	453 „
„	3,001	„	4,000	„ „	92 „
„	4,001	„	5,000	„ „	12 „
„	5,001	„	6,000	„ „	3 „
	wyżéj		6,000	ludn. męzkiéj	1 „

Podług gubernii wypada gmin:

w gubernii	Warszawskiéj	158
„	Piotrkowskiéj	152
„	Radomskiéj	145
„	Lubelskiéj	143
„	Siedleckiéj	142
„	Kaliskiéj	138
„	Kieleckiéj	132
„	Płockiéj	108
„	Suwalskiéj	93
„	Łomżyńskiéj	87

Razem gmin 1,298.

Ogółem ludności męzkiéj w gminach wypada 2,577,578, zatém przecięciowo na jedną gminę 1,985,8 mężczyzn. Ponieważ przestrzeń Król. Polskiego wynosi 111,875,4 wiorst kwadratowych, na których znajduje się 29,419 wsi, wypada zatém średnio na jednę gminę 86,2 wiorst kwadr.; a 22,6 wsi. Na jednę wieś wypada przecięciowo osób płci męzkiéj 87,9.

SZTUKA W NIEMCZECH

napisał

J. I. KRASZEWSKI.

(1. Die bildenden Künste der Gegenwart v. prof. Anton Springer. Braunschweig 1874. — 2. Ueber das Studium der Kunstwissenschaft an den deustchen Hochschulen von D-r Fr. Xav Kraus. Strassburg 1874. — 3. Das Naturschöne von Carl Berthold. Freiburg im Br. 1875. — 4. Die Landschaft in der Kunst der Alten Völker, von Karl Woermann. München 1876. — 5. Dürer. Geschichte seines Lebens und seiner Kunst, von Moritz Thausing Leipzig 1876. — 6. Geschichte der technischen Künste von Bruno Bucher. I Band. Stuttgart 1875.)

Jedenaście lat temu, znakomity krytyk francuzki Taine, pisząc swe studyum o Tomaszu Carlyle — wyraził się o Niemczech: „Od r. 1780 do 1830, Niemcy wydały z siebie wszystkie idee historyczne wieku,—i przez pół wieku, a może przez wiek cały, wielkiém zadaniem naszém będzie przemyśliwać nad niemi. Myśli, które się urodziły i kiełkowały w jednym kraju, przenoszą się do sąsiednich i szczepią w nich na czas jakiś. To, co się dzieje teraz z nami, po wielekroć już trafiało się na świecie; wegetacya umysłowa zawsze była jednakową, i z pewnością prawie, możemy przepowiadać na przyszłość to, cośmy dopatrzyli w przeszłości".

Słowa te wyrzeczone w r. 1864 — dziwnie już brzmią w r. 1875. — Sąd jest zaporywczy, zaogólny, a w wyrobieniu idei wiekowych udział, jaki niezaprzeczenie należy Niemcom, dałby się może do skromniejszego sprowadzić zakresu. Inna jest rzecz zasiać ideę, a inna motodycznie ją obrobić i wysnuć tę nić, która z łodygi lnu czyni wątek do przyszłéj tkanki. Nie będziemy ściśléj wchodzili w rozbiór tego, co Taine twierdził w roku 1864. Lecz daleko słuszniéj zdaje się nam przyznać, że na polu estetyki i teoryi sztuk pięknych, należy się Niemcom największa zasługa, i téj nikt im nie zaprzeczy.

Głębsze pojęcia o sztuce, o jéj związku z życiem i znaczeniu cywilizacyjném, samo nawet zdrowsze określenie natury piękna, winniśmy niemieckim uczonym, filozofom i mistrzom jak Goethe, co geniusz poetycki łączyli w sobie z filozoficznym, w których natchnienie godziło się z nauką, a wiedza posługiwała fantazyi.

Od téj jednak świetnéj epoki, gdy myśl niemiecka królowała po-

mimo stanu w jakim się kraj znajdował—do obecnéj, gdy Niemcy doszły do samoistności tracąc wzniosłego ducha, wiele rzeczy się zmieniło.

Zmieniło się wiele nawet od czasu, gdy Goethe z piórem i ołówkiem w ręku Włochy przebiegał, od czasu gdy Cornelius, Overbeck i Veit w starochrześciańskiéj sztuce szukali dla nowéj żywiołu i formy, od czasu jak Schnorr rysował swą Biblią i Kaulbach malował bitwę Hunnów...

Trudném jest zadaniem określić, jakie chwila obecna zajmie stanowisko w przyszłéj historyi sztuki i pojęć o sztuce. Przeszły około nas w ostatniéj ćwierci wieku najrozmaitsze prądy i najosobliwsze ich wykłady. Widzieliśmy Overbecka, a patrzymy na Knausa: szukano wprzód idealnego piękna odżywiając starochrześciańskie natchnienie (jakby się ono kiedy odżywić dawało); — widzimy dziś odrodzenie sztuki przez realizm... W jednym i w drugim kierunku *a priori* powziętym, osiągnięto tylko, posuwając się do ostateczności—absurdum artystyczne, któremu brakło głównego żywotności warunku: zdrowego natchnienia płynącego z naturalnego źródła.

Nie mogąc go znaleźć w sobie, artyści natchnienie ze śpichlerza brać musieli, a suszone nie ma smaku. Skutkiem tych po większéj części niefortunnych wysiłków, doszliśmy przynajmniéj do uznania, iż piękno jest bardzo rozliczne, że każdy jego wyraz w danéj epoce i warunkach, usprawiedliwiony być może, a wytłómaczonym być musi. Od egipskiego Sfinxa i archaicznéj szkoły helleńskiéj pierwotnéj, do Perugina i Dürera, wszystko miało przyczynę bytu i wyrażało jakąś stronę piękna, która i w naturze, począwszy od kryształu do orchidei, wyraża się najrozmaiciéj, najsprzeczniéj, lecz niesie z sobą zawsze jakiś odblask wieloramiennéj swojéj istoty.

Żyjemy w epoce ułatwionego tworzenia i nagromadzonych ku temu materyałów, sztuka się popularyzuje jak wiedza, ale mniéj od niéj czyni postępów—bo sztuka nie jest jak wiedza faktem ze zbiorowych sił wynikającym, ale owocem jednéj tylko siły, zrodzonéj na starych przetrawionych życia pokładach.

Jest ona przedewszystkiém owocem natchnienia, którego zastąpić sobie nie można ani erudycyą, ani refleksyą, ani znakomitą techniką. Znaczniejsze kierunki, w których tworzenie artystyczne mogło szukać nowych zdobyczy, już zostały wyeksplorowane—pozostało niemal—nim się źródło jakiego nowego życia otworzy z epoką nową—raczéj poznawanie i ocenianie przeszłości, niż tworzenie, do którego właściwéj brak siły genetycznéj. Sztuka musi się dziś

niemal ograniczać na powtarzaniu umiejętném tego co było — jak starzec, który wspomnieniami żyje. Nikomu z nowych artystów, nawet najgenialniejszych, nie było daném odsłonić strony nieznanéj i świeżéj piękna, bo na to potrzeba pewnéj siły — pewnego stanu ducha, który przychodzi sam, ale się przywołać nie daje. Wysiłki są nadaremne—należy więc ograniczyć się tém, ku czemu nas usposabia wiek, w którym żyjemy, i pracować na polu historyi, teoryi i krytyki artystycznéj...

Tu też widzimy rzeczywiście najpiękniejsze zdobycze, najznakomitsze dzieła. W Niemczech od Lessinga począwszy, od Goetego i Jean Pola do Vischera, najdaléj posunięte zostało badanie dziejów, warunków i natury sztuki. Niezliczone materyały na pozór podrzędnéj wartości, ale przygotowujące wyjaśnienie pojedynczych zadań, nagromadzone zostały. Pełen bajek Sandrart, stary, jest przecież źródłem nie do pogardzenia, gdy się nim posługuje krytyka. Nic oschlejszego nad słownik Nagler'a, ale i on też jest cegiełką gmachu, który się ma podnieść i sięgnąć najwyższych zagadnień. Vischer i Zimmermann nie zbudowaliby swych estetyk, gdyby ich Kant i Lessing nie poprzedzili, a nawet daleko skromniejsi robotnicy. Gardzić więc i lekceważyć nie możemy ukazującemi się na tém polu, nawet najdrobniejszemi pracami, jeżeli one rzeczywiście nowego coś nam przynoszą. I w tym przedmiocie niemiecka literatura nadzwyczaj jest obfitą w owoce — historyi, teoryi i krytyki artystycznéj.

Lecz gdy obok stanu literatury artystycznéj, zapatrzymy się na samę sztukę niemiecką i jéj produkcye, uderzy nas ogromny odstęp i różnica wartości. Widać tu wysiłek wielki, żądzę ogromną i bezsilność zarazem... Na miejscu Corneliusa... Pilotti z teatralnym tryumfem Germanika, — Richter z budową piramid dekoracyjną, a naostatek Knaus ze swą satyrą, wojujący pędzlem z partykularyzmem małych rezydencyi i wygasających małych ognisk życia.

Pominąwszy *stellas minores*, sztuka niemiecka ma dziś tylko dwu mistrzów: kolorystę Makarta i satyryka Knausa — obu stosunkowo tylko mogących się liczyć do tego zastępu, na którego czele stoją Rafael, Michał Anioł, Tycyany i Weronezyusze. Obu im braknie tych skrzydeł, co nad ziemię podnoszą—niewieści wdzięk piętnuje pierwszego, uchwycenie trafne śmieszności i charakterystyki w poziomych postaciach, drugiego.

Na pierwszéj owéj wystawie wszechświatowéj w Londynie, po któréj tyle innych nastąpić miało, coraz mniéj rozbudzając zajęcie—Anglicy przekonali się z przykrością, że u nich daleko mniéj

rozwinięte było poczucie piękna, objawiające się w kunsztach technicznych, niżeli we Francyi,—od téj chwili poczęło się pilne staranie o popularyzowanie wzorów, o nauczanie rysunku w szkołach ludowych, o rozbudzenie tego zmysłu, który może być rozwiniętym i powinien być rozwijanym. Tak samo Niemcy na wystawie wiedeńskiéj musieli uznać tę smutną dla siebie prawdę, iż Francya i Włochy — zwyciężyły ich na polu kunsztu i zastosowań jego w życiu powszedniém. Było to tak uderzającém, tak rzeczywistém, że najpotężniejsza zarozumiałość oprzeć się jawnéj prawdzie nie mogła. Od téj też daty poczęto także w Niemczech zakładać muzea przemysłowe, gromadzić wzory z czasów ubiegłych i nauczanie rysunku rozpowszechniać. — Owoców oczekiwać dopiero można, po upływie pewnego czasu. Troskliwość około rozwinięcia zmysłu piękna, jest, przyznać potrzeba, wielka; dotąd jednak w wyrobach niemieckich postępu dostrzedz jeszcze nie mogliśmy.

O tym stanie kunsztów technicznych w Niemczech, daje świadectwo dr. A. Springer, jeden ze sprawozdawców wystawy wiedeńskiéj; o braku wykładów, któreby sztukę samę podnieść mogły, prostując o niéj pojęcia, mówi w innéj broszurze dr. F. X. Kraus, professor strasburskiego uniwersytetu, autor najnowszego dzieła o Katakumbach rzymskich. Powołujemy się na nich, jako na najbezstronniejszych sędziów w tym przedmiocie.

W braku katedr po uniwersytetach, mamy za to ksiąg o sztuce niemało. Nie wszystkie one wszakże przynoszą nam coś nowego. coby choć do polemiki dostarczyło materyału.

Do rzędu właśnie pozornie wiele obiecujących, a w rzeczy nie mogących zaspokoić najskromniejszych wymagań czytelnika— należy *Das Naturschöne* p. Karola Bertholda. Piękno w naturze jest przedmiotem téj ładnie illustrowanéj książki, eklektycznie zebranéj z ułamków tych właśnie dzieł, przeciw pisarzom których powstaje autor jako przeciw realistom, materyalistom, ateuszom i ludziom lubującym się w ciemnościach. Sama przedmowa już nam objaśnia stanowisko autora, który estetykę ks. Jungmanna S. J. wyżéj stawia nad Vischera. Przebiega on po krótce rozwijanie się pojęć o pięknie, opartych na studyach Winkelmana i krytykach Lessinga, na Kanta krytyce estetycznego sądu, upopularyzowanéj przez Schillera, któremu pan Berthold zadaje bezbożność,—na pracach Fichtego, Hegla, Herdera, Schleglów, Tiecka i Brentana. Nowa szkoła estetyków realistów, znajduje w nim ostrego przeciwnika, Vischer dlań ciemny, Zimmermann za-cielesny, Lemcke jest tylko deklamatorem i stylistą powierzchownym. Z noty się dowiadujemy o zasługach ojca Jungmanna, i z tego już wiemy, czego się

spodziewać mamy po księdze i autorze, którego stanowisko mniéj dla nas jeszcze określone i jasne, niż tych, na których powstaje. Estetyki eklektycznéj trudno pojąć inaczéj jak rodzaj antologii i wypisów *ad usum delphini*, i tém też jest ta książka, którą się nikt nie struje, ale z któréj nie wiele się kto nauczy. Czyta się to przyjemnie, głowy nie nuży i śladu po sobie w umyśle nie zostawia innego, nad pewne podrażnienie mnóstwem problematów nierozwiązanych. Szczęściem autor miał tu do czynienia z przedmiotem, który sam przez się mówi tak wiele, że dosyćby przecież było zestawić wizerunki istot, poczynając od najniższego szczebla do najwyższego, aby dać jasne pojęcie, jak natura udoskonala formy, stopniować je umie i urozmaicać — coraz się stając swobodniejszą i śmielszą, w miarę jak w nią duch potężniéj rozwinięty wstępuje. Szczęśliwą też była myśl pana Bertholda, objaśnienia tekstu rysunkami, które przy większém bogactwie illustracyi, starczyłyby niemal za sam wykład przedmiotu, obleczony tu frazeologią i deklamacyą, którą słusznie Lemckemu zarzuca.

Teorya piękna p. Bertholda jest zbiorem cytat, wśród których jedna tylko S. Tomasza z Akwinu w jego Summie, zasługiwała na przypomnienie, nie wyparłby się jéj, zdaje mi się, żaden tak zwany panteista: „Unaquaequae creatura habet propriam speciem, secundum quod aliquo modo participet Divinae essentiae similitudinem.“ (Summa Th. I. p. 9—15, a 2 c.). Z tego mnóstwa określeń wychodzimy odurzeni ich sprzecznościami i niedostatecznością. Następują uwagi (inaczéj ich nazwać nie można) o rozmaitych warunkach objawów piękna — o świetle, barwie, liniach i ruchu—a nawet o dźwięku. W wykładzie swym, daleko systematyczniejszym od p. Bertholda, jest nawet K. Blanc w swéj gramatyce kunsztów.

Określiwszy niby zasady i podawszy główne pojęcia, przechodzi autor do przeglądu tworów natury, rozpoczynając od kamieni, kryształów i fizyognomii gór różnych formacyi. Natura, jak widzimy na wzór uczących się rysunku studentów, od prostych linii i matematycznych figur rozpoczyna. Dla czego po kamieniu i kryształach, dopiero występują rozdziały poświęcone wodzie i powietrzu, w których poezya niemiecka posługuje estetykowi do uobrazowania ich—z tego sobie sprawy zdać nie umiemy. Z tego rozmieszczenia przedmiotów łatwo wnieść, jak arbitralnie i niesystematycznie autor swój przedmiot traktuje. W tym szeregu form nie usprawiedliwia się niczém postawienie kamieni na czele, a po nich wody i powietrza, rozdzielających te pierwsze objawy od królestwa roślinnego.

Jednym z głównych oprócz tego zarzutów, jakie mu uczynić można, jest, iż przechodząc tak twory natury w pewnym porządku, zapomina często, że to są pojedyncze żywioły, części składowe, które dopiero w całkowitym obrazie do jakiego należą, całą swą wartość mają. Jeśli gdzie to w pojęciu piękna, bez pojęcia stosunku, stopniowania, antytezy, obejść się nie można — olbrzymie wizerunki natury, tylko w związku z całością obrazu, zrozumieć się i ocenić dają. Motyl stref południowych, przyszpilony na kawałku papieru, jest literą alfabetu wyciętą. P. Berthold wprawdzie nakońcu mówi na kilku stronicach o zbiorowych obrazach, ale do nich najmniéj przywiązuje wagi. Obszernie bardzo scharakteryzowane są rośliny, których bogactwo form i barw, cały już nowy świat stanowi. Mniéj i krócéj mówi się o zwierzętach, a najmniéj o całości krajobrazów, do których żywioły te składowe należą. W ogóle dzieło czyni wrażenie pracy dyletanta dobréj woli, który zabawiał się i marzył, więcéj niż badał i zgłębiał. Chociaż krytyka niemiecka bardzo względnie ładną tę książkę przyjęła, jest ona rzeczywiście pokuszeniem się nad siły. Jako rodzaj propedeutyki estetycznéj, może być wszakże użyteczną.

W pewnym związku z poprzedzającą pracą, ale zupełnie od niéj charakterem różna, jest niezmiernie uczona księga Karola Woermann'a (z Düsseldorfu), „O krajobrazie w sztuce narodów starożytnych"—rodzaj propedeutyki do historyi krajobrazu w ogólności. Dzieło to wyczerpujące, drobnostkowo wykonane, prawdziwie po niemiecku. Studya i erudycya ogromne... wykład nużący i nieprzypuszczający w czytelniku żadnych przygotowawczych wiadomości, materyał zużyty olbrzymi, ale życiodawczego tchu w tém wszystkiém nie ma. Autorowi winniśmy szacunek; rozmiłować się w nim trudno. Jest to właściwie historya krajobrazu tam, gdzie go jeszcze wcale nie było; autor sam to powtarza wielokrotnie, bo dopiero w epoce greko-rzymskiéj, jawniejsze jego spostrzegamy początki. Bądź co bądź, już w sztuce Egipcyan, na ich malowanych hieroglifach i płaskorzeźbach, występują elementa krajobrazu, drzewa, wody, budowy i widoki w rodzaju topograficzym à vol d'oiseau. Wszystko to jest tak pierwotne, że wodę musi charakteryzować obecność ryby, gdyż inaczéj niktby jéj nie poznał... Już daleko stosunkowo wyżéj jest posunięte pojęcie piękna w krajobrazie u Chińczyków i w Japonii, ale autor ograniczył się w swych studyach do stosunkowo nowszych malowań na porcelanie i lakach... Fantazya bardzo swobodnie sobie postępuje z naturą i nie troszczy się wcale o prawdopodobieństwo. Chińczyk lubujący się w smokach i tworzonych przez się potworach, naturę też przera-

bia, barwi, ustawia, porządkuje ze śmiałością i swobodą, która nie zna żadnych granic. Trudno tu rozpoznać drzewa i rośliny, oboje rozdrobnione są i rozłożone, a potém sklejone wedle praw, których ani przewidzieć, ani wytłómaczyć niepodobna. W tém wszystkiém jednak, nie brak pewnego dziecinnego wdzięku i poczucia piękności linii, ich równowagi lub przeciwieństwa.

Bardzo słusznie autor szuka krajobrazu nietylko w sztuce plastycznéj, ale i w poezyi, objaśniając za jéj pomocą wiele. U Indów, o których Carrière powiada, że „związek między duszą ludzką a duszą świata, u nich zawarty, stał się podstawą malarstwa krajobrazowego“ prawdzi się szczególniéj to, że malowanie slowy—wyłączyć się z téj historyi nie daje. Tu, krajobraz malowany barwami ledwie się spotyka, a w pieśniach natura żywo i kraśno występuje. W wielkich poematach indyjskich, w Wedach, w Kalidasy Porach roku, u Brahmana Bhawabhuki, malownicze obrazy są wielkiéj piękności i blasku. Natomiast w sztuce, krajobraz ledwie bardzo podrzędną gra rolę, a tła niektórych miniatur w rękopismach przedstawiające naturę, są i rzadkie, i stosunkowo nowsze. Sumienny autor szuka jeszcze śladów krajobrazu u Assyryjczyków i Persów, ale tylko *disjecta membra* ich i to rzadko natrafia.

Po tym wstępie, nader wyczerpującym, przechodzimy do krajobrazu w sztuce u Greków, przed Aleksandrem Wielkim. Cały ten rozdział oparty jest naturalnie na pomnikach piśmiennych raczéj, niż na zabytkach, z których mało nas doszło. Sztuka grecka przedewszystkiém plastyczną była; malarstwo też płaskorzeźbowe chwytało profile i sylwetki. Dopiéro, jak autor dobrze utrzymuje, teatr i dekoracye jego, które złudzenie czynić musiały, nadały inny malarstwu kierunek, i wprowadziły je na drogę nową. Jednakże obrazy te, w których od czasów Apollodora występowały tła krajobrazowe, podrzędne bardzo znaczenie dawały naturze, zaledwie nakreślonéj i trzymanéj tak, aby nie odciągała uwagi i wzroku od głównego przedmiotu.

Rzeczywisty krajobraz w sztuce starożytnych, samoistnie pojęty, zjawia się późniéj daleko. Przeszkodą główną są antropomorficzne idee Greków, uosabiających, uczłowieczających można powiedzieć wszystko—z rzek, gór, tęczy, morza, obłoków czyniących ludzkie postaci. W sztuce greko-rzymskiéj, zjawia sie wreszcie tło krajobrazowe, nawet na płaskorzeźbach, których kilka autor przywodzi, sam jednak sposób wykonania ogranicza artystów i zmusza do trzymania się pewnych form, z których wyjść nie mogą; zjawiają się też na naczyniach malowanych (vulgo etruskich), a na ostatku dopiero w ściennych obrazach dekoracyjnych,

których wiele widzieć można dobytych z gruzów Pompei. Te i my sami mieliśmy zręczność oglądać, a zaprzeczyć im już znaczenia prawdziwych dzieł kunsztu, świadomego swego celu, niepodobna. Są to w istocie krajobrazy, które naturę przedstawiać zamierzały, i których wzory widocznie były z Kampanii wzięte. Są to te wille, ogrody, portyki, galerye, łaźnie, z okolic Pozzuoli i Baii, w których świat rzymski rozkoszował się, uciekając ze stolicy. Wprawdzie budowy i architektura przeważną ich część zajmują; lecz i drzewa, nawet z fizyognomią, która rodzaj ich rozpoznać daje, stoją obok i dopełniają całości. Zważywszy, że wszystko to co z Pompei mamy, ogranicza się malowaniami ściennemi, to jest dekoracyjnemi, wnosić się godzi, że krajobrazy enkaustyką na tablicach robione, daleko wyższéj były wartości. Pomimo stosunkowéj tylko ceny malowań pompejańskich w ogóle, nie mogą się one mierzyć z pomnikami rzeźby, i stoją od nich niżéj daleko, tak że niepodobieństwo jest przypuszczać, aby były ostatniém słowem ówczesnéj sztuki. Są to widocznie roboty dekoratorów, którym spiesznie je było wykonać, mających rękę wprawną, ale raczéj śmiałą niż pewną—niektóre z nich dziełami sztuki w żadnym razie nazwać się nawet nie mogą. Krajobrazy ścienne uważać więc należy, jak się nam zdaje, tylko za rodzaj skazówki i miary. Znalezione świeżo malowania w Rzymie, nieskończenie piękniejsze od pompejańskich, twierdzenie nasze popierają.

Dzieło pana Karola Woermanna, jakeśmy wyżéj powiedzieli, nie pociągające formą, jest wszakże jako materyał i erudycya znakomitéj wartości, i dla historyków sztuki daje przynajmniéj pogląd na stronę produkcyi artystycznéj, najmniéj dotąd postrzeganą i zbadaną.

Z kolei mówić nam przychodzi, może o najcenniejszéj z publikacyi, o których tu krótką podajemy wiadomość, o życiu i dziełach A. Dürera przez M. Thausing'a. Obszerna ta praca, owoc studyów długiemi laty czynionych po wszystkich niemal zbiorach i gabinetach europejskich, miała się jeszcze ukazać w r. 1871, w czterechsetną rocznicę urodzin wielkiego mistrza. P. Thausing wolał się powstrzymać z ogłoszeniem jéj, niż dać niewykończoną. Chwali mu się to i opłaca znakomitą wartością monografii.

Zdaniem jednak naszém, książka z dwu niemal oddzielnych części złożona, przepleciona, nie dosyć będzie rozpowszechnioną z powodu, iż autor, studya drobnostkowe, przygotowawcze włączył do samego opowiadania. Postać mistrza, zresztą troskliwie i z wielkiém staraniem o prawdę odmalowana, niknie wśród tych dyssekcyi studyów, rysunków, obrazów, szkiców i t. p. Krytyka zajmuje miejsca

zbyt wiele, a regestra i opisy pozostałości drobnych przeciążają dzieło. Mogły one i powinny były je dopełnić, stanowiąc osobną całość, a tekst dając rezultat studyów, mógłby je żywiéj przedstawić. Należy jednak uniewinnić autora, który zamiłowany w swym przedmiocie, nie mógł dostrzedz w nim podrzędnéj wartości jego części. Dla niego wszystko tu było równie ważném i zajmującém.

Pomimo niezwykłéj produkcyjności swéj, jako malarz, rysownik, sztycharz, pisarz o sztuce, Dürer, stosunkowo do niéj, mniéj powszechnie jest znany i ceniony niż zasługuje, może z powodu, iż w dość długim przeciągu życia rozpoczętym bardzo wcześnie, kształcąc się nieustannie, tworzył rzeczy wartości wielce różnéj, począwszy od miernych, do prawdziwie wzniosłych i potężnie pojętych. Potrzeba się przypatrzyć zblizka i całemu dziełu jego, aby go postawić na tém miejscu na jakie zarobił, i na jakiém stawił go Rafael, rysunki jego i sztychy zawieszając w pracowni swojéj, oraz współcześni malarze weneccy, stary Bellino i malarze niderlandzcy.

W historyi sztuki niemieckiéj, w chwili rozwinięcia jéj, Dürer zajmuje pierwszorzędne stanowisko. Jako malarz, należy on jeszcze do pierwotnéj epoki, do przeszłości—jako rysownik, inauguruje przyszłość, całą niemal ją zamyka w sobie. Przypatrzmy się bliżéj téj zaprawdę nadzwyczaj zajmującéj i nietylko pod artystycznym, ale i psychologicznym względęm—pięknéj, sympatycznéj postaci.

W chwili gdy się ma zjawić, w końcu XV wieku, malarstwo, szczególniéj religijne, już do pewnego stopnia było rozwiniętém, i wyrobiło sobie nawet właściwe piętno, które je cechować miało: połączenie realizmu z ideałem. Tak samo w niespełna sto lat późniéj poezya Szekspira zestawi obok siebie anioły i zbrukanych karłów, najtragiczniejszy wyraz życia z najgminniejszém szyderstwem. Dürer zastać miał w Niemczech już szkołę kolońską, daléj prazką, w któréj słowiański żywioł czuć się daje, i norymberską, przeznaczoną do kształcenia średniéj klassy mieszczańskiéj. Miniaturzyści i malarze obrazów kościelnych, wreszcie drzeworytnicy, których pierwszemi próbami były te Biblie ubogich i wizerunki śmierci, z których przyszły kunszt rycin na drzewie miał urosnąć—pracowali po większych miastach, malując złocone inicyały, szafiaste ołtarze, rytując owe naiwne obrazki, praktyczną naukę religijno-moralną roznoszące między lud, jeszcze nieumiejący czytać a pragnący się oświecić. Stosunkowo drzeworytnictwo w Niemczech, w historyi sztuki ważniejsze niż gdzie indziéj zajmuje stanowisko. Malarstwo w kościołach gotyckich, z powodu ich struk-

tury, wewnątrz mało miało miejsca, aby się szeroko rozłożyło zewnątrz jak we Włoszech, klimat mu się rozpościerać nie dawał — ograniczało się niemal do ołtarzyków ślubowanych i zakupowanych przez osoby prywatne i niewielu portretów. Drzeworytnik niezawiślejszym był i swobodniejszym pracując dla ogółu, nie czekając na zamówienia, a w monogrammie znajdując opiekę i obronę od fałszerstwa i naśladowania. W téj chwili gdy sztuka ma wziąć większy udział w życiu i potężniéj się rozwijać, skromny ów *formschneider* wyprzedza malarza i czynniejszym jest od niego.

Norymberga, miasto cesarskie, raczéj mieszczańskiéj rzeczypospolitéj, opatrzonéj wielkiemi przywilejami, zajmowała w XV wieku niepoślednie miejsce między grodami niemieckiemi. Rządziła się sama, wybierając starszyznę, którą stawiła na czele, poczuwając się do godności swéj — jéj bowiem powierzoną była straż klejnotów cesarskich, które tu raz w rok z wielką uroczystością były wystawiane na widok publiczny. Bogate mieszczaństwo dbało i o bezpieczeństwo i o sławę a piękność miasta.. wznosiły się i przyozdabiały wspaniałe kościoły, krzewiła oświata, budziła miłość nauk klassycznych. Tu pierwsze niemal próby teatralne, naiwne possy i farsy nieforemne się ukazały. Sztuka, drukarstwo, wydawnictwo rozwinęły się wśród dostatku łacniéj niż gdzieindziéj.

W r. 1455 wędrowny czeladnik sztuki złotniczéj, 28 letni Albrecht Dürer, przywlókł się tu z Węgier, i łatwo znalazłszy pracę, osiedlił, ożenił i przyjął mieszczaństwo. Synem jego urodzonym w r. 1471 d. 21 Maja (drugim z kolei) był słynny artysta Albrecht młodszy. Ojciec kształcił go najprzód we własném rzemiośle. Brat Jan najmłodszy, jako malarz, lecz nieodznaczający się szczególnemi przymiotami, i jak się zdaje lekkomyślny, w latach 1529—1530 był nadwornym malarzem króla polskiego Zygmunta w Krakowie, ale o pracach jego żadnéj bliższéj nie mamy wiadomości.

Albrecht rozpoczął więc od robót złotniczych, ale obok tego już naówczas rysował i rękę wprawiał, mając więcéj powołania do malarstwa, niż do ojcowskiego kunsztu. Przekonawszy się o tém ojciec, oddał go na trzechletnią naukę do Michała Wolgemutha, z którego domem i warsztatem sąsiadował.

Znane jest dziś to imię szczególniéj przez Dürera, którego był mistrzem Wolgemuth, i z rysunków sławnéj Kroniki illustrowanéj, które wyszły z jego pracowni, a może w znacznéj części z pod jego ręki. Wolgemuth, jak większa część słynniejszych artystów tego czasu, praktykował swój kunszt niemal rzemieślniczo. Pracownia była rodzajem warsztatu, nad którym zwierzchni-

ctwo tylko i nadzór miał naczelnik, odpowiedzialny za to, co odniego w świat wychodziło. Dawał pomysły i rysunki do obrazów, pod okiem swém wykonywać je każąc uczniom i poprawiając niekiedy ich roboty. Rzadko kiedy pan mistrz podejmował całą pracę. Gdyby też nie rysunki do Kroniki, których znaczniejsza część należy Wolgemuthowi, z trudnością przyszłoby dziś odszukać obrazy jego, dające mu się przyznać w całości. Dosyć wprawny rysownik, stary Wolgemuth odbija się ze swym stylem w pierwszych robotach Dürera, który zawczasu go prześciga. Dosyć jest spojrzeć na rysunek jego z 1484 r. (własny portret) w trzynastym roku życia na papier rzucony już z wprawą i śmiałością, dającą przeczuwać tu ręką, która miała w kilkadziesiąt lat późniéj głowy czterech apostołów nakreślić.

Niezliczona mnogość szkiców, rysunków, akwarelli, studyów różnego rodzaju Dürera, zachowała się do dziś dnia po gabinetach i zbiorach europejskich. Świadczą one wszystkie o téj nieustającéj gorączce, z jaką aż do podeszłego wieku artysta uczył się natury i notował wszystkie wrażenia, chwytał fizyognomie, zapisywał sobie zarówno twarze, krajobrazy, osobliwsze twory i uderzające pięknością lub oryginalnością budowy. Zajmowało go wszystko, szczególne zawinięcie głowy, strój niepospolity, widok piętrzącego się miasta, pstre pióra ptaków, wyrazy temperamentów na obliczach... Artysta całą duszą palił się bez przestanku, szukając formuły piękna, usiłując zbadać jego naturę. Tak samo jak ołówkiem, piórem i pędzlem—notował też chętnie w dzienniku przygody swego życia prostemi wyrazy. Po nauce u Wolgemutha, ojciec go na wędrówkę wyprawił. „A gdym się wysłużył, pisze, wysłał mnie ojciec precz, i byłem lat cztery na wędrówce, póki nazad nie wezwał. Wyszedłszy ztąd po Wielkiejnocy roku 1490, wróciłem dopiero w 1494 po Zielonych Swiątkach, które w tym roku d. 18 Maja przypadały.“ Tyle tylko wiemy o téj podróży, któréj celu jedynie ze studyów i ich charakteru domyślać się dziś można. Prawdopodobnie zwiedził Dürer prowincye nadreńskie, Szwajcaryą i jakiś czas, po raz pierwszy, przebył w Wenecyi. Ten to pobyt pierwszy wpłynął nań i smak jego wykształcił. Szkoła wenecka, tak świetna późniéj, w tym czasie właśnie z pieluch malarzy na Murano, z kolebki Vivarinich wychodziła. Żyli oba tego nazwania ojcowie jéj, Bartolomeo i Alvise, Bellini własnie najznakomitszemi dziełami swemi był zajęty, Giorgione i Tycyan w jego pracowni jeszcze się ukrywali. Tu Dürer znalazł rysunki Mantegni, które przekopiowywał, i które największy nań wpływ wywarły.

W podróży téj, jak widać z pozostałych po niéj szkiców, Dürer zajmował się z wielkiém zamiłowaniem krajobrazami, których wiele do téj epoki się odnosi. Poczucie piękności natury zachował aż do ostatka... Jednym z rysów jego charakteru było, że i o samego siebie też troszczył się, aby pięknie i malowniczo wyglądał, lubił strój wytworny, trefił włosy, mając je piękne i długie, ubierał się modnie i na swych wizerunkach, których pozostało wiele, występuje z elegancyą, o jaką się dobijał.

„A gdym powrócił, pisze daléj w ułamku dziennika, ułożył się Ham Frey z ojcem moim i dał mi córkę swoję, imieniem Agnieszkę, a za nią 200 guldenów i sprawił wesele, które się odbyło dnia 14 Lipca 1494.“ Wizerunki panny Agnieszki, z pierwszych lat małżeństwa i z ostatnich lat życia malarza, które do nas doszły, dają nam ją poznać, naprzód jako pełną, twarzy wesołéj, dobrze wybarwioną jejmościankę, potém (w powrocie z niderlandzkiéj podroży) jako kwaśną i niemiłą, podżyłą kobietę, o któréj dochowała się, może niesłuszna pamięć, iż nagląc męża do pracy nieustannéj i zarobku, przyspieszonéj śmierci jego stała się przyczyną. Broni ją p. Thausing przeciwko tym zarzutom, wskazując podejrzane ich źródło.

Zaczęło się więc dla artysty samoistniejsze życie i gospodarstwo, które pomimo posagu 200 guldenów, wymagało ciągłego zarobkowania i pilności. Dürer, jak Wolgemuth, obyczajem wieku, otworzył warsztat, zebrał uczniów i pomocników, musiał się starać o zamówienia o roboty.

Słyszymy dziś nieraz utyskujących artystów nad przymusem do pewnego rodzaju pracy, do niewłaściwych tematów, do wymagań zakuwających ich geniusz w niewolę — dawniéj, i prawdziwym talentom, wszelkie zadanie, by najdziwniejsze było pożądaném, nie skarżono się na żadne, owszem budziły te przedmioty nowe myśli, zmuszały do studyów, nie dawały się powtarzać. Dürer uprawiając sztukę jako rzemiosło, umie z niego wysnuć zawsze coś uszlachetniającego, odżywia pomysłami zadania trywialne, nie pogardza żadném. Zawód napół rękodzielniczy nie może z niego uczynić rzemieślnika; —podnosi go jako artystę. Jest to znamieniem wyższości, która się nie daje ściągnąć ze stanowiska jakie jéj natura wskazała... Dürer w téj epoce maluje naprzód w większéj części obrazy ołtarzowe, to jest robi ich rysunek dla uczniów na deskach i płótnach i doziera wykonania, niekiedy trudniejsze części sam wykonywa... Daje się to dziś rozeznać na tych, które nie były restaurowane. Wśród ołtarzowych obrazów, jest kilka portretów z téj epoki...

Już z obrazów Dürera i sposobu ich malowania, a daleko bardziéj z pozostałych szkiców przekonać się łatwo, że artysta nasz daleko bardziéj na rysownika, niż na malarza był stworzony, Rzadko udaje mu się ton i barwę podnieść wysoko, utrzymać harmonię, uchronić się w światłach chłodu, a w cieniach, szarych modulacyi;—natomiast na papierze z ołówkiem w ręku, panem jest i mistrzem, nie szuka linii, kreśli ją odrazu ze zdumiewającą pewnością i niemal zuchwalstwem, widać jak go to nic nie kosztuje. Można więc przewidzieć, że skłoni go usposobienie do szukania formy najlepiéj talentowi odpowiadającéj,—że z malarza stać się musi sztycharzem i drzeworytnikiem. Wolgemuth już próbował sztycharstwa, są jego acz mało znane rycinki; Dürer zaczyna od przerysowywania ich wiernego, wprawia się, uczy... Sztych i drzeworyt daleko przychodzą mu łatwiéj, a oprócz tego—są one nierównie korzystniejsze do zbycia i dla sławy artysty. Handel niemi odbywa się po jarmarkach i miastach, rozchodzą się szybko, a ostatecznie opłacają się daleko lepiéj niż obrazy, kosztujące wiele czasu, kłopotu, zamawiane rzadko, a sprzedawane trudno. Zwolna więc Dürer od malarstwa zwraca się ku sztycharstwu i rysunkowi, do drzeworytów, które całą niemal jego działalność pochłaniają; przedmioty najrozmaitsze zajmują go z kolei, wśród których, i historya współczesna (wojna szwajcarska) i mitologia się ukazuje. Dürer, marzyciel religijny, illustrować próbuje Apokalipsę, zarazem dorabia nagłówki do wydań poezyi, herbowne znaki dla przyjaciół, Celtesowi ozdabia jego rymy, Pirkheimerowi druhowi od serca rysuje kartki do biblioteki i szafuje swym talentem z łatwością na wsze strony.

W tych sztychach i drzeworytach są i nieudatne i piękne, i pełne myśli i zagadkowe i mierne, ale wszystkie one świadczą o niepokoju ducha, o szukaniu piękna, o nieustającéj pracy, o rzucaniu się na wsze drogi i rozdroża... W tym czasie działalności młodzieńczéj i gorączkowej, zjawia się po raz drugi w Norymberdze Jacopo de Barbari, malarz mierny, ale poprzedzony sławą pochodzenia z klassycznéj ziemi, wychowania w tych Włoszech, z których humaniści ówcześni ciągneli soki do nowego życia i odrodzenia. Celtesy i Pirkheimerowie, wszyscy miłośnicy klassycyzmu przyjmują Jakuba z wielkiem odznaczeniem. Dürer domorosły zostaje w cieniu. Chce z nim walczyć i lęka się, nie mając odwagi porwać się na olbrzyma uzbrojonego w ten urok, jaki miała Italia dla Niemiec. Ta walka z Jacopo de Barbari, którego śmiałość i zarozumiałość zwycięża niepewnego siebie i skromnego człowieka, — smutne robi wrażenie, ale to stare dzieje powszednie. Ci, co znali

małego Albrechta biegającego po ulicy dzieckiem, co go widzieli rysującego węglem po ścianach, nie mogą uwierzyć, aby on się śmiał równać z przybyłym z tak daleka opromienionym artystą.

Dürer czy w skutek téj walki i zniechęcenia, czy dla wykształcenia jeszcze, opuszcza znowu Norymbergę i w r. 1506 udaje się do Wenecyi. Wycieczka ta wszakże, jak wskazują studya; i rysunki, już nie ma najmniejszego wpływu na niego jako artystę jest on w pełni sił, rozwinięcia, u szczytu tego co mu dosięgnąć było wolno, i nie zmienia ani charakteru dzieł, ani zyskuje na wpatrzeniu się w dzieła włoskich mistrzów nowych — ze sztycharza tylko i rysownika znowu staje się malarzem chwilowo, jakby chciał walczyć z samym sobą i pokonać siebie. Z tego czasu jest żywot Najś. Panny, jedno z najpiękniejszych dzieł Dürera, jeżeli dopuścimy, że godziło się przedmiot ten przełożyć na język niemiecki i uczynić go odbiciem mieszczańskiego norymberskiego życia,— historyą cudowną ukazać w szacie dni powszednich. Być bardzo może, iż kupcy norymberscy osiedli w Wenecyi, wezwali swojego ziomka do odmalowania im ołtarzowego obrazu do kościoła S-go Bartłomieja. W r. 1504, tak zwane Fondaco di Tedeschi, gospoda niemiecka przy moście Rialto, spaliła się, senat miasta zezwolił na odbudowanie jéj z warunkiem, aby budowa skromna ani marmurami, ani rzeźbami się nie odznaczała... Kupcy natomiast dali ją całą okryć freskami Giorgiona i Tycyana, z których nic prawie nie pozostało. Wzniesienie gmachu powierzyli Niemcowi i Niemca też zażądali, aby im kościół przyozdobił. Tak się domyśla biograf i tém tę podróż Dürerowską tłómaczy. Kilka listów z tego czasu do Pirkheimera pisanych, nieoszacowanemi są pomnikami dla poznania bliższego człowieka.

W pierwszym z nich pisze: „Mam dla Niemców obraz malować, za który mi 110 guldenów reńskich dają — a za ośm dni spodziewam się ukończyć go z gruntowaniem i naciąganiem... Muszę go zaraz zaczynać, gdyż powinien, dali Bóg, w miesiąc po Wielkiéjnocy stać na ołtarzu. Pieniądze spodziewam się, przy pomocy Bożéj, wszystkie oszczędzić.“

Wkrótce potém, począwszy malować, Dürer już mniéj jest zamówieniem tém zadowolony:—„Macie wiedzieć, pisze, że wiele pieniędzy mogłem był zarobić, gdybym Niemcom ich obrazu nie był przyrzekł. Robota to wielka, i przed Zielonemi Świątkami jéj nie skończę. A tymczasem nie dadzą mi za nią więcéj nad 85 dukatów. Wiecie co życie kosztuje, musiałem też niektóre rzeczy pokupować, pieniędzy trochę posłałem, i już nie mam wiele przed sobą zapasu; ale to wiedzcie też, iż mam postanowienie, póty

się ztąd nie ruszyć, aż póki Bóg da, z podziękowaniem wam długu nie opłacę i stu guldenów nie zbiorę. Mógłbym je łatwo zarobić, gdybym dla Niemców obrazu nie przedsiębrał, bo mi tu wszyscy dobrze życzą, *oprócz malarzy.*"

W drugim liście powtarza znowu, że szlachta jest dlań bardzo dobrze usposobiona, tylko malarze mniéj chętni.

We Wrześniu pisze do Pirkheimera:—„Masz wiedzieć, co mój obraz powiada, że dałby dukata, abyście wy go widzieć mogli, dobry jest i farbę ma piękną. Wiele pochwał za niego zyskałem, ale korzyści mało. Przez ten czas byłbym dwieście dukatów zarobił, wiele robót odrzucić musiałem... Malarzy też do milczenia zmusiłem, którzy prawili, że ja do sztychowania byłem zdatny, a w malowaniu z farbami się obchodzić nie umiem. Teraz mówią, że piękniejszego kolorytu nigdy nie widzieli." Obraz oglądali przed ukończeniem jego sam doża Leonardo Loredano i patryarcha Domenico Grimani... Znany on jest i zachował się do dziś dnia w Pradze, a przedstawia N. Pannę Maryą Różańcową. Kompozycya znakomita, w któréj znać wpływ Włoch i Wenecyi; kosztowała pięć miesięcy czasu Dürerowi.

Bellini poznał się naówczas z niemieckim malarzem, o czém on też w liście wspomina: „A Giambellin, bardzo mnie przed wielu szlachty wychwalał. Chciał mieć cokolwiek mojéj roboty, sam mnie odwiedzał i prosił, abym mu co zrobił, a on za to zapłaci. Mówią o nim wszyscy, że jest człowiek bardzo zacny. Stary już wielce, a jeszcze najlepszym jest z malarzy.

Trapiła Dürera ciekawość zdobycia formuły proporcyi ciała ludzkiego, do matematycznéj doprowadzonéj ścisłości — zajmował się nią całe życie i wydał późniéj sławną ową księgę o rozmiarach budowy człowieka... Dla widzenia się z Łukaszem Paciolim który miał posiadać ową formułę i udzielić mu jéj, Dürer umyślnie wycieczkę przedsięwziął do Bolonii. Tu, jak się zdaje, spotkał się z rysunkami Leonarda da Vinci, i zapoznał się z niemi. Pobyt w Bolonii trwał bardzo krótko; powróciwszy miał jeszcze do malowania zamówione portrety, a w ogóle czas mu tu schodził wesoło. „Ani ja temu wierzyć chcę, pisze do Pirkheimera, żebyście się wy na mnie gniewali, bo ja was mam jakby za rodzonego ojca. E! jakbym ja pragnął mieć tu was w Wenecyi! Pomiędzy Włochami tymi jest dużo tęgich chłopców (artige Gesellen), którzy im dłużéj tém więcéj się przywiązują do mnie, ażby mi się serce radowało!—Rozumni, uczeni, doskonali lutniści i fleciści, znawcy malarstwa i ludzie bardzo szlachetnego charakteru a prawéj cnoty—ci mi dają dowody i wielkiéj czci i przyjaźni; ale zarazem

pełno tu i najzdradniejszych, kłamców, złodziei, łajdaków, o których nie myślałem, ażeby się na kuli ziemskiéj znajdować mogli podobni. A ktoby ich nie znał, myślałby, że to najpoczciwsi ludzie, jacy są na świecie. Ja muszę się tylko śmiać, gdy rozmawiam z nimi. Wiedzą, że się ich złość zna, ale o to nie pytają. Mam wielu dobrych przyjaciół między Włochami, którzy mnie ostrzegają, ażebym z malarzami ani jadał, ani pijał. Wielu między nimi mam nieprzyjaciół.“

Niektóre z tych listów do Pirkheimera, napół po włosku (dyalektem weneckim) z łacińska, pół po niemiecku pisane, żartobliwe są i wesołe... Nie możemy się powstrzymać od przytoczenia kilku wyjątków. „Wysoko uczony, szanowny, mądry, wiele języków posiadający, śmiały wszystkich popełnionych kłamstw odsłaniaczu, szybki znawco rzeczywistéj prawdy! czcigodny, najszanowniejszy panie Wilibaldzie Pirkheimerze! wasz najuniżeńszy służka Albrecht Dürer życzy wam zdrowia, wielkich i dostojnych czci, *con diavolo tanto per la cancia, chi te ne pare! Jo vuol dinegare il vostro cuore* (1) że pomyślicie, iż i ja jestem retorem o 100 *parlite*. Izba, w któréj się posągi pamięci stawią, musi mieć zaprawdę więcéj niż cztery kąty. Ja *vuol* moją *capo* tém sie *impacciare* (2); chcę to wam *recommandare*, bo wierzę, że w głowie nie ma tak *molte* komórek, abyście w każdéj z nich po troszeczku zostawili. Markgraf nie będzie tak długo dawał posłuchania, sto artykułów, w każdym artykule po sto słów, na to potrzeba właśnie 9 dni 7 godzin 52 mitut, nie licząc *sospiri* (3), których nie zaciągnąłem do rachunku i t. d.“

W tym żartobliwym tonie trzyma się ciągle artysta, nawet o poważnych pisząc sprawach. Oto jeszcze wyjątek z listu: „Nie wiem którego dnia miesiąca, ale jakoś około 13 Października.“ „Będąc przekonanym, że moje dla was przywiązanie znacie, nie mam potrzeby pisać o niém. Ale tém konieczniejszém jest, opowiedzieć wam, jak wielką radość sprawia mi wasza wysoka cześć i sława, którąście znakomitą mądrością swą i uczonym kunsztem pozyskali—a tę podziwiam tém bardziéj, iż albo rzadko, lub nigdy w młodéj istotce podobna się nie trafia. Sprawia to wam osobliwa łaska Boża, zupełnie tak jak mnie. A jak nam miło obu, gdy obie dobrze myślimy, ja o moich obrazkach, a wy *con vostra*

(1) Na imię szatana, tyle paplaniny ile się wam podoba, założyłbym się o to.
(2) Ładować, napychać.
(3) Westchnienia.

mądrość. Gdy nas gloryfikują, wyciągamy szyję do góry i wierzym na słowo. A tymczasem zakrada się tam może licho jakie, które sobie z nas szydzi. Dla tego nie bardzo wierzcie, gdy was chwalą, bo wy jesteście tak zupełnie i całkowicie prości, naturalni — iż tego pojęcia nie macie. Widzę was jak stoicie przed Markgrafem, jak pięknie do niego mówicie — zupełnie jakbym ja się do Rosentalowny zalecał, tak się wy tam kręcicie. Zauważałem, że pisząc wasz list ostatni, byliście pełni miłosnego uszczęśliwienia. Powinnibyście się tego wstydzić, boście już starzy, a myślicie, że wam z tém ładnie, a wam zalecanki tak przystały, jak staremu kudłatemu psu igraszka z młodemi kotkami. Gdybyście jeszcze byli tak delikatni i łagodni jak ja — dałoby się to pojąć.„ A daléj: „Jeśli mnie Pan Bóg do domu doprowadzi, doprawdy nie wiem, jak ja z wami późniéj żyć potrafię, z powodu waszéj ogromnéj mądrości. Cieszę się tylko z cnoty waszéj i dobrego serca, a psy wasze będą się też miały lepiéj, gdy je bić i kaleczyć przestaniecie. Ale kiedy was tam tak wysoko szacują, toć ze mną biednym malarzem na ulicy gadać nie zechcecie, boby wam wstyd było: *con poltrone dipentore* (z lada jakim malarzyną).“

Powróciwszy z Włoch, nasz sztycharz i rysownik znowu z zapałem oddaje się malarstwu i przedsiębierze wielkich rozmiarów Adama i Ewę (1507), Męczeństwo dziesięciu tysięcy, Wniebowzięcie Wielki ołtarz, obraz Wszystkich Świętych, Madonnę jednę i drugą, Lukrecyę. Wszystko to są we właściwym mu stylu kompozycye z nadzwyczajném staraniem i obmyśleniem wykonane, do których liczne studya z natury przygotowuje. We wszystkich fantazyi wiele, uczucia — a zamało może wdzięku i swobody, których Dürer, staréj szkoły uczeń, nigdy już nabrać nie był w stanie. Siła i bogactwo zastępują u niego przymioty te, które w zarodku może zgniecione zostały szkołą Wolgemutha i Schöngauera, wżyciem się w ten świat form i rysów ostrych, jakie sobie z młodości przyswoił. Nie brakło zapewne pięknych wzorów w Wenecyi, a może i w Norymberdze, ale sposób pojmowania ich i przedstawiania, pochwycić strony ich wdzięcznéj nie dozwalał.

Jak wszyscy niemal wielcy artyści tych czasów, szczególniéj XVI wieku, jak Leonardo, Rafael, Michał Anioł, Dürer pojmował sztukę w najrozleglejszém jéj znaczeniu, nie rozdzielając jéj części zarówno zajmując się malarstwem, budownictwem, perspektywą i nauką proporcyi, nawet drobną rzeźbą, do któréj złotniczy nowicyat go wdrożył. Ramy do obrazu Wszystkich Świętych są według jego architektonicznego rysunku wykonane, i zachowały się ze swą ornamentacyą do dziś dnia. Styl w nich odrodzenia

z małą przymieszką fantazyi gotyckiéj. Wiemy też, że Dürer Vitruwiusza czytał i nim się mocno zajmował.

Po powrocie do kraju, Dürer, którego sława rosła codzień, w czasie pobytu cesarza Maxymiliana w Norymberdze, został do niego wezwany i zaciągnięty w służbę jego. Otrzymał polecenie wykonania rysunków, szczególniéj do zwycięzkiego pochodu cesarza i tryumfalnych wrót, kompozycyi olbrzymiéj, wymagającéj właśnie tak bogatéj fantazyi, takiéj śmiałości rysunku, takiéj siły i energii, jaka go odznaczała. Na robocie teraz nie zbywało już powszechnie wziętemu i cenionemu mistrzowi, którego sztychy i drzeworyty dały poznać całemu światu. Szły one do Włoch, gdzie je ze czcią i uwielbieniem przyjmowano, rozrywano je po Niemczech, w Hollandyi, Niderlandach—wszędzie. Sławny monogram Dürerowski, który był znakiem ochronnym, nie zawsze od fałszerstwa broniącym — znano już w Europie i chwytano wszystko co nim było oznaczone. Wśród tych prac dla cesarza Maxymiliana, który je wynagrodził dożywotnią pensyą, śmierć panującego — najpiękniejsze nadzieje artysty zniszczyła. O potwierdzenie nadań nieboszczyka trzeba się było starać u jego następcy; Dürer więc wybrał się w podróż do Niderlandów i na koronacyą. Była to może najpiękniejsza chwila jego życia, niejako pochód tryumfalny, który nagrodził wszystko co przebolał Dürer w ciągu swojego zawodu, chociaż wesołość i rezygnacya dopomagały mu wielce do pogodzenia się z życiem i przyjmowania co ono przynosiło. Nie działo mu się ani źle, ani dobrze, trochę grosza zarobić potrafił na starość, choć sam gospodarnym nie był; dzieci nie miał, a o pożyciu z żoną nie wiele wiemy. Znośne jednak być musiało.

Dürer dnia 12 Lipca 1520 r. puścił się w podróż tę ostatnią, z któréj zachował się rodzaj notatek dziennych, przeznaczony raczéj do zapisywania rachunków niż wrażeń, chociaż gdzieniegdzie kilka słów służyć może za wskazówkę tego, co go najmocniéj zajmowało. Głównym celem podróży była Antwerpia, naówczas wielce ożywiona, i pod względem artystycznym będąca ogniskiem działalności. Artysta zabierał z sobą zapas wielki swych rycin i drzeworytów, sztychów do sprzedaży i zamiany, na których pozbycie rachować mógł pod względem pieniężnym. Towarzyszyła mu żona i sługa. Handel jednak rycinami i obrazkami, zwłaszcza u możniejszych osób ograniczał się po większéj części na tém, że Dürer robił podarunki, spodziewając się nawzajem być obdarowanym, co bardzo często chybiało.

W Bambergu zaraz po drodze, darował biskupowi Jerzemu III malowaną Madonnę, życie N. Panny, Apokalipsę i inne sztychy. Biskup zawdzięczył mu to nietylko poczestném przyjęciem, ale i listami polecającemi. W Antwerpii miejscowi malarze świetnie przyjęli słynnego swego kolegę, przyjmowało go mieszczaństwo z honorami,—rysować musiał na pamiątki i malować mnóstwo osób. Piątego Sierpnia w Niedzielę, zaprosili go do gospody swéj malarze, wraz z żoną i dziewczyną. „Były tam i żony ich, pisze Dürer w notatkach, a gdy mnie prowadzono do stołu, ludzie stali po obu stronach, jak gdyby największego pana wiedziono. Znajdowały się tam i osoby bardzo poważne, a wszyscy mi się nizko kłaniając, jak najuprzejmiéj się ze mną obchodzili, mówiąc, że pragnęli uczynić wszystko, cokolwiekby mi najprzyjemniejszém być mogło, a gdym tam siedział, nadszedł posłaniec od panów Rady miasta Antwerpii, z dwoma pachołkami, i w imieniu panów Rady, ofiarował mi cztery konwie wina, z tém, iż mi oświadczyć kazali, że mi tém cześć chcą uczynić, abym ich życzliwości dla siebie był pewien.“

Przyjęcia podobne nieustannie się powtarzały potém, a niekiedy przy winie i wesołéj myśli trwały do dnia. Być też bardzo może, iż ten tryb życia nużący w czasie pobytu w Niderlandach, przyczynił się do późniejszéj choroby i śmierci artysty. Ale chwile spływały wesoło, a mnóstwo studyów przybywało do książeczki, którą Dürer ciągle miał przy sobie. Wypróte jéj kartki, łatwo się poznać dające, rozsypane są dziś po wszystkich muzeach Europy. Dürer, choć nie miał z sobą farb i przyrządów do malowania, pożyczanemi tu malował, ale mu się to jakoś nie wiodło. Między innemi znajomościami zawiązał w Antwerpii Dürer stosunek z Erazmem z Roterdamu, który dosyć się dla niego, jak i dla innych zimnym okazał. Był to filozof ostrożny, siedzący na dwóch stołkach, obawiający się kompromitacyi—i nie oddający serca tak łacno. Miał go też mniéj niż zdolności i dowcipu. Nie będziemy iść w ślad za artystą w téj podróży, w czasie któréj i Bruxellę odwiedził, podziwiając piękny jéj ratusz i malowania Rogera van der Weyden'a. W Bruxelli też wezwać go do siebie kazała arcyksiężniczka Małgorzata, przyjęła go łaskawie i obiecała mu opiekę u synowca swego cesarza, chociaż protektorka van Orley'a, który był jéj malarzem nadwornym, nie mogła wielce smakować w pracach Dürera, jeszcze piętno starszéj szkoły noszących. Van Orley zaprosił też do siebie niemieckiego artystę, który przepychowi jego domu i przyjęciu pańskiemu wydziwić się nie mógł.

Za cesarzem pojechał potém do Akwisgranu, ciągle po drodze szkicując, co napotykał.

Norymberscy kupcy i mieszczanie, których chwytał po drodze, wszędzie mu wielką byli pomocą.

Prawdziwy artysta, Dürer powróciwszy do Antwerpii, już miał, opłakawszy stratę, jaką poniosła żona (woreczek jéj z pieniędzmi obcięto w kościele), do domu się wybierać—gdy się dowiedział, że ogromnego wieloryba burza wyrzuciła na brzeg w Zierikzee. Natychmiast, nie zważając ani na trudności podróży, ani na stratę czasu, poleciał rysować owego olbrzymiego wieloryba. W Arnemuiden o mało téj ciekawości nie przypłacił życiem: „Gdyśmy do lądu przybijali, pisze, i linę rzucili, okręt wielki nacisnął naszę łódź tak silnie — mieliśmy wysiadać właśnie — że wszyscy się przedemną pośpieszyli wynieść, zostałem tylko ja, Jerzy Kötzler, dwie stare baby, i właściciel łodzi z małym chłopcem. Gdy nas ten statek nacisnął, a myśmy sami pozostali, nie mogąc uciekać, pękła mocna lina, i w tejże chwili zerwał się silny wicher, który naszę łódź w tył zaczął unosić. Zaczęliśmy wszyscy wołać o pomoc, ale nikt się ważyć na to nie śmiał. Wiatr nas tedy znów wyrzucił na jezioro, właściciel łodzi począł sobie włosy rwać z głowy i wrzeszczeć, bo służba wszystka wysiadła na ląd i ludzi nie miał. Dopieroż napadła trwoga i niebezpieczeństwo, bo wicher dął okrutny, a na łodzi wszystkiego było sześć osób. Naówczas ja się odezwałem do właściciela statku, że powinien był odwagi nabrać i mieć ufność w Bogu, a myśleć przecie co czynić należało. Powiedział mi, że gdyby tylko można mały żagiel podnieść, próbowałby czy się nie uda skierować do lądu. Zaczęliśmy wszyscy z całych sił pomagać, i udało się nam go podnieść trochę do góry. Gdy z lądu zobaczyli ludzie, że sobie radę dajemy, a oni już nas za straconych mieli, zebrali się na pomoc, i takeśmy wylądowali.” Tymczasem ów wieloryb, dla którego Dürer w podróż się puścił, porwany burzą, zniknął. Cała ta wycieczka okazała się nadaremną, ale maluje dobrze zapalonego artystę, który po drodze wszystkiego był ciekawym, i wszystek swój grosz wydał na kupowanie muszli, ptaków, osobliwości różnych i podarków dla znajomych. Kokosowe orzechy i ogromne rogi szczególniéj go pociągały. Wśród uczt, przyjęć, zabaw, malowanie i szkice szły swoim porządkiem. Na ostatek, wiosną udał się z powrotem do domu, część drogi odbywając Renem. Tu na statku, wyrysował żonę, w ubiorze podróżnym,—smutną postać zgryźliwéj kobiety...

Cała wycieczka niderlandzka w ogóle poszła bardzo szczęśliwie, cel u cesarza został osiągnięty, — cześć i sława spotkały go

wszędzie, i Dürer miał prawo z dumą powracać do rodzinnéj Norymbergi. Jeszcze lat kilka zostawało mu do życia i pracy, w ciągu których stworzył najznakomitsze swe dzieło, wizerunki czterech apostołów, dziś znajdujące się w pinakotece w Monachium. Biograf artysty poświęca cały rozdział stosunkom jego z reformatorami, z Lutrem i innymi współczesnymi religijnymi nowatorami, których idee gorąco podzielał.

Jak wielu innych współczesnych, Dürer wcale się nie miał za kacerza, ani chciał odłączać od kościoła; pragnął tylko reformy jego i oczyszczenia, nie widząc, że pragnieniu temu trudno było zakreślić granice. Z jego listów widoczném jest, jak gorącym był chrześcianinem, jak religijnego w sobie miał ducha, a zarazem jak nieokreśloném było to, czego i on, i inni naówczas się domagali i spodziewali.

Śmierć dotknęła go niespodzianie, po krótkiéj chorobie, dnia 6 Kwietnia 1528 roku, w 57 roku życia, — i możnaby powiedzieć w saméj sile wieku, gdyby niezmierna praca nie wyczerpała go zawcześnie.

Biograf bardzo obszernie rozwodząc się nad działalnością artystyczną Dürera, pisma jego wydane i pozostałe w rękopiśmie wzmiankuje tylko, nie rozbierając ich wcale i pracę tę zostawując swemu następcy. Nadzwyczaj ciekawe w końcu są wyciągi z notat Dürera, zawierające niektóre jego pojęcia o sztuce. Nie zapominajmy, że czas ów był raczéj epoką tworzenia i natchnienia, niż refleksyi i krytyki. Kunszt płynął z bezwiednéj potrzeby piękna, z przeczuć jego i jasnowidzenia — jednakże u Dürera znajdujemy, prosto bardzo wypowiedziane myśli wielce zastanawiające.

Są to zbyt charakterystyczne ustępy, abyśmy ich nie przytoczyli. „Pliniusz pisze (powiada Dürer), że starożytni mężowie i rzeźbiarze, jako Apelles, Protogenes i inni, bardzo kunsztownie opisali, jak się dobrze ukształtowana postać ludzka wykonywać powinna. Bardzo być może, iż podobne szacowne księgi, w pierwszych wiekach kościoła zostały wyniszczone i wzbronione, aby bałwochwalstwa nie mnożyły. Była bowiem w nich mowa, że Jowisz powinien być takich proporcyi, Apollo innych, Venus ma być taka, a Herkules taki, i tak też inni. A jeżeli to tak było, gdybym ja w tych czasach żył, byłbym się odezwał: — O mili świątobliwi panowie i ojcowie! na szatana, nie pognębiajcie tak nędznie, nie zabijajcie téj szlachetnéj sztuki, któréj wynalezienie tyle wielkiego trudu i pracy kosztowało, bo my ją możemy i chcemy raczéj na większą cześć i chwałę Bożą obrócić. W ten sam sposób, jak oni najpiękniejszy kształt ludzki nadawali swemu bożkowi Apollinowi,

my tych samych miar użyjemy dla Chrystusa Pana, który najpiękniejszym w świecie jest; i jak oni Venus czynili najpiękniejszą niewiastą, my ten sam wdzięczny kształt w obyczajniejszy sposób nadamy najczystszéj Dziewicy Maryi, Bogarodzicy, a z Herkulesa uczynimy Samsona, i z innych też podobnie.“

W innych miejscach zaleca ciągle Dürer, aby naturę brać za wzór i nie zrywać z nią... O piękności tak się wyraża: „O piękności sądzić, rzecz jest trudna. Każda rzecz w pewnym razie piękną może być, bo widzimy często, że co bywa pięknėm w jakim wypadku, w innym nie wyda się pięknėm. Piękne od piękniejszego trudno jest rozróżnić, i mogą być naprzykład dwa obrazy odmienne, zupełnie innych rodzajów, nierówne wcale, a nie można powiedzieć, który z nich piękniejszy.“

„Piękność — czém ona jest — tego ja nie wiem, chociaż od wielu rzeczy zawisła. Chcemy ją w naszém dziele mieć, przychodzi to nie łatwo; musimy zewsząd ją zbierać, a szczególniéj rozmiary ciała ludzkiego z przodu i z tyłu mieć na uwadze. Nieraz przychodzi dwóchset, trzechset przejrzeć ludzi, a ledwie u dwóch znajdą się piękne części, które się użyć dadzą. Dla tego dobry obraz z wielkim trudem stworzyć przychodzi, bo musisz od jednego brać głowę, od drugiego piersi, od innych ręce i t. p.“

Pomimo tego eklektyzmu, Dürer w innėm miejscu radzi kunsztmistrzowi, aby swe pojęcie piękna mierzył uznaniem ogółu i malował tak, aby się to ludziom wydawało pięknėm, o więcéj się nie troszcząc. W ogóle pojęcia są niejasne; są to raczéj wrażenia różnych chwil życia i wnioski na razie z praktyki ciągnięte, często nawet z sobą niezgodne. Trafiają się jednak myśli głębsze, i trafne. „Życie w naturze, pisze gdzieindziéj, daje poznać prawdę—dla tego pilno się na to oglądaj, kieruj niém, i od natury nie odstępuj w pojęciu co dobrém jest; jakbyś sądził że ty z siebie coś lepszego potrafisz dobyć—zawiedziesz się na tém.“

„Bo zaprawdę kunszt tkwi w naturze; kto go z niéj dobyć umie, ten go posiędzie. Jeżeli przesadzisz naturę, wiele błędów będzie w dziele twojém. A im ono kształty życia wierniéj odda, tém dzieło lepszém się stanie. I to jest prawdą—nigdy sobie nie wyobrażaj, abyś co lepiéj mógł zrobić, niż Bóg stworzeniu dozwolił obdarzając je siłą. Twoja moc bezsilna jest w obec Boskiego stworzenia. I to też pewném jest, że żaden człowiek z własnéj myśli pięknego obrazu stworzyć nie może, bo choćby ciągłém naśladowaniem pamięć swą napełnił, to co ma, nie jest jego własnością, ale rzeczą nabytą i kunsztem wyuczonym, który się zasiewa, rośnie i swego rodzaju owoce przynosi.“

Na tém kończymy ten pobieżny zarys nader troskliwie odmalowanego obrazu życia i działalności Dürera, który, jeśli wszystkim warunkom dzieła dla ogółu przeznaczonego nie odpowiada, zawiera w sobie przynajmniéj obfitość skrzętnie oczyszczonego materyału, mogącego posłużyć biografowi przyszłemu do żywszego wizerunku mistrza i epoki... Brak tu częstokroć tła, na którémby się postać główna zarysowywała, a bardziéj zarzucić można, iż jest ułamkowo podane i rozbite. Norymberga, Niemcy, Reformacya, życie chrześciańskie, wreszcie sam rozwój kunsztu nie dosyć wyraziście i dobitnie wychodzą, a bez nich i Dürer częstokroć mniéj się dobrze pojmuje. Autor, z dziwném zaparciem się własnego sądu, daje fakta, przedstawia wypadki, wstrzymując się od ich tłómaczenia i dopełniania. Pomimo to Dürer z tych okruchów, które po nim pozostały, zebranych ręką pobożną, występuje przed nami ze swą naturą artystyczną, temperamentem, przymiotami i wadami daleko lepiéj, niż w innych życiorysach. Logika tego życia snuje się od pierwszéj do ostatniéj chwili, niezamącona niczém i jasna. Czujemy, że takim być musiał, i że nie mógł być innym.

Ostatniém dziełem w związku ze sztuką będącém, jest historya „Technicznych kunsztów“ — tak ją nazwał wydawca p. Bucher— opracowana przez niego, p. Justa Brinckmana, Alberta Ilga, Jul. Lessinga, Fr. Lipmanna, Hermana Rollet'a.

Obfity materyał nagromadzony w wydanych monografiach i dziełach zbiorowych, szczególniéj angielskich i francuzkich, ułatwił wielce dobre obrobienie téj historyi przemysłu artystycznego. Mało się też tu znajdzie i rzeczy i illustracyi nowych a nieznanych; ale wielką jest zasługą zebranie systematyczne, treściwe, jasne i umiejętne, chociażby tego, co znaném było, a po wielu dziełach rozproszoném.

Tom ten pierwszy zawiera historyą emalii, malowania na szkle, mozaiki, laki, miniatury, gliptyki, (gemmy) i drzeworytnictwa. Za wielką też zasługę poczytujemy wydawcy, przytoczenie przy każdym z rozdziałów literatury przedmiotu, niezbędnéj dla tych, co go głębiéj i szczegółowiéj chcą studyować. Znajomość techniki każdego z tych kunsztów, przebija się w monografiach, a bez niéj też obejść się było niepodobna. O drzeworytnictwie, dziś tak świetnie się rozwijającém i będącém taką pomocą nietylko dla sztuki, ale dla nauk i upopularyzowania wiadomości, rozdział dosyć treściwy, nie wyczerpujący — może najmniéj zaspakaja. Źródła nawet przytoczone, nie obejmują wielu dzieł pomocniczych, pierwszorzędnych.

Dzieła, o których podajemy wiadomość, stanowią małą zaledwie cząstkę wielkiego zasobu prac około teoryi, krytyki i dziejów sztuki, codziennie prawie literaturę niemiecką zbogacających. Zadania najważniejsze w tym przedmiocie, są tu ciągle podnoszone, na rożny sposób obrabiane i rozwiązywane; mamy jednak dowody, że one w szerszych kołach nie obudzają takiego zajęcia, jakby sądzić można zdaleka. W ciasném kole adeptów i ludzi z powołania poświęcających się temu, rozbierają się, wyjaśniają, krytykują, i uzupełniają pojęcia, które jeszcze w dzisiejszym stanie oświaty społecznéj w ogóle nie dla wszystkich są dostępne. Takie dzieła jak M. Carrière (który właśnie dopełnia estetyczne badania Konrada Hermanna i Siebeck'a), rozchodzą się w bardzo małéj liczbie egzemplarzy i zaledwie pracującym nad przedmiotem tym są znane. Jak między poezyą niemiecką a życiem, tak między sztuką a ogółem węzły i stosunki są bardzo słabe. Smak ogółu urabia się powoli, wszystko tu przychodzi trudno, mozolnie, kosztując wiele czasu i wysiłków. Właśnie ta walka udoskonalająca, uszlachetniająca, ciężka i długa, wzbudza szacunek dla narodu, który ją podejmuje i zwycięzko prowadzi.

KRZYSZTOF GRZYMUŁTOWSKI

WOJEWODA POZNAŃSKI.

Szkic historyczny

skreślił

ALEKSANDER JABŁONOWSKI.

„Nie uchylam się od rozpatrzenia całéj Rzeczypospolitéj spraw moich, byle mnie nie z apokryfu sądzono". Grzym. w liście do biskupa kamien. Wojnickiego 1665 r.

W drugiéj połowie XVII wieku, w czasie ostatniego przełomu samoistnego politycznie życia Rzeczypospolitéj, jednę z wybitniejszych postaci, na widowni ówczesnych zapasów burzliwych, przedstawia niezaprzeczenie wojewoda poznański Krzysztof Nieczuja Grzymułtowski.

Mniejsza, że imię jego zostało zespolone, na wieki-wieków z faktem niezmiernéj wszechdziejowéj doniosłości—jego osobistość sama stawi go na wyżynie ludzi niepowszednich.

Posiadał on niepospolite zdolności, dość wysokie naukowe wykształcenie, umysł niezmordowanie czynny; a w obec tego — niemniéj też przeważnego znaczenia warunki, jak: znakomite związki rodzinne i wysokie, obywatelskie i urzędowe, stanowisko. Wszystko to dawało mu prawo i moc osiągnięcia, wśród sterniczego grona mężów stanu narodowych, wielkiéj powagi rozstrzygającéj tak w życiu wewnętrzném, jak i w stawieniu się na zewnątrz Rzeczypospolitéj. Nadto, przedstawia on w swéj osobie żywy bardzo, bardzo wyrazisty typ szlachcica—możnowładcy owych czasów, z całą onego nieograniczoną niczém a dzielną samorzutnością i szlachetnemi porywy, lecz równie z całą samowolą rozpasaną i wszystkiemi wadami, jakie już były wtedy wyższą warstwę polskiego społeczeństwa opanowały. Nakoniec daje nam widzieć w sobie człowieka, co podobnie jak niegdyś ojciec rówiennika jego hetmana, miecznik wielki koronny, umiał umrzeć—ze zgryzoty...

Nie dosyć atoli Grzymułtowski jest dotąd znany, nie dosyć charakter jego i stanowisko istotne w dziejach Rzeczypospolitéj rozjaśnione.

Przyczyny łatwe do odgadnienia. Najprzód zanadto mamy jeszcze mało w ogóle świadomości wewnętrznych dziejów Rzeczypospolitéj, zanadtośmy je mało badali: a wojewoda poznański właśnie, przedewszystkiém w zakresie wewnętrznego życia—obywatelskiego więcéj niż militarnego—uwydatnił się i zaważył. Powtóre zaś, same pamiętniki historyczne, jedynie dające możność bliższego poznania tego człowieka i określenia bardziéj jasnego, całego przebiegu jego politycznego zawodu, podobnie jak pamiątki dotyczące większéj części innych znakomitych ludzi Rzeczypospolitéj, zostawały dotąd w ukryciu.

Powoli wszakże poczynamy powszechniéj materyały te skrzętnie odszukiwać i udostępniać je drukiem szerszemu kołu.

Między innemi, w obecnéj właśnie chwili, ogłaszamy i my oto, w pierwszym tomie „Źródeł dziejowych“, „Listy i mowy Krzysztofa Grzymułtowskiego“—z rękopisu, którego nam uprzejmie udzielił znany pisarz małoruski p. Bazyli Biełozierski.

Kto więc będzie się interesował szczegółowiéj przedmiotem—tego odsyłamy do samych „Źródeł dziejowych“ zarówno do „Listów“ wojewody poznańskiego, jako też i do jego „żywota“ opracowanego przez nas, który je poprzedza. Tu zaś, korzystając

z obfitości nowo zdobytych, dotyczących Grzymułtowskiego faktów—tak ogólnéj dziejowéj doniosłości, jak niemniéj biograficznych—nakreślimy w historycznym szkicu ogólną jedynie charakterystykę życia tego, ze wszech miar godnego żywszego zajęcia się, męża stanu Rzeczypospolitéj.

Nim atoli przystąpimy do rzeczy, musimy uprzedzić, iż dotyczące Grzymułtowskiego materyały, w „Źródłach dziejowych" przez nas wydane, nie są ani wyczerpujące, ani jedyne. Mamy nadzieję bowiem, iż da się ich odszukać z czasem jeszcze więcéj; a z drugiéj strony, już i to co dotąd było wydane, posiada niemałą wagę.

Będziemy więc tu korzystali równie i ze źródeł ogłoszonych uprzednio przez uczonego Mikołaja Malinowskiego (1), i Władysława Skrzydylkę (2), którzy spożytkowali zarazem to, co byli już u Załuskiego (3) znaleźli.

Co zaś do wiadomości o życiu Grzymułtowskiego — oprócz króciutkiego zarysu, jaki Malinowski podał (4), nic właściwie nad to więcéj, mimo artykułów encyklopedyi, w piśmiennictwie naszém nie posiadamy. Tém żywsze za to wyrażamy tu poważnemu badaczowi przeszłości uznanie, przystępując do skreślenia politycznego żywota wojewody poznańskiego.

* *
*

Krzysztof Grzymułtowski był synem Stanisława z Grzymułtowic, herbu Nieczuja, starosty średzkiego i Katarzyny Leszczyńskiéj, córki kanclerza wielkiego koronnego Wacława. Urodził się po roku 1620.

Rodzina Nieczujów Grzymułtowskich należała do starych i zamożnych rodzin w Wielkopolsce. Posiadała ona oddawna mniejsze krzesła senatorskie. W początku XVII wieku Jan dzierżył kasztelanią bydgoską, a jednocześnie z Krzysztofem widzimy Stanisława kasztelanem sieradzkim. Spotykamy też między Grzymułtowskimi opatów—Węgrowca, Lędu, pielgrzymów do Ziemi Świętéj i dzielnych obrońców kraju; rodzony stryj Krzysztofa je-

(1) Źródła do dziejów polskich wyd. p. M. Malinowskiego i A. Przezdzieckiego Wilno, 1844 r. T. II.

(2) Listy z czasów Jana III i Augusta II. Kr. 1870 r.

(3) Epistolae historico-familiares.

(4) Źródła do dziejów polskich. T. II str. 57—80.

den zginął pod Chocimem, drugi stu pancernych na wojnę pruską stawił.

Była to rodzina zawsze szczerze katolicka. Biskup Andrzéj Załuski powiada, że „żadnéj w tym zacnym domu nie było dusze, którąby się od kościoła miała odbłąkać Pańskiego" 1); choć w obec tego wojewoda poznański szczyci się, że „żadnego w rodzie Jezuity nie miał" (2).

Dziad p. Krzysztofa, Jan kasztelan bydgoski, znany jest dziejom z czasów rokoszu Zebrzydowskiego 1606 roku, podczas którego stawał on dzielnie przy królu.

Ojciec Krzysztofa, Stanisław, podniósł znaczenie rodziny swéj na stanowisko pierwszorzędne w Wielkopolsce, przez spokrewnienie się z potężnym rodem hrabiów na Lesznie, Wieniawitów Leszczyńskich. Następnie zamążpójście owdowiałéj starościny średzkiéj, matki Krzysztofa, za Piotra Opalińskiego, wojewodę podlaskiego, spowinowaciło Grzymułtowskich i z drugim, równie potężnym rodem wielkopolskim, Łodziów Opalińskich. Przez te zaś dwa domy weszli oni do wybranego grona możnowładców Rzeczypospolitéj.

Przez matkę swą tedy, osierocony wcześnie śmiercią ojca Krzysztof był członkiem rodu Leszczyńskich, w młodszéj onego linii, z Gołuchowa, właśnie od dziada jego kanclerza wielkiego koronnego Wacława idącéj. W ten sposób syn Wacława, znakomity Jędrzéj prymas Rzeczypospolitéj, był jego rodzonym wujem; Jan zaś kanclerz wielki koronny i Wacław, również prymas, byli stryjeczni jego matki.

Kiedy odumarł Krzysztofa ojciec—nie ma śladu. Nie wiadomo też, w którym roku matka jego została panią Opalińską.

Syn Piotra wojewody podlaskiego, znany Jan Opaliński wojewoda brzesko-kujawski, był jego przyrodnim bratem.

Młody Krzysztof odbywał nauki w Poznaniu. Wychowaniu jego w ogóle nie mogło brakować poważnego przewodnictwa. Rodzina jego matki należała do najwykształceńszych w kraju, a wuj jego, Jędrzéj Leszczyński, późniéj prymas, słynął ze swéj wymowy i światła. Odznaczał się on widać już wcześnie pewnemi zdolnościami, bo gdy w 1636 roku biskup Andrzéj Szołdrski przenosił się ze stolicy przemyskiéj na poznańską, powitał go młodzieniec drukowanym panegirykiem łacińskim: „Echo virtutum

(1) Swada Ostrowskiego Danejkowicza. II, 27.

(2) Patrz Źródła dziejowe – Listy Grzym. str. 28.

Andreae Szołdrski episcopi poznaniensis, per Christophorum Grzymułtowski". (1) A we dwa lata potém, popisuje się pan starościc średzki nawet rozprawą filozoficzną, pod tytułem: „Disputatio tertia de ente mobili ad ubi." (2)

Wystąpienie jego na pole życia publicznego było bardzo wczesne. W liście do Denhoffa póżniéj biskupa krakowskiego (3), sam powiada, iż od 18 roku swego wieku począł służyć Rzeczypospolitéj, a w jednéj z mów sejmowych (4) wspomina, iż za króla Władysława IV, nie będąc jeszcze posłem, przypatrywał się sądom skarbowym, którym prezydował biskup Szołdrski. W roku 1648, na sejmie konfederacyi generalnéj warszawskiéj, po śmierci Władysława IV, już posłował z województwa poznańskiego; w roku 1649 zasiadł jako poseł w komissyi między województwami wielkopolskiemi a Szlązkiem, do załatwienia sporów o granice i dla wejrzenia we wzajemne zatargi między mieszkańcami obudwóch krajów.

Na sejmie zaś r. 1652 już jako podkomorzy kaliski, zostaje wyznaczonym, z koła poselskiego, przez króla i stany, do grona deputatów, mających traktować o pokój wieczysty ze Szwecyą.

Dorabiając się wszelkiemi posługami obywatelskiemi, pomiędzy bracią wziętości prowadzącéj zawsze do dostojeństw, występuje tu młody Grzymułtowski w życiu publiczném, na wstępie do swego politycznego zawodu, oczywiście jako zelant wolności. Na sejmie pierwszym 1654 r. w Kwietniu, brał podkomorzy poznański bardzo żywy udział w wywołanych tam sporach z Bąkowskim, posłem pruskim, ujmującym się za prawami króla, w obec uroszczeń i nastawań sejmującéj szlachty; co doprowadziło ostatecznie aż do zerwania obrad. Na sejmie zaś następnym, ekstraordynaryjnym, tegoż 1654 roku, zwołanym na Czerwiec, p. Krzysztof piastował już sam laskę marszałkowską, otrzymaną jako dowód wysokiego teraz zaufania braci, obradującéj w chwili najwyższego niebezpieczeństwa Rzeczypospolitéj. Był to bowiem rok poddania się Chmielnickiego i wiszącéj grozy od Szwedów. Z chlubą też doprowadził podkomorzy sejm ten szczęśliwie do końca.

W następnym 1655 roku najechał Rzeczpospolitą Karol Gustaw, porywając za sobą znaczniejszą część Wielkopolan.

---

(1) Posnaniae, in officina Alberti Reguli, 1634, in 4-o.

(2) Posnaniae, 1638, in 4-o Enc. Pow. T. X.

(4) Malin. Źródła T. II.

(5) Zródła dziejowe—Listy i mowy Grzym. patrz Nr. 53.

Kiedy województwa wielkopolskie (1) poddały się pod Ujściem Szwedom, wątpliwa, czy dał się tu nierozmyślnie unieść i Grzymułtowski. Faktu nie znamy; przykłady zaś poważne ciągnęły go we wręcz przeciwne strony. Ojczym jego, Piotr Opaliński, wojewoda podlaski poszedł za niecnym krewniakiem swym, wojewodą poznańskim, Krzysztofem; lecz za to wuj jego rodzony, światły i dzielny rycersko, Jędrzéj Leszczyński, ówczesny prymas Rzeczypospolitéj stanął najmocniéj przy Janie Kazimierzu. Zdaje się atoli, że wytrwał p. Krzysztof w wierności dla króla, bo już pod koniec 1655 roku widzimy go, jak śpieszy na głos Stefana Czarnieckiego, zawiązującego (2) na obronę kraju pamiętną konfederacyą tyszowiecką.

Następnego zaś 1656 roku spotykamy go już w dostojeństwie kasztelana poznańskiego.

Gdy Karol Gustaw ze Szwedami posunął się był w głąb kraju, a twierdze wielkopolskie osadzili Brandeburczycy, wszystka szlachta tych ziem porwała się do broni. Grzymułtowski razem z Piotrem Opalińskim, co wprędce się opamiętał i porzucił wichrzycieli, stają teraz na czele pospolitego ruszenia Wielkopolanów. Dla odciągnięcia wroga, rzucają się oni na Marchią i zmuszają hr. Sain-Wittgensteina, onéj wielkorządcę, do zawarcia (3) układu w Cielątkach, mocą którego wojska kurfirsta miały w oznaczonych terminach ustąpić z Wielkopolski.

Wszakże, skoro Brandeburczycy ochłonęli z pierwszéj trwogi (o Berlin), wnet pod różnemi pozorami poczęli zwlekać wykonanie ugody, tak, że w sześć miesięcy później Opaliński i Grzymułtowski musieli oblegać Poznań, i po krwawéj dopiero obronie, po zburzeniu części miasta, ledwo latem 1657 roku zmusili wroga ustąpić z téj twierdzy.

Z drugiéj strony Litwini w początku tego roku wpadli do Pruss książęcych. Hetman ich polny, dzielny Gosiewski rzucił postrach na Królewiec. Grzymułtowski, ze swéj strony, zagrzewał też „ochotę Litwy do usługi Rzeczypospolitéj“ (3). A gdy Morsztyn (5) zawarł przymierze z Danią, musiał i Fryderyk Wilhelm myśleć o swém ocaleniu.

(1) 25 Lipca 1655 roku.
(2) 29 Grudnia.
(3) 22 Grudnia 1656 roku.
(4) Patrz Źródła dziejowe — Listy Grzymułtowskiego Nr 1.
(5) 28 Lipca.

W Listopadzie 1657 roku stanął więc traktat w Bydgoszczy, mocą którego na podstawie umów welawskich kurfirst został ostatecznie uwolniony od hołdu Rzeczypospolitéj.

Następnie Grzymułtowski, jako kasztelan poznański, wśród powszechnego zniszczenia kraju, pilnował, ile mógł, interesów szczególnych swojéj wielkopolskiéj prowincyi. Świadczy o tém dostatecznie list jego do króla z 1659 roku (1). Posiłki cesarskie, jak wiadomo, przy bezużyteczności swéj prawie zupełnéj, były nadzwyczaj uciążliwemi dla kraju. Lecz dotąd ciążyły one tylko nad Małopolską. Chciano je następnie posunąć na północ. Grzymułtowski tedy, dowiedziawszy się, że posłowie cesarscy oświadczyli „uczynność“ przeprowadzenia załogi austryackiéj z Krakowa do Poznania, spieszy z przełożeniami do króla, przedstawiając mu, że „Rzeczpospolita bodaj to nazowie uczynnością, ale raczéj przeniesieniem krzywd, bo takowéjże co w Krakowie i w Poznaniu spodziewać się ruiny; a lubo się ofiarują Austryacy z umniejszeniem sumptów, ale też ilość mniejsza zasobów znajduje się w Poznaniu!“ Bodaj to nie pierwszy na świecie przykład woła kasztelan „sąsiada tak uciążliwém dobrodziejstwem wspierać!“ A trzebaż w obec tego uwzględnić niezadowolenie w wojsku, zaniepokojoném obawą zagrożonéj wolności. Są bowiem „poszepty“, że jeżeli przyjdzie do obrony wolności, chce się ono znosić z wojskiem zaporozkiem i powołać bracią szlachtę do współdziałania. A gdy i województwa „nowym przerażone strachem“, „bardzo się obawiać, aby nie łatwo zgodzili się na to zamieszanie“... Rozumie on, „że Polska, nawet w upadku swym nie jest do lekceważenia“... Uprasza tedy króla: „Chciéj temu WKM. zabieżeć, aby cesarz nie dawał powodu zgorszenia tą propozycyą...“ Nadto, załogi cesarskie znalazłyby się w sąsiedztwie Pruss, gdzie uroszczeń swoich dom rakuski nie porzucił. Skoroby zaś obywatele zobaczyli, że im załogi zwodzą, i innemi zastępują, „bardzoby żałośni zostawali, i rozumieliby, że na łup wydani.“ Co więcéj, chce cesarz, aby téj załodze poprzednio obmyśleć na miesiąc 8,000: lecz Poznań temu nie wydola; ze szlachtą zaś od poboru wojennego kontrybucyą zaczynać—„przeciw praw Rzeczypospolitéj.“ Jeżeliby zaś sejmik przyszło złożyć, „zwady, płacze i jęki tylko WKM. usłyszysz, a prośby do siebie, a żadnéj kontrybucyi“... Odwróć tedy tę grożącą burzę!

W tymże roku, po tylu ciężkich próbach Rzeczypospolitéj,

(1) Patrz Źr. dziejowe—Listy Grzym. Nr. 2.

stanęło między Janem Kazimierzem a znakomitszymi ludźmi z senatu i rycerstwa porozumienie, co do nieodzowności wybrania wolnemi głosami następcy tronu, za życia jeszcze króla. Jan Kazimierz podpisał 11 Sierpnia akt odnośny; podpisali go i panowie, nawet ci, co potém, jak Jerzy Lubomirski i Jan Leszczyński, tak zawzięcie przeciw wprowadzeniu w życie tego układu wystąpią. Główną oporą projektu był Bogusław Leszczyński podkanclerzy koronny. Czy zaś i kasztelan poznański podpisał ten akt—pewności nie ma; przecie zdaje się to być niewątpliwém.

Na sejmie 1661 roku, na którym to Jan Kazimierz wystąpił otwarcie po raz pierwszy z propozycyą elekcyi następcy za jego życia, wezwanym on był do zasiadania w radzie królewskiéj i wchodził do deputacyi, która ratyfikowała traktat oliwski.

Lecz przekonania jego polityczne przybierały coraz bardziéj cechę oppozycyjną. Przekładał on wreszcie wziętość u braci nad względy dworu, i był może wtedy szczerze szlachcicem republikaninem. Gdy dwór więc postanowił już ostatecznie przeprowadzić elekcyą następcy tronu (ks. d'Enghien), za życia króla, Grzymułtowski dość otwarcie przechylił się ku stronie temu przeciwnéj.

Na sejmie tedy ekstraordynaryjnym 1662 roku (1) wśród wrzawy przeciwników projektu elekcyjnego, starał się on udowodnić niestosowność, nieużyteczność, a nawet niebezpieczeństwo podobnego zamysłu dla Rzeczypospolitéj i samego króla, „zwłaszcza, jeżeli z takiego miałby król narodu sukcessora, u którego gorąco bywa w głowie“. Prosił zatém o odroczenie téj kwestyi do przyszłego sejmu, dla poważniejszego zastanowienia się nad nią, powiadając że „tu chodzi, o życie narodów, o życie prawa pospolitego, o życie wolności, którą Bóg za przeosobliwszą łaskę ulubionym dawał narodom i gniewał się, kiedy nią gardzili... boć w takiéj materyi nie godzi się dwa razy błądzić!“

Następnie w rokoszu Lubomirskiego zajął on już odrazu przeważną rolę.

Nie łatwo przecież określić wyczerpująco istotne pobudki postępowania Grzymułtowskiego: ile w nim grało rolę szczere przekonanie, a ile wpływy postronne, uraza, ambicya, przyjaźń, lub nadewszystko potrzeba popularności między bracią. Zdaje się, że on tu stopniowo tylko dał się wciągnąć i porwać. Wrzawność ówczesnéj szlachty wielkopolskiéj znana: niedawno, idąc za Krzy-

(1) Patrz Źr. dziejowe—List Grzym. Nr 3.

sztofem Opalińskim, wiązała się ona z Karolem Gustawem przeciw Janowi Kazimierzowi; a teraz z równą łatwością odpowiedziała na wezwanie nowego obrońcy wolności, za jakiego się wydawał Lubomirski. Kasztelan zaś, ile był jéj przewodnikiem, tyle może i narzędziem.

Usiłowania dworu, Maryi Ludwiki i jéj stronnictwa, zmierzające do zapewnienia, za życia króla, następstwa tronu ks. d'Enghien, połączone ze wstrętnemi dla narodu praktykami, dawały słuszne powody do niechęci i opozycyi. Przeciwnikom łatwo było niechęć tę rozdmuchiwać. Najzawziętszymi jednak przeciwnikami nowych dążeń były oczywiście dwory wiedeński i berliński. Każdy z nich miał tu niemało swych szczególnych przyjaciół. Pchnięto ich tedy naprzód....

W Wielkopolsce miał ich więcéj bezpośredniejszy sąsiad, niedawny hołdownik Rzeczypospolitéj, dziś niezależny książę pruski, kurfirst Fryderyk Wilhelm, zawczasu Wielkim Elektorem przez swoich przezwany. Przemyśliwał też i on sam chwilę o koronie polskiéj i skarbił sobie wszelkiemi sposoby przychylność szlachty. Oto niedawno jeszcze, już jako sprzymierzeniec Rzeczypospolitéj, dowodząc wojsku polskiemu w Danii, nosił się po polsku i przed każdym towarzyszem nizko czapkę zdejmował. Nic dziwnego tedy, że oburzył się do najwyższego stopnia na wieść o stanowczych zamiarach dworu.

Na czele przyjaciół kurfirsta w Wielkopolsce stał najmożniejszy z panów tamecznych Jan Leszczyński. Był to rodzony brat prymasa Wacława, długo starosta generał wielkopolski, wojewoda łęczycki, potém poznański, od niedawna, po krewniaku swym Bogusławie, podkanclerzy koronny. Natura ambitna, niespokojna i niepewnych politycznych zasad. On to namawiał króla w Głogówku do abdykacyi a Czarnieckiego do poddania Szwedom; potém, przed otrzymaniem pieczęci osobliwie, gorliwy popieracz zamysłów Maryi Ludwiki, piszący i podpisujący listy do Francyi przez nią wysyłane. Teraz, jako dziewierz Bogusława Radziwiłła, krewniaka i otwartego, bezwzględnego poplecznika kurfirsta, ujęty skutecznie przez tegoż, a pewny zarazem popularności u braci, staje się oto zawziętym królowéj przeciwnikiem.

P. Krzysztof zaś był najniezawodniéj przezeń pociągniętym.

Niezmordowanie czynny i dobrze zasłużony dotąd Rzeczypolitéj, zmierzał on ambitnie do wysokich dostojeństw. Zasługiwał się też przedtem gorliwie i królowéj, za co był hojnie przez nią wynagradzany. Lecz, gdy go dwa wojewódzkie krzesła minęły, od-

tąd podobno miał zostać zaciętym królowéj i jéj planów nieprzyjacielem.

Po zapadłym więc wyroku na Lubomirskiego, podczas sejmu 1664 roku, któremu przewodniczył zawzięty wróg tegoż a zarazem przeciwnik kasztelana, Jan Gniński, ówczesny regent pieczęci większéj—sprawa marszałka i przewodniczonych przez Jana Leszczyńskiego i Grzymułtowskiego Wielkopolan stawała się jedną.

Gdy więc w początku 1665 roku Lubomirski wystąpił już z bronią w ręku w Małopolsce, podniesienie Wielkopolan z gotowością wzięli na siebie obaj ci poróżnieni z dworem wielkopolscy panowie: podkanclerzy i kasztelan.

Nie występował przecie Grzymułtowski odrazu otwarcie i stanowczo. Swiadczą o tém jego listy z tego czasu.

W jednym z nich (1) prosi gorąco prymasa Wacława Leszczyńskiego, aby wpływem swym u króla przyśpieszył zwołanie sejmu, gdyż to jedyny środek uciszenia wznoszącéj się burzy i uchylenia nowych nieszczęść, jakieby na kraj spadły; upewnia, że i sędziwy podkanclerzy wytrwa przy wierności; inaczéj zaś nie ręczy, czy i jego samego wypadki nie zadaleko uniosą. A nawet, (2) gdy Lubomirski już „Rubikon przeszedł,“ również w sejmie jedynie widzi środek uspokojenia kraju, nie zaś w rozprawie bronią; choć w potrzebie, i konia gotów dosiąść, „lubobym wolał w domu kopy liczyć.“ Uskarża się niemniéj i przed Janem Opalińskim, bratem swym przyrodnim, wojewodą inowrocławskim (3) na wybuchającą wojnę domową, w któréj zwycięzca, bez względu kto nim zostanie, o wolności decydować będzie.

Jak często w domowych niesnaskach się zdarza: bracia ci przechylali się ku dwom przeciwnym obozom. Czuć zatém głęboką, gorzką ironią w następujących słowach kasztelana do swego młodszego—wojewody: „WMP. już się na wojnę bierzesz: niech Pan Bóg błogosławi!“

Tymczasem złowroga wojna domowa wybuchła. Król w Lipcu zbrojnie wystąpił przeciw rzkoszanom. Lubomirski u Mogiły łączy się z wojskiem skonfederowaném pod Ustrzyckim. Dnia 4 Września, oddział wojsk królewskich pod dowództwem Paca, kanclerza litewskiego, ponosi klęskę pod Częstochową.

Niebawem też i Grzymułtowski stanął na czele konfederacyi

---

(1) Patrz Źr. dziejowe—Listy Grzym. Nr. 4.
(2) Patrz Źr. dziejowe—Listy Grzym. Nr. 5.
(3) Patrz Źr. dziejowe—Listy Grzym. Nr. 6.

województw wielkopolskich, i wystąpił otwarciéj po stronie marszałka rokoszanina. Wprawdzie oświadczał się z tém, że Wielkopolska bierze na siebie przywiedzenie do skutku pokoju i onego gwarancyą, lecz zarazem dodawal, że głównie atoli idzie tu o przywrócenie zdeptanéj wolności, co też właściwie było wypowiedzeniem się przeciw królowi.

W taki sposób Lubomirski, opierający się dotąd na wojsku związkowém przeważnie, zdobył sobie teraz i szeroko-obywatelską podstawę.

Gdy województwa wielkopolskie stanęły zbrojnie pod Pyzdrami, prymas Wacław Leszczyński, rodzony brat malkontenta Jana podkanclerzego, pisał (1) do związkowych i do Grzymułtowskiego, przemawiając za spokoném rozwiązaniem sprawy, ile że „o żadnym postronnym nie słychać nieprzyjacielu, i z p. Lubomirskim nadzieja niewątpliwa uciszenia....“

Lecz gdy ten jednak zbliżył się do Kujaw, połączyła się z nim szlachta wielkopolska. Posunął się tedy i król naprzód na spotkanie przeciwników.

Dla większéj swobody działania, niepewnego szlachcie wojewodę poznańskiego Andrzeja Karola Grudzińskiego, Grzymułtowski wyprawił do króla.

Jakie zaś było usposobienie szlachty w obozie, niech świadczy fakt następujący: (2)

Wielkopolanie, za radą Grzymułtowskiego, wyprawili następnie posłów do króla, dla przełożenia mu uciążliwości, które naród od dworu cierpi. Kanclerz Prażmowski, zawsze gwałtowny, nie dopuścił królowi ich widzieć; lecz rozkazał pisarzowi skarbowemu ks. Madalińskiemu udać się do Grzymułtowskiego, i ustnie imieniem królewskiém przełożyć zbrodnię powoływania szlachty do oręża. Sam nadto listem uszczypliwym i groźnym karcił go za wzniecanie rozruchów w województwach. Skoro Madaliński poruczenie swoje opowiedział i list kanclerski wręczył, Grzymułtowski, koło zwoławszy, głośno to pismo odczytać kazał. Do tego zaś stopnia wzburzyło to szlachtę, że tylko wzgląd na majestat i duchowny stan Madalińskiego, ocaliły go od rozsiekania. „Więc tylko kanclerz, tylko ten pop jednooki, woła szlachta, do rządów! a my tylko do snopków i do orki?!...“

---

(1) 11 Października, patrz Źr. dziejowe—Listy Grzym. Nr. 7.

(2) Anonym Raczyńskiego, w Historyi Jana Kazimierza. T. II, 367. Malin. Źródła II, 460 i t. d.

Mimo traktowań, wypadki rozwijały się same przez się daléj. Oto Jan Sobieski, teraz marszałek wielki koronny po Lubomirskim, i od niedawna szczęśliwy mąż „Marysieńki“ w liście (1) z Kłodawy, do swéj „najśliczniejszéj i najukochańszéj duszy i serca pociechy“ następującą wiadomość podaje: „Wielkopolanie złączyli się już z Lubomirskim. Chodził po nich sam Luboirmski z ośmnastu chorągwi. Wyjeżdżał przeciwko niemu pan poznański ze szlachtą, bo przy nim teraz komenda. Dla tego umyślnie wyprawił tu wojewodę z listem do króla, aby tam w jego niebytności prędzéj swych rzeczy dopiął: a ten się też nieborak ledwo aż tu postrzegł. Powiadają tedy.. że zaraz Lubomirski zsiadł do pana poznańskiego i tam cały dzień z sobą traktowali, a te ośmnaście chorągwi Lubomirskiego na koniach stali; potém nazajutrz już poszli z sobą w kupie. Lubomirski stanął pod Kruszwicą a oni pod Gembicą Wielkopolskich chorągwi ośm tylko wszystkich... My idziem na Brześć kujawski pod Toruń.“

A z Brześcia, pisze daléj (2): „Jest list od pana poznańskiego, imieniem województwa, gdzie prosi o sejm na koniach, na którym chcą prosić króla o sprawiedliwość des ses ministręs. Do czego tedy już przyszły rzeczy, snadno uważyć... Od kilku już dni wydał uniwersały do wszystkich województw, aby się kupiły do nich, jako najprędzéj. Sami się ruszyli wespół ze związkowymi ku Kołu... i ku nam chcą iść prosto“.

Niebawem przyszło tedy i do zmierzenia się bronią w utarczce koło Torunia, pomimo całéj niechęci ku temu króla. Była ona szczęśliwą dla wojsk królewskich. „Co (zaś) strony pana poznańskiego—pisze w parę dni potém z obozu pod Toruniem, 10 Listopada, do żony Sobieski (3) — ten do trybunału nie odjeżdżał: był le chef de deux palatinats. Co sejmu na koniach potrzebował, tak mu się stało, że go na koniach zaczął, ale go piechotą przed naszemi końmi skończył...“

Wprędce potém nastąpiła zobopólna słowna ugoda pod wsią Palczynem, w pobliżu Łabiszyna; lecz prowadziła ona za sobą właściwie li tylko zawieszenie broni do czasu. Sprawa sama odłożoną została do następującego sejmu.

Już w powyższym liście bardzo się stanowczo Sobieski o tém wy-

(1) 26 Października, patrz Listy wyd. Helcla, I. 44.
(2) 29 Października, patrz Listy wyd. p. Helcla, I. 45.
(3) Listy wyd. p. Helcla, I. 49.

powiada: „Wątpię, żeby to był stały pokój. Już się było lepiéj rozprawić, bo nasza pewna była wygrana. A teraz, jak znowu na wiosnę rozpocząć przyjdzie, jeśli zimie ostatka nie uspokoją; to w zysku, że król przecie z honorem tę teraz skończył kampanią, cale niespodziewanie...“

Nastąpiły przeprosiny.

Lubomirski miał posłuchanie w namiocie, lecz zimno był przez króla przyjęty. Stawili się też naczelnicy związkowego wojska i Wielkopolanów do pocałowania ręki królewskiéj; przytem i p. Krzysztof dostrzegł, że jest w głębokiéj niełasce.

Skoro król odjechał, przełożył tedy kasztelan poznański szlachcie, że ta zgoda nie przedstawia żadnéj zgoła rękojmi, a prawa i wolności zagrożone, z bronią tylko w ręku ubezpieczyć można. Szlachta zatém poczęła radzić, obóz zamieniła w sejmiki, i po trzech dniach uchwaliła: aby zawiadomić inne województwa, że Wielkopolanie dla zabezpieczenia praw i wolności pod bronią stanęli; że projekta dworu, co do elekcyi następcy za życia króla wcale nie poniechane; że trzeba sejmu dla usunięcia nadużyć i bezprawi. Gdy atoli zrywanie sejmów doszło już do ostateczności, więc pytano: czyby nie należało zawiązać konfederacyi? W razie zaś niedotrzymania ugody ze strony dworu, Grzymułtowski będzie miał prawo zwołać sejmik do Środy, naznaczyć przegląd pospolitego ruszenia wielkopolskiego, wyprawić posłów do innych województw, dla zawezwania ich do poparcia sprawy ogólnéj i objąć nawet wszelką władzę nad Wielkopolską.

Grzymułtowski teraz czuł się być panem położenia.

Zwracali się ku niemu i przyjaciele i przeciwnicy. A jednych i drugich, jak to zwykle w domowych zamieszkach bywa, miał kasztelan wśród własnéj rodziny, wśród krwi swéj najbliższéj. Między innymi, stoi potężny ród wielkopolski krewniaków jego Leszczyńskich, w jednéj nawet rodzinie, rozdarty między dwa obozy.

Gdy tedy, zatrzymany widać chorobą w domu, podkanclerzy i generał wielkopolski Jan, spieszy z pozdrowieniem wspólnika swych niecnych uraz i zamieszek, kasztelana, jako zwycięzcę i sprawcę pokoju (1); brat jego Wacław prymas, żywe Grzymułtowskiemu robi zarzuty (2).

---

(1) 14 Listopada p. Źr. dziej. L. Grz. Nr. 8.
(2) 28 Listopada, p. Źr. dziej. L. Grz. Nr. 9.

W odpowiedzi wszakże (1) arcybiskupowi tłómaczy się kasztelan energicznie ze swego postępowania w kole województw skonfederowanych, upewnia, iż miał na względzie prawo tyle co króla; nie był autorem punktów, lecz tylko przyzwolił na nie; wreszcie tylokrotnie słyszał samego króla mówiącego, że tego ma za wroga, ktoby mu elekcyę doradzał. A że nastawał na zwołanie sejmu i niezrywanie go—czyż to nie po obywatelsku?—nie lepiéjby było, gdyby był przyjął wydanie uniwersałów na pospolite ruszenie. Następnie upewnia prymasa, że wszystko, co się działo, działo się za wyraźną wolą województw.

Podobnież tłómaczy się (2) i przed Trzebickim, biskupem krakowskim, gorliwym pośrednikiem między stronami. Powiada, że był w trybunale, zjechał do braci z obowiązku urzędu, zastał ich stojących już 12 dni w obozie; niechętnie przyjął dowództwo i robił to tylko, co koło zadecydowało; niemało się też przyłożył do uspokojenia burzy, a teraz tam (prymas) sądem Rzeczypospolitéj mu grozi! Ale nauczony obcym przykładem, będzie się bronił ile sił: „boć i biedna mucha, gdy w pajęczynie uwięźnie, grzebie się jak może". Czeka sejmu; ze złowrogich atoli oznak w czynnościach partyi dworskiéj, pokoju się nie spodziewa, gdy i król sam już pod Palczynem pokój ten „malowanym" nazywał.

Lecz biskup krakowski, mimo całéj swéj znanéj przychylności dla sprawy Lubomirskiego, potępia (3) umowę województw wielkopolskich przy opuszczeniu obozu pod Palczynem, zarzuca Grzymułtowskiemu, że artykuły te wcale do pokoju nie prowadzą przyznaje przecie słuszność województwom skonfederowanym, „boć musiały one, powiada, radzić o sobie, widząc blizko siebie dwoje wojska i zabiegając spustoszeniu, które drugich dotknęło, i kiedyby się były nie łączyły z wojskiem konfederackiém, byłoby chwalebném"; przyznaje równie, „że wdanie się województw wielkopolskich wiele pomogło do pokoju, bo podobno jeszczeby było wojsko związkowe zechciało dłużéj tentować, i nie wiedzieć pókiby była ta gonitwa nie ustała"; w razie tedy jakich mandatów przeciw kasztelanowi, staje w jego obronie.

Istotnie, groźne niebezpieczeństwo zawisło było nad głową Grzymułtowskiego. W przewidywaniu burzy, zręcznie też okrywał się on togą obywatelską, odwoływał się do prawa, znosił się

---

(1) 29 Listopada. p. Źr. dziej. L. Grz. Nr. 10

(2) Z 14 Grudnia, p. Źr. dziej. L. Grz. Nr. 11

(3) W liście z 21 Grudnia z Kielc, p. Źr. dziej. L. Grz. Nr. 12.

z przyjaciołmi, a porozumiewał z bawiącym zagranicą marszałkiem (1).

Pogróżka prymasa powołania go przed sąd sejmowy, najbardziéj p. Krzysztofa, widać, niepokoiła. Żali się on na to w swych listach z goryczą. Woła tam: „Nie poszlakuje żaden, luboby najciekawszy inwestygator, szkodliwych ojczyznie praktyk!... Nie uchylam się od rozpatrzenia całéj Rzeczypospolitéj spraw moich, byle mnie nie z apokryfu sądzono — czém snać ktoś z krewnych moich potrząsa... Nie uchylam się... powtarza; ale (jeśli to ma być) porządkiem sądowym, pewnie przegrać musiałbym...“ Sejmu tedy właściwie z upragnieniem wyczekuje; lecz dla większéj pewności, uprasza przyjaciół, aby „takie przełożyć raczyli na przyszłych sejmikach zbawienia ojczyzny sposoby, któreby oraz i osób prywatnych zaradzały bezpieczeństwu...“

Tymczasem mimo to wszystko, p. Krzysztof, stanąwszy teraz u szczytu wziętości między bracią szlachecką, mniéj dbając na niebezpieczeństwa mu grożące, wstępuje na nowo w śluby małżeńskie, po 15 latach bezżenności. Żoną jego została Alexandra Cecylia, córka Bogusława Leszczyńskiego, b. podkanclerzego koronnego, z Denhofówny. Pierwsza zaś jego żona Barbara z Ossowéj Sieni Ossowska jeszcze 1650 r. umarła.

Przez ten związek nowy zespolił się kasztelan poznański jeszcze ściśléj z rodem Leszczyńskich, mianowicie ze starszą onego linią, idącą od wojewody brzesko-kujawskiego Jędrzeja, stryja jego matki. Rodzoną bracią młodéj pani poznańskiéj byli: Bogusław, potém biskup łucki, i Rafał podskarbi koronny, żonaty z Jabłonowską, córką hetmana wielkiego koronnego, ojciec przyszłego króla.

Stanowisko jego polityczne zatém, témbardziéj się jeszcze wzmocniło. Lecz z drugiéj strony i przeciwnicy jego bardziéj się nań rozsrożyli.

Oto w początku 1666 roku widzimy Grzymultowskiego w Piotrkowie, zasiadającego w trybunale wielkopolskim. Szle on ztamtąd (2) list do biskupa Trzebickiego, w którym oświadcza swe gorące pragnienie pokoju. Skarży się na stawione sobie sidła nawet w trybunale, gdzie „jurystów zwodzono, powiada, z kolegami mymi traktowano, aby mi było zadać wspólnictwo z człowiekiem skazanym na pozbawienie czci (Lubomirskim), i z tego

---

(1) Patrz Źr. dziej. L. Grz. Nr. 13, 14 i 15.

(2) 11 Stycznia, p. Źr. dziej. L. Grz. Nr. 16.

powodu bez pozwu rugować mię z trybunału, a oraz ogłosić pozbawionym czci chciano." Widzi w tém machinacye kanclerza Prażmowskiego przedewszystkiém, i odgraża mu się skargą u Ojca św. Obiecuje przecie wpływać na marszałka, skłonnego zawsze do pokoju. Utyskuje na stronników dworu, że myślą rwać przyszły sejm i łudzą wojsko, iż nowy elekt tylko będzie w stanie zaległość mu wypłacić; sam zaś wskazuje inny środek — zaspokoić wojsko jako tako. Tymczasem żywo boleje nad „ostatniém ciemięztwem poddaństwa" w dobrach duchownych i Rzeczypospolitéj.

Wszakże przyjaciel biskup (1) nie widzi możliwości wyjścia z fatalnego położenia zwykłemi środkami: wojsku należeć się będzie koło 8 milionów złp.; zkąd je wziąć? — województwa spustoszone nie mają z czego, inne zaś same płacić nie zechcą, a tu ucisk zewsząd: i wojsko królewskie „drapieżne" i konfederaci „tyrańsko z ludźmi się ubogimi obchodzą." Daléj, „pieniędzy gotowych w skarbie nie masz, pożyczyć nie ma gdzie, mennica szelężna i tynfowska już się nadprzykrzyła i w niwecz nas obróciła." Co począć?

Zbliżyły się tymczasem sejmiki przedsejmowe. Grzymułtowski jako kasztelan poznański stanął w Środzie na sejmiku wielkopolskim. Mamy ztamtąd list jego (2) do biskupa krakowskiego. Widać z tego pisma, iż stronnictwo dworskie, w osobie Wierzbowskiego, biskupa poznańskiego, użyło wszelkich środków do obalenia u szlachty powagi swych przeciwników—kasztelana i jego politycznego przyjaciela, podkanclerzego Leszczyńskiego. Intryga zaś dworska musiała być dość skutecznie prowadzona, bo Grzymułtowski zapowiada, że boi się jechać na sejm. Lecz wśród tych okoliczności nie zasypiał i on sprawy: oto (3), użala się, że wyjeżdżał o pół mili za granicę dla porozumienia się z marszałkiem o pokój, a już mu to za zbrodnią mają; gdy przecie robił to otwarcie za wiedzą trzech biskupów. Mimo wszystko atoli, biskup Trzebicki nalegał nań, by zjeżdżał na sejm, niczego się nie obawiając (4); widzimy też kasztelana już w początku Marca w drodze do Warszawy (5).

Sejm się rozpoczął w Kwietniu z wielką wrzawą, a tymczasem wojska królewskie zajmowały mocniejsze punkta w Wielko-

---

(1) W liście z 12 Stycznia, p. Źr. dziej. L. Grz. Nr. 17.
(2) 15 Lutego, p. Źr. dziej. L. Grz. Nr. 18.
(3) W liście z 21 Lutego, p. Źr. dziej. L. Grz. Nr. 19.
(4) Patrz Źr. dziej. L. Grz. Nr. 20.
(5) Patrz Źr. dziej. L. Grz. Nr. 21 i 22.

polsce i uciskały ludność. Donosi o tém Grzymułtowski z Leszna, posłom na sejmie i Trzebickiemu jako przewodnikowi naówczas senatu, gdyż prymas Wacław Leszczyński niedawno był umarł (4); uprzedza, że już zaczyna się z wojskiem związkowém „około chlebów zwada“, która znów doprowadzi do wojny domowéj, bo któż zapłaci wojsku? Woła tedy: „zła to maksyma, jeżeli tą drogą zamyśla kto przywoźne prowadzić pieniądze na zapłatę wojska, i za nie Rzeczpospolitą w wieczną uplątać niewolę“!

Jak się zachowywał Grzymułtowski na tym, pierwszym tego roku w Warszawie, sejmie —wiadomości o tém nie posiadamy; nie jesteśmy pewni nawet, czy zgoła kasztelan był na nim.

Mimo najgorliwszych starań ludzi dobréj woli, sejm ten przecie nie mógł przyprowadzić do zgody. Stronnicy dworu domagali się sądu na kasztelana poznańskiego, i nie pozwalali podjąć ugody palczyńskiéj. Zerwano więc obrady—a obie strony pomyślały stanowczo o nowéj wojnie.

Lubomirski siedząc na Spiżu, zburzył sandomierskie i krakowskie województwa, pozyskał sędziwego Warszyckiego, kasztelana krakowskiego. Pospolite ruszenie małopolskie, podążyło ku braciom wielkopolskim, na których czele znów wystąpił Grzymułtowski, aby razem stanąć przy marszałku. Dnia 10 maja wydał król rozkaz do rozejścia się, lecz bezskutecznie.

Grzymułtowski w liście do kasztelana Warszyckiego (1), użala się jeszcze na opłakany stan, zerwane 3 sejmy, i woła o zgromadzenie całéj Rzeczypospolitéj, a już niebawem (2) uprzedza wojewodę bełzkiego ks. Wiśniowieckiego, iż oto (3) sam występuje na czele województw wielkopolskich i wzywa go, by równie otwarcie się wypowiedział.

Wojsko królewskie i zastępy zbrojne rokoszan poczęły się ku sobie zbliżać, pilnie śledząc się wzajem. Traktowanie wszakże nie ustawało na chwilę w ciągu ewolucyi wojennych. Lubomirski tymczasem połączony z Wielkopolanami, znów oparł się o Kujawy.

W początku Lipca wystąpił był Grzymułtowski na podjazd z 6 tysiącami wojska. Król ujrzał w téj wyprawie kasztelana dowód nieszczerości zamysłów rokoszan; a postępując za nim krok w krok, przyszedł nad przeprawę u Mątew, przez błota Noteci,

---

(1) Patrz Źr. dziej. L. Grz. Nr. 23 i 24.

(2) Z Leszna, 14 Maja pisanym, p. Źr. dziej. L. Grz. Nr. 25.

(3) 20 Maja, p. Źr. dziej. L. Grz. Nr. 26.

(4) 26 Maja.

powyżéj Kruszwicy, gdzie właśnie była główna obozu związkowych obrona.

Dnia 13 lipca zaszla tedy fatalna bitwa pod Mątwami; poczém (1) stanął układ w Łęgonicach nad Pilicą, a następnie w Jaroszynie (naprzeciw Puław, nad Wisłą) odbyła się ceremonia przeprosin króla.

Tam też i Grzymultowski Jana Kazimierza przebłagał, w mowie swéj do króla (2), z większą przecie od marszałka godnością się tłómacząc.

Przeciwnicy dworu tryumfowali. Układem łęgonickim zobowiązał się król do wyrzeczenia się wszelkiego popierania elekcyi; a układ ten, zapowiedziany na Listopad, sejm miał zatwierdzić. Lubomirski począł się atoli już pierwéj z królową o warunki popierania pożądanéj elekcyi układać.

Tymczasem rozkołysane namiętności stronnictw ożywiały się za lada okolicznością.

Niezmiernie charakterystycznym jest list kasztelana do ks. Grabskiego Soc. Jesu (3), pełen mocy i sarkazmu. Oburza się on tam na pewnych oo. Jezuitów, co w czasie rokoszu gwałtownie przeciwko niemu w mowach swych występowali. Woła o karę na nich. Lecz podobno, dodaje p. Krzysztof, „że WMciów Jezutów lisim ogonem karzą, albo skromnym obiadkiem, przy takiéj porcyi, jako przed Jmci ks. rektora położą". Nas na pal?! — powiadają. „W domu moim pale nie bywały... bom żadnego w rodzie Jezuity nie miał. Jam też już uczynił votum nie być nim boby mię siła dyspensa kosztowała. Wolę tedy tego pala życzyć temu ojcu... co, przy łasce Bożéj, potkać go może..." wśród gorliwości missyjnéj. Aleć „do Krymu, wątpię aby poszedł, bo tam jakoś nie gorąco ciągnie affectus męczeńskiéj korony; lepiéj do Anglii, gdzie królowa katoliczka; azali się te męczeńskie promienie odwloką!..."

Zebrał się nakoniec sejm 4 Listopada. Układy tajemne między Lubomirskim i królową nie były widać jeszcze ich doprowadziły do stanowczego porozumienia, bo stronnictwo dworskie sprzeciwiło się restytucyi i robiło trudności w wykonaniu łęgonickiego układu. W odpowiedzi na to, przeciwnicy dworu poczęli burzyć obrady. Przyjaciel kasztelana, podkanclerzy, stronnik wytrwały

(1) 31 Lipca.

(2) 8 Sierpnia, p. Źr. dziej. L. Grz. Nr. 27.

(3) 12 Października p. Źr. dziej. L. Grz. Nr. 28.

kurfirsta i śmiertelny wróg Prażmowskiego, który, jako już nominat gnieźnieński, dotąd wszakże upragnioną przez Leszczyńskiego pieczęć większą zatrzymywał, usiłował teraz skompromitować i obalić całe stronnictwo królowéj. Marya Ludwika tedy sama wpłynęła na zerwanie sejmu.

Jak się zaś w tém wszystkiém zachowywał Grzymułtowski, możemy, zdaje się, napewno prawie odgadnąć.

Po śmierci atoli głównego przeciwnika zamysłów Maryi Ludwiki, marszałka Jerzego Lubomirskiego, zaszłéj 31 Stycznia 1667 roku, Grzymułtowski stanowczo już widać przechylił się na stronę dworu. W jednym z listów do króla (1), wzywany przezeń, martwi się niełaską tronu, zapewnia o swéj wierności, uniewinnia niedawną przeszłość, składając się swym obowiązkiem obywatelskim; lecz prosi króla oraz, by mu wolno było wyznać jego „imbecillitates.“

Na następnym sejmie, w Marcu, wrzała jeszcze walka stronnictw. Lubomirskiego zastąpił teraz kurfist w sterowaniu stronnictwu przeciwników dworu. Mając na celu poparcie przeciw— kandydata francuzkiego, elekcyi Neyburga, po zamąceniu przeszłego sejmu, postanowił kurfist na obecnym, zniweczyć ostatecznie usiłowania królowéj. Podkanclerzy Leszczyński znów tedy zawzięcie wystąpił, pożerany nadto pragnieniem większéj pieczęci. Dwór ustąpić zatém musiał: wydano dyplom z wyrzeczeniem się tyle pożądanéj wolnéj elekcyi.

Posiadamy z tego sejmu jednę mowę Grzymułtowskiego (2). W całym tonie téj mowy zdaje się kasztelan przyświadczać, że już dał się przejednać dworowi. Chodziło o uspokojenie Rzeczypospolitéj. Należy tedy rozpocząć rzecz, powiada on, od wypłaty należności wojsku! Co do sposobu,—przemawia za wypłatą przez podział na województwa, nie zaś przez komissye, w których widzi największe zło. Pierwéj jednak radzi zająć się skarbem, i na ten cel wyznaczyć z senatu komissyą specyalną, któréj uwagi izba poselska jużby gotowe roztrząsała. Co do propozycyi i podziału, radzi wziąć za podstawę onego dotychczasowe podymne. „Pogłównego, powiada p. Krzysztof w wysoce charakterystyczny na owe czasy sposób—nie życzę.... bom w niém (zawsze) widział obrazę z porównania wolnych głów z niewolnemi; widziałem niebezpieczeństwo, bo nas policzyć z niego narody mogą; widziałem wszelkie

---

(1) Patrz Źr. dziej. L. Grz. Nr. 29.

(2) Patrz Źródła dziejowe L. Grz.. Nr. 29.

oszukaństwo...“ Potém napada na akcyzę, na cła wodne, na mennicę, i radzi trzymać się dawnych środków opodatkowania. Co do ordynacyi mennicy, widzi w tém rzecz nadzwyczaj trudną, bo „zniżyć albo wywołać szelągi, powiada, jest zapłatę wojsku zatrudnić, a zatém zadać śmiertelny cios Rzeczypospolitéj.... bo zniżywszy naprzykład dwa, albo trzy w jeden szelągi, to na jeden milion szelągami, dwa albo trzy złożyćby potrzeba miliony; wywoławszy zaś, to tynfami nie zapłacimy, bo ich nie masz tyle w kraju... Nie zniżać, zda się być krzywda wojsku, bo wziąwszy żołd, nie wiele zań sprawi....“ Sądzi tedy, ażeby zostawić rzecz jak jest, zapobiegając tylko nadużyciom. Prosi więc króla, ażeby natychmiast kazał zawrzeć mennicę; a co do mincarzy: „należałoby, powiada, przegnać to stado za granicę, zkąd przyszło;“ niedość na tém— „należałoby naleźć sposób, aby ich z kątów nie przybywało!“ Dla zapobieżenia zaś dalszemu złemu, wypada podnieść wartość dobréj monety; a jeśli też i ceny się podniosą—nic nie wadzi: bądźmy tak skromni, jak przodkowie—powiada. Radzi też otworzyć dobrą mennicę, polecając uwadze sejmujących rozprawę mincarza Gillego, pod tytułem: *Consilium de re monetaria regni Poloniae.* Zapłaciwszy wojsku, rzecze daléj kasztelan, należy określić ilość i jakość onego na przyszłość; a najlepiéj wrócić do starożytnego uzbrojenia, przy którém Polska była szczęśliwą, bo mówi: „zgoła jako nastały regimenta, wszystko się poczęło kozaczyć!...“ W taki sposób zapewniwszy pokój wewnątrz, łatwiej pomyśleć o uspokojeniu zewnętrznem, na co jednak nieodzownem jest zgromadzenie na wiosnę pospolitego ruszenia, które da Rzeczypospolitéj zwycięztwo albo pokój....

Na tymże sejmie obaj główni wielkopolscy przeciwnicy dworu, podkanclerzy Leszczyński i p. Krzysztof, zebrali też owoce, niezawodne nigdy na nieszczęście, zawziętéj swéj przeciw polityce króla opozycyi. Leszczyński został kanclerzem wielkim koronnym po Prażmowskim; Grzymułtowski, jako dowód względów królewskich, otrzymał przywileje na założenie miasteczek Freisztatu i Laskówki, a wprędce został obdarzony i starostwem ujskiém nad Notecią.

Tymczasem 10 Maja umarła Marya Ludwika; Jan Kazimierz postanowił abdykować; niepokój w kraju jeszcze bardziéj został podniecony.

Grzymułtowski w tchnącym już szczerością liście do króla (1),

(1) Źródła dziejowe. L. Grzym. 20 Czerwca z Kościana.

mówi mu o wzburzeniu umysłów na sejmiku relacyjnym wielkopolskim, prosi o usunięcie powodów obawy, upewnia króla o skuteczności swego wpływu na umysły, żałuje że go król nie znał pierwéj, dziękuje za dobrodziejstwa, pyta go o prawdę co do abdykacyi, któréj jest przeciwnym, i nie wątpi, że nie narazi kraju na zamieszki. A jednocześnie (1) oburza się przed kanclerzem Leszczyńskim, że tego sługi śmieją roznosić uwłaczające jego obywatelskiemu charakterowi wieści. „Aleć ja te rzeczy, powiada, mniéj uważam, bom już był nie na jednéj próbie, i mogę rzec o cnocie mojéj, że jest jako brant szczery siedmkroć przelewany, jako tam gdzieś Kochanowski napisał.“ Przecie, nie uwłaczając prawom i zwyczajom Rzeczypospolitéj, za odebrane beneficium, powiada, służyć królowi będzie — i teraz przeszkadza, „aby mu nikt korony nie zdejmował z głowy, tylko same fata.“

Podejrzywano widać powszechnie Grzymułtowskiego, że oddał się zupełnie dworowi i wchodził we wszelkie onego tajemne zamysły. Nawet niedawny współrokoszanin, krewniak jego żony, żarliwy przyjaciel kurfirsta, kanclerz, poczyna mu nie ufać. Broni się też pan Krzysztof energicznie. Kanclerzowi (3) powiada, że otrzymanie od króla Ujścia tak go nie zmieniło, jak nie uwiodły kanclerza otrzymywane przezeń dostojeństwa. „Ja tylko odrobinę wziąłem chleba, woła tedy, a już ztąd mam być niepoczciwy?!... Królowi żadnéj nie dałem na siebie obligacyi, ani jéj po mnie potrzebował... Ale gdyby mi i drugie dano starostwo, rzecze, wziąłbym bez skrupułu. Jeżeli (zaś) kto elekcyą myśli wzniecać za panowania JKMci, mam to za zbrodnią....“

Pojednany z dworem, Grzymułtowski stawał się też stopniowo coraz więcéj solidarnym i z dominującém u dworu stronnictwem dotychczasowych swych przeciwników najzawziętszych. Stawał się przez to samo, z głośnego gorliwca o wolności szlacheckie, coraz bardziéj zwolennikiem monarchizmu i ściślejszego w Rzeczypospolitéj porządku. Co zaś do stosunku swego względem polityki obcych dworów, zbliżając się do Francyi, nie przestawał on być przyjacielem kurfirsta.

Tymczasem wszelkie usiłowania, ażeby powstrzymać Jana Kazimierza od opuszczenia tronu, zostały bezskuteczne. Dnia 16 Września 1668 roku król abdykował.

Nim to nastąpiło wszakże, oddawna już prowadzono tajemnie targ o koronę. Stronnictwa starały się prześcignąć wzajem w za-

---

(1) Źródła dziejowe. Lysty Grzym Nr. 32.

(3) w liście pisanym z Poznania 3 Lipca, Źródła dziej. Listy Grz. Nr. 34.

biegach. Grzymułtowski stanowczo teraz stał po stronie francuzkiéj; lecz do którego z dwóch jéj kandydatów: Neyburga, czy Kondeusza szczerzéj się przechylał—odpowiedzieć niełatwo.

*

* *

Abdykacya Jana Kazimierza rozwarła przed Grzymułtowskim zupełnie nową widownię politycznéj działalności, przyspieszyła uwydatnienie innego niż dotąd działalności téj charakteru. Od téj chwili bowiem wstąpił on właściwie w nową, drugą fazę swego publicznego zawodu. Z pana-brata szlachcica, przestrzegającego wolności, stał on się teraz bardziéj poważnym senatorem, gotowym jak dawniéj do wszelkiéj polityki osobistéj, w uniesieniu się za jakimś własnym widokiem, ale ważącym zarazem spokojniéj na szali trzeźwego rozumu żywotne Rzeczypospolitéj potrzeby. Stał się gorliwym poplecznikiem stronnictwa arystokratyczno-monarchicznego.

Najwyższém zadaniem stronnictwa możnowładczego było zapobieżenie dalszemu rozprzężeniu Rzeczypospolitéj. Rozumiano dokonać tego przez wyniesienie teraz na tron któregoś z obcych książąt, mogących dawać rękojmię rozpoczęcia nowéj po Wazach, poważnéj dynastyi. W polityce zaś zewnętrznéj chciano się przeważnie oprzeć o wielowładną ówcześnie potęgę Francyi. Było to więc zadanie, godzące z konieczności na obalenie rozpasanego szlachty republikanizmu.

Po abdykacyi Jana Kazimierza zawrzały przeto namiętności stronnictw otwarciéj i gwałtowniéj. Zagrożona wolność szlachecka miotała się zawzięcie przeciw zamysłom możnowładców, ścigając bacznie wszelkie ich knowania.

Bez gorszących też knowań obejść tu się nie mogło. Stronnicy bowiem reorganizacyi monarchicznéj szukali poparcia u obcych, przyjmowali obce subsydya. Kasztelanowi poznańskiemu nawet zarzucała bracia, iż otrzymał był przez posła francuzkiego de Lionne, 60 tysięcy złotych od Ludwika XIV-go na podsycanie partyi.

Można więc było z góry przewidywać, jak zapamiętale zewrą się z sobą przeciwne strony na polu elekcyjném, w czasie sejmu zwołanego w maju 1669 roku.

Zgromadzona tu szlachta, jątrzona podejrzeniami, że senatorowie chcą jéj narzucić księcia francuzkiego, puściła wodze naj-

wyuzdańszéj gwałtowności. Wszystkich zaszczyconych ostatniemi czasy względami Jana Kazimierza okrzyknęła za jawnych zdrajców. Ażeby zaś zapobiedz tajemnym intrygom panów, dopominała się ona, aby każdy z senatorów listy otrzymywane od książąt zagranicznych składał w kole dla wiadomości powszechnéj. Gdy przecie niektórzy stronnicy senatu, upatrując w tém ujmę jego powagi, nie dopuszczali marszałkowi koła rycerskiego głośnego tych listów czytania, bliżéj stojące chorągwie podniosły straszliwą wrzawę, poczęły strzelać z rusznic, grożąc śmiercią każdemu przeciwnikowi woli szlacheckiéj. Napróżno powszechnie czczony biskup kujawski, Floryan Czartoryski, starał się łagodzić wzburzone umysły; ledwie sam uniknął niebezpieczeństwa. W jednéj chwili kilka tysięcy wystrzałów rozległo się na elekcyjném polu; środek onego zajęty przez senat i posłów, zewsząd otoczono; wściekła szlachta z orężem w ręku wdzierać się na wały poczęła. Kasztelan poznański, co stracił już dawno nieograniczone względy braci młodszéj, razem z biskupem płockim Gębickim i wojewodami: łęczyckim Leszczyńskim i kujawskim Żegockim, dopadłszy w ucieczce bramy, powaleni zostali o ziemię, zdeptani, obelgami okryci, a potém przykładaniem rusznic do piersi straszeni, wparci nazad gwałtownie na swoje miejsca (1).

W taki sposób, uniknąwszy oczywistéj śmierci, Grzymułtowski dał się następnie unieść powodzi, i choć nie bez oporu, przyzwolił na nieszczęśliwy wybór Wiśniowieckiego.

Rozumiejąc jednak, że wrzuciwszy niezgodę między najmożniejsze w owe czasy domy litewskie, jeszcze od kraju klęskę, jaką w wyborze Michała upatrywał, odwróci, wystąpił kasztelan ze skargami na podkanclerzego litewskiegoRadziwiłła i ujął się za hetmanem w. litewskim Pacem. Zdawało się już, że dokonana elekcya musi się zerwać; lecz biskup kujawski Czartoryski, wpływem swym na umysły panów litewskich, potrafił przecie ich pojednać i zajmujący się pożar w samym początku ugasił (2).

Zatém widzimy następnie podpisy Grzymułtowskiego na przysiędze wykonanéj przez nowego króla 7 Lipca 1669 roku, i na potwierdzeniu praw i swobód Rzeczypospolitéj.

Mimo dokonanego faktu elekcyi i koronacyi Michała Wiśniowieckiego, Grzymułtowski przecie, razem z całém stronnictwem francuzkiém, do którego teraz niedawny ten zelant wolności szczerém sercem należał, był stanowczym przeciwnikiem nowo obranego

---

(1) Zawadzki—Hist. arcana, str. 35 i d. Malin. Zródła, II. 68.
(2) Zawadzki, str. 59. Malin. Zródła, str. 68 i 69.

króla. Pracował więc tajemnie z niepospolitą energią nad jego obaleniem, znosząc się żywo z wrogami jego w kraju i za granicą.

Nie był on też obcym i zerwaniu sejmu w marcu 1670 roku. Gdy bowiem Gąsiorowski, starosta radziejowski, przedstawił w izbie poselskiéj pismo, jak mówił, podrzucone w kościele, ostrzegające Rzeczpospolitą przed intrygami partyi francuzkiéj, zamierzającéj detronizować króla Michała, a podnieść nowego jéj kandydata księcia de Longueville; był widać i p. Krzysztof mocno zaniepokojonym. Pismo to, jak kość niezgody wpadło pomiędzy stronnictwa. Zamieszanie doszło do tego stopnia, że się izba poselska rozdzieliła: część poszła łączyć się z senatem, druga pozostała z marszałkiem bez czynnego głosu. Gdy się udało następnie zaprowadzić i resztę do senatu, partya królewska zaproponowała, aby przedłużyć kończący się już sejm w połączeniu z senatem do dni trzech. Zaprotestował przeciw temu Zabokrzycki, chorąży bracławski, żądając zastrzeżenia powrotu do izby poselskiéj. Pozwolono daléj na owo zastrzeżenie. Szły tedy porządkiem najważniejsze kwestye bieżące; gdy naraz Zabokrzycki zażądał powrotu do izby, a nie otrzymawszy go, wyszedł sam i usiadł w pustych jéj ścianach. Tam, jak mówił, czekał złączenia się izby z sobą do zachodu słońca. Gdy ta wszakże nie przyszła, Zabokrzycki opuscił Warszawę, oświadczając przez kolegę swego Kordysza stanom, że sejm nie szanujący wolności, zrywa. Podtrzymywał go zaś w téj zaciętości kasztelan poznański.

Załuski (1) narzeka: że ten, który tak panować nad sobą umiał, w tym razie stał się niewolnikiem zapędnéj nienawiści: że nie chciał się zgodzić na wysłanie do Zabokrzyckiego deputatów z senatu, których prośby niezawodnieby go skłoniły do przywrócenia izbie czynności; że uporowi jego wszyscy uledz musieli; nakoniec, że zamknąwszy wstęp do serca wszelkim względom na dobro powszechne, cieszył się z ogólnego nieszczęścia. Co do ostatniego zarzutu wszakże, winniśmy nie zapominać, że to sąd otwartego przeciwnika p. Krzysztofa—siostrzeńca podkanclerzego Olszowskiego, który wyniósł króla Michała.

Jakiekolwiek miał w tém pobudki Grzymułtowski, ciężko je wkrótce przypłacił. Głos powszechny, który go oskarżał o trzymanie się stronnictwa francuzkiego, tak silnie oburzył przeciw niemu szlachtę, że na sejmiku średzkim, w Czerwcu tegoż roku odbytym, gdy wśród sporów do dobycia szabel przyszło, kasztelan okrutnie porąbany, za umarłego z tumultu wyniesiony, ledwo po długiéj cho-

(1) W swoich *Epistolae historico-familiares* T. I, str. 237. Malin. Zródła, T. II, 69.

robie z szesnastu ran zadanych, życie ocalić zdołał. Co wszystko, nie zapominajmy, zaszło w owéj Środzie wielkopolskiéj, gdzie p. Krzysztof tak niedawno jeszcze był panem umysłów szlacheckich.

Nie przestali przecie na szablach polityczni jego nieprzyjaciele. Oto na zjeździe tym województw poznańskiego i kaliskiego uchwalono zarazem dopraszać się u króla, aby go jak zdrajcę kraju pozwać przed sądy.

Wprędce też instygator koronny wniósł pozew przeciw niemu, który podkanclerzy koronny Olszowski, zmuszony naleganiem Paca kanclerza wielkiego litewskiego, przypieczętować musiał.

Podkanclerzy nie mógł odmówić przyciśnienia pieczęci do tego pozwu; bo i senat na to zezwolił, i krewni Grzymułtowskiego się nie sprzeciwiali. Sam też oskarżony listownie o to prosił, sprawiedliwie trwożąc się, aby w razie odmówienia pozwu, szlachta oburzywszy się na senat, nie pomyślała o nowym kształcie sejmików i sądów.

Dnia 15 Lipca 1670 roku pozwanym został p. Krzysztof o to: iż niepomny wykonanéj przysięgi, wybór Michała na króla polskiego wolnemi głosami wszystkich stanów, zuchwale i swawolnie burzyć i tajemnemi praktykami obalać, swobody wywracać i na majestat królewski nastawać ośmielił się; że listy nowym pisania trybem i znakami nikomu nieświadomemi od podskarbiego koronnego odbierał, co go przed całą Rzecząpospolitą o wiadomość i uczestnictwo w zbrodniczych zamachach w podejrzenie wprawiło; że pieniądze z zagranicy dla zawichrzenia ojczyzny, dla zburzenia jéj pomyślności, niegodziwym umysłem przyjmował, a tym sposobem niejednokrotnie kraj zdradzał; że po odkryciu nakoniec na sejmiku osobliwych jego knowań, ujechał do Gdańska, dla tém swobodniejszego zamiarów swoich uskutecznienia. Miał tedy, stanąwszy osobiście, bronić się z tych wszystkich zarzutów, ściągających za sobą karę odsądzenia od czci i urzędów, utraty życia i konfiskaty majątku (1).

Podobną zawziętość wywołał i najgorliwszy ze stronników Francyi, podskarbi Morsztyn.

Sprawa dwóch wysokich agitatorów była sprawą całego stronnictwa; czekano z wytężeniem zbliżającego się, drugiego w tym roku, sejmu. Sam Sobieski powiadał (2): „Wprzód zobaczę jak so-

---

(1) Załuski, Epist. hist.-fam. T. I. str. 272.—Malin. Źródła, T. II, str. 70 i 71.
(2) W liście do żony, z obozu, 20 Sierpnia, patrz Listy wyd. p. Helcla T. II, 13.

bie król postąpi z mymi przyjaciołmi, podskarbim i panem poznańskim"... (1).

Na sejmie atoli Grzymułtowski nie stanął; choroba po niedawnéj katastrofie, lub obawa ostatniego niebezpieczeństwa, zatrzymały go w domu; zresztą termin pozwu, od dnia jego doręczenia, jeszcze upłynąć nie mógł. Od pierwszéj chwili po rozpoczęciu sejmu, walka stronnictw zawrzała. Podjęto też natychmiast sprawę Grzymułtowskiego i Morsztyna. Lecz podskarbiego sprawa zawieszoną została, z powodu że jakoby nie dostał pozwu przed sejmem w przepisanym prawem czasie. A jak Sobieski powiada: „Wszyscy się na to zgodzili, i najwięksi jego nieprzyjaciele; bo się postrzegli, żeby się i na nich potém przydało."

Za to szlachta pragnęła dosięgnąć bodaj głowy Grzymułtowskiego, i z wrzawą domagała się nań sądu. Długo jednak senat naradzał się nad złożeniem onego.

Nakoniec dnia 15 Października, w obecności króla, senatu, deputowanych z rycerstwa i ledwie nie całéj izby poselskiéj, zabrał instygator głos przeciw Grzymułtowskiemu. Oskarżał go o wzięcie 60,000 złotych od ministra francuzkiego, hr. de Lionne; twierdził, że ziemianin województwa poznańskiego, ur. Kaczkowski, jawnie go o tę zbrodnię pomawiał na powszechnym zjeździe wielkopolskim, powziąwszy pierwszą o tém wiadomość z przejętego listu wojewody kujawskiego Działyńskiego; że Madaliński, pisarz skarbu koronnego w poufałéj rozmowie toż zeznanie swojém stwierdził; że gdy Kaczkowski wobec wszystkich, czasu bezkrólewia, na sejmiku średzkim o to go obwinił, Grzymułtowski chociaż z początku manifest o potwarz w grodzie radziejowskim zaniósł, późniéj jednak nietylko sprawy nie popierał, lecz zagodziwszy stronę, sam ją przytłumić usiłował; że po okazaniu mu przejętych listów od podskarbiego koronnego, usprawiedliwić ich treści nie zdołał; że niebo samo już winowajcę osądziło, że na życie jego jawnie nastawając, tak go nielitościwie zrąbali. A gdy oczywiście winien jest przekupstwa, obrazy majestatu i zdrady kraju, sprawiedliwie zatém kary, za podobne zbrodnie przez ustawy przepisane, rozciągnąć na niego należy.

Stanął w obronie Grzymułtowskiego Gilbaszewski, późniéj instygator koronny. Zbijał kolejno wszystkie zarzuty, jako niczém dowodném nie wsparte. Obwiniony jest, mówił, kasztelan poznański o wzięcie pieniędzy od ministra francuzkiego, ale gdzież są

(1) W liście z obozu, d. 15 Października. Listy wyd. p. Helcla, II, 191.

świadkowie téj zbrodni? Odwołano się do słów Madalińskiego, ale ten w liście pisanym do kasztelana, który oto składam, błaga go o przebaczenie, że nierozważnie powtórzywszy wieść bezzasadną, dał powód do tak krzywdzącéj potwarzy; że gdyby z podobnych pogłosek o sławie wyrokować przyszło, któżby mógł być pewnym poczciwego imienia? Manifestu przeciw Kaczkowskiemu nie poparł? bo uczynił to na usilne prośby pierwszych mężów w Rzeczypospolitéj, aby nie wszczynał sprawy, mogącéj rzucić ohydę na najznakomitsze imiona w kraju. List bezimienny do podskarbiego pisany cóż obejmuje, za coby obadwaj rumienić się mieli? Był on prostą odpowiedzią na uprzednie pismo Grzymultowskiego, w którém go prosił, aby przez przyjaźń, jaką ma z hetmanem wielkim koronnym, wyjednał uwolnienie dóbr od postojów żołnierskich; podskarbi zaś odpisując, zapytywał go o zdanie o małżeństwie królewskiém (z arcyksiężniczką Eleonorą) i innych ówczesnych sprawach rządowych, a nie chcąc aby to wszystkim było wiadomém, użył w kilku miejscach listu cyfer; że Radoliński, wkradłszy się w ufność Grzymułtowskiego, najhaniebniéj go zdradził, bo zgwałciwszy nietykalność cudzego pisma i list podskarbiego z poczty przejąwszy, wniósł go na sejmik średzki, gdzie jedne wyrazy opuszczając, inne przekręcając, oburzył przeciw niemu uprzedzone umysły, naraził na szwank zdrowia i niebezpieczeństwo życia; a gdy porąbany i prawie bez duszy, do Gdańska dla pomocy lekarskiéj zawieziony został, nowa ztąd potwarz urosła, jakoby dla zamachów z postronnymi tę podróż przedsięwziął. Poczém obrońca usilnie nalegał, aby dla błahości zarzutów i niedostatku dowodów, sąd wyrokiem swoim Grzymułtowskiego nawet od wszelkiego podejrzenia uwolnił.

Instygator wszakże z delatorem, niczém nie zrażeni, zawzięcie domagali się potępienia.

Nazajutrz zaś oświadczył, że znalazł lice przeciw Grzymułtowskiemu, że złożono mu list hr. de Lionne, pisany cyframi do p. de Baluze, z którego wyraźnie okazuje się zbrodnia przekupstwa. Gdy następnie specyalna komissya pismo odcyfrowała, biskup Czartoryski oświadczył: że list ten z obecną sprawą zdaje się nie mieć związku, że nie zawiera żadnego nazwiska, że treść jego tak jest ciemna, iż właściwego znaczenia przeniknąć niepodobna; to tylko widać, iż minister francuzki trzech rzeczy domagał się od sprzysiężonych: wydania sobie jakiéj obronnéj twierdzy, do któréj mógłby załogę wprowadzić, zerwania sejmu i namówienia wojska do związku. Instygator jednak treść tego listu ku zgubie Grzymułtowskiego zwrócił; czém życzliwych mu tak dalece obraził, że po-

częli domagać się kary odwetu na delatora; gdy zaś marszałek nadworny uciszyć się nakazał, biskup krakowski Trzebicki w zabranym głosie z taką żwawością go bronił, że gdy już przyszło do zbierania zdań sądowych, o godzinie 11-téj w nocy, i gdy postrzegł, że deputowani litewscy, pamiętni niechęci, które między nimi na sejmie elekcyjnym był zasiał, zawziętością swoją sprawili, iż obwiniony ledwo trzema kreskami głowę ocalił, w żalu i gniewie zawołał: „Litwini w tym sądzie sumienia się zgoła wyrzekli!“ Wszczętą ztąd wrzawę ledwo sam król przez podkanclerzego uśmierzył; a późniéj naradziwszy się z sądem, przez usta marszałka nadwornego, wyrok w nastąpnéj treści ogłosił:

„JKMć, w obecnéj sprawie nie znajdując jawnych i przekonywających dowodów, bliższym przysięgi kasztelana poznańskiego być uznaje, i dla tego: w przeciągu trzech tygodni, z sześciu świadkami, urodzeniem i majątkiem sobie równymi, w obec deputatów z senatû i koła poselskiego ku temu wyznaczonych, przed sądem ziemskim warszawskim, według roty mającéj się przepisać, odprzysiądz się mu dozwala.“

Czy słusznie potępiano Grzymułtowskiego, dziś o tém zdaje się i wątpić nie możemy: nawet w listach Sobieskiego (1) zawarte są dostateczne dowody, że owe oskarżenia, zanoszone przeciw p. Krzysztofowi, nie były bez podstawy. Obwiniano też kasztelana i o utrzymywanie korrespondencyi z kurfirstem w zgubnych dla kraju widokach; z jakiego powodu Fryderyk Wilhelm, w liście swym do króla z dnia 26 Września, żywo się uskarża, że go przedstawiano za otwartego wroga Rzeczypospolitéj (2).

Cały ten ustęp o procesie kasztelana poznańskiego podaliśmy idąc za uczonym Mikołajem Malinowskim, który w dziele „Żródła do dziejów polskich,“ w artykule swym pod tytułem: „Wiadomość o Krzysztofie Grzymułtowskim“ (3), dosadnie streścił dotyczący tego przedmiotu materyał, rozproszony w Załuskiego: „Epistolae historico-familiares (4).

Obok tego nie możemy tu pominąć uwagi, że w ustępie tym o sądzie nad Grzymułtowskim, mimowolnie widać, popełnił uczony ten błąd jeden, który nie rozjaśniony, musiałby tylko gmatwać daty i fakta.

---

(1) Patrz wyd. p. Helcla.
(2) Der Staat des grossen Kurfürsten v. Droysen. t. III. str. 302.
(3) T. II, str. 69 - 75.
(4) T. I.

Oto powiedziawszy, (1) że Grzymułtowski zapozwany, nie stanął na drugim sejmie (2), 1670 r., przeskakuje odrazu do sejmu 1673 roku (3), i wskazawszy, że Grzymułtowski przybył nań, „snać rozumiejąc, że zawziętość szlachty samą długością czasu ukoić się musiała,“ przystępuje do opisu samego sądu jak gdyby takowy na sejmie 1673 roku ped laską Stanisława Lubomirskiego miał się odbyć. A tuż daléj (4) utrzymuje, że „zrażony doznaném prześladowaniem, Grzymułtowski nie musiał znajdować się na sejmie, 1673 roku, bo w czynnościach jego żadnéj o nim wzmianki nie widzimy.“ Tymczasem wiadomo, że Stanisław Lubomirski był marszałkiem na drugim sejmie 1670 roku; w czasie tegoż sejmu i sąd się nad Grzymułtowskim odbył, a do 1673 roku było jeszcze dwa sejmy 1672—zerwane.

Co gorsza, błąd Malinowskiego powtórzył nieoględnie i L. Hubert w artykule swym: „Grzymułtowski Krzysztof,“ zamieszczonym w Encyklopedyi powszechnéj (5). Można się też tam wreszcie doczytać i takich historycznych rzeczy, iż Grzymułtowskiemu zarzucano „że z podkanclerzym koronnym Olszowskim (?!) dąży do zrzucenia króla z tronu...“ i t. d. Nadto Encyklopedya ta stworzyła nawet z p. Krzysztofa aż dwóch kasztelanów!..

Wróćmy przecie do samego Grzymułtowskiego. W ciągu lat pary, po dotkliwém dla dumy jego przejściu, nie spotykamy go wcale w szrankach zawodu publicznego: czy zaniechał zupełnie udziału w namiętnych owego czasu, tajnych i jawnych agitacyach—rzecz bardzo wątpliwa; łatwiéj przypuścić, że stał się tylko ostrożniejszym.

Zapewne też i interesa majątkowe p. Krzysztofa stały w owym czasie w niebardzo świetnym stanie, gdyż go właśnie widzimy sprzedającego nawet Grzymułtowice—gniazdo swego rodu, dobra w ówczesnym powiecie kcyńskim, województwa kaliskiego położone, za 34,700 złotych (6).

Wszakże przeciwnicy polityczni i nieprzyjaciele osobiści, nie przestawali go odtąd ścigać zawzięcie, podejrzywając o żywe współuczestnictwo we wszelkich zamachach przeciw królowi Michałowi i podtrzymującéj go szlachty.

---

(1) Na str. 71.
(2) Rozpoczętym 20 Września.
(3) 4 Stycznia.
(4) Na str. 75.
(5) T. X. str. 942 i 943.
(6) Metr. kor. Vol. 210, str. 289.

Nastąpił fatalny rok 1672. Dwa sejmy zerwane, Turcy Kamieniec zdobyli, a kraj rozrywały przeciwne sobie stronnictwa, zbrojnie skupione w dwóch obozach: konfederacyi gołąbskiéj przy królu, i związku wojska łowickim przeciw niemu. Pod Gołębiem, pomiędzy innemi i na niego srożono się jako na zdrajcę. Najgwałtowniéj uderzali nań właśni Wielkopolanie.

Kasztelan przecie energicznie odpiera wszelkie zarzuty. Czytajmy jego list z końca jak widać tegoż roku do brata jego przyrodniego, wojewody kaliskiego, Jana Opalińskiego pisany (1).

Rozpoczyna gorzką ironią. Miał słuszność opuścić obóz, bo pamięta, co go niedawno najniewinniéj spotkało na sejmiku. Niesprawiedliwie go przecie nazywają „malkontentem.“ Zarzuty rady gołąbskiéj pełne fałszu: nie był on w Łowiczu, w Poznaniu sprawy swoje załatwiał, z Turkami nie korrespondował, „którzy, jeśli Kamieniec wzięli, cóż ja w tém? powiada, jam tam komendantem nie był.“ Zarzucają mu i korrespondencyą z Francuzami? Istotnie, był w Gdańsku po dwakroć w swych interesach, ale Francuzów nie przyjmował. Przyjaźń z prymasem Prażmowskim, hetmanem Sobieskim — a cóż to zdrożnego? Czy i to występek, że był w Warszawie? W ogóle w nic się nie wdaje, pragnie tylko używać spokoju domowego, a jeśli komu jego kasztelanii trzeba, chętnie jéj ustąpi.

Istotnie, powyższy list Grzymułtowskiego do brata pisany, zdaje się dość wiernie charakteryzować ówczesny tryb jego zachowywania się w obliczu smutnych niesnasek, tyle zaburzających wewnętrzne życie Rzeczypospolitéj za króla Michała.

Stał pan Krzysztof niezachwianie przy swéj chorągwi politycznéj. Czuł on nieodzowność przeobrażenia dotychczasowego porządku Rzeczypospolitéj i wzmocnienia władzy, przez wyniesienie na tron jakiego potężnego z obczyzny rodu. Wybór słabego ze wszech miar Michała, uważał za nieszczęście kraju i narodu, i gotów był zawsze przyłożyć ręki do usunięcia nieszczęścia tego. Trzymał zatém szczerze z prymasem, hetmanem i podskarbim. Był przyjacielem Francyi; nie przestawał przecie być zarazem najprzychylniéj usposobionym dla kurfirsta. Całą duszą trzymał się stronnictwa możnowładczego.

Ale po tak srogiéj nauce, jaka go spotkała, znienawidzony przez bracią szlachtę, podejrzany zawsze dworowi, musiał on być w postępowaniu swém wielce oględnym i ostrożnym.

(1) Patrz Żr. dziej. I.. Grz. Nr. 38.

Takie atoli zwarcie się w sobie, nie pozostało bez poważnych następstw co do wewnętrznego wyrobienia się kasztelana. Niebawem, w następnéj, trzeciéj fazie jego politycznego zawodu, ujrzymy go równie śmiałym, jak zawsze, ale dzielniejszym, wytrawniejszym.

Wreszcie, za panowania jeszcze Michała, począł już Grzymułtowski spokojniéj widocznie występować: umierający król darował mu dawne względem siebie przewinienia.

* *
*

Zmiany zaszłe w sytuacyi wewnętrznéj kraju po śmierci króla Michała (1), przywołały znów kasztelana poznańskiego na szerszą widownię politycznego życia.

Oczywiście, występował on stanowczo jako stronnik otwarty partyi francuzkiéj na sejmie konwokacyjnym w Styczniu 1674 r., i wszędy.

W Maju stanął na sejmiku w Środzie, o czém świadczy mowa jego, tam miana (2).

Zgromadzonéj braci, co go tu dawniéj różnie traktowała, powiada teraz, że staje wśród niéj bez winy, powtarzając z poetą:

Niepoczciwością żadną jestem niezmazany,
Cnotą z królami równy i z wielkimi pany!

Boć mu, rzecze, nic nie umiano dowieść; a król umierający żądał odpuszczenia za krzywdę mu wyrządzoną. A potém zręcznym zwrotem, odpierając z ironią zarzuty robione jego stronnictwu w ogóle, podnosi świeże zasługi i czyny świetne Sobieskiego, gdy jak powiada poeta:

Pogańska pycha nie mogła pokorze
Wytrzymać stosu; a w głębokie morze
Krwawy Dniestr płynął, miecąc na ostrowy
Tureckie łupy i pobite głowy!

Kończy zaś upewnieniem niewinności własnéj i poddaniem się prawu, które obowiązuje przeszłość okryć milczeniem!

---

(1) 10 Listopada 1673 roku.

(2) D. 15 t. m., patrz Źr. dziej. L. Grz. Nr. 39.

Czy już wtedy Grzymułtowski zdecydowany był stanowczo do popierania wyboru na tron hetmana—rzecz wątpliwa.

Na sejmie elekcyjnym w Maju widać przecie, że Grzymułtowski jeden z pierwszych poparł wybór przyjaznego mu Sobieskiego.

Na następnym zaś sejmiku relacyjnym województw wielkopolskich w Środzie, wytłómaczył wrzawnéj braci pobudki racyonalne, jakie go zdecydowały do jego wyboru (1).

Posłuchajmyż i my wybitniejszych ustępów téj trzeźwéj, rozumnéj, a pełnéj mocy i ozdobności kasztelana mowy, teraz z całą zręcznością wytrawnego już dyplomaty przemawiającego wśród zbyt niechętnie, do niedawna jeszcze, usposobionego dlań koła.

„Znam się do tego, zagaja pan Krzysztof, żem z własnego łona prędzéj sądził obrać pana, niżeli z zamorza, albo choć gdzie bliżéj pod obcém niebem szukać. Byle takiego, który nie obywateli, ale nieprzyjaciół krzyża św. wojował; nie dobra liche wydzierał, ale oderwane od Rzeczypospolitéj kraje przywrócił; nie infamiami pierwszych w kościele Bożym i w senacie ludzi okrywał, lecz wieczną imieniowi polskiemu zjednał u świata sławę; nie prawami do góry-nogi wywracał, ale wypadłe z toru w swoję ryzę wprawił; w co potrąfić bogdajby obcy umiał, a przynajmniéj nie rychłoby się nauczył...“ Tak cisnąwszy w oczy sarkazmem niedawnym konfederatom gołąbskim, wywodzi daléj: „Widziałem u wrót wojnę... rozumiałem tedy: na blizkie zła, zblizka też winny być brane środki; niż bowiem wyprawilibyśmy posłów po obcego księcia... i t. d., tymczasem świadomy zrobi co należy, jeśli go na tronie osadzimy, i około wojny i około pokoju, do którego prędszą widziałem dla współobywatela drogę, bo szczęściem swojém i zwycięzką bronią, napędził strachu pogaństwu. Spodziewałem się nadto pilniejszego starania i pewnego spokoju ojczyzny...“ A potém dotykając najsłabszéj strony szlachty, rzecze: „Widziałem, że snadno było współobywatelowi naszemu znosić słabości nasze, które się podczas u nas z natury wolności naszéj znajdują, bo się w nie wpatrzył, niż obcy w samowładztwie na to wychowany i ozwyczajony...“ A cóż obiecywali obcy? — „jeden ofiarował nam Lotaryngią, której nie ma; a dał się nam tytuł szwedzki we znaki... drugi (ks. Neyburski) ofiarował coś milionów, na które miał zaprzysiądz; pan taki, któryby w razie nieuiszczenia się, nie sprawił się w grodzie, aniby usłuchał dekretu...“ Wreszcie, województwa pograniczne, zagrożone od wroga, wolałyby współoby-

(1) Patrz Źr. dziej. L. Grz. Nr. 40.

watela; a i kozacy też mieliby doń większe zaufanie. „Widziałem, dodaje kasztelan daléj, że obcy bardziéjby był myślił o weselu, o baletach, o garniturach, niż o wojnie, a swój nie miał okazyi takiéj odrywać się od wojny, i że raczéj miał brać sobie wprzód sławą, niż złotem koronować się. Widziałem naostatek podzielone obywateli usposobienia, jednych za austryacką, drugich za francuzką promocyą, tak zawzięte, że przez obcego żadną miarą pojednane byćby nie mogły... To tedy wszystko zważywszy... dałem suffragium z miejsca mego temu panu dzisiejszemu... w którym to wszystko widziałem, co Rzeczypospolitéj zbawiennem rozumiałem!“ A nakoniec, sięgając głębiny serc szlacheckich zawoła: „Czy zawiodłem się na tém, że miał ulżyć ubóstwu naszemu?... Czy nie udarowałże Rzeczpospolitéj kilką milionów, gdy tak wielkie, oderwane od ciała Rzeczypospolitéj, przywróciwszy kraje, w nich wojska lokował, i od przechodniów żołnierskich, które jako ciężkie, z doświadczenia wiemy, uwolnił? że drugich milionów... gdy na pospolite ruszenie nie wyciągnął szlachty, przeszłemi niepotrzebnemi tak bardzo zniszczonéj?!“

Umiał też król nowy wynagrodzić gorliwość przyjaciela, zbliżając go więcéj do siebie i otaczając żywszém zaufaniem.

Gdy więc tedy sam udał się na Ukrainę i „zdrowiem swojém zaszczycał ojczyznę,“ Grzymułtowski „z ordynansu JKMci, przy usłudze królowéj zostawał“ na Rusi Czerwonéj (1) i słał królowi wieści i rady.

Gdy rozesłał był król Jan swe deliberatorye pod rozwagę poważnych członków senatu, pospieszył też i kasztelan na nie z odpowiedzią

Po dotkliwych dlań przejściach za króla Michała i usunięciu się prawie od spraw publicznych, ukazuje się on z wyniesieniem na tron Sobieskiego w pełni życia. Lecz co więcéj, występuje odtąd z dziwną trzeźwością, rozwagą i praktycznością sądu — tak w rzeczach polityki zewnętrznéj, jak i w sprawach niepokojących ówczesne społeczeństwo wewnątrz Trzeźwość ta nadto poglądu na potrzeby i zadania ówczesnego narodu życia, nie opuszcza już go prawie do ostatniéj chwili, robiąc zeń człowieka wysoce interesującego na tle historyczném owéj epoki.

Gdy król walczył dzielnie na dalekiéj Ukrainie, Grzymułtowski bawił widać daléj na Rusi Czerwonéj, bo właśnie i odpowiedź

(1). Patrz Źr. dziej. L. Grz. Nr. 53.

jego na deliberatorye pisana jest (1) z Jaworowa, gdzie pewnie znajdował się przy Maryi Kazimirze.

Wypowiada w niéj kasztelan stanowczo swe zdanie, że sojusz północny uważa za niemożliwy pomoc państw katolickich za wątpliwą; przyszłoby cały ciężar walki na własnych barkach dźwigać, ratując się pospolitém ruszeniem szlachty, tyle już zniszczonéj. Zwracając się tedy do króla, prosi go: „aby wszystkich do uspokojenia Rzeczypospolitéj z pogaństwem szukał i zażył środków; niech Pan Bóg pobłogosławi, aby ze zwrotem Kamieńca; a jeśliby dla meczetów składało się pogaństwo religią, cóżby czynić? więc ze zburzeniem!...

Posiadał Grzymułtowski i żywsze zaufanie nowego króla. Oto bowiem jednocześnie z powyższą odpowiedzią na deliberatorye, przesyła mu kasztelan sprawozdanie (2) z dopełnionego zlecenia w przedmiocie delikatniejszéj natury, dotyczącym czci króla szarpanéj w paszkwilach wiedeńskich.

Z drugiéj strony, mimo zaszłych zmian, pozostaje Grzymułtowski po dawnemu w stosunku bliższéj przyjaźni i z elektorem brandeburskim Fryderykiem Wilhelmem, zuchwałym i przewrotnym sąsiadem uniezależnionym Rzeczypospolitéj. A przyszła teraz ciężka potrzeba na niedawnego jéj lennika.

Jeszcze w roku 1674 zawrzała wojna zawzięta Ludwika XIV-go przeciw całéj politycznéj rodzinie Habsburgów — wojna nad Renem, we Włoszech, nad Odrą, na morzu. Kurfirst brandeburski stanął po stronie Austryi; Szwedzi za to, pomagający Francyi, wkroczyli w jego posiadłości. Lecz niszcząc kraje jego dziedziczne nie pominęli i tych ziem, jakie elektor na prawie lenném, lub w zastawie od Rzeczypospolitéj trzymał, mianowicie Lemburga, Bytowa i Drahima na Pomorzu. Zaskoczony Brandeburczyk, nie chcący niedawno składać hołdu z tych lenności, wzywa teraz Rzeczypospolitéj—niech broni swego dobra!

Pisze przeto w tym celu (3) do przyjaznego mu kasztelana poznańskiego, aby poparł jego sprawę. Na co odbiera odeń natychmiast (4) pełną gotowości do posług odpowiedź. Pisze się tu elektor jako „amicus benevolus“ kasztelana; ten zaś względom przyjaciela „devotissime“ się poleca.

---

(1) 10 Stycznia 1675, p. Źr. dziej. L. Grz. Nr. 43.
(2) Patrz Źr. dziej. L. Grz. Nr. 44.
(3) 6 Lutego, ze Szwejnfurtu we Frankonii, p. Źr. dziej. L. Grz. Nr. 45.
(4) 15 Lutego ze Lwowa, p. Źr. dziej. L. Grz. Nr. 46.

W ogóle, niezmiernie czynny, zajęty jest poznański kasztelan sprawami publicznemi w owym czasie. W Kwietniu (1) pisze ze Lwowa do prymasa Andrzeja Olszowskiego, niedawno jeszcze tyle przeciwnego sobie. Podaje mu wiadomości z Ukrainy, nastaje na zwołanie sejmu, nie gdzieindziéj jak we Lwowie—dla wieloliczných względów. „Ja większy mam interes, woła p. Krzysztof, do Krakowa, bo mi bliżéj do domu, a ztąd mil sto, ale przeważa u mnie racya dobra publicznego nad wszystkie prywatne względy i dogodności!“ Ustępuje się też i za Sobieskiego: „bo czy godzi się, pyta, dla Boga, tak zasłużonego króla, równo z pospolitymi pracującego, na tak ciężką i podobno pracowitszą niż wojna, wlec do Krakowa fatygę, i po tak wielkich wyłożonych summach na wojnę, na nieznośne narażać tak nagłe koszta! Nie pisałbym tego, gdybym nie wiedział, co się w skarbie królewskim dzieje, będąc tu obecnym. A nadewszystko, czy to po chrześciańsku, króla od tak wielkiéj koło pokoju roboty, albo więc, jeżeli się to nie nada, od przygotowań wojennych, dla dobra chrześciaństwa, odrywać?!...“

Mimo praktycznych rad i zabiegów Grzymułtowskiego, sejm następny koronacyjny zwołany został starym trybem do Krakowa, w początku 1676 r. Koronacya odbyła się dnia 2 Lutego.

Pomiędzy innymi, pozdrowił ukoronowanego bohatera i kasztelan poznański uroczystą mową (2).

Zbliżył go teraz Sobieski jeszcze bardziéj do swojéj osoby, mianując kanclerzem Maryi Kazimiery. Potrzebne były królowi niepowszednie zdolności i długie doświadczenie kasztelana: dla tego też i na tym sejmie pomieszczonym on został w liczbie komissarzów do zapłaty wojsku, tudzież wezwany do rezydowania jako senator, przy boku królewskim.!

Prace jego zostały nagrodzone starostwem sztumskiém. Lecz starostwo to znajdowało się w Prussiech Królewskich; a według przywilejów służących téj prowincyi, tylko rodowici Prusacy, lub zaszczyceni indygenatem—urzędy, dobra i królewszczyzny posiadać mogli. Miał więc z tego powodu p. Krzysztof pewne przykrości.

Po odbytéj koronacyi, musiał król znów myśleć o wojnie, groźnie wiszącéj od południa nad Rzecząpospolitą. Turcy się zbliżali. Jesienią tedy (1676 r.) sam przeciw nim wyruszył. Wytrzy-

---

(1) Dnia 5, p. Źr. dziej. L. Grz. Nr. 47.

2) Źródła dziej. Listy Grz. N. 50.

mał on potém dzielnie sławne oblężenie pod Zurawnem, i zawarł 16 Października pomyślny traktat ze strasznym nieprzyjacielem.

Układy żurawińskie zabezpieczały Rzeczpospolitą na lat siedm. Nie były one wcale wymuszonemi. Owszem, był to wynik nowego zwrotu polityki Jana III, przechylającego się teraz stanowczo do Francyi. Stanął on tu wbrew Austryi i Rossyi, i poświęcił własne pragnienie boju z pogaństwem. Polityka ta zaś była oparta na dobrze zrozumianym interesie. O ile więc traktat nowy zadowolił Francyą, o tyle zagniewał Austryą zawiedzioną w swych nadziejach; następnie oburzył Papieża. Innocenty XI listem (2) wezwał Sobieskiego, aby traktat zerwał i wojnę na nowo rozpoczął; a tymczasem nuncyusz i dwór wiedeński podburzali umysły szlachty w tym kierunku. Traktat ten nie był jeszcze potwierdzony przez sejm; sejm się zbliżył. Trzeba było zatém oddziaływać energicznie—komu trzeźwości sądu nie brakło, lub kto się poczuwał związanym z polityką Francyi.

Pośpieszył tedy kasztelan na sejmik przedsejmowy, odbywający się pod koniec roku w Srodzie, i tu użył całego swego rozumu, wymowy i stanowczości, by zniweczyć rakuskie zabiegi.

Swietnaż jego mowa (3), z którą się zwrócił do braci wielkopolskiéj przychylniejszéj mu już teraz, na tym sejmiku.

Przystępuje wprost do rzeczy. Wojna dalsza, czy pokój? oto główne zadanie, powiada. Wprawdzie wszystko przemawia za wojną; lecz wojna wymaga wielkich ofiar. „A my w naszéj nędzy, nie mamy pieniędzy!“ rzecze żartobliwie. Potém, wracając do powagi, zawoła: „Nie wstyd mię tego, żem téj frazy zażył, bom przejechał województwa koronne i ziemie w tym roku, wszędy widziałem smutny obraz zniszczenia!“

Daléj uderza w samo sedno:—„Ale rzecze mi kto, że z tego pokoju niezadowolone chrześciaństwo; pytam, które? — Ojciec św. musi być kontent, bo z niego użytkuje, kiedy przez ten zdobywa miejsca święte z rąk innowierców. Toć podobno to, powiada, chrześciaństwo, którzy w tém mają swoje interesa. Co do nas? Niech sobie Turcy z Niemcami łby urywają, jak się im podoba; my się o tém nie pytamy, byleśmy w domu mieli pokój. Mawiał nieboszczyk Andrzéj Choiński, pułkownik stary: choćby wszystkim Niemcom łby pourywano, nie wielka szkoda, byle tylko jeden,

(1) Z 15 Grudnia.
(2) Źród. dziej. Listy Grz. N. 51.

ślusarz i zegarmistrz został, bo ci najlepsi rzemieślnicy." Szczęśliwa będzie Polska, kiedy swoim nie cudzym, a przynajmniéj bardziéj swoim odda się interesom. Tak czynią wszystkie narody. Zamyka więc rzecz: „Pokoju nam trzeba, bośmy wojnie sami przez się niemocni, a pomocy znikąd nie mamy!"

Z początkiem następnego (1) 1677 r. rozpoczął się sejm w Warszawie. Był na nim Grzymułtowski bardzo czynnym: poruczył mu też król, razem z Janem Szómowskim, podskarbim nadwornym koronnym, zaprzysiądz jego imieniem traktat welawski i bydgoski z kurfirstem brandeburskim, dotąd niezaprzysiężony— co też zostało dokonane 17 Maja (2).

Zapewne Grzymułtowski znajdował się i w Gdańsku, w czasie pobytu tam króla w Sierpniu. Czy jednak był przypuszczony do tajemnicy układu Jana III z Francyą i Szwecyą (25 Sierpnia) wymierzonego przeciw jego przyjacielowi kurfirstowi—rzecz wątpliwa.

W tymże roku występuje p. Krzysztof, jako ściśle związany przez węzły rodzinne z rodem Leszczyńskich, w układach majątkowych tego rodu z Wiśniowieckimi.

Tymczasem w zakresie spraw zewnętrznych Rzeczypospolitéj, mimo najenergiczniejszych usiłowań dotychczasowego stronnictwa dworu, do którego Grzymułtowski czynnie należał, — stronnictwa Francyi zarazem i pokoju z Turcyą,—polityka austryacko-papiezka poczynała brać górę.

Popierała energicznie jéj widoki i zawzięta teraz na Francyą Marya Kazimira.

Przedłużono więc rozejm andruszowski do 1693 r., Rzeczpospolita za przetrzymanie Smoleńska i Kijowa wzięła 2 miliony złotych, a o przymierzu przeciw Turcyi układać się miano przy ratyfikacyi traktatu w Polsce.

Odtąd wojna z niewiernymi stawała się niewzruszoném postanowieniem osobistém Jana III-go; lecz rozstrzygająco stanowić mógł tylko sejm.

Zwołany na dzień 12 Grudnia 1678 r. pierwszy sejm do Grodna, miał decydować teraz o kierunku zewnętrznéj polityki Rzeczypospolitéj.

Na tym sejmie, w początku 1679 r., został Grzymułtowski w nagrodę tylu trudów i posług publicznych, zaszczycony przez

---

(1) 14 Stycznia.

(2) Źród. Malin. T. II str. 76 i 77.

Jana III dostojeństwem wojewody poznańskiego, dającém mu trzecie krzesło świeckie w senacie.

W mowie tedy uroczystéj, mianéj w odpowiedzi na propozycye od tronu (1), nowo mianowany wojewoda podziękowawszy królowi gorąco za to, że go „z odleglejszego od boku swego krzesła na to bliższe przenieść miłościwie raczył,“ zwrócił też umysły sejmującéj braci ku należytemu poczuciu wielkiéj chwili dziejowéj, jaką Rzeczpospolita przebywa, a w któréj ma się decydować cala jéj przyszłość.

„Przyszedł dzień, co postanowi na wieki o rzeczach ludzkich a ja rzekę—polskich,“ woła on. „Ten ci to jest sejm, od którego jeźliż jaka daną być może, zależy wieczność!“

I czuć, że to nie tylko ozdobny zwrót krasomówczy, gdy się przypomni, że na tym sejmie właśnie rozstrzyga się alternatywa wielkiéj polityki króla: iść z Francyą, pojednać się z Portą, poprzeć Węgrów, zdeptać kurfirsta—i zająć się przywróceniem strat Rzeczypospolitéj na jéj wschodniéj granicy; albo posłuchać Austryi i papieża, zawrzeć wieczny sojusz z Rossyą, opuścić Węgrów, poniechać stracone Prussy książęce—i rzucić się na niepewne losy wojny za chrześciaństwo, z islamem. Fakta które potém nastąpiły, są pamiętne—i wyprawa wiedeńska, i pokój wieczny „moskiewski,“ „Grzymułtowskiego,“ i dalsze tego następstwa; ale na tym sejmie właśnie ważyła się ostateczna decyzya, co je przygotowała.

Chwila stanowcza! „Ktokolwiek jakimkolwiek pozorem dobrą trudniłby Rzeczypospolitéj obradę, przemawia tedy wojewoda, — niech się obawia sprawiedliwéj Nemezy!“ Na stronę prywatne zwady. Izba poselska, mogłaby złemu zaradzić. Potrzeba określić ściśle tryb obradowania, opisać to prawem; potrzeba wprowadzić przysięgę dla marszałków poselskich.

Wypowiada następnie swe przekonanie, że bez względu co zajść może, potrzebna jest większa niż dotąd gotowość do wojny. „Aleć w téj materyi, daléj rzecze, nakazuję ustom moim milczenie, życząc, abyśmy tu publicznie chcieli przyjąć prawidło milczenia Pytagorejskiego, pamiętając, że Kamieniec niedaleko i basza w nim.“ Przechodzi zatém do nieodzowności ostatecznéj zapłaty wojsku. Wojska dotąd nie płatne? „A któżby się nie zadumiał wspomniawszy sobie, jako ogromne summy Rzeczpospolita na przeszłym sejmie pozwoliła i wydała!“ Użala się nad dolą przeto ubogich rolniczków, „tak ciężkie składających kontrybucye,“ i ujmu-

(1) Źród. dziej. Listy Grz. N. 53.

je się za krzywdą żołnierzy, którą ponoszą ztąd, „że na komissyach gdziekolwiek jest co pewnych pieniędzy, możniejsi rozbiorą, a ubogich żołnierzów tam z assygnacyami odeszlą, kędy to po trzy grosze wybierać potrzeba zaległości, które niż wybiorą, i swe i kompanii przejeść muszą pieniądze. Nie wspominam, powiada, układów ciężkich; dla których zmuszeni są ubodzy żołnierze hańbę i biedę znosić, a poborce w zbytku opływają, i stoły się u nich pod stosem półmisków łamią!“ Należyż temu zapobiedz; trybunał skarbowy podnieść, wznowić sądy dawne, a komissye do płacy wojsku na wieki usunąć. „Przy tém wszystkiém przecież pieniędzy na płacę wojskową potrzeba, które zkądby być miały, w tém cała trudność!“ Nakoniec przebiegłszy krytycznie rozmaite rodzaje opodatkowania, „ziemianieśmy, woła, od ziemi płaćmy!“

Lecz w drugiéj dopiero mowie sejmowéj (1) rozwinął Grzymułtowski swój głęboki pogląd praktyczny na kwestyą fatalnie zbliżającéj się z Turkami wojny, kwestyą uzbrojeń, zasobów i aliansów.

Posłuchajmyż go pilniéj tedy:

„A to nas fata na takie skazały położenie, że ani pokoju zawrzeć, ani wojny prowadzić nie możemy, bo pokój nie do zniesienia, wojna nagła niemożliwa!“ Wszakże trzeba radzić i rozważać ściśle zasadnicze warunki wojny. „Wojnę jednym ze trzech sposobów zwykli prowadzić Polacy; albo pieniężnym, albo wyprawnym z łanów żołnierzem, albo pospolitém ruszeniem. O pospolitém ruszeniu jest krótki mój sąd, że dobre do bitwy, ale nie do wojny. Prawda, że siła żołnierzy wróciło do pługa i stało się ziemianami, ale cóż po tém, kiedy takie jest nieszczęście w ojczyźnie naszéj: byle tylko jął się kto pługa, zaraz od wojny się odzwyczaja tak dalece, że się bezpiecznie może rzec o takim, co poeta napisał:

Znikczemniał bardzo, bardzo się odmienił,
Jakoby nie ów, skoro się ożenił.

Zaczém taki i na wojnie, nietylko sam nie wytrwa, ale gorszącym przykładem potém pokomosi drugich do domu... Siły też pospolitego ruszenia nieznane, i wątpliwa czy Prussy i Litwa pójdą. Wojsko pieniężne, jeżeli kiedy w polu było takie, na jakie niezmierne summy Rzeczpospolita wydała, chyba ten nie przyzna, kto nigdy trąby wojennéj nie słyszał, i w obozach tak świe-

(1) Żód. dziej. Listy Grz. N. 54.

żych jako i dawniejszych nie bywał. Wyprawy z łanów próbowała Rzeczpospolita: ta zawsza jest bezowocna. Ale rzecze mi kto, będzie prędko przez zwiększenie pocztów wojsko!.. Żadnéj ja nadziei nie mam w takowem zwiększeniu: i pieniądzeby pobrano, i ludziby nie było. To taki stan nasz, w którym: jeżeliż się godzi porwać na tak wielką wojnę, którą przodkowie nasi sądnym dniem nazywali? — Coś podobnego my jesteśmy z cesarzem tureckim do owych kosterów, z których jeden ubogi a drugi bardzo bogaty: powiedzie się raz i drugi uboższemu, a wtedy przysypie bogatszy, aż ów chudak, i tego co wygrał, i tego co miał, postrada. — Nie życzę tedy ojczyznie mojéj zrujnowanéj rzucać kopią, i wszystkę sławę i fortunę swoję, z tak potężnym graczem, który nas przesypać może!“

Daléj rozważa wojewoda konjektury sojuszu z panami chrześciańskimi —i nie widzi żadnéj pewności. Wybornie charakteryzuje stosunek Rossyi; sądzi wszakże: „Atoli absolutnie odrzucać sojuszu moskiewskiego nie życzę; ale ich zatrzymać traktatem wieczego pokoju, do czego sami (to jest posłowie rossyjscy przybyli w czasie sejmu, z którymi Grzymułtowski konferował) dali okazyą swoją sekretną rozmową, wywiodłszy im, że ani my, ani oni nam doskonale ufać nie mogą, pokąd wiecznego nie zawrzemy pokoju. Tymczasem drogami tajemnemi znosić się z książętami chrześciańskimi, a osobliwie przez Ojca św., o potężniejszéj koalicyi... która jeżeli się zawiera, byłbym nieprzyjacielem nietylko mojéj ojczyznie, ale całemu chrześciaństwu, gdybym natenczas wojny nie radził, ażaliż obrócą gdzieindziéj broń swą Turcy.“ Wojnę tedy należy ile ożna odwlekać do stosownéj pory.

„A rzecze mi kto: że nam do téj wojny dopomoże chrześciaństwo greckie, zwłaszcza przy sojuszu moskiewskim? — W tém chrześciaństwie bywała kiedyś nadzieja nasza, ale zawsze omylała. W tę nadzieję Żołkiewski poszedł był do Wołoch: zginął tam z wojskiem. W tém miał nadzieję Władysław niegdy, a zginął pod Warną, i dwóch biskupów, trzeci kardynał: co życzę mieć w pamięci Jch M-ć ks. biskupom w róg wojenny dmącym etc...“

W ogóle niezmiernie czynnym był Grzymułtowski na tym sejmie w Grodnie: był deputowanym z senatu na trybunał skarbowy, został objęty w liczbie senatorów mających rezydować przy boku królewskim, i nakoniec przewodniczyć miał w komissyi z margrabstwem brandeburskiém (1).

---

(1) Źród. Malin. T. II. str. 77.

Ale nie poprzestał nowy wojewoda na dotknięciu palących potrzeb Rzeczypospolitéj—wskazywał on zarazem środki zaradcze. Jednym zaś z takich była jego osobista „plus offerencya,“ to jest postąpienie znaczne w wysokości summy dzierżawnéj ceł.

Znał on się dobrze na rachunkowości, wiedział też co to skarb podskarbim i interesowanym daje, i wtajemniczony był we wszystkie nadużycia finansowe. On ci to był zięciem Bogusława Leszczyńskiego, przyjacielem Leszczyńskiego Jana, przypatrywał się skarbowi za Krasińskiego i przyjaźnił się z Morsztynem. Badał wszystko i zachowywał sobie kopie rachunków. Był zdolnym tedy do przedsięwzięcia planu finansowego na wielką skalę, któryby i skarb Rzeczypospolitéj dźwignął, i senatorską szkatułę p. Krzysztofa przyzwoicie uzamożnił.

Otoż wystąpił on teraz z propozycyą wzięcia w dzierżawę ceł, ofiarując znaczną podwyżkę na rzecz skarbu.

Wszakże zabiegi i usiłowania następne wojewody spełzły na niczém: dobre chęci jego zostały udaremnione przez współzawodników, propozycyą jego zagrożonych. Gdy: „wyszedł trzyletna kontrakt, zjechał on (do Warszawy) wczas, odzywał się z podwyżką, lecz miasto przyjęcia plus offerencyi, z kim inszym na cztery lata kontrakt zawarto!...“

Rozdraźniło to więc p. Krzysztofa do najwyższego stopnia; srożył się na wydział skarbowy i niecierpliwie czekał z odwetem do przyszłego sejmu.

Posiadamy jeszcze dwa listy Grzymułtowskiego pisane z Grodna do wojewody brzeskiego, a generała wielko polskiego Jana Opalińskiego. Obadwa one pełne rubasznego humoru szlacheckiego, świadczącego o poufałéj zażyłości braterskiéj wojewodów, dawno pewnie przywróconéj.

Jeden z nich (1) poczyna p. Krzysztof sarkastycznym konceptem: „Wczora zaczęła się rada, pokój czy wojna z Portą maja być postanowione. Chcielibyśmy wojny; ale się z nami to dzieje, co z owym staruszkiem, który narzekał na Kupidyna!“ A daléj: „Ksiądz nuncyusz (Martelli), lubo wojnę imieniem papiezkiém przez publiczne poselstwa radził, gdy z nim wysadzeni od Rzeczypopolitéj świeccy ludzie traktowali, oświadczył, że się będę z Ojcem św. znosił przez pocztę, za trziesiąy mce może być odpowiedź; a tymczasem wojnę wypowiedzieć radzi—risnm teneatis amici!“ Bardziéj humorystycznie,

(1) 16 Lutego—Źród. dziej. Nr 55.

dotyka słabéj strony braci szlachty: „Gdy to dyktuję, dochodzi ósma godzina porankowa, idę na sessyą prowincyonalną wielkopolską, usłyszę co rzeką, kiedy im przedstawię tę summę, któréj na wojnę potrzeba?!“ A o zamierzonéj lidze państw chrześciańskich powiada: „Ja przecie wierzam, że z téj ligi będą trzy gotowe figi!“ Kończy wyznaniem bratu: „W życiu mojém żaden sejm nie był mi uprzykrzony nad ten, lubo znam w zupełności łaskę i ufność pańską: przecież dla słabego zdrowia dłużéj tu nie wytrwam!“

Sobieski przecie był prawie już zdecydowany na podjęcie wielkiéj z niewiernymi wojny, prowadził o to układy z zagranicą, naradzał się w domu. Posiadamy też odpowiedź Grzymułtowskiego na jego deliberatorye, w Sierpniu zdaje się rozesłane (1).

Widzi on niemożność już uchylenia się od wojny, i radzi królowi zwołanie na Listopad rady przez sejm wyznaczonéj.

Gdy zawzięta walka stronnictw austryackiego i francuzkiego na nowo się zapaliła, osobliwie od powrotu podskarbiego Andrzeja Morsztyna z Paryża, Grzymultowski popierał zdaje się zarówno widoki Ludwika XIV jak i kurfirsta, tém swobodniéj, że szczerze widział w tém i dobro kraju.

Tymczasem gdy Austrya, w najgorszych będąc okolicznościach, nie dała się stanowczo porwać wysokim Sobieskiego planom, trzeba było myśleć o jakiejkolwiek obronie Rzeczypospolitéj i uciszeniu Turków. Musiano się tedy zgodzić zs smutkiem na wymagane rozgraniczenie Ukrainy, którego dokonano w ciągu 1680 r.

Posiadamy też mowę Grzymułtowskiego mianą w senacie w przedmiocie obrony (2). Przemawia on w tę myśl: że ponieważ rozgraniczenie Ukrainy może wywołać wojnę, konieczne jest tedy zwiększenie wojska, które i na inną potrzebę zdać się może... „Sadzić się na lidze“ zamierzonéj—tyle znaczy, co się oprzeć o ścianę walącą się. „Aleć mówią: Ojciec św. ze św. kollegium wnijdzie w to.“—„Nie idzie tu (przecie), rzecze wojewoda, o pobożność, lecz o siły: kiedy się bić, kiedy wielkie summy sypać na wojnę (wypadnie), to się św. kollegium modlić będzie!...“ A przymierze rakuskie pamiętne nam, powiada, z czasów wojny szwedzkiéj, nie byliśmy „sui juris!“ Radzi wszakże zwiększyć wojsko jeszcze przed kadencyą rozgraniczenia, w dojście którego wierzy; a potém—dla tylu przyczyn, całemi siłami na wschodnią granicę!

---

(1) Źród. dziej. Listy Grz. N. 57.
(2) Źród. dziej. Listy Grz. N. 58.

Jan Gniński bowiem podkanclerzy, w widokach dumy i prywaty przedewszystkiém, uwziął się był, mimo posłów przez sejm wyznaczonych, bezpośrednio w Moskwie o pokój traktować, do czego niepomału też podniecała go zapewne i stara niechęć ku Grzymułtowskiemu.

W początku Grudnia znajdował się przecie Grzymułtowski już w Kadzyniu.

Wszakże z żalem ztąd pisze (1) do Benedykta Sapiehy podskarbiego w. lit., jednego z filarów zbyt już upotężnionego przez króla, lecz niebawem zawzięcie mu przeciwnego rodu. „Próżnujemy dotychczas, powiada, a Turcy układają się z Moskwą, że im Turcy Czehryn dawają, żeby z nami wojowali; jakoż bardzo zda się to być wiarygodném, bo nie podobna, aby Turcy nie mieli myśleć o pomście...“ A potém woła z goryczą: „Obaczymyż, jeśli tak ochotnie przybiegną Niemcy nam do pomocy, jako król, z samej gorliwości dla chrześciaństwa, biegł pod Wiedeń. Ale mi się to bardzo nie podobało, co już drukują z Lińcu, między awizami, że jeżeli Polacy nie nastąpią nieprzyjaźnie dla Tekiele'go, liga rwać się będzie. Wszystko mi się zda, że to są wstępne kroki do traktowania z Portą bez nas; i to mi się nie podoba, że cesarz nie zaprosił Moskwy do związku, co oni bardzo rozumieją i bez ogródki mówią, że to nie długa wasza przyjaźń z cesarzem.“

Niezmiernie smutnie powitał pierwszy dzień Bożego Narodzenia pan wojewoda poznański. Wykryły się tajemne zabiegi samowolne a zarazem głęboko obrażające godność zbiorową i osobistą posłów Rzeczypospolitéj. Cały tedy dzień 25 Grudnia spędza na ekspedycyi listów do osób żywiéj interesowanych.

Sapieże powiada (2): ksiądz podkanclerzy „drwi sobie z Rzeczypospolitéj i naszych komissyi... Pan Bóg wie, jeżeli to nie gaz na Księztwo Litewskie, żeby je pętać wojną. Nie wadzi nad tém mieć czuwanie osobliwie panom głowom księztwa.“ Na wieść o zamierzonéj wprędce konwokacyi senatu, ostrzega więc przed Gnińskim: „Wątpić nie trzeba, że ten wykrętny łeb wymyśli cokolwiek i wprowadzi nowego, szkodliwego dla Rzeczypospolitéj i wolności, bo nad tém samém tylko ustawicznie się poci...“ I z sarkazmem dodaje: „Radbym się nauczył, co książę (3) podkanclerzy litewski robi? Trzebaby mu przypomnieć, że jest pieczętarzem, i że jemu ekspedycye litewskie należą“ a nie koronnemu.

---

(1) 23 Grudnia, u Skrz. 7.

(2) U Skrz. 8.

(3) Mikołaj Dominik Radziwiłł.

Towarzysza swego Marcyana Ogińskiego, co był na czas z Kadzynia odjechał, zawiadamia (1) że wysyłany przez podkanclerzego koronnego do Moskwy, goniec Okrasa nie z jedną wiadomością o zwycięztwach króla tam jeździł, ale i w zamiarze zniweczenia czynności komissyi. „Miał od ks. podkanclerzego polecenia do Golicyna, aby traktat związku nie na komissyi, ale przez osobne poselstwo na stolicy (carów) mógł być odprawowany...“ I pełen oburzenia woła: „Jakieby to było lekceważenie Rzeczypospolitéj, gdyby temi praktykami miały uchwały jéj być zniweczone, w których i nasz obrażony honor... Pana Morsztyna z Polski wygnano, że cyfry do króla francuzkiego napisał, w których nie wiemy co jest, a to zda mi się większą zbrodnią: z pierwszym ministrem carów moskiewskich o prowincyi Rzeczypospolitéj sekretnie traktować i obalać jéj uchwały!“

Pełen urazy, oburzenia i żalu, jednocześnie śpieszy oświadomić z rzeczą i dwóch najwyższych dostojników koronnych, marszałka w. i kanclerza, donosząc im o tajemnych zabiegach Gnińskiego.

Marszałka Stanisława Hieronima Lubomirskiego prosi (1), aby był na zapowiedzianéj radzie senatu w Krakowie, by stawić opór „nikczemnikowi,“ i powiada mu: „Co się tu miało i mogło sprawić dla Rzeczypospolitéj... ten zły człowiek wszystko zamieszał,“ dodając: „ale i Niemcy pewnie nam do związku z Moskwą nie dopomogą, postrzegłszy że dla pana markiza de Bethune pokoje w zamku krakowskim uprzątnione.“

Kanclerzowi zaś Janowi Wielopolskiemu, między innemi rzeczami, powiada (2): Znana więc już jest teraz tajemna przyczyna nieprzysyłania posłom rzeczy niezbędnych do negocyacyi... „Nadzieję, którąśmy mieli wielką, odzyskania wielkiéj na Rzeczpospolitą prowincyi i zawarcia przed wiosną z Moskwą związku, już nam zniweczył ten układ z Golicynem, bo bez wszelkiéj pochyby pochwycą te dwie okazye do zwłoki: pierwszą, oczekiwanie na to poselstwo, które to z Golicynem na podstawie listu podkanclerzego umówione—drugą, oczekiwanie na posłów cesarza, których (ten) stanowczo obiecał, a ja się ich stanowczo nie spodziewam...“

Tymczasem w Kadzyniu nic się nie działo. Plenipotencye nie nadchodziły, a nie chciano się z tém wydać przed komissarza-

---

(1) U Skrz. 9.
(2) U Skrz. 10.
(3) U Skrz. 11.

mi rossyjskimi, którzy już wszyscy prawie stanęli w Mihinowicach u Andruszowa. Wypadało zjazd z nimi odwlec, czekając na wskazówki od króla.

Z nowym 1684 rokiem nakoniec doczekano się tyle upragnionéj plenipotencyi. Grzymułtowski wszakże w liście do Sapiehy, 5 Stycznia, skarży się, że jest ona przecie niedostateczną; że umyślnie tedy do króla pisać musi, aby naprawił błędy małych kancelaryi, które niedawno utworzył; że to plenipotencya od króla jedynie, od stanów zaś nie otrzymali komissarze żadnéj (1).

Posłano tedy do króla do obozu, Reuta, prosząc o plenipotencyą zupełniejszą, oraz o wskazówkę jako w tych układach ostatecznie stawać; ponieważ w instrukcyi daną była królowi bezwględna moc stanowienia, co się będzie zdało.

Komissarze moskiewscy tymczasem już wszyscy stanęli, i termin pierwszego zebrania się naznaczono na 17 Stycznia.

Gorzko tu było wojewodzie ze wszech miar. „Nie umiem tego wypisać, wyznaje on podskarbiemu (2), z jak wielkiém uprzykrzeniem tu mieszkam w kraju tak złym, nad który chyba w piekle może być gorszy!“

Gdyby byli zaraz mieli komissarze kadzyńscy wszystko, co im było potrzebném, pisze on (3) do podskarbiego litewskiego, byłyby powiodły się tu układy: „pokąd jeszcze Moskwa apprehendowali przeszlą kampanią i pokąd z Konstantynopola nie wzięli informacyi tak doskonałych, jakie teraz mają.“ Teraz odmieniło się wszystko. Posłowie zaś cesarscy więcéj tu zaszkodzą, niż pomogą: „bo to cale u nich w głowie, że koronę węgierską postanowiliśmy im wydrzeć, i nikt im tego nie wybije z głowy, choćby najlepszemi słowy.“ Tymczasem, już piąty list króla idzie do Moskwy, a oni, posłowie, nie znają ich treści. Moskwa zaś o ile zdaje się okazywać życzliwość, niemniéj przeto sprowadza wojska pod Smoleńsk. Kończy dodając, że snać cała komissya Litwie się nie podoba, bo komissarze jéj zjeżdżają się bardzo opieszale. A tymczasem sami komissarze litewscy tłómaczyli swą nieobecność w Kadzyniu winą skarbu, zostającego właśnie pod zarządem tegoż Sapiehy (4).

Dnia 17 Stycznia stanęło nakoniec pierwsze posiedzenie (roz-

(1) U Skrz. 15.
(2) U Skrz. 16.
(3) D. 14 Stycznia, u Skrz. 17.
(4) P. List Pstrokońskiego kasztelana brzesko-kujaw., w Źród. Malinow. T. II str. 380.

gowor), z komissarzami rossyjskimi, ale plenipotencye, obustronnie badane, okazały się niedostateczne (2).

Dalej, obie strony (3) stawały zbyt uporczywie; o związku nie było mowy.

Powiada też podskarbiemu p. Krzysztof: „Jeżeli obaczę, że się ten traktat tak leniwo wlecze, bez mała nie wybiegłbym do Wilna na zapust, bo mi tu tak tęskno, żem już wpół ogłupiał, a nie widzę podobieństwa, aby się tu co układać mogło, chyba o środopoście.“

*

* *

Tymczasem długo gromadzące się fakta i okoliczności owoczesnego życia politycznego Rzeczypospolitéj nadały ostatecznie taki zwrot dalszym wypadkom i przedsięwzięciom, że Grzymułtowski ocucił się stanowczym przeciwnikiem kapryśnéj Maryi Kazimiry, a następnie króla samego i jego nowéj, dla Austryi przychylnéj, polityki. Stopniowo rzecz doszła aż do osobistéj niechęci, aż do skrzyżowania rozległych zamiarów Jana III, zmierzających do podniesienia domu Sobieskich.

Co do Grzymultowskiego, nie myślimy przyznawać mu pobudek obywatelskich jedynie; owszem, widoczna tu uraza i niechęć osobista, życzliwość dla swych dawniejszych przyjaciół, co teraz zwrócili się przeciw królowi, i wytrwałe trzymanie się chorągwi partyi; lecz ponad tém wszystkiém dominuje wszakże wyższa polityka.

Wszystko to tedy razem wzięte, wprowadza Grzymułtowskiego w nową, czwartą fazę jego politycznego zawodu — fazę antagonizmu z Sobieskim.

Ostateczną zaś podnietą stała się głośna sprawa Radziwiłłówny.

Otoż stanowczy stronnik oddawna polityki francuzkiéj oddawniejszego czasu jeszcze przyjaciel gorliwy kurfirsta, Grzymułtowski z postępem zbliżania się Sobieskiego do Austryi, coraz bardziéj stawał w sprzeczności z jego widokami. Teraz zaś w sprawie zamążpójścia bogatéj Radziwiłłówny, do obrotu któréj to sprawy tyle Jan III przywiązywał w interesie swym familijnym

---

(1) U Skrz. 18.
(2) U Skrz. 19.

znaczenia, poświęcił p. Krzysztof mniéj zacnie interes króla, a poniekąd i kraju, widokom przyjaznego sobie osobiście, lecz najniewątpliwszego Rzeczypospolitéj wroga.

Sprawa to dobrze znana.

Wojewoda poznański niepomny na wyższe obowiązki obywatelskie, żywo w niéj podtrzymywał elektora i radził mu jak największy pośpiech. Radę tę poparła i Francya. Ślub tedy księżniczki z młodym margrabią przyszedł do skutku, bez uprzedzenia króla, jako zwierzchniczego Radziwiłłówny pana.

Nadszedł tymczasem sejm 1681 roku (1). Król, mimo gorzkiego zawodu, jakiego doznał w zabiegach swych dyplomatycznych, względem utworzenia jednéj wielkiéj ligi chrześciańskiéj przeciw Turkom, myślał, zdaje się, przeprowadzić na sejmie tym uchwałę wojny, choć bez alliantów, dla przywrócenia przynajmniéj Kamieńca.

U samego wstępu do obrad wszakże, powstała pierwéj między posłami gwałtowna burza na elektora za jego krok lekceważący króla i Rzeczpospolitą. Wołano, aby nie zwlekając, nie na Turków, lecz na hardego ex-hołdownika uderzyć; domagano się odebrania dóbr Radziwiłłównie, na zasadzie litewskiego prawa. Poseł atoli kurfirsta Overbeck bronił energicznie sprawy swego pana; tém pewniéj, że znajdował i w senacie i w izbie poselskiéj gorliwe poparcie. Przedewszystkiém osobisty przyjaciel jego, wojewoda poznański; stanowczo tu występował po jego stronie. Rzecz skończyła się potajemną ugodą z królem, uciszającą żal jego nieco.

Gdy przyszło do uchwalania subsydyów wojennych, Grzymułtowski znów wystąpił jako najzaciętszy przeciwnik nowych poborów, składając się otwarcie obawą, aby nowe zaciągi nie były zwrócone na elektora.

Spór się przewlekał. Po pięcio-miesięcznéj prawie mozolnéj pracy, obrady nie przychodziły ku końcowi. Wtedy poseł kaliski Przyjemski, działający w téj saméj co pan Krzysztof politycznéj myśli, oświadczył, że na przedłużenie sejmu nie pozwoli, że jeżeli tegoż samego dnia (2) konstytucye nie staną, on przeciw wszystkiemu protestuje; poczém opuścił salę sejmową. Król, zagrożony zerwaniem, wziął się żywiéj ze stanami do pracy—i konstytucye stanęły w kilku godzinach. Lecz niechętni mu odmówili prawomocności obradom, w nieobecności Przyjemskiego toczonym.

---

(1) Rozpoczęty 14 Stycznia.
(2) 28 Maja.

Wysłano za posłem. Poseł zaś odjechał już, jak powiadano: „końmi wojewody Grzymułtowskiego!...“

Głęboko uczuł ten cios król Jan III. W radzie senatu wołał z boleścią: „Cóż mię porywa, jakaż czarna burza oczy mi zasłania? Do owego nieszczęsnego zrywacza sejmów wołam z cesarzem Augustem: Warrusie! wróć mi legiony moje, oddaj mi spokojność publiczną, oddaj mi chwałę moję! Zginęła okazya zdobycia Kamieńca! Trzeba się powierzyć przeznaczeniu, a raczéj Opatrzności: jeżeli Turcy i Tatarzy napadną nas, dowiedziawszy się o zamysłach naszych, niech kto żyje dosiada konia, broń chwyta i broni ojczyzny krwią swoją!“ (1)

O ile król bohater godził tym gromem w Grzymułtowskiego, o ile wojewoda był poplecznikiem tylko, w tym razie, kurfirsta i Francyi — nie łatwo dociec w braku dostatecznych świadectw. W każdym razie, postępowanie to p. Krzysztofa, pomimo jego wypróbowanéj, szczeréj niechęci ku wojnie z Turcyą, dla zasady, nie da się w téj całéj sprawie uniewinnić. Widoczna tu nawet ręka kurfirsta, który nie był pewnym skuteczności swego układu z Sobieskim.

Niemałą podnietą zawziętości p. Krzysztofa na sejmie stanowiła widać i sprawa jego plus offerencyi w zadzierżawieniu ceł — tak haniebnie przedtém pominiętéj podstępem. Zdaje się, czuł on był za to i do króla żywszą urazę.

Wielka myśl króla Jana III-go, powszechnego przeciw Turcyi przymierza, rozbiła się w 1681 roku o obojętność ludów chrześciańskich. Potrzeba było, ażeby większe, rzeczywistsze niebezpieczeństwo państwom interesowanym zagroziło, by ją podnieść i przywołać do życia. Interesowaną zaś była tu Austrya przedewszystkiém. A właśnie teraz z początkiem 1682 roku zagroziło jéj niebezpieczeństwo zbyt dotykalne, by miała ona daléj pozostać obojętną na wołania bohatera, lub mniéj baczną na walkę stronnictw w saméj Polsce. Ludwik XIV rozpoczął znów wojnę nad Renem, i aby tém pewniéj pokonać cesarza Leopolda, poduszczał nań sąsiadów: zbroił Turcyą, popierał Węgrów, robił zabiegi między szlachtą polską. Pobudziło to więc i Austryą do bardziéj stanowczéj działalności, a zręczne zabiegi rezydenta cesarskiego Zierowskiego, zaczęły odnosić swe skutki. Sobieski bardziéj otwarcie odwrócił się od Francyi; liga z Austryą przygotowywała się.

---

(1) Helcel.—O zamężciu Radziwiłłówny.

Ludwik XIV postanowił przecie rozwiać to wszystko za pomocą swego stronnictwa w Polsce. Na czele onego stanął teraz, najzupełniéj Francyi oddany, zdolny i obrotny podskarbi koronny, Andrzéj Morsztyn. Uknuto wielki spisek przeciw królowi. Tém łatwiejszém zaś to się stało, że właśnie w tym roku pożegnali świat główni popieracze związku z Austryą: hetman wielki koronny i wojewoda krakowski książę Dymitr Wiśniowiecki i hetman wielki litewski a wojewoda wileński Michał Pac. Miejsca ich zastępowali starzy stronnicy Francyi: Stanisław Jabłonowski w Koronie, a Kazimierz Sapieha na Litwie. — Otoż zręczny i gorliwy podskarbi, za pomocą świetnych obietnic, umiał pozyskać zupełnie ich obudwóch. Nadto zjednał też i Stanisława Lubomirskiego, marszałka wielkiego koronnego.

Co do wojewody poznańskiego, ten już oddawna szedł razem z Morsztynem w polityce zgodnéj z widokami dworu francuzkiego. Przebył burzę sądu sejmowego (1670 r.) i przyjaźnił się z podskarbim osobiście. W roku przeszłym, jawnie już prawie wystąpił przeciw dążeniom królewskim; a teraz był najskorszym w popieraniu planu kierowanego przez Morsztyna.

Rzucono przeto propagandę w sejmiki i gotowano się do stanowczéj walki parlamentarnéj na przyszłym sejmie, zapowiedzianym na Styczeń 1683 roku. Poruszono wszystko. Nie brakło podejrzeń, że sprzysiężeni myśleli o detronizacyi króla, by wynieść jego osobistego dotąd przyjaciela, Jabłonowskiego.

Sobieski jednak miał widać oddawna na baczności zabiegi swych przeciwników, i starał się o ich niweczenie: najbardziéj zaś pilnował rzutkiego Morsztyna, którego przy okoliczności, wcześnie chciał obezwładnić. Świadczą o tém listy Grzymułtowskiego tegoroczne (1). Widzimy z nich, iż na wniosek województwa sandomierskiego, chciano już wtedy oddać podskarbiego pod sąd, za zdradę stanu, jakiéj się on miał dopuścić, przyjmując w czasie swego poselstwa do Ludwika XIV, pod przysięgą, urząd jego sekretarza. Lecz na zapytanie króla (2) o zdanie w tym przedmiocie, wojewoda poznański (3) stanowczo mu odpowiada: iż rozumiał, że to już ugaszone na przeszłym sejmie... i wcale nie widzi w tém winy oskarżonego, który w tym razie naśladował tylko innych znakomitych ludzi, przyjmujących tytuły od obcych. „Czemużby

---

(1) Wydane w Źródłach Malinowskiego, T. II.

(2) Z d. 12 Stycznia.

(3) W liście z 13 Lutego.

to, powiada do króla, co jednemu było zaszczytem, drugim miało być za zbrodnię? Wprzódby należało napisać prawo, że się to nie godzi, a potém nieposłusznego prawu sądzić i karać!“

Potém ciągnie daléj: „Podobnoć to czyjaś prywatna z JMP. podskarbim niechęć te rzeczy fomentuje, ale nigdy się w Rzeczachpospolitych nie znajdowały gorące do zemsty zapędy, a dopieroż w Polsce. Rozumiałbym tedy raczéj to sejmowi do rozstrzygnienia zostawić.“

I kończy: „Ja według sumienia, tak gorszącego przykładu do Rzeczypospolitéj wprowadzać WKM. nie radzę, zwłaszcza że podobno nie mogloby to być bez urazy króla JMCi francuzkiego, boby to był znak wielkiéj jakiejś do niego niechęci; a przecież w tém położeniu, w którém zostajemy z Portą, przyjaźń jego nie zda się być do pogardzenia!...“

Na początku 1683 roku, dnia 17 Stycznia, zebrał się sejm w Warszawie, który miał stanowić o lidze z cesarzem przeciw Turkom. Stronnictwo francuzkie, porządnie uorganizowane, z łatwością wyniosło na marszałka izby poselskiéj swego kandydata, jakim był zięć hetmana Jabłonowskiego, a blizki krewniak p. Krzysztofa, jako brat jego żony, krajczy koronny Rafał Leszczyński, ojciec przyszłego króla Stanisława.

Walka zacięta rozpoczęła się już zaraz od mowy powitalnéj marszałka; a gdy nuncyusz Pallavicini i poseł cesarski hr. Waldstein wystąpili z projektem ligi, uderzono zewsząd przeciw wojennym zamysłom.

Wystąpił też energicznie w tym duchu i Grzymułtowski.

Odpowiadając na punkta propozycyi królewskiéj (1), jeszcze przy końcu ubiegłego roku zdaje się rozesłanéj, powtarza on dobitniéj, znane nam już, stanowcze swe co do przymierza z Austryą i Rossyą a wojny z Turkami, zdanie. Lecz co większa, wieje tu nawet z tonu pisma do króla, inny już zupełnie duch, nie ten co niegdyś. Widać tu już otwarcie niechęć i rankor szlachecki.

Woła on więc: Nawet teraz jeszcze jest czas na wszystko, byleć nie liga, która nieodzownie wojnę z Turkami sprowadzi. Lepiejże się „rzucić“ w inną stronę!...

Następnie powiada mu z przekąsem: „Nie z udania to niechętnych, nie z zawziętości niezadowolonych, nie z niewdzięczności za wyświadczone KJMci łaski; ale z oczywistości widocznéj, że pra-

---

(1) Patrz Źr. dziej. L. Grz. Nr. 59.

wa w siłu rzeczach nie zachowują się, ale osobliwie w szafunku pieniędzy Rzeczypospolitéj.“

Nie dosyć na tém; pełen widocznego rankoru do swego króla, wojewoda dotyka go w każdym punkcie słabszym, jak przedłużanie sejmów, jak poprzedni naprzykład przynosi, sądzi wojewoda, szkodę Rzeczypospolitéj, pod koniec których często „troje nie widzi“ wpisują się w Volumen Legum; „wydanie późne uniwersałów na sejmiki, najgorszym stało się przykładem“; klejnoty Rzeczypospolitéj powinny być w skarbie; nabywanie dóbr ziemskich przez rodzinę królewską, tylko na prawie pospolitém pozwolone; „co się zaś tknie Brodów i Pohorec, nie może służyć donacya królewiczowi Jmci“...; „Willanów, prawda, że sztuka piasku, ale i na tym piasku siedziałby szlachcic, i na Powsinku drugi.“

Nakoniec, tyle już dokuczywszy słusznie i niesłusznie królowi, jeszcze mu dodaje: „O cobym przecież KJMci prosił, aby nie chciał być tak surowym artykułów sejmikowych cenzorem, bo przypisywać szlachcicowi, gdy co przy prawie rzecze, że to pochodzi albo z niewdzięczności, albo z odmówionego wakansu, jest to kłaść kawecan na języki szlacheckie, żeby nie mówiły — niech się prawa pełnią; czego wielcy poprzednicy KJmci nie bronili...“

Po takim wstępie można było się już spodziewać, że i na sejmie p. Krzysztof sędziwy, odrazu z odkrytą przyłbicą wystąpi do walki.

Król przekonany teraz, że żadną miarą przez sejm zamysłów swoich nie przeprowadzi, postanowił zastraszyć i rozbić stronnictwo francuzkie, korzystając z okoliczności nastręczającéj mu możność zgubienia Morsztyna. Oto przejęto tajemne listy podskarbiego do p. Caltiere, mocno kompromitujące głównych przewódców stronnictwa, jak Jabłonowski, Stanisław Lubomirski, obaj Sapiehowie i inni. Wytoczono sprawę przed sąd senatu. Sobieski okazał się na ten raz tyle zręcznym dyplomatycznie, że poprzestał tylko na jednéj ofierze w osobie podskarbiego Morsztyna, innych zaś swych przeciwników wspaniałomyślnie uwolnił od wszelkiego podejrzenia, a przez to ich obezwładnił i całą ich strategiczną tkaninę zerwał. Dzielne to bowiem wzięcie się dyplomatyczne króla, tak stanowczo zmieniło postać rzeczy, że izba poselska zwróciła się przeciw Francyi, a senat stanowczo uderzył na podskarbiego.

Oczywiście, był tu skompromitowany i p. Krzysztof, znany oddawna przyjaciel rzutkiego pana Andrzeja. Uszedł też i on cało.

W senacie tedy występuje swobodnie. W jednéj z mów

swoich (1) zwraca się do króla z effektową apostrofą: „Powszechne uczy doświadczenie, że jako w ruszonéj ranie bolu przybywa, tak gęste rozczulania się w żalach, zaostrzają ból... więc tedy i ja nie chcę podniecać obszerną kondolencyą żalu WKMci PMM.“ Lecz służy mu to za wstęp do zwrócenia się ku sprawie podskarbiego jedynie.

Tu, doświadczony mówca stawi na oczy królowi i poważnéj braci zawiłą alternatywę. W téj sprawie, powiada: „mówić, nie sądzić tak straszne zarzuty — niesumiennie; sądzić zaś pośpiesznie — przykład dla wolności niebezpieczny, zwłaszcza gdy sobie przypominam przykłady, jako się takie nadawały sądy...“ Przypomina więc zatém sprawę Radziejowskiego i Lubomirskiego, których potępienia dorywczego sama potém Rzeczpospolita żałowała. Otoż dla uniknięcia czegoś podobnego, najodpowiedniéj będzie, sądzi wojewoda, rozpocząć proces w prawie przepisany. „A tymczasem żałuję, rzecze, że nie wiem, jaki tam powód zagrodził drogę WKMci do chwalebnego czynu, kiedyś chciał.. wszystkie pisma, nie czytając, wrzucić w ogień kazać.“ Więc, gdy się klucz do cyfr znajdzie i treść listów będzie znaną, wtedy WKMć „albo do Rzeczypospolitéj się odniesiesz, albo w królewskiéj mądrości pomiarkujesz...“

Kończy tedy owe zręcznie rzucone insynuacye zwrotem ku sobie: „To wszystko, com powiedział, nie z gniewu ani z miłości rzekłem, lubo się znam do tego, że mam starą z JMPm podskarbim przyjaźń; nie z danego, ani otrzymanego dobra, bo lubom bywał do rachunków skarbowych wyznaczany, nigdy mi skarb nie przynosił zysków; zawsze przyjaźń moja była po tę przączkę, póki nietykalność Rzeczypospolitéj i dostojeństwo WKMci w cale.“ Polecając zatém swe prośby, woła do króla p. Krzysztof słowami poety:

„Powierzonego sobie nie wypuszczaj opieku,
Aż pełen wieku!...“ i t. d.

Sąd senatu atoli sprawę tę ściśle daléj prowadził. Przekonany w winie Morsztyn, usprawiedliwiając się w obliczu całéj Rzeczypospolitéj (2), udał się w pokorę. Król po zasięgnięciu rad senatu, gdy i posłowie za łaskawością przemawiać poczęli, zawie-

(1) Patrz Nr. 60.
(2) 18 Marca.

sił jego sprawę; lecz podskarbstwo zostało mu odjęte. Nie oczekując tedy końca kompromitującéj wielu sprawy, rozmiłowany we Francyi p. Andrzéj wyniósł się zupełnie z kraju; przed nim jeszcze wyjechał obrażony poseł francuzki Vitry. Stronnictwo francuzkie upadło. Na jego ruinie stanęła nakoniec (1) tyle upragniona przez Jana III i papieża, sławnéj a smutnéj pamięci liga z cesarzem, prowadząca niebawem króla bohatera do Wiednia, a następnie potém wojewodę poznańskiego do Moskwy.

Tymczasem spiera się tu jeszcze p. Krzysztof o bliższe rzeczy w senacie. Oto znów występuje z mową (2).

Chodziło teraz o podskarbstwo opuszczone przez Morsztyna. Ten właściwie nie został był dotąd pozbawionym onego urzędownie. Ujmuje się więc Grzymułtowski za przyjacielem, prosi króla, by się wstrzymał z oddaniem jego urzędu komu innemu; boć w takim razie, po co sąd o zdradę stanu, gdyby już karę wymierzono.

Wnet zatém robi wojewoda dzielny, prawdziwie obywatelski zwrot ku zasadzie i podstawom saméj instytucyi. Słuchajmyż go pilnie:

Nie należy, rzecze on, oddawać jeszcze komukolwiek podskarbstwa, i ztąd, że właśnie: „przy opróżnioném krześle opisać trzeba urząd podskarbiego; bo ktokolwiek on jest, komu to WKM. oddasz odebrawszy przywiléj, nie da się opisać pewnie, i sam przez się i przez przyjaciół swoich; nie rychło się (też) poda okazya taka, jaką teraz przyniosły fata.“ A że opisać trzeba, czyż to nie widoczne? „Azaż nie trzeba, woła więc, opisać przyszłego podskarbiego, żeby tak niezmiernie nie odzierał Rzeczypospolitéj przez tak nieznośne rękawiczne, na które więcéj podobno kontrahenci prywatnie dają, niżeli Rzeczpospolita bierze! Azaż nie potrzeba opisać podskarbiego, żeby przysięgał rzeczywiste punkta kontraktów, boć to najniewątpliwiéj pewném jest, że inaksze kontrakta miewa pan podskarbi z kontrahentami prywatne, a inaksze przy rachunkach pokazują!“

A późniéj, widocznie już w myśli własnego osobistego interesu utajonego, przy podnieconéj nadziei a urazie nieuciszonéj, dodaje: „Azaż nie trzeba w tém, żeby scartabelli ani plebei do żadnego urzędu skarbowego, a mianowicie pisarstw skarbowych, administracyi celnych, żup, myt, komor, przypuszczani nie byli;

---

(2) 31 Marca.
(3) Patrz Źr. dziej. L. Grz. Nr. 61.

czego podskarbiowie dojrzeć powinni, a WKMć tego nie pozwalać, osobistą przysięgą najświęciéj się zobowiązałeś?“ I śmiało zapowiada: „bo w tém upewniam, że póty nie będą na podatki deklaracye, póki w tém i w czém inszém jeszcze, nie stanie doskonała koło skarbu ordynacya...“ Oświadcza się przecie z gotowością podania sposobów „wprawienia w ryzę prowentów Rzeczypospolitéj; przystąpiwszy do spraw jéj traktowania w młodym bardzo wieku, przywykłem, rzecze, do dobrego porządku, od którego na starość nie odzwyczajam się.“

Nie mamy atoli bezpośrednio i szczegółowo „sposobów“ tych, jakie miał roztoczyć przed obradującą bracią wojewoda; w ogóle jednak, są one nam wiadome ubocznie.

Wiązało się to wszystko u Grzymułtowskiego ze sprawą jego plus offerencyi. Nie mógł on darować podstępu, jakim go zbyto, ścigał przeciwników zawzięcie i wytrwale szedł do celu. Na obecnym sejmie tedy wystąpił znów że swą propozycyą wzięcia dzierżawy ceł.

Lecz teraz został zawiedziony.

Na sejmie tym Grzymułtowski został potwierdzony nadal prezydującym w komissyi z margrabstwem i naznaczony do zasiadania w radzie królewskiéj.

Gdy zaś w obliczu zbliżającéj się strasznéj wojny z Portą, skutkiem zawarcia ligi z cesarzem, zdecydowano się równie stanowczo zjednać sobie „serenissimos Moschorum czaros“ zawrzeć sojusz i wieczny pokój z Rossyą, jego też wezwano na czoło komissyi, któréj właśnie układy w tym celu zostały przez Rzeczpospolitą poruczone.

Jeszcze rozejm andruszowski 1667 roku, zawarty na lat 13, zastrzegał późniejsze przejrzenie i ułożenie traktatu wieczystéj przyjaźni z Rossyą; kilkakrotnie potém potwierdzano ów rozejm, zawsze zastrzegając owo wieczyste przymierze. Chwila do układów zdawała się pomyślną: Rossya bowiem była teraz pod władzą niewiasty, carówny Zofii, rządzącéj w imieniu nieletnich braci Jana i Piotra.

*

* *

Wysłanie uroczystego poselstwa, dla zawarcia ostatecznie wiecznego pokoju i przymierza z Rossyą, zostało zdecydowane. Dziwném zrządzeniem losu, wypadło właśnie temu w owych układach o wieczny pokój przewodniczyć, kto przez całe swe życie,

z zasady, był najzawziętszym przeciwnikiem wszelkich podobnych układów. Cała bowiem istota rozumienia zadań polityki Rzeczypospolitéj przez Grzymułtowskiego, zasadzała się właśnie na tém: aby uciszyć kraj wewnątrz, wzmocnić rząd, pojednać się z Turcyą przy pomocy Francyi, uwolnić się od wpływu Habsburgów, tolerować kufirsta — byle tylko potém całemi siłami rzucić się na wschodniego sąsiada Rzeczypospolitéj i przywrócić Kijów i Smoleńsk. Teraz, nie ustępując wcale nic ze swych przekonań, zmuszonym on przecie został uledz przemocy nakazujących okoliczności—i wybór na przewodniczącego w komissyi pełnomocników Rzeczypospolitéj przyjął.

Takie zaś przybranie na siebie charakteru umocowanego Rzeczypospolitéj w obliczu faktu powszechno-dziejowéj wagi, nadało też pewien nowy, wybitniejszy odcień i ostatniéj fazie politycznego zawodu wojewody.

Grzymułtowski stanął tedy czynnie na czele poselstwa do traktowania o wieczny pokój z Moskwą.

Za towarzyszów wyznaczeni mu byli na sejmie dwaj senatorowie litewscy: ks. Marcyan Alexander Ogiński wojewoda trocki i Jan Antoni Chrapowicki wojewoda witebski. Miejscem zaś układów z pełnomocnikami rossyjskimi, miał być po dawnemu, Kadzyń—mieścina pograniczna województwa mścisławskiego, leżąca nad rzeczką Horodnią, tuż naprzeciw pamiętnego Andruszowa, znajdującego się już w województwie smoleńskiém, odstąpioném Rossyi.

Przyszła wielce stanowcza chwila na Rzeczpospolitą: 12 Września, Jan III został zwycięzcą pod Wiedniem; Grzymułtowski wybierał się do Kadzynia...

Niedostatek skarbu opóźnił jego wyjazd: król z własnéj szkatuły musiał go opatrzyć. Co też było niepojętém: posłowie Rzeczypospolitéj nie mieli dostatecznie określonych instrukcyi, nie mieli nawet wydanych sobie pełnomocnictw w odpowiednim czasie.

W dalszym biegu rokowań równie nic stanowczego z komissarzami rossyjskimi ułożyć się nie dawało.

W jednym z listów Grzym. (1) podskarbiemu lit. donosi: „Panowie moskiewscy koniecznie domagali się u nas rozgoworu, którego odmówić nie było przyczyny. Umówiony tedy na jutro, gdzie się przecie wieźć każę, bo mnie podagra do łóżka przykuła,

(1) 17 Lutego, u Skrzet. 23.

choćby mnie też do szopy zanieść miano z sani; gdzie jeżeli tak będą stawać twardo, jako na przeszłych rozgoworach, niezawodny będzie u mnie znak, że z Turkami coś ułożyli na nas. Bóg przecie niechaj wybaczy, jeśli zechce, cesarzowi JMci! Obowiązany on, wedle układów, starać się o związek z Moskwą, na podstawie których tak prędko dana od nas pomoc; a cesarz przez dziesięć miesięcy nic nie czynił w tak małéj rzeczy dla nas. Jeżeli cokolwiek przez to ucierpi Rzeczpospolita szkody, słuszną będze miała przeciwko cesarzowi urazę!“

W taki sposób 39 razy zjeżdżali się pełnomocnicy i nic stanowczego nie zdołali przeprowadzić: posłowie Rzeczypospolitéj nie odstępowali Kijowa, umocowani zaś carów nie chcieli się zgodzić na danie pomocy przeciw Turkom (1).

W Maju przystąpiła do ligi i Wenecya: przy układach z nią postanowiono starać się o zjednanie dla związku wszystkich panów chrześciańskich, a osobliwie carów Moskwy.

Popierali więc sprawę sojuszu i posłowie cesarscy, Zierowski i Blumberg w Moskwie, w ciągu Maja. Na wszystkie atoli przełożenia kanclerz Golicyn odpowiadał, że wtedy tylko Moskwa rozpocznie wojnę z Krymem, gdy będzie miała sobie ustąpiony Kijów.

Najzawziętszym przeciwnikiem pokoju z Polską był hetman ówczesny Ukrainy zadnieprskiéj Samójłowicz (2).

Wlokły się więc układy i na rozgraniczu, z równym skutkiem. Przy końcu Lipca jeszcze bawił Grzymułtowski w Kadzyniu i rokował.

Tymczasem i z powodów zupełnie ubocznych były przeszkody, uniemożliwiające doprowadzenie do skutku układów o sojusz przez komissye na rozgraniczu. Kniaź Wasil Wasilewicz Golicyn, powiernik carówny Zofii, niepokojący się o utrzymanie władzy w jéj ręku, albo ciągle do stolicy z Andruszowa odjeżdzał, albo widział się być zmuszonym zapowiadane dni przybycia swojego do pogodniejszych chwil odkładać. Widocznem było, że jeżeli przymierze miało dojść do skutku, należało posłom polskim udać się do Moskwy.

Po tak długich a bezużytecznych zabiegach, wrócili przeto pełnomocnicy Rzeczypospolitéj do domu po dalsze wskazówki.

---

(1) Istoria Rossii Sołowjewa, T. XIV, str. 14.
(2) Sołowjew, T. XIV, str. 17.

W początku roku 1685 Grzymułtowski był już pośród braci w Wielkopolsce, i już się po dawnemu żywo krzątał w wirze przedsejmowym.

Na miesiąc Luty zapowiedziano sejm: okoliczności były zbyt ważne—sejmiki przedsejmowe zawrzały.

Stanął też w Srodzie i sędziwy a niezmordowany niczém wojewoda. Powitał w ozdobnéj, arcy-oratorskiéj na owe czasy, krótkiéj przemowie, posła królewskiego w kościele (1) i stanął czynnie do narad.

Wzięto pod rozwagę instrukcyą królewską. Po odczytaniu onéj, wystąpił wojewoda z mową, pełną zwartéj energii i treści a niepospolicie charakterystyczną (2).

Mamy radzić o obronie kraju?! A toć obiecywano nam, że pójdziemy za Dunaj i daléj; a teraz do obrony przyszło?! Lecz kiedy już o wojnie rada: wróćmy do staréj surowości i ruszmy na siedm lat, bo to wojna nie do skończenia.. Przewidywałem to, i byłem jéj przeciwnym, a tylko z przymusu podpisałem na sojusz. I czegożeśmy dokonali? Wiedeń obroniliśmy?—Zgoda; ale kraj zrujnowaliśmy w niwecz, a wojsko, wbrew świetnym powieściom, boso do dom wróciło! Bogu nawet ta wojna nie podobała się: zesłał też na nas nieurodzaj, powodzie, ogień, powietrze. Ale stało się—teraz wojna już jest koniecznością, sojuszów trzymać się należy...

Tak zagaiwszy rzecz, przechodzi wojewoda poznański następnie do zadania najbardziej palącego, t. j. do praktycznego obmyślenia środków ku téj wojnie.

Otoż, zdaniem jego, prowadzenie dalsze wojny wojskiem pieniężném jest niemożliwe, boć i tak już tyle Rzeczpospolita mu winna!... I tu zwraca się sędziwy p. Krzysztof ku myśli, długie lata pewnie w sercu pieszczonej. „Luboć, powiada tedy, mogłaby Rzeczpospolita duży szmat wojska trzymać bez podatków, któremi tak ciężko jesteśmy obarczeni, gdyby prowentów Rzeczypospolitéj prywatni między się nie dzielili, z których na potrzeby (onej)... nie wychodzi więcej nad 600 tysięcy, i to nie każdego roku. A ja rocznie ofiarowałem z nich milion, a okroiłoby mi się zysku najmniéj dwa miliony; a to z samych ceł dawałem zwyżki 170 tysięcy, nad to co wchodziło do skarbu. Nie byłoby tego braku w skarbie!...“

---

(1) Źródła dziej. Listy Grzym. N. 63,

(2) Źródła dziej. Listy Grzym. N. 64.

Poczém mówca robi zwrot w stronę. i uderza zblizka tych, co mu widać zdawna stali solą w oku. Pyta więc: „Z jakiejże przyczyny ten brak? bo nieznośne na cłach zdzierstwa: na wodnych cłach już jest taksa na gębę szlachecką!“ A opowiedziawszy o dotkliwych dla szlacheckiéj gęby, kieszeni i dumy, nadużyciach, woła: „Życzę, aby kiedyżkolwiek Rzeczpospolita chciała się w tém postrzedz i wynijść z téj niewoli, w któréj ją kilka chłopów trzyma, z nas się bogacących.“

Następnie podnosi ciężki pocisk, wymierzony silnie, przeciwko tym, co skarbem zawiadowali: a zarazem — pocisk przeciw stronnictwu króla i dworu w owym czasie.

Oto wzywa wrzawną bracią wielkopolską, znów teraz starego wojewodę otaczającą swém współczuciem, do napisania artykułu w instrukcyi, aby „posłowie, odprawiwszy wstępne czynności sejmowe, do niczego nie przystępowali absolutnie, a dopieroż do deklaracyi, aż wprzód doskonale Rzeczpospolita informowana będzie, wiele od sejmu przeszłego do skarbu weszło i na co się rozeszło z prowentów Rzeczypospolitéj. Oraz, aby się spytali— kto odebrał 1,200,000 od cesarza; na co się obrócił milion od Ojca św... (gdy) żaden grosz z tych summ (papiezkich) nie poszedł na wojsko... w co się obróciły intraty ze starostw tak długo przeciw wyraźnemu prawu wakujących; sto tysięcy z mennicy... jako i na co się obróciły; przytém wszystkiém, aby się spytali — z jakiego prawa wojewoda lubelski (Zamojski Marcin) szafuje pieniędzmi Rzeczypospolitéj, nie złożywszy przysięgi na urząd...?“

Nie skończył przecie na tém napadów swych sejmikowych, słusznych po części, wojewoda poznański. W zapędzie jakiegoś nowego widać rankoru, posunął się do powszedniéj złośliwości. Słuchajmy bowiem:

„A że... oddała w opiekę JKMci Rzeczpospolita summy neapolitańskie, których wydźwignienie wziąć na się JKM. raczył, niech podziękują Jch Mość PP. posłowie za tę ojcowską troskliwość JKMci, a oraz spytają się, jeżeli te summy weszły do skarbu.“

Upomina się jeszcze o bogate opactwo oliwskie, że je plebejusz trzyma, — i tak kończy: „Wiem, iż tu są donosiciele, którzy złośliwie zwykli opisywać wymowy nasze do dworu; proszę ich tedy, aby prawdę pisali, bo ja mam tyle szlachetności otwarcie mówić, co mi się zda, nie przez bezimienne pisma wypisować, i przestrzegam, że to wszystko, cokolwiek tum mówił, przedyktuję i między ludzi podam!“

Zbliżył się wreszcie sejm. Sejm ten, podług prawa 1673 roku, miał się odbyć w Grodnie. Król wszakże dla znacznego oddalenia

miasta tego od zagrożonych granic, jako to w uniwersałach tłómaczył, a raczéj z obawy wichrzeń silnego przeciw sobie stronnictwa na Litwie: naznaczył go do Warszawy na 16 Lutego. Oburzyło to Litwinów, którzy samowolnie zebrali się w Grodnie, — tak, iż dwa na raz odbywały się sejmy. Po całomiesięcznych namowach, dali się wreszcie Litwini ułagodzić hetmanowi Jabłonowskiemu pod warunkiem, że sejm ten utrzyma nazwę grodzieńskiego, i że mu Litwin przewodniczyć będzie.

Przedtém wszakże zachodziły widać znaczne nieporozumienia i w łonie senatu przy królu.—Posiadamy jednę mowę Grzymułtowskiego, krótką lecz bardzo wybitną, mianą właśnie na radzie senatu (1). Powiada w niéj wojewoda, że dziwuje się izbie poselskiéj, iż niweczy prawa swe, kiedy to co onéj należy, to jest propozycyę praw, przenosi do JKMci i senatu...

Burza, któréj król obawiał się w Grodnie, nie minęła go przecie i w Warszawie. Zdradzony od Sapiehów, których dotąd wynosił na Litwie przeciw nieprzyjaznym sobie Pacom, chciał Jan III oprzeć tam powagę swą na Ogińskich. To tedy połączyło Paców z Sapiehami, mimo ich wzajemnéj zawiści. Burza tedy wybuchła. Doszło do tego na sejmie, że kiedy król w uniesieniu po szlachecku do korda sięgnął, zapamiętały Michał Pac starosta żmudzki, odważył mu się powiedzieć, że go może po raz drugi naznaczyć jak niegdyś za młodu!

Grzymułtowski, jak widzieliśmy, był przyjacielem Sapiehów i poróżnił się z Marcyanem Ogińskim—i jak się zdaje, trzymał się stale i szczerze stronnictwa sprzyjającego polityce Francyi.

Na sejm wojewoda spóźnił się, powiada, umyślnie. Lecz gdy przyszło dać swe zdanie na punkta propozycyi królewskiéj, wystąpił dzielnie jako prawdziwy mąż publiczny.

Przebieg całego tego sejmu mało jest znany; dla tego témbardziéj zwracamy uwagę na mowy Grzymułtowskiego.

Otoż wysłuchajmy najprzód jego „votum (2).“

Podziękowawszy królowi „za podjęte dla zaszczytu chrześciaństwa trudy,“ przystępuje odrazu do punktów propozycyi, i pokolei, na każdy z nich daje kategoryczną odpowiedź:

Co do 1-go, dotyczącego assekuracyi sejmu w Grodnie — nic przeciw temu nie ma, byle się już stanowczo ubezpieczono nadal, prawem określoném ściśle, od podobnych obecnéj zamieszek.

---

(1) Źródła dziej. Listy Grzym. N. 65.
(2) Źródła dziej. Listy Grzym. N. 66.

Ale przecie i tu korzysta z pierwszéj sposobności, by z jakichś niewyraźnych wcale pobudek, wystąpić jeszcze raz arcydemokratycznie za izbą — przeciw senatowi, za sejmem — przeciw radom senatu.

Na punkt 2-gi, co do podania środków prowadzenia dalej wojny—odpowiedź łatwa, powiada wojewoda: trzeba tylko „pieniędzy, pieniędzy i pieniędzy.“ Ale zkąd ich wziąć? — Podatków nie wystarczy, kraj zniszczony, nie ma nic: nie ma ludzi, gdyż gromadność szlachty na sejmie niczego nie dowodzi; nie ma koni „lada podjezdka, jakiego przedtém za złotych sto kupił, teraz za sto talarów ledwo weźmie.“

Przy potrąceniu 4 go punktu, o należnéj wojsku wdzięczności od Rzeczypospolitéj—dzielnie, rozumnie, prawdziwie po obywatelsku ujmuje się on za wojskiem. Nie dosyć wypłacić mu należność, trzeba czegoś więcéj nadto. Ale „najskuteczniejszy, rzecze, być może posiłek wojska z królewskiéj WKM. PNM. szczodrobliwości. Jest i teraz tak siła i w Koronie i w W. Ks. Lit. wakansów; kiedy te ludziom rycerskim byłyby dane, wielkie to będzie przychęcenie...!“ i t. d. i t. d.

Punkt o wprawieniu w porządek dochodów (prowentów) zwykłych Rzeczypospolitéj (9-ty i ostatni), był przedmiotem najżywiéj obchodzącym wojewodę osobiście. Na ten punkt tedy zwrócił on całą swą siłę, tak, że rozbiór punktów poprzednich posłużył tu tylko za wstęp właściwie.

Pozdrowił więc najprzód króla, że podał ten przedmiot, największego znaczenia, pod rozwagę; przypomniał swe zdanie na przeszłym sejmie wypowiedziane, ofiarowaną przez się zwyżkę 170 tysięcy rocznie nad ilość podawaną, i o nieuwzględnieniu tego przez króla i skarb. Potém odrazu zapowiada to, do czego był już wzywał bracią wielkopolską na sejmiku średzkim, mianowicie: że nie wprzód będą deklaracye na podatki, aż się dobrze przyjrzą w rachunkach skarbowych i aż wprzód w dobrą będą wprowadzone ryzę wszystkie prowenta Rzeczypospolitéj.“

Następnie upewnia, „że jeżeli Rzeczpospolita w dobry rząd wprowadzi i wykonanie tego obwaruje... 10,000 piechoty, zawsze płacąc, bez żadnego podatku, rok od roku, trzymać będzie mogła.“ Dalej zwraca się do wyjaśnienia: zkądby też wzięły się naraz te pożądane pieniądze, bez podatków?

Wszelkie środki doraźne, powiada wojewoda, nie prowadzą do celu: pewne pieniądze będą te, które podług wszelkiéj sprawiedliwości należą Rzeczypospolitéj. A najprzód, „wszak już to rok szósty mija, niechaj to powrócą ci prywatni, którzy to sobie

przywłaszczyli, przez sześć lat po 170 tysięcy. Będzie kilkanaście kroć sto tysięcy, które jawnie, widocznie i prawie dotykalnie pokazują, że należą do Rzeczypospolitéj. Ufam, że ta łupież nie znajdzie poparcia, i owszem tuszę, że Rzeczpospolita znajdzie współczucie, z którego spodziewam się poparcia mojéj illacyi, tak słusznéj dla Rzeczypospolitéj..." A potém: „Czemużby (idąc za przykładem Francyi) nie oszacować wszystkich dostojeństw, od najwyższego począwszy, aż do ostatniego urzędu ziemskiego, wszystkie od najintratniejszego starostwa, aż do najmniejszéj tenuty? Upewniam, że we trzech leciech bardzo bogaty będzie miała Rzeczpospolita skarbiec, tymczasowie do drugiego sejmu..." Nakoniec należy, aby postanowiono cła generalne, wszystkich dotykające—byle tylko sposób poboru był słusznie określony!

Ale co do zapewnienia braci obradującéj, że wskazywane przezeń środki wystarczą na utrzymanie wojska Rzeczypospolitéj, chcieli go widocznie, dotknięci tém przeciwnicy, przytrzymać za słowo, i zaproponowali, czyby sam on nie wziął na siebie przeprowadzenia projektu. Oto bowiem znów widzimy p. Krzysztofa występującego w obliczu sejmu z długą mową (1).

„;Co się tknie illacyi mojéj, że Rzeczpospolita z prowentów swoich, bez podatków, mogłaby trzymać znaczną część wojska... nie trzeba trzymać mię w słowie, bo się i sam w niém utrzymam!" I tu znów roztacza wojewoda swój pogląd na kwestyą skarbową. „Porachowałem tedy, że na 10 tysięcy piechoty dawnym żołdem, czternaście kroć sto tysięcy tylko i czterdzieści złotych i gr. 10. Przecież ci cła, plus offerencya, pogłówne żydowskie, składne, winne, kwarta.. uczyni kilkakroć sto tysięcy; niechżeby teraz Rzeczpospolita postanowiła lustracyą, a ten, ktoby się tego podjął, był przytomny i dojrzał..., upewniam, żeby na to sama kwarta wystarczyła, a (resztę) miałby sobie ten kontrahent w zysku..."

Występował Grzymułtowski daléj i na radzie senatu z równą energią i stanowczością, wołając o przestrzeganie praw w ogóle, popierając rzuconą przez się myśl sprzedaży wakansów, domagając się uporządkowania skarbowości i t. d., i t. d. Dotknąwszy ze znaną swą śmiałością tak drażliwych rzeczy, wywołał przez to oczywiście, najzawziętszą przeciwko sobie burzę w senacie. Przerywano mu kilkakrotnie mowę, zarzucano, że wykracza poza zakres propozycyi królewskich, przypominano dawne zarzuty ciążące

---

(1) Źródła dziej. List. Grzym. N. 67.

na nim, z czasów króla Michała i t. p. Ale wojewoda nie dał się tém odstręczyć—i stawił się ostro daléj.

Przechowała się mowa jego, w któréj właśnie odpiera dzielnie przeciwników i uzasadnia własne widzenie potrącanych uprzednio przedmiotów (1).

Taksa wakansów, dowodzi wojewoda, wcale nie wykracza poza obręb propozycyi królewskich. Proponował król, abyśmy podawali środki prowadzenia dalszéj wojny; więc tedy podałem za pierwszy środek mieć pieniądze—i daléj jako je mieć. Królowi to nie ubliża, a posłowie tylko być wdzięczni winni. Zrywać sejm!—nie senatorska to rzecz; ale sprawy skarbowe muszą być przecie w ryzę wzięte, bo Rzeczpospolita najsromotniéj jest łupioną!

Posuwając się daléj śmiało krok za krokiem, nie cofa się wojewoda i przed surową konsekwencyą swych wywodów.

Staje potém żywo jeszcze w interesie wyłącznego posiadania przez szlachtę bogatego opactwa oliwskiego, które dostawało się często nieszlachcie. Przy téj sprawie również nie zabrakło śmiałości sędziwemu wojewodzie: „Nie zaspakaja mię ta racya, rzecze pan Krzysztof, że tak Rzym chce, bo ja przyznawam Rzymowi zwierzchność nad sobą w tém wszystkiém, co do wiary należy, ale co do praw naszych — żadną miarą. A nie lekkomyślnie to mówię, bo sadzę się na statutach, które chwalebnie przodkowie nasi pisali o annatach, o kortezanach, o opatach, o biskupach, nie dokładając się Rzymowi...“

Dotknąwszy tak niepowstrzymanie tylu wysoce drażliwych interesów, kończy wojewoda rzecz zręcznym zwrotem do króla: „Alem się tego przecie ważył, ufając, że mię od napaści zaszczyci rodowa WKMci tarcza.“

Obok spraw wewnętrznych Rzeczypospolitéj, pozostawały jeszcze do załatwienia na tym sejmie niemniéj ważne układy z mocarstwami ościennemi—przedewszystkiém zaś z Rossyą.

Król zatém wyraźnie orzekłszy, „że ponieważ komissye publiczne z państwy pogranicznemi nie doszły, tedy one wszystkie w swojéj mocy zatrzymywamy i t. d.,“ zapowiedział Krzysztofowi Grzymułtowskiemu i Marcyanowi Aleksandrowi Ogińskiemu, że natychmiast po ułożeniu dla nich instrukcyi, przystąpić mieli do spełnienia téj ważnéj posługi dla Rzeczypospolitéj.

---

(1) Źródła dziej. N. 68.

Zdecydowaném tedy zostało i drugie poselstwo Grzymułtowskiego. Towarzyszyć mu miał podobnie jak uprzednio, ksiądz Marcyan Aleksander Ogiński, dziś już kanclerz wielki litewski. Polecono teraz pełnomocnikom udać się wprost już do stolicy carów.

Sprawozdanie z przebiegu rokowań tego poselstwa, złożone Janowi III i Rzeczypospolitéj, przez wojewodę poznańskiego, wydał w T. II „Źródeł do dziejów polskich" uczony Malinowski, obok innych dokumentów odnośnych. W naszym zaś rękopisie znaleźliśmy nadto tylko jednę nieznaną mowę Grzymułtowskiego do carów. Wszakże wydane już materyały, dostatecznie rozjaśniają przebieg układów, jakie poprzedziły fakt wszech-dziejowego znaczenia, do którego historya przywiązała następnie Grzymułtowskiego imię.

Wybierając się późną jesienią 1685 r. w daleką ze swéj Wielkopolski drogę, zboczył jeszcze wojewoda na Ruś Czerwoną, do Żółkwi, „chcąc z mądrości króla, jak powiada, wziąć naukę, jako tam sobie postępować miałby." Jakoż odebrał potrzebne przestrogi, i pod koniec Grudnia stanął wojewoda w Horkach za Dnieprem, gdzie postanowił czekać na swoich towarzyszów litewskich.

Smutnie rozpoczął p. Krzysztof rok nowy 1686, w bezludném ustroniu nowego od Smoleńszczyzny pogranicza Rzeczypospolitéj. Posłowie litewscy nie przybywali. Czekał napróżno na nich Grzymułtowski przez cały Styczeń, a czekał jak powiada „ze szkodą Rzeczypospolitéj." Bo gdyby było wcześniéj stanęło w Moskwie poselstwo, „skończyłby się, zapewnia on, traktat przed Marcem, bez odstąpienia granic za Dnieprem... i wszystkie siły moskiewskie już byłyby Krym znosiły, niżeli poczęli z nimi Turcy przez Tatarów traktować." Pisał też o tém do króla, lecz bezskutecznie.

W stolicy, jak nazywano wtedy wyjątkowo miasto Moskwę, noszące na Zachodzie nazwę tęż samę co kraj i naród, stanęło poselstwo Rzeczypospolitéj dopiero pod koniec Lutego.

Przyjmowano tu poselstwo polskie na podziw uroczyście. Młodych carów Iwana i Piotra Aleksiejewiczów „dość z ozdobną magnificencyą, na srebrnym tronie siedzących," pozdrowił 21 Lutego wojewoda poznański uroczystą mową, któréj słuchała z ukrycia i opiekunka młodszych swych braci, carówna Zofia.

Mowa ta wspaniała, wypowiedziana była niezwykle czystą polszczyzną, urozmaiconą zaledwie parę razy zwrotami cerkiewno-słowiańskiemi. Grzymułtowski przełożywszy więcéj nieodzowną potrzebę przystąpienia znowu do powszechnéj zachodniego chrześcian-

stwa ligi przeciw bisurmanom, zakończył ją przepyszną apostrofą oratorską: „Niechże tedy, rzecze, te cne i przesławne słowiańskie narody, téj ak sposobnéj, którą Bóg podaje, zażyją pogody; niech za powodem wielkich swoich monarchów, przy odwadze i działalności pokażą światu, że lubo w nizkich mieszkają chatach, wysokie i górne myśli w sercach i ostre na zaszczyt chrześciaństwa a na zgubę bisurmanów, noszą przy bokach szable!“...

Z powodu czystości języka téj mowy, słuszną Malinowski (1) robi uwagę, iż dziwić się nie należy, że w wieku makaronizmów Grzymułtowski tak czysto ją po polsku napisał. Sam już w rękopisie ostrzega, że „ad genium gentis akkomodowana, bez żadnych derywatyw i łaciny.“ Mówiąc przed carówną Zofią, która „księgi żywotów świętych po polsku czyta, co Baranowicz wierszem wydał,“ i przed bojarami, język sąsiedniego narodu znającymi, ale dla których łacina była obcą, musiał się on też stosować do swych słuchaczów i być w mowie swojéj bardziéj zrozumiałym.

Po uroczystym wstępie, zaproszono posłów Rzeczypospolitéj na „pożałowanie bankietowe Ich Carskiéj Wysokości.“ Ale nie wiele widać była zadowolona szlachta z tego pożałowania: miód jéj się przedewszystkiém nie podobał. „Miód podawano, mówił jeden z poselskiego orszaku, wszeteczny, sytę, do grochu kucyjnego zgodny, z gorzałką prostą mieszany, śmierdzący...“ Co więcéj — i potrawy były dziwne: „wstaliśmy, powiada tenże, ze czczemi żołądkami.“ (2).

Dnia 23 Lutego odbyło się pierwsze posiedzenie, zawiązał się pierwszy „rozhowor,“ pełnomocników obojga stron. Bojarowie przeznaczeni do traktowania byli następujący: Kniaź Wasil Golicyn kanclerz, bliźni bojarzyn Szeremietiew, okolniczowie Buturlin i Czaadajew i dumny djak Ukraincow. Przełożenie wstępne wojewody, nieodmówienie sojuszu przeciw bisurmanom i wiecznego pokoju na zasadzie andruszowskiego rozejmu, były przyjęte przez nich dość uprzejmie i dawały otuchę.

Lecz następne traktowanie szło oporem, przewlekle i bez widoków pożądanego skutku. Dwór moskiewski nie był naglony żadną koniecznością, czuł dobrze, że może przepisywać warunki, więc też i zachowywał się odpowiednio t. j. wyczekująco. Wszystko rozbijało się o Kijów: nie chciano go za żadną cenę zwrócić Rzeczypospolitéj, a posłowie polscy upornie nastawali. „Najmocniéj za-

---

(1) Źródła do dz. p. T. II. str. 140.
(2) U Malin. T. II str. 49.

cięliśmy się, powiada w swém sprawozdaniu wojewoda poznański, przy województwie kijowskiém, a dopieroż przy samym Kijowie!...“

Wszakże na szóstym rozhoworze d. 20 Marca, posłowie polscy „widząc że inaczéj być nie mogło,“ oświadczyli się nakoniec z gotowością ustąpienia i Kijowa, jeśliby natomiast byli pewni szczerego sojuszu i pomocy do zdobycia innych ziem od nieprzyjaciela krzyża świętego. Lecz gdy Golicyn tylko do wojny z Krymem w imieniu carów zobowiązywał się, poczęto mówić o „rozjezdném piśmie,“ zrywającém układy.

Następnie przecie zamiast czynnéj pomocy, zgodzono się w zasadzie na subsydya pieniężne—i zażądano takowych.

Poczém wszczął się długi spór o wysokość summy wojennych tych subsydyów.

Posłowie Rzeczypospolitéj żądali 3 milionów, dawano im zaś 200 tysięcy talarów bitych. Obrażony Grzymułtowski wołał: że deklaracyą taką waszmościów bierzemy sobie za żart, bo król „szlachcicowi swojemu więcéj z łaski swojéj daje, niżeli Imć całéj Rzeczypospolitéj ofiarujecie...“ „Mnie jednemu dał król Imć starostwa takie, za które wziąłem 400 tysięcy, jeszcze jedno mam!“

Nic nie pomagało i zabierano się do odjazdu, odgrażano się zawarciem pokoju z Turcyą.

Traktowano wszakże wciąż daléj. Wymagania rossyjskie tymczasem wzrastały: zażądali bojarowie i bliższéj okolicy Kijowa, jak Wasylków i t. d. Napróżno Grzymułtowski powtarzał: „Gdyby cesarz turecki stanął z wojskami między Lublinem a Warszawą, takich punktów nie stanowilibyśmy z wami!..“

Posłowie polscy gotowi już byli nie uskuteczniwszy nic, odjechać: lecz głębsza rozwaga i myśl na ówczesne położenie Rzeczypospolitéj, za daleko już w ligę anti-turecką uwikłanie, nakazywały im wszakże większą względnie powolność co do ustępstw.

Nakoniec dnia 3 Maja (a 21 Kwietnia st. st.) w sam dzień Znalezienia Św. Krzyża „znaleźliśmy mówi Grzymułtowski, te środki, któremi traktat został zakończony.“ Ratyfikacya zaś nastąpiła 6 tegoż miesiąca.

Była tedy niezmierna radość w Moskwie.

Rzeczpospolita wyrzekała się Kijowa i Smoleńska, otrzymując w zamian zapewnienie wiecznego pokoju i małoznaczący zasiłek na wojnę z Turkami. Rossya zaś przez ten traktat zdobywała stanowczą przewagę na północy.

Posłowie Rzeczypospolitéj wracali przygnębieni.

Napróżno wita serdecznie Grzymultowskiego biskup krakowski Małachowski (1), z powodu tak „dobrze skończonego na życzenie całego chrześciaństwa dzieła, które się może nazwać sprawą wieków.“ Napróżno sam wojewoda „tę pracowitą i kosztowną, szczerą przytém i życzliwą usługę‘ swą polecał w sprawozdaniu swém królowi i Rzeczypospolitéj, pragnąc „aby król i całe z nim chrześciaństwo z téj siejby zbierało najobfitsze żniwo.“ Skutki zawartego pokoju nie odpowiadały oczekiwaniom, dobre imię Grzymułtowskiego ucierpiało, król potwierdzając na radzie senatu we Lwowie dnia 19 grudnia 1686 r. jego traktat, w obec wszystkich zalał się łzami (2).

Wieść o zawartym traktacie w Moskwie, zrobiła głębokie wrażenie po całéj Rzeczypospolitéj. Rzucano najdotkliwsze podejrzenia na pełnomocników narodu; oczywiście zaś największe zarzuty robiono wojewodzie poznańskiemu.

Grzymułtowski więc czuł się w obowiązku wystąpienia w osobistéj obronie na tejże radzie senatu; a mowa ta jego uroczysta (3), w obliczu powag narodu miana, zdaje się być jakby tłómaczeniem jego zarazem wobec potomności i historyi.

Posłuchajmy przeto uważnie wybitniejszych onéj ustępów: ostatnia to mowa publiczna w życiu tego człowieka.

„Rozumiałem, poczyna wojewoda, najwyższém milczeniem uczcić sądy moskiewskiego traktatu... Ale kiedy to po trybunałach radomskich i piotrkowskich latają listy obelżywe, honor nasz szczypiące, nie chce się śmiechu, i nie godzi się milczeć! Nie dziwię się, że szlachetne serca boli strata tak wielkich prowincyi; ale się temu dziwować muszę, że téj rozwagi nie było naówczas, gdyśmy z Turkami zaczynali wojnę po zawartych pod Żurawnem traktatach, kiedy w obliczu Rzeczypospolitéj przepowiadałem, że do tego przyjść miało co się teraz dzieje, t. j. albo dwie wojny: moskiewska i turecka na nas się zwalić miały; albo lubo ze Wschodem, lubo z Północą, na najniedogodniejszych warunkach pokój zawrzeć będziemy musieli. Dziwuję się jeszcze, że téj rozwagi nie było natenczas, kiedy trzy instrukcye pisano: jednę w Grodnie, którą ja podpisałem, bo nie była Rzeczypospolitéj szkodliwa, drugą do Andruszowa, która oddać Moskwie wszystko rozkazała, trzecią teraz do Moskwy takąż jaka i wtóra, których obydwóch nie podpisałem; i świadczę się Bogiem, przyjechałem do Kadzyna, nie wiedząc o instrukcyi,

---

(1) W liście z d. 5 wrz.—patrz Źródła dz. L. Grz. N. 70.
(2) Patrz Sołowjewa Istoria Rossii T. XIV.
(3) Swada Ostrowskiego i Danejkowicza I. str. 130—131.

bom nie chciał być przy pisaniu onéj, lubo byłem naznaczony z pewnych natenczas powodów. A te instrukcye pisali i podpisali ludzie wielcy, którzy teraz to potępiają, co swemi stwierdzili podpisami. Téj zaś instrukcyi dosyć tylko początek aryngi przeczytać, która nas przekona, żeśmy o sojusz posłani byli, ale ten sojusz wiecznym pokojem i prowincyami kupić kazano."

Lecz co więcéj, instrukcya ta mimo obowiązku tajemnicy, była przeciwnéj stronie dobrze znaną. „Moskwa, upewnia wojewoda, otwarcie nam powiadali, że instrukcyą waszę mamy.

Daléj zaś: „Ile pomnieć mogę, rzecze, ten był ostatni koniec legacyi: w jakiby sposób skojarzyć związek, za którego skojarzeniem spodziewalibyśmy się ze Wschodem skończyć wojnę z pożytkiem naszym.. I toć to zmusiło nas, żeśmy do traktatu przystąpili takiego, który w tym jedynie celu zawarliśmy, abyśmy wstrzymali nieprzyjaźń, którą nie z daleka widzieliśmy grożącą... Że się tedy wstrzymała nieprzyjaźń moskiewska przez kampanią przeszłą, szczęściu Rzeczypospolitéj i negocyacyi naszéj trzeba to przypisać."

Nareszcie kończy temi słowy: „Co zaś do przyszłości — jest pole, jest i zając. Jeżeliśmy pewni pokoju z Turkami, jeżeli mieć możemy sto i drugie samopałów kozackich, jako to wieść po Lwowie ogłosiła, jeżeli możemy i mamy o czém wyprowadzić wojska litewskie w pole wcześnie na przyszłą kampanią na obronę granic od Moskwy—to w imię Boże! W ostatku nie przeczymy zdaniu całéj Rzeczypospolitéj, która nie może o nas źle sądzić, kiedyśmy jéj poczciwie, stosując się do woli jéj służyli."

Jak widzimy, czuł Grzymułtowski, mimo wszystko, słuszność po swojéj stronie; bronił się więc energicznie, i nie myślał wcale ustępować z zakresu życia publicznego.

Ale zdaje się, że odgłos surowo potępiającéj go opinii braci dotknął sędziwego wojewodę do głębi duszy; duma jego szlachecka była okrutnie upokorzoną. Nie starczyło mu sił do zniesienia takich ciosów—zdrowie go opuszczało. Jeszcze 15 Maja 1687 r. zatwierdza w Warszawie król, dla leżącego „na łożu boleści" wojewody, przelanie jego starostwa kościańskiego na zięcia Gembickiego (1). Lecz wprędce już potém widocznie starzec umarł.

* *
*

(1) Metr. Koronna vol. 212. str. 129.

Wypowiadając teraz ostatecznie ogólne nasze o Krzysztofie Grzymułtowskim zdanie, musimy powtórzyć, iż należał on do wybitniejszych swego czasu postaci Rzeczypospolitéj.

Ogłoszone przez nas jednocześnie z tém, w „Źródłach dziejowych,“ dotyczące jego osoby materyały historyczne, dają nam dziś większą możność utworzenia sobie jaśniejszego też pojęcia o nim, jako o człowieku i obywatelu w ogóle.

Nie wątpimy teraz, iż była to natura niepowszednia pod każdym względem.

Umysł miał bystry, trzeźwy, swobodny, zdolny, rozumieć, szystko najpoważniejsze zadania wysokiéj polityki, najżywotniejsze kwestye skarbowości, jak i zawiłe w swych odcieniach przepisy i zasady prawodawcze. A wobec tego, patrzał jasno i nazadania praktyczne ówczesnego szlachty życia, jéj stosunków i gospodarki. Umysł wrażliwy przytém na piękno, wymowę, poezyą, dający się poczuciu tego piękna sam unosić, niemniéj wrażliwy też był na rzeczy nauki i cywilizacyi w ogóle.

Z umysłem tym dzielnym, nie dającym się obłąkać przemożnym w owe czasy duchownym powagom, łączył wojewoda żywsze uczucia zarazem. Przywiązanie jego czułe, rzewne, jest widoczném. Przyjaźń lat młodych — stała, poważna; czasem nawet uczucie przyjaźni do słabości posunięte. Współczucia obywatelskiego dla wiejskiego ludu oczekiwać niepodobna: jest za to w nim dla kmiecia niekłamane współczucie — ludzkie, chrześciańskie. Niewątpliwe też jego ciche, rozumne, przywiązanie do kościoła i religii. Narodowi zaś swemu oddał on, od lat najmłodszych, życie całe na usługi wieloliczne.

Charakter wojewody uderza najprzód śmiałością swą niesłychaną. Odwaga to obywatelska przedewszystkiém, choć mu też i dzielności wojennéj nie brak. Cecha ta wszakże była konieczném dopełnieniem tylko innych, znanych przymiotów duszy pana Krzysztofa: duszy niespokojnéj, ambitnéj, przedsiebierczéj, energicznéj a wytrwałéj.

Typ to może do skonały ówczesnego szlachcica — karmazyna, magnata.

Znać, że ten człowiek nikomu nie ustąpi, przed nikim nie pochyli czoła, że chce być sam sobie we wszystkiém sternikiem — i gotów bez względów deptać wszelkie przeszkody, stawiane czy to jego rozumnéj woli, czy tylko fantazyi. Lecz obok tego, natura to miękka, dobra, pełna cnót i zalet codziennych.

Dumny, niezwalczony wojewoda, jak p. Krzysztof, jest człowiekiem najswobodniejszego, niezamąconego a sympatycznego wielce humoru. Dowcip tryskać się zdaje ze słów jego: ów dow-

cip staroświecki, połączony z nieprzymuszoną a ujmującą obozową jakąś rubasznością. Lecz w potrzebie, przeradza się on łatwo na głębszą ironią; czasem nawet wybucha indywidualnym sarkazmem, zaledwie przez humor przysłonionym.

Stopień wykształcenia wojewody poznańskiego był dosyć znakomity: nie stał on wcale niżéj pod tym względem, od żadnego z wydatniejszych ówcześnie ludzi politycznych Rzeczypospolitéj. Posiadał wszystko co dawało łacińskie — klassyczne tamtych wieków wychowanie: znajomość autorów rzymskich i nabytą ćwiczeniami wprawę krasomówczą. Obeznany był nadto gruntownie z prawodawstwem krajowém—czego nabył tyle przez studya ile długiém doświadczeniem w publiczném życiu; co więcéj, znał się dobrze na finansowości, tak wstrętnéj zwykle dla umysłu szlacheckiego. Nie były mu też obcemi widać języki: niemiecki, francuzki i włoski. Czy podróżował jednak pan Krzysztof zamłodu, zagranicą—nie ma śladu: zdaje się, że wcale nie. A choć Wielkopolanin, znał przecie i mowę ruską ziem małopolskich i litewskich, i umiał jéj użyć w Moskwie.

Z tak więc potężnemi zasobami intelligencyi, charakteru i wykształcenia, wstępował p. Krzysztof jako senator Rzeczypospolitéj, na szeroką widownią, zbyt rozkołysanego już w owe czasy, politycznego jéj życia.

Zdawałoby się przeto, że człowieka takiego, jak się on nam oto wyżéj przedstawił, mieliśmy prawo widzieć, wśród wszelkich burz Rzeczypospolitéj, nie innym— jeno bez wahań i jednostajnie sterującym wciąż swą łódź życia, a ustępującym wiatrom i prądom jedynie, nie zaś drganiom własnéj dłoni lub serca.

Ale, jakeśmy to już w jego charakterze mogli dostrzedz, była to natura nietylko wysoce ambitna, lecz zarazem namiętna przedewszystkiém. Namiętność zaś podsycała w p. Krzysztofie grę bardziéj ujemnych strun jego duszy, porywając go nieraz daléj, niżby może sam pragnął.

Widzieliśmy też co za rozpasaną zawziętość, pojedynczych ludzi i tłumów całych, wyzywał on niejednokrotnie, w odwet przeciw sobie.

Okrywali go niemniéj zarzutami słusznemi i niesłusznemi, i poważniejsi ze współczesnych; obarczyło go nawet takowemi i ciemne podanie dziejowe.

Załuski w listach swoich nieraz ostro go dotknął; ale to mogło być skutkiem téj nieprzyjaźni, która wojewodę różniła z wujem jego Andrzejem Olszowskim. Oskarża go on głównie o zbyt wygórowaną miłość własną, o nieprzebaczanie cudzéj sławie i skłonność do poniżania wszystkiego, do czego sam nie wpływał.

Co do zarzutów robionych Grzymułtowskiemu, że brał pieniądze od dworów obcych —berlińskiego i wersalskiego,— musimy je wytłómaczyć temiż względami, jakie tłómaczą Sobieskiego i wszystkich im współczesnych. Były to polityczne subsydya, obłędnie w najlepszéj wierze przyjmowane... (1).

Winniśmy też pamiętać, że ów niechętny wojewodzie poznańskiemu Załuski, wyznaczony po jego śmierci do przejrzenia rachunków summ przywiezionych z Moskwy, w obszerném zdaniu sprawy przed królem, domierza zupełną sprawiedliwość jego zasłudze i uczciwości w zawiadowaniu groszem publicznym (1).

Wypowiadając przeto zdanie ostateczne o moralnym charakterze wojewody poznańskiego, musimy przyznać, iż nie był on wcale gorszym obywatelem kraju i człowiekiem, od większéj części współczesnych sobie, wybitniejszych na widowni politycznego życia, mężów Rzeczypospolitéj.

Nawet własny jego żywot polityczny, w całym onego przebiegu i we wszystkich ewolucyach, przedstawia pewny, że tak powiemy, wzór i przykład typowy żywota, wyższego nad poziom powszedni, męża stanu owych wieków.

Oto, w pierwszéj fazie swego politycznego zawodu, za Jana Kazimierza, młody p. Krzysztof, dzielnością swą i pracą, skarbi sobie względy Rzeczypospolitéj — zarówno króla, powag senatu i braci rycerskiéj. Zdobywa zatém bogate starostwa i poważną kasztelanią. Szlachcic sam do szpiku kości, ambitny senator republikanin, dba on przecie o wziętość u braci przedewszystkiem. Wprędce jednak zmiękł młody demagog na ponęty dworu, ochłódł wreszcie, spoważniał, w sądzie i szczerze przechylił się ku stronnictwu monarchistów, francuzkiemu.

Po wstąpieniu Jana Kazimierza, całą tedy swą duszą, całą swą namiętnością, poparł Krzysztof stronnictwo reorganizacyi i francuzkiego tegoż stronnictwa kandydata do tronu. Zwalczony i zdeptany przez swych przyjaciół niedawnych, obezwładniony politycznie, a stale nierozbrojony przeciwnik króla Michała, musiał on w téj drugiéj, krótkiéj fazie swego politycznego zawodu, usunąć się pod koniec na stronę.

Z wyniesieniem Sobieskiego wstąpił Grzymułtowski w trzecią fazę politycznego żywota—pogodną, świetną, rozumną, organicznie czynną. Zaufany przyjaciel Jana III-go i jego doradca, marsza-

(1) Listy Sobieskiego. Wyd. Helcla—wstęp. str. 7 i 8.
(2) Malinowski. Źródla t. II. str. 80.

łek królowéj, a posiadający znów wziętość u braci, staje się on tém użyteczniejszym jeszcze dla kraju w swéj działalności. Z uznaniem zasług, spadają nań i starostwa nowe; a niebawem dotychczasowy kasztelan, jako wojewoda poznański zasiada trzecie krzesło świeckiego senatu. Wyżéj już nie ma właściwie ku czemu zmierzać...

Wszystko to atoli nie jest w stanie zachwiać go teraz w ustalonych już doświadczeniem zasadach wysokiéj polityki. Przyjaciel Francyi a wróg Austryi, stronnik pokoju z Francyą, nie zaś ze wschodniém sąsiedztwem, nie dał się on unieść kapryśnym natchnieniom Maryi Kazimiry. Nie dość tego, wystąpił stanowczo odtąd przeciw dworowi i królowi. Oczywiście, znów po dawnemu, namiętnie: bodaj zwalić Sobieskiego z tronu a Jabłonowskiego wynieść, byle nie dopuścić sojuszu z cesarzem i strasznych onego następstw! Przyłączyły się tu i urazy jako pobudki osobistéj niechęci, i słabość istna dla kurfirsta. Dość, że w ostatniéj, czwartéj fazie swego politycznego zawodu, był pan Krzysztof stałym prawie przeciwnikiem Jana III-go.

Nakoniec, najzawziętszemu wrogowi miru ze wschodniém sąsiedztwem, kazano mu zawrzeć „wieczny pokój." Obciążony ztąd niesłusznie zarzutem winy, bronił się poważnie i dumnie, i nie dziw, że nie podołał zgryzocie ukrytéj.

Powtarzamy przeto raz jeszcze: nie był Grzymułtowski gorszym od innych!...

KRYTYKA.

Rys dziejów literatury polskiéj, podług notat Alexandra Zdanowicza, opracował L. S tom I. Wilno 1874. VI. 760. Tom II, podług notat Aleksandra Zdanowicza, oraz innych źródeł, opracował i do ostatnich czasów doprowadził Leonard Sowiński. Wilno 1875 roku. 501.

Dzieła, których zadaniem jest przedstawienie rozwoju piśmiennictwa w ogóle, czyli tak zwane historye literatury, oddawna cieszą się u nas może największém uznaniem. Jakakolwiek byłaby wewnętrzna wartość książki tego rodzaju, jakkolwiek surowy był by sąd krytyki o niéj; zawsze jednak ogół czytelników najwięcéj się niemi interesuje i najpobłażliwiéj je przyjmuje. Tą wyjątkową sympatyą czytającéj publiczności tłómaczyć można już to coraz nowe zjawianie się ochotników na polu piśmiennictwa, już coraz liczniejsze wydawnictwo książek, pod tytułem Rysów, Zarysów, Kursów, Dziejów i Historyi literatury, których liczba dzisiaj dochodzi do czterdziestu. Inne wszakże jest usposobienie do dzieł, o których mówimy, sumiennéj krytyki, która nietylko że niezadowolona z dotychczasowych historyi literatury, czeka na nowy, odpowiedni wymaganiom nauki utwór; lecz co więcéj, uważa nawet ukazanie się takowego, jak na dzisiaj za przedwczesne. Jeden z poważnych przedstawicieli krytyki u nas Małecki, w rozprawie swéj o Andrzeju Fryczu Modrzewskim, mówiąc o względnéj wartości dotychczasowych historyi piśmiennictwa i przyrównywając je do cegły z niedobréj gliny, która się kruszy za lada uderzeniem krytycznéj kielni, radzi pracującym na niwie piśmiennictwa ojczystego, aby zaniechali myśli tworzenia nowych całkowitych kompendyów, obejmujących dzieje umysłowego życia, a natomiast zajęli się opracowaniem pojedynczych, bądź chwil z zakresu literatury, bądź pewnych osobistości, lub wreszcie utworów piśmiennych. Dopiero po tych przygotowawczych pracach można pomyśleć o gruntowném dziele obejmującém całość naszéj umysłowości.

Cóż to stanowi ujemną stronę wszystkich podręczników traktujących historyą piśmiennictwa? Oto przedewszystkiém autorowie ich nietylko że nie wzbogacają nauki przez swe samodzielne studya, lecz nie uwzględniają często w swych kompendyach ba-

dań specyalistów, czyli tak zwanych monografii, a za to z namiętną skłonnością powtarzając myśli i zdania swych poprzedników, trawestując je na wszelkie możliwe sposoby, szerzą tém samém błędy, które nauka albo zupełnie już usunęła, albo znacznie sprostowała. Że takie fabrykacye dzieł tylko krzywdę przynoszą literaturze, nie potrzeba zdaje mi się dowodzić. Uwłaczają one najprzód majestatowi nauki, gdyż zamiast przedstawienia w jasném świetle prawdy przedmiotu, gmatwają i mącą pojęcia, utrudniając przez to, gruntownym badaczom z natury rzeczy niełatwą ich pracę; uwłaczają one dziełom sumiennych pracowników, którzy nie wahają się częstokroć kilkunastu lat poświęcić, dla należytego zbadania i wyświetlenia obranego przez siebie przedmiotu. Krzywdzą wreszcie i ogół czytelników, którzy kierując się najczęściéj w ocenianiu wartości dzieła względami czasu, spodziewają się w każdém najnowszém dziele znaleźć ostatnie rezultaty nauki.

Od roku obiega w handlu księgarskim książka, któréj tytuł wyżéj przytoczyliśmy, zalecająca się z powierzchowności nader poważnie, składają ją bowiem dwa grube tomy, których objętość wynosi razem przeszło tysiąc stronnic. Jakkolwiek dzieło to jeszcze niekompletne, autor bowiem zapowiedział tom trzeci, jednak nie wahamy się wypowiedzieć o niém słów kilku, dwa bowiem wyszłe już tomy zawierają pewną organiczną całość. Na książkę, o któréj mówimy, złożyło się dwu autorów: jeden z nich zmarły przed kilku laty Zdanowicz, miał pozostawić znaczny zbiór notat, któremi się posiłkował przy wykładzie historyi literatury; drugi znany poeta, pan Leonard Sowiński, uznał, jak sam powiada, za rzecz pożyteczną dokończyć pracy przerwanéj przez śmierć pedagoga. Już na notatkach Zdanowicza miały się znajdować skreślone własnoręcznie wyrazy uprzedzające, że na pracę jego należy się zapatrywać jako na obraz mozajkowy z cudzych okruszyn złożony; do tego zastrzeżenia p. S. dodał własne w tych słowach: „Najmniéj chodziło mi o chlubę oryginalności w téj pracy. Najotwarciéj uprzedzam szanownych krytyków i recenzentów, że brałem u poprzedników swoich wszystko, co tylko znalazłem dobrego i nauczającego. Parafrazowania cudzych zdań unikałem ile możności.“

Żałujemy mocno, że p. S. jako wydawca i zarazem autor nie wskazał nam, co właściwie w dziele przez niego wydaném jest pozostałością po zmarłym Zdanowiczu, a co własną p. S. zasługą. My, czytając jego książkę, nie mogliśmy w żaden sposób przeprowadzić linii demarkacyjnéj pomiędzy pracą dwu autorów, dla tego też w naszéj recenzyi zwracać się będziemy wyłącznie do p. S., uważając go jako rzeczywistego autora. Dzieło więc p. S. nie

jest oryginalne. Właściwie mówiąc, być oryginalnym w historyi literatury, rzecz jeśli nie niemożliwa, to nader trudna. Nowe poglądy, widoki, odkrycia dostępne w skromniejszych szczegółowych pracach monograficznych, w przedstawieniu całości przedmiotu nikną, i autor dobrze się zasłużył, jeśli poznawszy najnowsze monografie, uwzględnił różnostronne kierunki innych pisarzy; rozważył krytycznie specyalne poglądy i zdania, oddał pierwszeństwo i przewagę tym, które na to zasługują; słowem, jeśli tylko pozostając w zgodzie z wymaganiami nauki swego czasu, podał w jasnym obrazie to, co dotąd rozproszone w pojedynczych pracach istniało. Dla tego nietyle dla nas są ważne oryginalne poglądy p. S., ile to pytanie, jak spożytkował p. S. materyał do historyi literatury, przez pojedynczych autorów opracowany. I tak, pytamy się, z jakich to dzieł czerpał p. S. to „dobre i nauczające?“

Na kilkudziesięciu stronnicach, „Rysu dziejów,“ spotykamy wzmianki takie, jak: „słowa są Maciejowskiego,“ „Bartoszewicz powiada,“ „według Wójcickiego,“ „Spasowicz mówi“ i t. p., przy których znajdujemy po kilka lub kilkanaście wierszy opatrzonych znakiem cudzysłowu, zawierające cytaty ze wspomnianych autorów,—ależ książkę p. S. składają, jak mówiliśmy, dwa grube tomy; czémże to autor wypełnił taką objętość? Po rozczytaniu się w pracy p. S., przekonaliśmy się, że całe jego dzieło jest złożone z przepisanych ustępów wzmiankowanych wyżéj pisarzy, jakkolwiek czy to skutkiem zapomnienia, czy dwoistéj roboty autorów, nie wspomniano ani słowa, że kilka lub kilkanaście stronnic wzięto z tego lub owego dzieła. Że nasi pisarze historyi literatury lubią się obywać obcém zdaniem, i że znaku cudzysłowu w ortografii nie uznają, tośmy się już z tém oddawna oswoili, lecz dziwi nas, że tak powiemy, pewna metoda kompilacyi w książce p. Sowińskiego.

Spotykamy bowiem tu i owdzie, jak już wzmiankowaliśmy, całe stronnice przepisane dajmy na to z Maciejowskiego, bez żadnéj o tém wzmianki, gdy w tém, znajdujemy kilka lub kilkanaście wierszy z tego samego autora, przy których jest i cudzysłów, a nawet wspomniane i nazwisko pisarza. Po cóż więc takie rozróżnianie myśli jednego i tego samego autora? I tak: na str. 315, T. I, czytamy w nawiasie: „jak pięknie się wyraził Maciejowski“ i to w wyroku rozpoczynającym się od słów „Szczytem sławy“ i t. d., który również jest przepisany z Maciejowskiego T. I, str. 502 i nast. Na str. 329 tegoż tomu, cytuje p. S. słowa Maciejowskiego o Klonowiczu, i kończy je na następnéj stronie znakiem cudzysłowu, a potém znowu przepisuje daléj tegoż samego

autora. Albo ustęp na str. 406, p. t. „Dziejopisarstwo Polskie," jest wyjęty z Maciejowskiego, T. II, str. 683, jednak tylko w połowie stronnicy 407-éj położony jest znak cudzysłowu.

Inną znowu cechą takiego objektywnego zapożyczania się p. S. z dzieł poprzedników, jest dążność do parafrazowania, a może raczéj gmatwania oddzielnych myśli. Oto przytaczam parę przykładów. Maciejowski, T. I, str. 639, mówi tak o Grochowskim: „Dziewiczym nie był rymotwórcą Grochowski, wiersze bowiem jego te, z których najwięcéj nabył sławy, przekładami będąc, nie mogą dać świadectwa, o poetycznym talencie wieszcza; te zaś, w których się oryginalnym być zdaje, są naśladowane już to z Kochanowskiego, już z rzymskich poetów elegijnych, już nawet z wierszopisów polskich niższego rzędu." P. S. na str. 339, Tom I, tak rozpoczyna tenże sam ustęp o Grochowskim: „Niektórzy z krytyków dzisiejszych (przypominamy, że Maciejowski pisał swe piśmiennictwo dwadzieścia pięć lat temu) nazywają Grochowskiego dziewiczym rymotwórcą i największym swego czasu poetą. Wiele jest w tém przesady. Dziewiczym nie był rymotwórcą Grochowski, wiersze jego bowiem, z których najwięcéj nabył sławy, będąc przekładami, nie mogą dać świadectwa o poetycznym talencie autora; te zaś, w których oryginalnym być się zdaje, są naśladowane, już to z rzymskich poetów, już z Kochanowskiego, już nawet z wierszopisów polskich niższego rzędu." Pragnęlibyśmy się zapytać p. S., którzy to z dzisiejszych krytyków, nazywają Grochowskiego „dziewiczym" i największym poetą?

Inny przykład. Maciejowski, T. I, str. 462 o Górnickim powiada: „Chciał zetrzeć z języka dawną szorstkość, a przez to wynaleźć dla myśli pęta, ażeby ta wydobywając się na jaw, objawiała się ze wszelką na dworność oględnością, bez uchybienia w czémkolwiek grzeczności."

W tomie I, str. 458 „Rysu Dziejów" czytamy: „Umiał (Górnicki) zetrzeć z mowy polskiéj jéj dawną szorstkość, i wynalazł dla myśli karby, ażeby ta wydobywając się na jaw, objawiała się ze wszelką na dworność oględnością, bez uchybienia w czémkolwiek przyzwoitości."

Maciejowski, T. I, str. 659, pisze: „Gdy go wywiódł z błędu gospodarz, zapewniwszy, że to są Polki, a nawet pokrewne mu niewiasty, *Przydan*, rozgniewany tém, że one narodowy strój, jakoby wiekowi teraźniejszemu nieodpowiedni zarzuciwszy, wzięły się do cudzoziemskiego."

Pan Sowiński, T. I, str. 363: „Kiedy gospodarz wyprowadził go z błędu, zapewniwszy, że to są Polki, a nawet pokrewne mu

niewiasty, *Poeta* rozgniewany tém, że one zarzuciwszy strój narodowy wzięły się do cudzoziemskiego" i t. d.

W takiém kopiowaniu zdań cudzych, nie był p. S. konsekwentnym w zachowywaniu jak pojedynczych wyrazów, tak również i pewnych sposobów wyrażenia różnych autorów. Raz bowiem zastępował jedne wyrazy przez inne,. np. „krótki" 411, zamiast „kusy;" Maciejowski T. I, str. 401; „zalatuje" zamiast „zalatywa" Bartoszewicz str. 455;—to znowu zachowywał niektóre zbyt szorstkie wyrazy, a nawet i całe wyrażenia, jak np. „grubizm" tyle razy powtarzane słowo z Maciejowskiego; albo „powałęsawszy się jeszcze długo po bożym świecie" przyjęte z Bartoszewicza, str. 321; albo „wałęsał się" Mac. str. 543, lub: „Bohomolec przepisał dzieło Heidensteina zatarłszy tu i owdzie ślad swojéj *kradzieży*," z Bartosz. str. 449. Tego ostatniego wyrażenia żaden z piszących historyą literatury od Wiszniewskiego począwszy, nigdy nie powinien na stronnicach swego dzieła umieszczać.

Autor „Rysu dziejów" czerpał, jak mówiliśmy, materyał i treść do swéj książki przeważnie z istniejących już historyi literatury. W pracy p. S. nie napotykamy i śladu uwzględnienia tych licznych specyalnych monografii, jakie w ciągu ostatnich lat dwudziestu pięciu w literaturze naszéj się pojawiły. Nie mając zamiaru przerabiania całego dzieła p. S., nie możemy wyliczać tu wszystkich tych opuszczeń i braków, ograniczymy się wymienieniem najważniejszych, których pominięcie odbiło się w układzie dzieła p. Sowińskiego.

O najpierwszym naszym pomniku literackim o „Pieśni Bogarodzica" mówi p. S. za M. str. 41: „dwa są najdawniejsze teksta śpiewu Bogarodzicy, jeden z 1408 r., drugi z 1456 r." Autor „Rysu dziejów" nie zna dwóch rozprawek Alexandra Przezdzieckiego, z których jedna, umieszczona w Bibl. Warsz. z 1866 r. zesz. 3, pod tytułem: „Pieśń Bogarodzica, wraz z nótą z rękopisu Częstochowskiego z końca wieku XV," a druga drukowana w Rocznikach C. K. Towarz. Nauk Krakowskiego, T. XV, r. 1869, pod tytułem: „O dwóch odpisach pieśni Bogarodzicy i rękopiśmie historyi Polskiéj Herburta;" z tych dwóch artykułów Przezdzieckiego byłby się p. S. przekonał, że tekstów pieśni Bogarodzicy jest nie dwa, lecz cztery, a odpisów wszystkich wylicza Przezdziecki piętnaście.

Nie uwzględniając pracy Tyszyńskiego o kronice Wincentego Kadłubka, Bibl. Warsz. z 1867 r., T. II str. 194, i rozprawy Augusta Bielowskiego, pod tytułem: „Wyniki badań najnowszych o mistrzu Wincentym i jego kronice," umieszczonéj w Piśmie

zbiorowém „Na dziś“ T. I, Kraków 1872 roku, p. S. przyjmuje w swéj książce dwu autorów kroniki Mateusza i Wincentego, gdy tymczasem ten ostatni tylko, jest jedynym jéj autorem i twórcą.

Obca jest p. S. rozprawa Augusta Mosbacha „Godysław Pasek, dwóch imion dziejopisarz polsko-łaciński, „Lwów 1867 r.“ bo jeszcze uważa p. S. w swym „Rysie Dziejów“ Godysława za kontynuatora kroniki, którą rozpoczął Boguchwał z Rożyców biskup poznański. Mosbach dowiódł, że Godysław pisał sam całą tę kronikę.

Nie czytał widać p. S. sumiennéj i gruntownéj pracy, wzoru monografii prof. Przyborowskiego „Wiadomość o życiu i pismach Jana Kochanowskiego“ Poznań 1857 r., jakkolwiek o niéj wspomina w wyroku przepisanym z Bartoszewicza — ani pracy Przyłęckiego Stanisława „Żywot i pisma Jana Kochanowskiego“ pomieszczonéj w przemyskiém wydaniu dzieł Kochanowskiego przez Turowskiego,—boby najprzód był uniknął fałszywego poglądu na wieszcza czarnoleskiego, poglądu, który przejął od Maciejowskiego, a powtóre, chronologiczny porządek wydań dzieł Kochanowskiego, przejęty również z Piśmiennictwa Maciejowskiego, byłby p. S. odmienił. Nie uwzględnił nadto pięknéj rozprawy Felicyana, p. t. „Treny Jana Kochanowskiego, Bibl. Warsz. 1866 r., zesz. I i III, gdyżby poświęcił p. S. więcéj uwag naśladowcom w tym rodzaju poezyi Kochanowskiego nad ten ogólnik, który czytamy w T. I, str. 319: „Kochanowski miał wielu naśladowców pomiędzy spółczesnymi i potomnymi“ i t. d.

Pominął także monografią Estrejchera „Jan Daniel Andrzéj Janocki“ drukowaną w Rocznikach C. K. Towarz. Nauk., poczet III, Kr. 1869, gdyż nie powtarzałby za Bartoszewiczem, „że Janocki żadnéj nie miał krytyki do sądzenia trafnego, bo wynosił wszystko pod niebiosa i dobre i złe;“ p. Estrejcher wykazawszy wielkie zasługi i obywatelskie i literackie tego pierwszego naszego bibliografa, pięknie mówi: „Uwzględnić bowiem trzeba, że pisał w epoce, w któréj nie umiano pisać inaczéj, że układał dzieła zależny od wpływów, które, że były potężne, natrąca nawiasowo, mówiąc do czytelnika: „przyjmij co ci daję, wytknij błędy, a poprawię się, ale nie żądaj, bym mówił o tém, o czém mówić nie mogę, nie chcę i nie powinienem. Sapienti sat.“ (Nachricht 1847, str. 7).

Nie przypuszczamy, aby znany był p. S. artykuł tegoż Estrejchera umieszczony w piśmie zbiorowém „Kłosy i Kwiaty“ Krak. 1869, pod tyt. „O życiu Tomasza Kajetana Węgierskiego;“ wnosimy to, raz z powtarzanego za innymi autorami historyi literatury

ogólnika o wygranych przez Węgierskiego 20,000 dukatów, a powtóre, nie wspomina nic p. S. w życiorysie Węgierskiego o głośnéj w swym czasie sprawie Węgierskich z faworytem królewskim Wilczewskim, a którą-to okoliczność pierwszy Estrejcher wyświetlił.

Należało również uwzględnić w „Rysie Dziejów“ pogląd Siemieńskiego na autora Zofijówki, zawarty w rozprawie o Trembeckim. Bibl. Ossolin., Tom VIII, 1866 r. P. S. nader surowo potępia Trembeckiego, nazywając go przedajnym literatem „jego, który i przez sen nie był takowy,“ jak to pięknie o sobie powiedział, i który nie tak znowu wiele łask od króla odbierał. Według owéj łacińskiéj zasady: „audiatur et altera pars“ nie szkodziłoby uwzględnić zdania takiego krytyka jak Siemieński, który uważa Trembeckiego jako dyplomatę piszącego wierszem manifesta i noty dyplomatyczne, według ściśle obrachowanego systemu.

Z opuszczonego w „Rysie Dziejów,“ dzieła Staszica „Uwagi nad życiem Jana Zamojskiego,“ dzieła, które stworzyło rzec można literaturę tego przedmiotu, wnosimy, że p S. nie znał pięknéj książki Władysława Zawadzkiego, p. t. „Stanisław Staszic“ Lwów 1860, chociaż o niéj wspomina.

Nakoniec po pracy Dr. L. Kubali „Stanisław Orzechowski i wpływ jego na Rzeczpospolitą wobec Reformacyi,“ nie godziło się przepisywać z Piśmiennictwa Maciejowskiego tego wyimku, zaczynającego się od słów: „Policya wystawia najwybitniéj bezczelność autora,“ aż do słów: „Oczywiście te same widoki podyktowały mu Policyą co i Chimerę.“ Nie tak podobno z przewrotności charakteru, który że był burzliwy i gwałtowny przeczyć nie będziemy, ale raczéj z wyrozumowanéj i głęboko wpojonéj zasady, że katolicyzm jest wszystkiém dla kraju, a sekty wyznaniowe szkodzą państwu, wydał Orzechowski swoję Chimerę i Policyą.

Dotąd wskazywaliśmy te ujemne strony książki p. S., które powstały skutkiem nieznajomości i lekceważenia monograficznych prac lepszych naszych pisarzy. Obecnie zastanowimy się bliżéj nad źródłami pracy p. S., a któremi o ile zdołaliśmy poznać, były wyłącznie prawie historye literatury takie, jak „Piśmiennictwo Polskie“ Maciejowskiego, „Historya Literatury Polskiéj“ Bartoszewicza, „Literatura Polska“ (Польская Литература) Spasowicza, „Historya Literatury Polskiéj w zarysach“ Wójcickiego; „Kurs Literatury Polskiéj“ Nehringa, „Historya Literatury Polskiéj“ Mecherzyńskiego, a wreszcie p. S. nie gardził nawet takiemi kompilacyami, jak „Literatura Polska“ Rycharskiego, lub „Historya Literatury Polskiéj“ Rogalskiego, którą w ustępie „Rysu Dziejów“

surowo potępia. Należałoby nam szczegółowo rozpatrzyć, o ile te wszystkie wyliczone przez nas dzieła za źródłowe dzisiaj uważane być mogą, i wykazać, co przejął p. S z tych różnych dzieł do swojéj książki, gdyż tym tylko sposobem możemy sobie utworzyć jasne pojęcie o wartości rozbieranego przez nas dzieła. Ponieważ jednak wiele wzmiankowanych dzieł, uznanych za źródłowe przez p. S., pozbawione są cech samodzielności autora, a nadto ponieważ p. S. z wielu historyi literatur nader małe poczynił wypisy, dla tego pomijając prace charakteru czysto kompilacyjnego, ograniczymy się w naszych uwagach, do krótkiéj oceny tych tylko źródeł p. S., którym on albo wiele bardzo winien, albo jeśli takowe źródła p. S. posiadają pewne zalety oryginalności, bądź w dodatniém, bądź w ujemném rozumieniu. A za takie właśnie uznajemy prace Maciejowskiego, Bartoszewicza i Spasowicza.

Trwałą zasługą autora Piśmiennictwa pozostanie najprzód to, że on pierwszy przed dwudziestu pięciu laty podał bardzo dokładne wiadomości o pisarzach, i przedstawił nader szczegółowy opis dzieł, które sam widział w rozmaitych bibliotekach, a o których albo nie wiedzieli, albo mylne podali wiadomości poprzednicy Maciejowskiego na tém polu, jak Bentkowski i Wiszniewski. A jakkolwiek autorowie specyalnych monografii, wyszłych już po ukazaniu się Piśmiennictwa Maciejowskiego, uzupełniają nieraz, lub wcale odmiennie przedstawiają niektóre szczegóły biograficzne i bibliograficzne, jednakże okoliczność ta, nie może zmniejszyć zasługi Maciejowskiego, jeśli uwzględnimy czas, w którym on dzieło swe wydał, i obszar przedmiotu, który jemu jednemu przedstawić wypadało. Drugą zaletą Piśmiennictwa jest naukowe opracowanie jednego działu historyi literatu y, na który bardzo często nawet piszący po Maciejowskim nie zwracali uwagi, a mianowicie literatury ludowéj, Co się zaś tycze szczegółowych poglądów tak na dzieła pisarzów, jak i na całe umiejętności, to jakkolwiek nieraz trafne i nauczające, dziś jednak mają wartość względną, gdyż nowe specyalne studya, albo do odmiennych doprowadziły wniosków, albo w wielu razach sąd Maciejowskiego zupełnie obaliły. Cały np. traktat o języku, zamieszczony w tomie II-gim, żadnéj dziś krytyki nie wytrzyma. Również owa metoda oceniania pisarzów przez porównanie swojskich z zagranicznymi, lub swojskich jednych z drugimi, jest zdaniem naszém nader wątłą, i systematycznie naukowo przeprowadzoną być nie może. Autor Piśmiennictwa, jako nie estetyk z powołania, niezawsze trafnie i sprawiedliwie oceniał estetyczne utwory.

Jakież to strony, z dzieła Maciejowskiego, przejął p. Sowiński do swéj książki? Wiadomości bibliograficzne nietylko w ustępach przepisanych z Maciejowskiego, ale i w całém dziele, p. S. nader lekceważy. Raz bowiem cytuje tytuł dzieła w dwu językach, lacińskim i polskim, jak Ostroroga traktat, str. 75, to znowu w jednym, i to w tłómaczeniu, jak np. „O ortografii Parkosza‚ str. 56, lub „o Wychowaniu Królewicza“ str. 102. Raz p. S. przytacza tytuł ramoty księdza Dębołęckiego „Wywód jedynowładnego państwa świata,“ i t. p., aż w dziesięciu wierszach str. 475, to znowu o poważnéj pracy Okolskiego, o jego herbarzu, mówi p. S. tyle: „autor herbarza polskiego w łacińskim napisanego języku.“ Wydań wiersza Baki cytuje p. S. cztery, a np. „Pamiętników Janczara“ ani jednéj daty wydania nie przytoczył. Poprzekręcane napotykamy nazwiska autorów i dzieł, jak np. rossyjski autor „Pypin“ nazwany jest przez p. S. „Utin“ str. 3, tom II, albo „Jakób Jasiński, a podobno nazwisko jego było Jasieński“ str. 146, albo tytuł wiersza Trembeckiego „Joannes Sarcasmus“ p. S. pisze „Joannes Sarcanus“ str. 101, tom II. Wszystko to nie przeczymy, że są błędy, których się mógł dopuścić i wspólnik pracy p. S. drukarz, ale czemuż one nie sprawdzone; ściąga więc przez to słusznie na siebie podejrzenie lekceważenia swego dzieła. Podaje jeszcze np. p. S. taką wiadomość, że życiorys Kołłątaja napisał Wojciech Grochowski w Tygodniku Illustrowanym z 1861 r., tom IV; ale ś. p. Grochowski napisał do tego Tygodnika kilkanaście jeśli nie kilkadziesiąt innych życiorysów, o których pan Sowiński nie wspomniał ani przy Długoszu, ani przy Kallimachu i t. p. Albo cytuje p. S. wiadomość np. taką: na str. 557, tom I, że Władysław Nehring wydał po łacinie rozprawę o Heidensteinie, a nie zamieszcza, że ta rozprawa wyszła po polsku 1862 r. Również wielkie zaniedbanie napotykamy w biografiach pisarzów, jedni bowiem z autorów posiadają w swych życiorysach po kilka dat, np. Czarnocki, Chromiński, Bentkowski, że nie wspomnę o Naruszewiczu i Czackim, o innych zaś nie podaje p. S. kiedy się urodzili, lub umarli jak np. Wężyk, Goślicki i inni. Słowem, tego co za zaletę uważaliśmy u Maciejowskiego, ową biograficzną ścisłość, tego w dziele p. S. albo wcale nie uwzględniono, albo bardzo pobieżnie przedstawiono. Literaturę ludową, chociaż przejął p. S. od M., lecz traktuje nader ogólnikowo. Oddział ten w Piśmiennictwie M. zajmuje półtorasta stronnic, p. Sowiński pomieścił go na czterech kartkach. Za to zdania Maciejowskiego o pisarzach i sądy tegoż autora o dziełach przepisał p. S. często słowo w słowo, a czasami i parafrazując. Na dowód zacytujemy tu kilkanaście większych ustę-

pów. I tak Jan Ostrorog str. 75 M. T. II str. 794, 775, 779, 772. Protestantyzm str. 135 od słów „Główną zasadę“ M. T. I 37—74. Szkoła Lubrańskiego str. 149 Mac. Tom II 81. Mac. I 81. Szkoły dyzunickie str. 153. Mac. II 66—67. Str. 154 „Jak w pewnym celu“ M. II 69. Str. 155 „Pojmując dobrze“ M. II 204 i następ. Szkoły dyssydenckie, str. 157 M. II 67. Szkoły niższe str. 159, M. II 72—75. Poezya religijna, str 195 M. II 365—368. Skarga str. 217 M. I 669. Birkowski str. 233 M. I str. 763—796. Dzieje kościelne; ustęp ten wyjęty już to z Maciejowskiego, już z Bartoszewicza M. II 568—592 M. I 693 M. III 776 M. III 400 M. I 169. Marcin Krowicki str. 261 M. III str. 230. Piotr z Goniądza M. III 265. Jarosz Moskorzewski M. I 708—716. Smotrycki str. 272 M. T. III, 455, 464. Pociej str. 273 M. 420. Rej 278—288 M. T I 413—449, str. 298, M. II 354. Kochanowski 422 str. 320 M. T. I str. 511—512. Szarzyński str. 321 M. T. I str. 514—521. Klonowicz str. 324 M. T. I str. 529—553. Grochowski str. 334—337 M. I. 634, 637, 644, str. 339, M. I 639, 645, str. 342 M. I 641,642, 644. Zbylitowski str. 348, M. T. I str. 648, str. 349 M. I 654, 651, 650, str. 352, M. I 653. S. 353, M. 660, S. 356, M. T. I 721. S. 359, M. 724—736. S. 368, M. 749, 753. S. 384 M. 320 T. II. S. 385 M. II 459, 853 i 4. S. 386, M. 487, 488, 490. S. 387 M. III 678 i nast. Twardowski str. 389—392 M. 634—638, str. 394, M. II 161. S. 395 M. II 172—179, i 166. Smolik str. 406 M. D, str. 285—291. Dziejopisarstwo polskie str. 407 Mac. str. 683 i nast. Bielski str. 409 M. I str. 392, 395; str. 411, M. 401—405, str. 412 M. 401; S. 436 M. T. I str. 566, 568.—S. 437 M. 570, 57. str. 441 M. 583.—S. 452 M. I 457 i 458; S. 457 M. I 459 i nast.; S. 471 M. III 554 i nast.; S. 473 M. III 761; S. 478 M. III 407; S 484 M. II 773 i 776; S. 485 M, D. 246; S. 486—487 M. 247—249; S. 488 M. 822; S. 568 M. II 797, 779 i 780.

Już wyżéj wspomnieliśmy jak należy oględnie przyjmować dzisiaj literackie sądy i opinie Maciejowskiego. Inaczéj zaś sądzi p. S., gdyż nawet i błędy M. wniósł do swego dzieła. Powtarzając za M. T. I str. 371 wiadomość o życiu i pismach pierwszego naszego kronikarza piszącego po polsku Stanisława Chwalczewskiego w trzynastu wierszach T. I str. 60 p. S. popełnia następujące błędy: że Chwalczewski około 1505 r. napisał kronikę polską, że o autorze wiemy tylko tyle, że był starostą kobryńskim i dziedzicem Raszkowa nad Dniestrem. W roku 1864 wydał prof. Przyborowski rozprawkę umieszczoną w spisie wykładów Szkoły Głównéj warszawskiéj p. t. „Życie domowe Chwalczewskiego,“ w któréj dowiódł, że Chwalczewski nie mógł w tym czasie swéj kroniki pisać, gdyż wówczas był bardzo młody, że zatém utwór ten Chwalczewskiego należy odnieść do pierwszéj połowy XVI w., co do czasu

napisania; dalej wykazał uczony professor stosunki rodzinne Chwalczewskiego, jego stan majątkowy, usługi królowi oddane, a nakoniec z téj pracy przekonywamy się, że Raszków Chwalczewskiego nie leży nad Dniestrem, jak to wszyscy autorowie powtarzają, ale w województwie i powiecie Kaliskim.

Maciejowski T. II str. 70 napisał: „W lat kilka po swém do Polski przybyciu złapali (Jezuici) w swoje sidła Piotra Skargę, chociaż go o tém przestrzegał prałat katolicki, późniéj biskup warmiński Kromer, temi słowy: „Przedziwni z tych Jezuitów są mamiciele ludzi osobliwie pobożnych i uczonych; cóż będzie jeżeli i ciebie jeszcze ułowią.“ P. S. przepisał ten cały ustęp T. I str. 154, a na str. 601 tegoż, tomu czytamy takie zdanie pana Sowińskiego: „Już Kromer biskup warmiński pisząc 1569 r. do St. Grzebskiego ubolewa, że Jezuici najlepsze głowy wciągają do swego zgromadzenia, zostawiając wióry na świecie. „Dziwni są mamiciele, powiada, ci Jezuici, szczególniéj czyhają na mężów światłych i pobożnych; strzeż się aby i ciebie nie usidlili.“ Pomijamy to dwukrotne powtórzenie jednéj i téj saméj myśli, ale pytamy się p. S., do kogoż właściwie pisał Kromer? i która redakcya listu jest prawdziwsza? Gdyby p. S zajrzał był według podanego przez Maciejowskiego odsyłacza T. II str. 76 do dzieła Sołtykowicza „O stanie akademii krakowskiéj, Kraków 1810 r.,“ byłby się przekonał, że list ten pisał Kromer tylko do St. Grzebskiego 1569 r. w tych słowach: „Upominałem Skargę poufale po raz drugi, przedziwni bowiem z tych Jezuitów są mamiciele ludzi osobliwie pobożnych i uczonych; cóż będzie jeżeli i ciebie jeszcze ułowią.“ Z przytoczonego miejsca widać, że sam Maciejowski pomylił się, przywodząc w wyżéj wzmiankowaném miejscu ten list Kromera pod adresem Skargi, tém więcéj, że się sam powołuje na dzieło Sołtykowicza a nie na żadne inne, z którego mógł zaczerpnąć zdanie Kromera.

Ale największym, powiem kulminacyjnym błędem, który p. S. zawdzięczać winien M. jest powtórzenie zdania autora Piśmiennictwa, o największym z poetów XVI wieku Janie Kochanowskim; na str. 319 T. I pisze raz p. S.: „Jan był raczéj znakomitym pisarzem niż wielkim poetą,“ a na str. 333 T. I, gdzie p. S. mówi o stosunku jaki zachodzi pomiędzy Janem Kochanowskim i Klonowiczem, czytamy: „Pierwszy celował wdziękiem starzejącym się podobnie jak wdzięki oblicza; drugi jaśnieje myślą wielką i prawdą, niestarzejącą się nigdy;“ zdanie to jest parafrazą téj myśli Maciejowskiego: „Kto nad swój wiek wystrzeliwszy myślą, nie trafił nią współczesnym do smaku, ten nie żywszy u obecności, będzie żył u potomnych w wieku myśli, a kto wdziękami zyskał sobie hołdy,

utraci je zestarzawszy się, jak piękna twarz, którą pokryły zmarszczki" Piśmien. T. I str. 55.

Już zaraz po wyjściu z druku Piśmiennictwa Maciejowskiego ujęli się ówcześni krytycy za sławą czarnoleskiego wieszcza i ganili ostro ten niefortunny sąd, a jeden z wówczas żyjących poetów Koźmian napisał z tego powodu satyrę czy też bajkę, w której dwa wiersze:

„Pedanci tworom wieszczów czyniący wyrzuty,
Pomnijcie, że sąd szewca nie sięga nad buty!"

były skierowane wprost ku Maciejowskiemu. Któż dziś się ujmie za wielkim poetą, za powtórzenie takiego opacznego sądu, dziś, gdy już tylu głębokich znawców wykazało nam piękności i zalety Jana z Czarnolasu?

Historya literatury Bartoszewicza przyjęta tak surowo, jakkolwiek bardzo sprawiedliwie przez krytykę, w osobie Łukaszewicza, Balińskiego, Tyszyńskiego, Krupińskiego i Dutkiewicza, dziś znajduje niekiedy i pobłażliwych sędziów nawet pomiędzy tymi, których zdanie w piśmiennictwie nie jest bez znaczenia jak Kazimierz Kaszewski i Grochowski. Pisarze ci, jakkolwiek przyznają słuszność krytykom dzieła Bartoszewicza, podnoszą jednak wartość jego książki dla pewnych istotnie dobrych choć bardzo nielicznych stron—których krytycy nie uwzględnili należycie. Co do nas, to jakkolwiek również zachwycamy się niektóremi ustępami historyi literatury Bartoszewicza, jednakże równoważąc zalety i wady dzieła nie wahamy się twierdzić, że jeżeli Historya literatury B. nigdy ozdobą naszego piśmiennictwa nie była, i tylko ujmę sławie autora przynosiła, to może lepiejby było dla literatury, gdyby się wspomniana książka w druku nie była ukazała. Bartoszewicz był u nas zawielką powagą literacką, aby jego sądy i opinie częstokroć błędne i fałszywe, nieraz krzywdzące, a zawsze prawie lekkomyśne, aby powiadamy te zdania, w jego Historyi literatury zawarte, nie znalazły odgłosu w umysłach czytelników, a zdania sumiennych krytyków, których nawet piszący historyę literatury nie raczą czytać — przebrzmiały widać bezowocnie.

Pan Sowiński przepisując z Bartoszewicza myśli niekiedy prawdziwe, przyjął także i zdania błędne, nieuzasadnione i uwłaczające osobistościom literackim dobrze zasłużonym. Jedne z tych błędów wniósł p. S. do swéj książki bezwiednie, bo nie odczytał, jak mówimy tych wszystkich sprostowań i poprawek, jakie po-

czynili wspomniani przezemnie krytycy; inne znowu z takich zdań B. przypisywał już nie wiemy nawet dla czego? chyba tylko dla tego, żeby uwiecznić te paradoksa i żółciowe sądy B., z któremi się p. S. jak sam wyznaje nie zgadza, a które naszém zdaniem z oryginalnego dzieła B. wymazywać należało, jak zdania o Czackim, Konarskim, Śniadeckim i inne.

Do powtórzonych błędów za B. w książce p. S. zaliczam z pomiędzy wielu, następujące: Str. 132 cały ten ustęp, w którym p. S. mówi słowami B., że w XVI wieku literatura polska dobrze przeważa łacińską. Błąd ten sprostował już Łukaszewicz Bib. Wars. z r. 1861, mówiąc że na 10 książek łacińskich, ledwie przypada jedna drukowana polska. Dziś gdy posiadamy nader cenny katalog bibliograficzny z XVI wieku ułożony przez Estrejchera p. t. „Bibliografia Polska XV—XVI wieku, zestawienie chronologiczne“ i t. d. Kraków 1875 r., możemy z pewnością twierdzić, że około pierwszéj połowy XVI wieku stosunek drukowanych książek polskich do łacińskich ma się jak 1 do 30.

Na str. 153 powtarza p. S. za B., że uniwersytet królewiecki miał kierunek polski. Znowu zacytuję p. S. Łukaszewicza, który w swéj krytyce przytoczył nazwiska wszystkich professorów uniwersytetu królewieckiego z téj epoki, a ze składu tego można się przekonać że oprócz dwu zlutrzonych Litwinów byli sami Niemcy. Na str. 199 błędnie podał p. S. wiadomość o genealogii domu Rybińskich. Gdyby p. S. zajrzał był do książki Kuliczkowskiego „Zarys dziejów literatury polskiéj,“ str. 98 i 99, byłby się przekonał, że dwaj Rybińscy, jeden poeta autor „Gęsli różnorymnych“—Jan Rybiński, a drugi tłómacz „Psalmów Dawida,“ Maciéj Rybiński, byli braćmi rodzonymi, synami Jana, który nic po polsku nie pisał.

Należało również p. S. zmienić cały ustęp o Marcinie Muriniuszu, str. 330, bo ten autor nie pisał oryginalnéj kroniki, lecz ją tylko tłómaczył z niemieckiego, o czém mógł się p. S. przekonać zajrzawszy do Maciejowskiego T. III str. 293. Odpowiedzialność więc tłómacza za zbieranie baśni i plotek w kronice o Prussiech spada takim sposobem na jéj autora.

Niepotrzebnie p. S. żałuje z Bartoszewiczem na str. 533, że nie doszły do nas wiersze polskie samego Krzyckiego. O wartości literackiéj tych wierszy mówi Łukaszewicz na str. 414, „że w sprośności i rozwiązłości przechodzą one wszelkie zagraniczne na cześć Wenery vulgi-vagae pisane wiersze....“ wreszcie ten zbiór wierszy Krzyckiego tak jest pospolitym, że go się w bibliotekach daleko częściej napotyka, niż druki polskie przed 1550 rokiem.

Zdanie takie jak o Józefie Aleksandrze Jabłonowskim str. 702: „Opętany pychą cierpiał prawdziwy zawrót głowy,“ albo str. 684 „Krzysztof Niemierzyc z Czernichowa, aryanin, awanturnik i zdrajca kraju,“ i błędne, i nie są odpowiednie w poważném dziele.

Na str. 722 o Stanisławie Solskim pisze p. S. z B. że zwyczajem wieku swojego pisał o geometryi rymami. Sumienniejsi badacze nic o tych rymach Solskiego nie wiedzą; za to mała książka Łukaszewicza Lesława „Rys dziejów piśmiennictwa polskiego, Poznań 1864 r.,“ mieści w sobie tytuły dwóch obszernych dzieł tego matematyka XVII wieku: Geometra Polski i t. d. księgi III w Krakowie 1683, 4 i 6 r., i Architekt Polski, w Krakowie 1690 r.

Mylnie powtarza p. S. za B. o Poczobucie, jakoby najgłówniejszą zasługą jego było dobre urządzenie akademii wileńskiéj już po upadku Rzeczypospolitéj. Poczobut owszem przeszkadzał jak mógł urządzeniu téj głównéj szkoły—zasługa ta należy się komissyi edukacyjnéj, Łukaszewicz str. 425.

Niefortunném również jest porównanie Tom. II str. 295 Kołłątaja z Sieyès'em, które p. S. zawdzięcza także Hist. lit. Bartoszewicza.

Nie należało w T. II str. 376 powtarzać błędu B., że Euler jeden z najznakomitszych matematyków niemieckich przyznał naszemu Michałowi Hubemu wynalezienie rachunku różniczkowego. Folkierski autor dzieła „Zasady rachunku różniczkowego i całkowego“ w T. I str. XXIX mówi: „Rachunek różniczkowy był wynaleziony jednocześnie przy końcu XVII wieku przez Newtona 1642—1727 i Lubienieckiego (Leibnitza) 1676—1717, a zatém ni mniéj, ni więcéj jak na lat sto przed Hubem, który umarł w 1807.

Ograniczymy się przytoczeniem tych kilku przykładów nie dla tego, abyśmy ich więcéj nie znajdowali w dziele p. S., lecz że nie chcemy powtarzać wszystkich tych sprostowań, które poczynili krytycy Historyi literatury Bartoszewicza; dla tego też radzimy wszystkim, którzy pragną korzystać z dzieła p. S., aby wprzód przejrzeli cenne recenzye Łukaszewicza, Balińskiego, i Tyszyńkiego umieszczone w Bibl. Warsz. za rok 1861—1862, a których ponieważ p. S. nie uwzględnił, za wadę mu tylko poczytać możemy. My ze swéj strony zacytujemy ważniejsze ustępy z Historyi lit. Bartoszewicza. S. 145, B. 159—160, 154—157. S. 150, B. 152, 148—151. S. 165, B. 164 i 165. S. 186, B. 169, 170—S. 189, B. 171 i 172—S. 191, B. 143—146, S. 195, B. 198—200—S. 199, B. 200—S. 200, B. 198,—S. 203, B. 199—S. 207, B. 173—176. S. 215, B. 307. S. 217, B. 308 i 309. S. 224, B 235. S. 245, B. 195, 196. S. 248, B. 196 i 197. S. 260 B. 179. S. 266, B. 180, S. 267, B. 178—181. S. 275, B. 191—195. S. 294,

B. 211—212 i nast. S. 360 B. 246—249, S. 362 B. 251, S. 366 B. 247 i 256; i nast. S. 393 B. 268, S. 428 B 321, S. 443, B. 329, S. 468 B. 330, S. 469 B. 330, S. 475 B. 380, 381; S. 478 B. 334; S. 481 B. 540; S. 510 B. 354, 355 S. 533 B. 282 i następ. S. 535 B. 286; S. 536 B. 287 S. 539 B. 288—292; S. 540 B 294 i 5; S. 546 B. 296; S. 543 B. 369; S. 544, B. 367, 301. S. 545, B. 302, 303 i 344; S. 546 B. 345; S. 548 B. 346 i 347; S. 552 B. 347; S. 554 B. 348; S. 555 B. 350; S. 556 B. 351; S. 558 B. 385; S. 559 B. 353; S. 616 B. 371; S. 617; B. 370; S. 618 B. 372; S. 626 B. 373; S. 628 B. 372; S. 658 B. 364 i 5; S. 659 B. 366. S. 685 B. 375 i 6; S. 694 B. 378; S. 702; B. 406 i 407; S. 730 B. 386, S. 744 B. 396; S. 748; B. 399.

W tomie drugim: S. 144; B. 441; S. 165; B. 429 i 430; S. 169; B. 430 i 429; S. 182 B. 445; S. 198 B. 459; S. 200 B. 446; S. 201 B. 447, S. 202 B. 448 i 449; S. 205 B. 448 i 449; S. 215 B. 454; S. 223 B. 469; S. 224 B. 470; S. 226 B. 470; S. 227 B. 471 i 472; S. 228 B. 472 S. 265 B. 449; S. 266 B. 450 i 460; S. 267 B. 465; S. 273 B. 460; S 275 B. 460 i 461; S. 276 B. 461 i 466; S. 279 B. 467; S. 290 B. 455. S. 292 B. 455; S. 293 B. 456; S. 342 B. 247; S. 349 B. 485 i 486; S. 352; B. 489, 488; S. 354 B. 489 i t. d.

„Literatura polska“ Spasowicza stanowiąca dopełnienie dzieła p. t. „Rys literatur słowiańskich“ wydanego przez Pypina i Spasowicza, Petersburg 1865 r., jest utworem jak wszystkie prace tego pisarza bardzo poważnym, i względnie do celu jaki sobie autor założył, to jest obznajmienia rossyjskiéj publiczności z naszém piśmiennictwem—dość wyczerpującym. P. Spasowicz jako pisarz, posiada szczególny dar wypowiadania głębokich myśli kilkoma słowami, jak nienmiéj umie on odkrywać nowe strony i widoki w przedmiotach powszechnie znanych i omówionych. Jego charakterystyki całych epok w literaturze, jego sądy o naszych luminarzach literatury, są pełne trafnych, samodzielnych spostrzerzeń; jego uwagi są tak naukowo-sprawiedliwe, że nic dziwnego, że dzieło p. Spasowicza odznaczone zostało na konkursie w Petersburgu—nagrodą. W uznaniu zapewne tych wszystkich załet pracy p. Spasowicza—nie wahał się jeden ze slynnych naszych literatów, na prelekcyach swych, mianych o literaturze polskiéj 19 wieku, znaczną część pracy Spasowicza przetłómaczyć, a pełne audytoryum z dziwnym entuzyazmem przysłuchiwało się lekcyom szanownego prelegenta. Jednakże już rossyjski krytyk p. Ławrowski w recenzyi swéj umieszczonéj p. t. „Sprawozdanie z dziewiątego przyznania nagród hr. Uwarowa 25 Września 1866 r.“ (1)

(1) Отчетъ о девятомъ присужденіи наградъ, графа Уварова 25 Сентября 1866 г.

zarzucał panu Spasowiczowi pewne opuszczenia, które nie przeczymy z punktu widzenia polskiéj krytyki, możeby zwiększone zostały, chociaż, powtarzamy, p. Spasowicz pisał dla rossyjskiéj publiczności, którą może nie jeden szczegół nie interesuje w takim samym stopniu jak naszych czytelników.

Że pan Sowiński przetłómaczywszy część pracy p. S. wcielił ją do swego dzieła, to mu za zasługę poczytujemy, jakkolwiek znaczna część utworu pana Spasowicza była już drukowana pod tytyłem „Kurs publiczny literatury polskiéj w XIX w." przez p. Lewestama.

Miejsca z dzieła Spasowicza, które spotykamy w książce p. Sowińskiego nieopatrzone znakiem cudzysłowu i bez nadmienienia autora, są następujące: Tom I Sow. str. 128—131 cf. Spas 372—375; cały ten pogląd jest przeplatany bądź zdaniami Bartoszewicza, bądź Spasowicza. Sow. 219. Sp. 398; Sow. 223 Sp. 399; Sow. 307 Sp. 383; Sow. 369 Sp. 384; Sow. 332 Sp. 394, 395; Sow. 368 Sp. 389; Sow. 369 Sp. 390; Sow. 371 Sp. 391; Sow. 637 Sp. 413—417. W tomie drugim prócz zdań znajdujących się w artykule p. t. Ogólne znamiona i t. d. str. 2—8, które są przejęte ze Sp. str. 425—430; Sow. 28 Sp. 437; Sow. 31 Sp. 438; Sow. 33 i 34 Sp. 439, 440; Sow. 57 Sp. 442; Sow. 69 Sp. 444; Sow. 70 Sp. 444; Sow. 71 Sp. 443, Sow. 72 Sp. 443; Sow. 73 Sp. 446; Sow. 88 Sp. 450; Sow. 91 Sp. 443; Sow. 98 Sp. 434 i t. d.

Tu się nam nastręcza jedna uwaga; na str. 100 pan Sowiński pisze: „Spasowicz widzi w Trembeckim pierwszego co do czasu panslawistę" i na dowód tego przytacza następujący czterowiersz: „Z tego się co wy szczepu Rossyanin rodzi" i t. d.

Nam się zdaje, że p. S. źle zrozumiał pana Spasowicza, który na str. 424 mówi tak:

„Bezwzględny kosmopolita, któremu obca była miłość ojczyzny, Trembecki chwali patryotycznemi wierszami kowala, który ofiarował kilka wozów dla wojska Rzeczypospolitéj, ale gdy grom uderzył i na sejmie w Grodnie po słynnéj owéj sessyi nieméj, podpisanym został drugi rozbiór Polski, Trembecki znalazł w sobie tyle śmiałości i odwagi, że pocieszał powracających z Grodna posłów sejmu i chwalił ich za troskę około Rzeczypospolitéj. Żeby czémkolwiek uniewinnić swą zdradę, Trembecki wynalazł całą teoryą panslawistów i na świeżéj mogile ojczyzny on, kosmopolita, śpiewa o braterskiém pojednaniu pokrewnych plemion." (1)

---

(1) Совершенный космополитъ, чуждый всякаго патріотизма, Трембецкій восхваляетъ одного патріотическими стихами кузнеца, который пожертвовалъ нѣсколько

Otoż sądzimy, że p. S. mylnie pojął myśl p. Spasowicza wyrażoną w przytoczonym przez nas ustępie. Nie mówi tu p. Sp. ani o pierwszeństwie w chronologicznym porządku—ani nie przyznaje Trembeckiemu tego kierunku jakiego dopatruje p. Sowiński. Możnaby wprawdzie i słowom p. Sp. uczynić zarzut zbyt ogólnéj myśli, bo jeśli i Trembecki śpiewał o pojednaniu dwu plemion, to jeszcze nie wypada ztąd, aby znał się z teoryą panslawistów, czego zdaje się jak powiadamy nie można dopatrywać w słowach pana Spasowicza, a p. Sowiński jéj nadał wcale odrębne znaczenie. Zdaje nam się, że potrafimy objaśnić sobie tę pomyłkę p. Sowińskiego. Spasowicz mówiąc o Naruszewiczu powiada tak: „gdyby można użyć porównania przyjętego z innego społeczeństwa, i przytém z obecnych czasów, to Naruszewicza należałoby uważać za pierwszego przedstawiciela tego kierunku, który w Rossyi nosi nazwę słowianofilstwa.“ Str. 445. Otoż przypuszczamy, że ten ustęp nasunął p. Sow. utworzenie tego ogólnikowego zdania o Trembeckim.

Oprócz tych trzech głównych źródeł, czerpał jeszcze p. S., jakeśmy to wzmiankowali i z innych historyi literatury. Najwięcéj mu dostarczyła materyału Historya literatury Wójcickiego, z któréj przeniósł do swéj książki najprzód wiele wyjątków z rozmaitych pisarzy, a również mnóstwo cytat i zdań autorów, w które tak obfituje dzieło p. Wójcickiego. Zdaje się nam, że chociaż w książce p. S. napotykamy tu i owdzie cytaty pisarzów innych, nie historyków literatury, to jednak ich wszystkich autor „Rysu dziejów“ nie czytał, lecz brał z drugiéj ręki. Tak np. pogląd Libelta na tłomaczenia str. 395 przepisanym jest z Maciejowskiego T. II, str. 172 i następne zdanie Tańskiéj o Naruszewiczu str. 68 T. II, przejęte z Wójcickiego, zdanie Helcla o Bandtkem T. II, str. 218, z tegoż Wójcickiego T. str. 433.

Nie cytujemy wszystkich wyjątków przejętych przez p. S. z innych literatur lękając się znużyć czytelnika, a wreszcie rozszerzyłoby to zakres naszéj pracy, gdybyśmy przytaczali wszystkie zda-

---

походныхъ фургоновъ для войскъ Рѣчипосполитой; но когда грянулъ громъ и на сеймѣ въ Гроднѣ, послѣ знаменательнаго нѣмаго засѣданія, подписанъ былъ второй раздѣлъ Польши, у Трембецкаго достало смѣлости и духу утѣшать возвращавшихся изъ Гродна сеймовыхъ пословъ, и хвалить ихъ за радѣніе о Рѣчипосполитой. Чтобы чѣмъ нибудь оправдать свою измѣну, Трембецкій изобрѣлъ цѣлую панславистическую теорію, и на свѣжей могилѣ отечества, онъ космополитъ, поетъ о братевомъ единеніи однокровныхъ племенъ: еслибы можно было употребить сравненіе заимствованное изъ другаго общества, то Нарушевича слѣдовалобы назвать первымъ представителемъ того направленія, которое носитъ въ Россіи названіе славянофильства.“

nia wyjęte z rozmaitych literatur. Czasami bowiem jedna stronnica jest skleconą z pięciu lub sześciu zdań różnych autorów jak np. T. I str. 298, Stanisław Staszic, składa się z Rycharskiego str. 72 Wójcickiego 414, Nehringa 91, znowu Rychars., znowu Wójcickiego i wreszcie Nehringa 92. To znowu jeden ustęp dość obszerny jest przepisany z jakiego autora, a w nim jedno zdanie tylko przejęte z innego znowu pisarza np. T. II str. 231 Biografia Święckiego jest słowo w słowo przejęta z Rogalskiego literatury T. II, str. 261 a jedno tylko zdanie: „Byłto syn końca XVII wieku, ale nieskalany jego wadami“ wstawione z Wójcickiego T. III, str. 447; z tego mianowicie ustępu gdzie Wójcicki mówi o dziele Święckiego „Opis starożytnéj Polski.“ Nakoniec inny ustęp powstawał z połączenia dwóch urywków różnych autorów z opuszczeniem wszakże jednego zdania np. T. II str. 347: „Za wadę mają Kopczyńskiemu“ i t. d. składa się ze słów Bartosz. str. 485 i Rogalskiego T. II 288: „Zanim wydał gramatykę polską Kopczyński, pierwéj napisał polsko-łacińską, to może właśnie téj okoliczności przyznać należy trwałość pracy,“ z którego to ustępu opuszczono półtora wiersza „za nim wydał“ do „to może.“

I cóż-to za korzyść z takiego układu książki, zapyta czytelnik? I myśmy sobie raz podobne pytanie stawili, rozczytując się w „Rysie dziejów“ p. Sowińskiego. Rzeczywiście trudno sobie wystawić, jak mógł autor. zaparłszy się swéj samodzielności, tak nieraz niekrytycznie przepisywać to z tego, to z owego dzieła. O ile zdołaliśmy poznać to p. S. chodziło przedewszystkiem o zestawienie jak największéj massy poglądów i zdań, odnoszących się do pewnéj materyi lub przedmiotu, jakkolwiek nieraz te zdania były z sobą sprzeczne. Rezultatem takiego mechanicznego zestawiania różnorodnych poglądów była najprzód rożnobarwność stylu, powtóre powtarzanie jednych i tych samych myśli, a co gorsza nieraz sprzeczność w zdaniach i sądach.

O niejednostajności stylu, książki p. S. może się łatwo przekonać każdy, kto kilkanaście stron przeczyta. Przykłady powtarzania zacytuję: i tak, str. 186 „Rej wesoły“ str. 298 „styl Reja“; str. 95 „Kadłubek opowiada“ str. 309 „Piękny tego przykład“. Przykład sprzeczności ogólnéj myśli ze szczegółowemi faktami: str. 312 „W ogólności satyra polska“ i t. d. Cały ten ustęp proszę porównać ze zdaniami zawartemi na str. 354 w „Schadzce Ziemiańskiéj“ str. 653 „Satyryk gniewa“ i T. II, str. 72 „Podobnie jak autor Wołka.“

Nie wyczerpaliśmy wszystkich usterek, które w dziele p. S. się napotykają, a które powstały już-to skutkiem niekoniecznie

trafnego wyboru zródeł, a bardzéj jeszcze nietrafniejszéj metody kompilacyjnéj. Pomijamy mnóstwo zarzutów, jakieby czynić można pewnym pojedynczym zdaniom książki p. S. Naszém zadaniem było wykazać różne strony układu i wykonania dzieła. Również nie wspominamy i o nielicznych zaletach książki p. S., trudno bowiem przypuścić, żeby na tysiącu stronnic nie znalazło się nic coby na uznanie zasługiwało; a jednak jeśli mamy na zakończenie tych naszych uwag wyrzec zdanie o ogólnéj wartości rozbieranego przez nas dzieła, to nie możemy sprawiedliwiej zdania objawić jak słowami tegoż autora Piśmiennictwa, z którego jak wykazaliśmy p. S. tak wiele czerpał. Mówi p. Maciejowski, z powodu Historyi literatury Syrokomli, T. II str. 942: „Cóż począć gdy się dawne kompilatorstwa wracają czasy, z których nie było pociechy i nie będzie. Bo zaiste, tę jedynie z nich odniesiemy znowu korzyść iż dawne pomniki piśmiennictwa poginą, gdy ich nikt wyszukać i obrabiać nie zechce; gdy zamiast posuwać historyi literatury wiedzę, wolimy raczéj cudze powtarzać myśli; gdy zamiast pozostawić tę pracę owym, którzy za granicami przebywając Polski, i przystępu do źródeł piśmiennictwa nie mając, mogą tylko spożywać co przysposobili drudzy, nie raczymy nowo-produkować ale konsumować tylko....“ Tak też było w XIII i XVII wieku. Wtedy na wyścigi powtarzano co powiedzieli inni, nowych dróg wyszukiwać dla nauk nikomu się nie chciało. Przyznaję, że to wygodnie, ale czy pożytecznie? niech osądzi każdy, a przedewszystkiém ten, który nam... Szewczenkę przełożył.

Historya Starożytna ułożona przez Tadeusza Korzona.

Warszawa 1876. (Z dołączeniem 3-ch map, planu, tablicy synchronistycznéj i 97-iu drzeworytów). Str. III i 296.

Po chwilowéj ciszy, jaka panowała w literaturze naszéj pedagogicznéj, zaczyna się znacznie ożywiać ruch w téj ważnéj gałęzi. Mnożą się podręczniki do wykładu dziejów mianowicie starożytnych. Snać ostatnia praca na tém polu, wydana w r. 1871, (Zdanowicza Historya Starożytna uzupełniona przez W. Grochowskiego), potrzebom obecnéj chwili czynić zadość nie mogła. W Galicyi, w roku przeszłym ukazały się dwa dziełka Dra Karola Benoniego, jedno obszerniejsze dla wyższych klass szkół średnich;

drugie dla niższych klass przeznaczone, obejmujące wykład dziejów starożytnych. Obie te prace posiadają bardzo ważne zalety: przedewszystkiém nie są przekładem podręczników niemieckich, owszem są wynikiem usiłowań samodzielnych. Ta jednak samodzielność trzyma się w granicach rutyny, wyrobionéj oddawna już przez niemieckich pedagogów. Dziełko zaś pana Korzona nie trzyma się pewnych, ustalonych wzorów i autor nie idzie drogą utartą, ale toruje sobie nowe ścieżki. W pomysłach swoich jest zupełnie niezawisłym od Pützów, Welterów, Weberów i innych, których przekłady stanowiły niegdyś dla nas jedyną pomoc przy uczeniu historyi starożytnéj. Dziełko pana Korzona wyprowadza nas nietylko z epoki nieudolnych tłomaczeń i przeróbek niemieckich podręczników, ale stawia odrazu na drodze własnych pomysłów, dążących do ulepszenia sposobu wykładu dziejów starożytnych.

Widoczny postęp nietylko w naszéj zaniedbanéj literaturze pedagogicznéj, ale w literaturze pedagogicznéj wogóle stanowi w dziełku p. Korzona obrana przezeń metoda wykładu, polegająca na użyciu i zastosowaniu metody poglądowéj. Użyto stu blizko drzeworytów dla obrazowego przedstawienia przedmiotów, wchodzących w zakres opowiadania. Lubo ozdobne wydania dzieł historycznych oddawna już ukazywały się z illustracyami osób lub wypadków historycznych; lubo i polska literatura nawet z przeszłego wieku, posiada pewne w téj mierze wzory (np. Ricota, Historya Turcyi z wizerunkami); powiedzmy jednak otwarcie, że w inny zupełnie sposób zastosował pan Korzon do swego wykładu metodę poglądową, a zastosował ją tak, jak żaden z pedagogów naszych lub obcych. Pomysł p. Korzona, o ile nam się zdaje, w pewnym zakresie został zastosowanym po raz pierwszy, a nadto bardzo trafnie i szczęśliwie. Z nietajoną radością witamy objaw samodzielnéj myśli w naszéj literaturze pedagogicznéj, będąc przekonani, że te nowe środki pożytecznemi w wykształceniu się okażą. Metodę poglądową ze wszech miar zalecają wytrawni wychowawcy; zdaje się więc, że w dziedzinie historyi zwłaszcza starożytnéj, pożądaném jest jéj zastosowanie tak trafne, jakiego dowody składa pan Korzon w swojém dziełku. Jak ważną np. pomocą i podporą dla pamięci ucznia, staną się owe wizerunki, które autor dołączył do wykładu dziejów Assyryi i Babilonii! Jeśli w pamięci młodego ucznia, zatrą się imiona królów Tiglat Palazarów, Sargonów, Senacherybów i tylu innych przedstawiających tak niezwykły dla naszego ucha układ dźwięków; to nierównież trwaléj wrazi się w pamięć wizerunek jednego z monarchów assyryjskich, wdoki

dziedzińca w pałacu Sargona obrazy bóstw, pismo klinowe, liczby assyryjskie. Wizerunki te stanowić będą punkt oparcia dla pamięci, dla przypomnienia sobie pojedynczych szczegółów;— a gdyby nawet po latach bardzo wielu pamięć żadnego nazwiska lub wypadku opowiedzianego wskrzesić nie była w stanie; zostanie zawsze jeszcze wrażenie tych wizerunków, które budzić będą najważniejsze pojęcie téj bujnéj cywilizacyi assyryjskiéj, tych budowli wspaniałych, tego pisma ćwiekowego. Historya Grecyi i Rzymu opatrzoną została również wizerunkami, które do wyjaśnienia dziejów bądź życia publicznego bądź domowego posłużyć mogą. Zarzucilibyśmy tu autorowi pewną nierównomierność: pod względem ilości drzeworytów Grecya upośledzoną została; Grecya, która tak piękne wzory architektoniczne po sobie zostawiła, która wogóle była mistrzynią w dziedzinie sztuki. Pomijamy i inne jeszcze drobniejsze zarzuty; uwydatniamy zaś tu przedewszystkiém trafność i właściwość użytéj przez autora metody, nowéj drogi obmyślanéj niezależnie, samoistnie, oryginalnie.

Zwraca uwagę naszę inna jeszcze nowość w dziełku p. Korzona, świadcząca w dalszym ciągu o tém, jak autor wogóle samodzielne stawia kroki, nie oglądając się na poprzedników w obranym przez się zakresie i przedmiocie. Zdaje się, że i w tym względzie nowy krok na tém polu nie jest pozbawiony zasady. Autor pojmując dzieje jako opowieść o rozwoju cywilizacyi, zagaja rzecz swą wstępem, w którym przedstawia człowieka pierwotnego od chwili ukazania się na ziemi, epokę, kiedy kamień i kość stanowiły jedyne narzędzia i broń pierwotnych ludzi. Kreśląc taki obraz życia w czasach najgrubszéj ciemnoty i największéj nędzy, autor pobudza ucznia do zastanawiania się nad tém, czém dziś jesteśmy, czém byliśmy niegdyś; do porównania stanu pierwotnego ze stanem obecnym i wyprowadzenia ztąd wniosku, że cywilizacya nasza wytworzyła się drogą postępu powolnego, a dzieje powszechne są obrazem tego postępu. Przedstawiwszy dość obszernie dzieje epoki kamienia ciosanego i szlifowanego, wspomniawszy o mieszkaniach nawodnych, zatrzymuje się autor na wynalazku bronzu, pierwszego metalu, wcześniejszego od żelaza i tu zaznacza czas, od którego się rozpoczyna wyższy stopień uspołecznienia rodu ludzkiego, przechodząc następnie do dziejów właściwych, do dziejów najdawniejszych Egiptu, Assyryi i t. d. Jestto nowość w podręcznikach właściwa, będąca zupełnie na miejscu. Zdobycze ostatnich lat na polu archeologii przeddziejowéj, rzucające tak ciekawe światło na początki cywilizacyi rodu ludzkiego, słusznie wchodzić powinny w zakres opowiadania o pierwszych téj cywilizacyi

zawiązkach. Zwrócili już inni autorowie uwagę na tę wstępną część dziejów; nasuwa się ona sama przez się przy pierwszém zapytaniu, kiedy i jak powstała cywilizacya. Guizot w Historyi Francyi opowiedzianéj wnukom, a właśnie tylko co ukończonéj, mówi na początku o Galii, czém była w zamierzchłych wiekach, jakie w niéj ludy mieszkały, jaka ich była cywilizacya, aby dać pojęcie o różnicy, zachodzącéj między stanem pierwotnym społeczeństwa a obecnym, udoskonalonym. Autor Historyi starożytnéj, zastosował też właściwie do swojego dziełka najnowsze z dziedziny archeologii przedhistorycznéj wiadomości.

Podnieśmy jeszcze inną zaletę cechującą dziełko p. Korzona. Jestto strona naukowa. Autor czerpie swe wiadomości nie z podręczników zastarzałych, ale z dzieł naukowych, poważnych, najnowszych. Wprowadza do swego wykładu rezultaty poszukiwań najświeższych, unikając tym sposobem powtarzania licznych błędów, które nauka już sprostowała. W tym względzie praca pana Korzona wyprzedza znacznie podobne prace Dr. K. Benoniego. Mianowicie historya Wschodu świadczy, że autor zupełnie dobrze powiadomiony jest o wypadkach nowszych poszukiwań. Dzieje Assyryi, Babilonii, Persyi, Egiptu ukazują się w świetle nowoczesném, w inném aniżeli je nam przedstawiali Popliński, Zdanowicz a nawet Weber, Pütz i t. d. Znać tu w téj części dziełka gruntownych: Lepsiusa, Lenormant'a, Rawlinsona i innych. Toż samo powiedzieć można co się tyczy historyi Grecyi i Rzymu, chociaż w tym dziale dziejów starożytnych lepiéj zawsze, niż co do historyi Wschodu, byli poinformowani autorowie podręczników.

Wreszcie w układzie całego dziełka dodatnią stronę stanowi rozmaitość opowiedzianych szczegółów z życia umysłowego, publicznego, domowego, które się razem składają na obraz cywilizacyi danego narodu. Historya polityczna nie panuje wyłącznie w opowiadaniu. Autor urozmaica wykład, wplatając w ciąg opowieści szczegóły, dotyczące urządzenia państwa, wojska, życia społecznego i t. d., a opowiadanie odznacza się prostotą, ożywieniem i właściwą obrazowością.

Uwydatnione przez nas zalety, jakiemi celuje dziełko p. Korzona, zapewniają téj pracy wielką wziętość. Byłyby daremne i nieuzasadnione teraz skargi na brak odpowiednich pomocy w naukowem kształceniu młodzieży. Książka pana Korzona nietylko jest pracą oryginalną, ale pracą stojącą pod wielu względami wyżéj od wzorów, które dotychczas zwykliśmy byli naśladować, od przeróżnych tłómaczonych podręczników niemieckich.

Żałujemy nieskończenie, że z obowiązku krytyka do słusznych

pochwał dołączyć winniśmy słowa nagany. Są bowiem także ujemne w „Historyi starożytnéj“ strony, które wytknąć należy. Pomijamy drobne szczegóły, usterki, od jakich najlepsze dzieła nie są wolne. Tak np. dwa wzgórza w Tessalii, które się zwały Kynoskefale, zrobił autor miasteczkiem (?) (zob. str. 80) i in. Uderzamy zaś tu głównie na jednę nowość, którą autor samowolnie wprowadza do naszéj literatury. Zrywa z utartym na tém polu zwyczajem i podaje nazwiska, imiona greckie w formie greckiéj, nie w téj łacińskiéj, w jakiéj przyjmują je Niemcy, Francuzi, Anglicy, w jakiéj i my od niepamiętnych czasów przyjęliśmy. Więc pisze Tukidides, Makedonia, Platažje, Pejzystrat, Klejstenes, Kimon, Ajtolia. Jestto niepotrzebne bałamucenie umysłów, przyzwyczajonych do formy łacińskiéj, Tucydydes, Etolia, Cymon i t. d. Wszak Niemcy nie odważyli się na to nowatorstwo zwłaszcza w podręcznikach. Dla czego u nas ta nowość, mianowicie w dziełku przeznaczoném dla młodzieży polskiéj, któréj ucho oswoiło się z formą uświęconą przez wieki? Jest to zbyteczne bałamucenie, które, przypuszczamy, naśladowców u nas nie znajdzie. Szkoda czasu na takie pomysły, które do praktycznych nie prowadzą rezultatów. Sam autor, ile to czasu musiał strawić na przywracanie złacińszczonym nazwiskom pierwotnéj formy greckiéj, a byłby ten czas, jak się niżéj okaże, mógł pożyteczniéj obrócić na co innego. Chcąc być konsekwentnym, trzeba było przypomnieć sobie, że Eubea jest Euboja, że pisząc zgrecka nie można używać wyrazu peryjeki (?) ale periojki, nie sisachtęja, ale sejsachteja, nie Scytowie ale Skytowie, nie idea ale ejdea i t. p. Byłbym zdania, że co do nazwisk imion obcych, nie należałoby odbiegać od wzorów, jakie nam podali klasyczni pisarze Krasicki, Naruszewicz i inni, i uszanować powszechnie w tym względzie przyjęty zwyczaj narodowy. To samo powiedzieć można, o ustalonych już wzorach co do pisowni nazwisk jak Platon, Cyceron a nie Plato i Cycero.

Powstając przeciwko nowości wprowadzonéj przez autora, zdaniem naszém, niewłaściwie do książki mającéj służącéj ku pomocy kształcącéj się młodzieży, powołujemy się dla poparcia naszego zarzutu nietylko na wzory znajdujące się w naszéj literaturze, mamy za sobą także i pewne względy pedagogiczne, o których już tu wspominać nie będziemy. Podejmujemy jednak z autorem walkę na inném jeszcze polu—ważniejszém niż to, do którego należy pierwotna grecka, lub łacińska forma nazwisk greckich. Chodzi tu o wykład, o sposób opowiadania, o język polski.

Autor w przedmowie podaje w téj mierze wskazówkę: „co do formy opowiadania pragnąłem zbliżyć się, o ile było można do pisarzy starożytnych.“ Wzór to istotnie dobry, godny naśladowania. Prostota, jasność obok pewnéj zwięzłości stanowią zalety, któremi celują prace autorów klassycznych Herodota, Xenofonta, Cezara i innych. W wielu razach pan Korzon zbliża się w swéj opowieści do wielkich wzorów starożytnych; często jednak spotykamy całe ustępy, z których czerpiemy przekonanie, że autor niedość głęboko przejął się duchem swoich wzorów. Brak wtedy czuć się daje pewnego spokoju, harmonii w układzie szczegółów. prostoty i jasności. Uderza jakaś chropowatość, nierówność, któréj nie znosi nietylko grecki i łaciński język, ale wprost sam język rodzinny, polski. Autor podaje nam opis bitwy Aleksandra W. z Persami pod Granikiem, (str. 145). „Tymczasem *przeszło* 100,000-ne wojsko perskie stało już w gotowości nad rzeczką Granikiem, zagradzając drogę. Ujrzawszy na przeciwnym brzegu długie szeregi kawaleryi, Aleksander *pchnął* konia do wody, skoczył z dzidą na Persów i przebił jednego z krewnych króla. Kilku wodzów *rzuciło się* zaraz na niego, już hełm był *zrzucony* i szabla mignęła mu nad samą głową. Wtém nadbiegł jeden z wodzów makedońskich Klejtos i w sam czas zdążył uciąć rękę Persowi.“ Domyślamy się wprawdzie, co ma znaczyć wyrażenie: Aleksander pchnął konia do wody, skoczył i t. d., — ale dla początkującego będzie to zaiste zagadką, co się stało z koniem pchniętym do wody? Jakto Aleksander pcha konia? Ten sam szczegół bitwy pod Granikiem opisuje Zdanowicz w swojéj Historyi (str. 148) w sposób nierównie zręczniejszy i jaśniejszy. „W bitwie nad Granikiem, Aleksander walczący między pierwszemi, został napadnięty od dwóch Persów, z których jeden strzaskał mu szyszak, a drugi podniósł miecz, mając go zabić, gdy wtém nadbiega Klitus i odciął rękę Persowi.“

Opis bitwy pod Issus (str. 146) podobnież grzeszy brakiem prostoty i jasności. Zgromadzone szczegóły należące raczéj do taktyki wojennéj niżeli do dziejów powszechnych, niepotrzebnie obarczają opowieść o zdobywczym pochodzie Aleksandra W. „Tu dopiero dowiedział się (Aleksander), że Daryusz posunął się ku wąwozom i stanął *u niego na tyłach* (?). Nie tracąc czasu, Aleksander zawrócił *nazad*....a Makedończykowie siekli uciekających kupami (?). Król tak się *nastraszył* tego natarcia, że natychmiast zawrócił wóz i począł *zmykać*.“

Prostoty, którą się odznaczają dzieła starożytnych, nie należy posuwać do tego stopnia, żeby używać zwrotów gminnych, nie

książkowych. Prostota nic na tém nie zyska, kiedy autor dobiera wyrażeń i słów nie odpowiadających powadze przedmiotu jak np. *wgramolił* się na wieżę, z brzucha konia *wyłażą heroje* (?), ludzie pracowali razem *kupami*. Więcéj jednak niż brak prostoty i jasności, razi tu i owdzie niepoprawność stylu i języka. Książka, którą dajemy młodzieży do rąk,—powinna być wzorem poprawnéj mowy. Jeśli tém być nie może, niech przynajmniéj nie przyczynia się do psucia języka. Od poważnego autora, który tylu zaletami ozdobił swoję pracę, mamy prawo żądać, aby dbał o poprawność mowy. Wymieniamy tu ważniejsze usterki nie chcąc zbyt wiele miejsca zabierać na poprawki stylistyczno-językowe: Zebrali się *ogromnym tłumem*, wyszedł *mu* na spotkanie, zbiegli *wielkim tłumem*, *prawili* mowę, jadać za ogólnym stołem (!), Aleksander pogonił *się* za hordą, *stał się* głód straszny, *przenosić* nieszczęście, stanąć na tyłach u kogo, przyległe *do* Egiptu kraje i t.d. Autor ze szczególniejszém zamiłowaniem używa, dla wyrażenia mnogości, słów złożonych z przyimkiem na: *nabudował* okrętów, *nabudowali* kolonii *nawymyślali* mnóstwo bogów. Do wyrażenia myśli np. że król przedsiębrał wyprawy wojenne, spotykamy ciągłe, nieużywane przez wzorowych pisarzy w tém znaczeniu słowa: chodził na wojnę i t. d. Wszystkie te usterki zapewne autor usunie, skoro mu się zdarzy sposobność przygotowania drugiego wydania swego dziełka. Jesteśmy zaś przekonani, że to niebawem nastąpi, że Historya starożytna pana Korzona rozejdzie się w tysiącach egzemplarzy. Wymienione już wyżéj zalety, jakiemi się odznacza praca p. Korzona, właściwość metody, ton naukowy, odpowiadający spółczesnemu poziomowi nauki, i wykład żywy, barwny i umiejętny zapewniają temu dziełku długą w naszéj literaturze pedagogicznéj trwałość. Jest to dobra wróżba, skoro wychodzimy już z epoki przerabianych i tłómaczonych podręczników—zdobywając się na własne, oryginalne, z zastosowaniem trafném metody poglądowéj, zgodnie z obecnym stanem nauki.

A. Pawiński.

Z dziennika psychologa. Wrażenia, uwagi i spostrzeżenia w ciągu lat dziesięciu, spisane przez Juliana Ochorowicza.

Warszawa, 1876. Stronnic 244.

Z tytułu i przedmowy niniejszéj książki wnosić należy, że autor pragnie, aby jego książkę oceniano ze stanowiska *naukowego*, ze stanowiska poważnych zadań *psychologii* jako *nauki*. Z tego tedy stanowiska postaramy się dać tutaj krótkie sprawozdanie.

Psychologia, mówi autor, jest nauką *spostrzegawczą*, podobnie jak fizyologia. Jako nauka spostrzegawcza, potrzebuje *sumiennie zaobserwowanych faktów*, a zatém i *obserwatorów*. Jakim sposobem powiększyć liczbę jednych i drugich? Za pomocą *dzienników psychologicznych*. Faktów sumiennie zaobserwowanych nie zdobędziem, według autora, „dopóki ludzie zajmujący się psychologią nie zaczną prowadzić *dzienników* z notatkami spostrzeżeń i doświadczeń." Obserwatorowie zaś piszący takie dzienniki „powinni się ukazać we wszelkich warstwach społecznych i w najrozmaitszych stronach świata. Tylko wtedy psychologia empiryczna zacznie postępować *tak*, jak dziś postępuje fizyka, chemia lub fizyologia (str. I i II)." Więc postęp psychologii jako nauki spostrzegawczej był jednym z najgłówniejszych celów autora przy ogłoszeniu tej książki. Z jakiemi wymaganiami, pytamy więc ze stanowiska naukowego, mamy prawo przystąpić do publikacyi, która zawiera w sobie wrażenia, uwagi i spostrzeżenia *psychologa* w ciągu dziesięciu lat spisane? *Nauka* z nich bezwątpienia wiele skorzysta! Spodziewać się tego należy szczególniej po autorze, który stawia psychologią na równi z fizyką, chemią i fizyologią i ma pojęcie o warunkach naukowego postępu jej badań. W każdym razie książka jego powinna być tém dla psychologii empirycznej, czem wrażenia, uwagi i spostrzeżenia dziesięcioletnie fizyka, chemika lub fizyologa dla tych nauk.

Treść książki p. Ochorowicza nie odpowiada jednak powyższym oczekiwaniom. Przedewszystkiém zauważyć musimy, że przynajmniej trzy czwarte książki nie dotyczą bynajmniej kwestyi *naukowych* psychologii, nie zawiera w sobie nic takiego, coby można nazwać *sumiennie zaobserwowanym faktem*, zdolnym zbogacić

psychologią jako naukę spostrzegawczą. Większa część książki wypełniona jest dość ogólnikowemi wylewami uczuć, rozumowaniami i aforyzmami, —nieraz bardzo trafnemi,—niepozostającemi jednak w żadnym bliższym związku z naukowemi zadaniami *psychologii*. Miłość i nienawiść, niepokój i apatya, wrażenia przyjemne lub nieprzyjemne, doznawane pod wpływem różnorodnych wewnętrznych i zewnętrznych warunków,—są bez wątpienia nader ważnym przedmiotem badań psychologicznych. Lecz z tego jeszcze nie wynika, aby pobieżne opisanie podobnych powszechnie znanych uczuć i wrażeń, miało być ważnym dla psychologii nabytkiem. Światło, ciepło, dźwięk, elektryczność i t. d. są zjawiska, nad objaśnieniem których pracuje *fizyka*. Ale cóżbyśmy powiedzieli, gdybyśmy w dziesięcioletnim dzienniku fizyka, napotkali następujące zdania: Str. 76. „Siedzę przy oknie; patrzę na podwórze. Ziemia, drzewa i dachy pokryte śniegiem. Musi być zimno na dworze, chociaż w moim pokoju ciepło. Niebo jest jasne; promienie słońca przez śniegi odbite rażą me oczy; za to na szybach przeciwległego domu wywołują przecudną grę kolorów. Tutaj przypomina mi się notatka z zeszłego lata, że podczas gdy niebo było zachmurzone, podobnej gry światła nie widziałem, ale natomiast zauważyłem, że czarne chmury wydają w lecie nieraz głosy ponure, które się *grzmotami* nazywają, lub też rzucają na wszystkie strony światła, nazwane *błyskawicami*. Zarówno grzmoty jak i pioruny przypisują zazwyczaj działaniu nieznanej siły *elektryczności*.“ Tu rzeczywiście mowa jest o przedmiotach *fizyki*, o świetle i cieple, o dźwięku i elektryczności—ale chyba *fizyk* podobnych spostrzeżeń nie zapisze do swego dziennika jako rzeczy godnych szczególnej uwagi. Albo cóżbyśmy powiedzieli, gdyby fizyolog w dzienniku mającym na celu postęp téj nauki spostrzegawczéj, uwiecznił wiadomość o tém jakie śniadania, lub obiady tego lub owego dnia pozjadał, jak mu smakowały, jakich wrażeń potém doznawał i t. d. A jednak podobnych wrażeń, uwag i spostrzeżeń w dzienniku *psychologa* bardzo wiele. Podamy kilka przypadkowo nasuwających się przykładów. „Jakieś dziwnie uczuciowe, marzycielskie usposobienie opanowało mnie dzisiaj. Jeszcze nie zdaję sobie sprawy z przyczyn tego... W téj chwili spojrzałem na zanotowany poprzednio wyjątek z listu odebranego i już zaczynam rozumieć.... Czytam i przerabiam chemią organiczną, ale z poza atomów wodoru, wychylają mi się wciąż blade ogniki moich marzeń... Inne przyczyny rozstroju i smutku: 1-o Wyjazd jednego z najbliższych przyjaciół; 2-o Przeczytany wczoraj wieczorem ustęp z Pana

Tadeusza; 3-o Samotność; 4-o Muzyka katarynki, której wpływ czuję jeszcze w téj chwili. Im bardziej jestem *smutny*, tém *poważniéj* na świat spoglądam"... „Jakże słabym jest człowiek! Dosyć było kilku smutnych wrażeń i chwilowego zmęczenia mięśni (wróciłem z gimnastyki), ażeby duszę moję przejął nawskroś dziwny letarg, dziwne omdlenie, aż łzy występowały na oczy i wśród nieruchomego milczenia, wszystkie słabe struny uczucia ozwały się i t. d. Po kilkunastu minutach odpoczynku na sofie, z odnowieniem się sił, czuję się już mniej sentymentalnym i chętnym do pracy." „Ach czemuż dzień nie ma 48-u godzin! Czas mi tak ucieka, a tyle chciałoby się zrobić. Artykuł o chorobach i pasożytach napisałem. Bardzo często, kiedy siedzę nad jaką suchą nauką, ni ztąd ni zowąd doznaję jakiegoś tkliwego uczucia, niby wspomnienia, niby nadziei; poprostu druga struna odzywa się o swe prawa, ale nic jéj teraz nie mogę poświęcić. Poczekaj szanowna fantazyo na wakacye!..." „*Kichnąłem* w téj chwili, i to mnie naprowadziło na myśl, że *wszystkie przeczucia* powstają podobnie jak przeczucie, że za chwilę kichniemy. Przeczuwam, że będzie deszcz, ponieważ czuję parność w powietrzu, które to uczucie poprzedzało często wrażenie deszczu. Pies chowa się pod stół gdy zobaczy, że pan jego wchodzący do pokoju ma kwaśną minę, gdyż wyobrażenie téj miny poprzedzało często uczucie bólu z otrzymanych razów. Zupełnie w *podobny sposób* przeczuwamy, że za chwilę *kichniemy*." (str. 18, 20, 23, 45). Do podobnych wrażeń, uwag i spostrzeżeń, pozbawionych wszelkiego *naukowego* charakteru, musimy zaliczyć dość liczne i dość obszerne wylewy serca i rozumowania o *miłości*, wyjątki z listów przyjaciół w tym przedmiocie, wyjątki z pamiętnika młodej dziewczyny, zawierającego na dziesięciu stronnicach same tylko wykrzykniki. Żeby się o tém wszystkiém dowiedzieć co tam napisano, nie potrzeba brać do ręki dziennika *psychologa*. Każdy dobry romans lub dramat przedstawia tę grę uczuć daleko wszechstronniéj i żywiéj. Podobnież nie pojmujemy, jaki zachodzi związek między naukowemi badaniami psychologii, a pobieżnym opisem dość ulotnych wrażeń z podróży za granicą. Uwagi autora nad Sperlem w Wiedniu, Mabille w Paryżu, są trafne, wrażenia doznawane w Heidelbergu, na Renie, w Kolonii i t. d. są piekne, — ale w tém wszystkiém trudno się dopatrzyć uwag lub spostrzeżeń *psychologa*. Wielu zwyczajnych turystów nie mających żadnéj pretensyi do nazwy *psychologa*, pisało o tém wszystkiém daleko gruntowniéj. To też w każdym dobrym opisie podróży po obcych krajach, napotykamy pod tym względem daleko bogatszy materyał *psychologiczny*. Nawet kwestye, pozostające

w bliższym związku z nauką, autor traktuje nieraz w sposób tak dorywczy, tak sprzeczny z poważnemi wymaganiami nauki, że budzi raczéj śmiech serdeczny, niż myśl badawczą. Za wzór może służyć powyższa uwaga o *kichaniu* i *przeczuciu*. Do tego rodzaju należą między innemi uwagi nad *przyjemnością strzyżenia włosów*, nad zależnością jaka ma istnieć pomiędzy *skłonnością do zaziębień a usposobieniem umysłu*, nad *katarem*, nad *ziewaniem* i *wzdychaniem*, nad poceniem się rąk podczas uczucia *żeny* czyli zakłopotania się; nad wpływem wrażeń przyjemnych, mianowicie łechcących *miłość własną*, nad *tańcem*, nad górami, które usposabiają do miłości, nad przyjemnością wynikającą z zetknięcia się *naskorków* t. j. z pocałunku i t. d. i t. d. Są-to wszystko uwagi, których 15-o lub 16-to letniemu młedzieńcowi za złe nie bierzemy, które jednak w publikacyi noszącéj poważny tytuł: *dziennik psychologa*, wyglądają jak chłopczyk pięcioletni w okularach i fraku ojcowskim. W niektórych miejscach autor pisze jako o ważnéj wiadomości, iż robi spostrzeżenia nad skutkami wstrzymywania się od napojów, wstrzymywania tchu i t. d., lecz nigdzie nie opowiada w jakim *celu* te spostrzeżenia robi, ani też do jakich wyników go doprowadziły. Podobnież dość liczne uwagi i spostrzeżenia nad *magnetyzmem*, *stołami wirującemi* i t. p. pozbawione są wszelkiego *naukowego charakteru*.

Zasób kwestyi psychologicznych, traktowanych w książce p O. poważniéj, dochodzi do minimum. Wyliczyć tu możemy tylko uwagi autora nad *istnieniem duszy*, *pamięcią*, *wrażeniami*, *wyobrażeniami* i ich kojarzeniem się, nad *wolną wolą* i *świadomością*. Uwagi te wykazują wprawdzie zmysł spostrzegawczy i badawczy autora, lecz po większej części wypowiedziane są w formie szematycznéj i tak pobieżnej, że żadną miarą nie mogą służyć za materyał do naukowego rozbioru poglądów psychologicznych autora. To też nad temi poglądami tutaj bliżéj zastanawiać się nie chcemy. Musielibyśmy zresztą w tym celu korzystać z dawniejszych naukowych prac autora, i z małemi zmianami powtórzyć to, cośmy o nich na innem miejscu już wypowiedzieli. Podobnież nie zamierzamy obecnie rozbierać szczegółowo obszernéj polemiki autora (str. 181 do 198) z powodu naszéj oceny jego dotychczasowéj działalności a szczególniéj pracy niemieckiéj *o warunkach świadomości*. Wstrzymujemy się od tego nie dla tego, żebyśmy nie mieli wiele do powiedzenia—lecz wyłącznie dla tego, że odpowiedź nasza rozszerzyłaby zbytecznie szczupłe ramy niniejszego sprawozdania, i dla swych specyalnych wywodów nie byłaby zdolną zająć ogółu czytelników. Wolimy tedy poczekać na sposobność dogodniejszą. Przy

znanych zdolnościach, pracowitości i ruchliwości autora, nie wątpimy, że nas z czasem obdarzy bardziéj systematyczną i metodyczną pracą z dziedziny psychologii. A wtedy sporne miedzy nami kwestye będzie można rozebrać z właściwego, ściśle naukowego stanowiska.

Henryk Struve.

Zasady Pozytywizmu skreślil Antoni August Eger.
Warszawa. 1876, stronnic 67.

Pojęcie każdego kierunku naukowego, każdéj szkoły filozoficznej jest natury *historycznéj.* Nie mamy prawa określać dowolnie znaczenia wyrazów: *idealizm*, *realizm*, *racyonalizm*, *empiryzm*, *spirytualizm*, *materyalizm* i t. p. lecz określenia tych kierunków i szkół opierać się muszą na pewnych *historycznych* danych. Pojedynczy myśliciel może tylko albo stworzyć nowy kierunek, nową szkołę, albo uzupełnić starą; lecz nie może nigdy zmieniać zasadniczego charakteru już istniejących kierunków i szkół, nie może im nadawać dowolnie nowéj treści, określać ich według swego widzimisię, bez uwzględnienia rzeczywistości historycznéj.

Zasady *pozytywizmu*, jako szkoły filozoficznej, są tak samo *dane* historycznie, jak każdéj innéj szkoły. *Pozytywizm* jest to kierunek filozoficzny, ogłoszony po raz pierwszy pod tą nazwą przez *Augusta Comte'a* (ur. 1798—1857). Charakterystycznemi znamionami tego kierunku są: 1° pod względem *negatywnym*, *przeczącym*, opozycya względem wszelkich tak zwanych pojęć teologicznych i metafizycznych, a zatém zaprzeczenie pojęć Boga, ducha, nieśmiertelności, wolnéj woli i t. p. 2° pod względem *pozytywnym*, *twierdzącym* oparcie pojęć filozoficznych na badaniach specyalnych, mających za przedmiot zmysłowe, czyli materyalne objawy świata; twierdzenie, że tego rodzaju badania są jedynym środkiem wytworzenia filozofii rzeczywistéj, pozytywnéj, jako najwyższego szczebla poznania następującego poprzednich okresach teologizmu i metafizyki.

Powyższe cechy określają stosunek pozytywizmu do innych szkół i kierunków historyi filozofii. *Negatywne* cechy pozytywizmu wykazują jego pokrewieństwo ze *sceptycyzmem i ateizmem.* Pozytywizm zachowuje się sceptycznie tak względem kwestyi począt-

ku i przeznaczenia świata, jak w ogóle względem wszelkich kwestyi *duchowych*. Różni się on od bezwględnego sceptycyzmu tylko tém, że dowierza *dogmatycznie* zmysłom i badaniom empirycznym. Z wzmiankowaną tendencyą sceptyczną łączy się negacya Boga—a zatém pierwiastek *ateistyczny*. Ze względu na swoje cechy pozytywne, twierdzące, pozytywizm znajduje się w blizkiém pokrewieństwie z *sensualizmem* i *materyalizmem*. Wyprowadzając całą treść umysłu z działania *zmysłów* i widząc w nich główny środek poznania — pozytywizm wiąże się historycznie z *sensualizmem* Lokka i jego następców; przekonanie zaś, że *istotna* rzeczywistość jest natury zmysłowej, materyalnéj i dążność do wyprowadzania wszelkich objawów życia i ducha z zasad materyalnych, wykazuje wewnętrzne pobratymstwo pozytywizmu z *materyalizmem*.

Oto w krótkich słowach określenie pozytywizmu, według niezaprzeczonych *historycznych* danych. Słuszność tego określenia będziemy mieli sposobność wykazać szczegółowo w dalszym ciągu niniejszego rozbioru. Obecnie mieliśmy tylko na celu zaznaczyć racyonalny punkt wyjścia dla wszelkich traktatów o pozytywizmie, bez względu na to, czy zajmują stanowisko obronne czy zaczepne.

Zdaje się, że powyższy *historyczny* punkt wyjścia tak jest koniecznym, naturalnym i prostym, że nie potrzebuje bliższego objaśnienia. W każdym razie obowiązuje on bezwzględnie samych adeptów pozytywizmu, którzy wyrzekając się wszelkiej subjektywnéj samodzielności, przyznają z zasady za prawdę tylko to, co im jest *danem materyalnie* lub *historycznie*.

Mamy tedy prawo wymagać, aby autor *zasad* pozytywizmu, przy określeniu tego kierunku filozoficznego uwzględnił przedewszystkiém jego charakter *rzeczywisty*, historycznie *dany*, a nie określał go dowolnie według swego widzimisię. Pan Eger miał na celu wydać pracę, która według jego własnych słów (str. V) ma służyć za *vademecum* pozytywiście, za *kodeks* (!!) pozytywizmu: możemy się tedy spodziewać, że zaraz na wstępie jego pracy dowiemy się dokładnie, co to jest *pozytywizm*? jaki kierunek myśli nosi to miano w historyi filozofii?

Niestety na samym wstępie grubo zostajemy zawiedzeni; gdyż nie dowiadujemy się wcale, co jest pozytywizm *rzeczywisty*, *historyczny*, lecz tylko co się panu Eger podobało nazwać *pozytywizmem*. Otóż na str. III czytamy, że na pozytywiście ciąży następujący potrójny obowiązek:

1-o znać *rzeczywistość* i już na niej, nie na *mniemaniu* własném, gruntować swoje pojęcia;

2-o znać dokładnie pojęcia, którym swoje przeciwstawia;

3-o zachować w porównaniu i wywodach tę bezstronność, jaka cechuje abstrakcyjne rozumowanie logicznego umysłu.

„Kto się na to zgadza, — *na nic więcej tylko na to*, mówi autor, — tego umysł przechodzi w stan pojęcia *pozytywnego*, ten walczy o byt *filozofii pozytywnej*."

Na to pozwalamy sobie zapewnić zarówno autora jak i czytelnika, że według pozytywnych wiadomości, jakie posiadamy obecnie, każdy rozumny człowiek zgadza się na powyższe trzy punkta pana Eger, a jednak bardzo niewielu między nimi *przechodzi w stan pojęcia pozytywnego i walczy o byt filozofii pozytywnej*. O dwóch ostatnich punktach nie ma nawet co mówić, bo na nie zgodził się już *Arystoteles*, chociaż nic nie wiedział o *pozytywizmie*. Ale toż samo ma miejsce i co do punktu pierwszego. Któżby się nie poczuwał do obowiązku znać *rzeczywistość* i na niej, nie na *mniemaniu* własném, gruntować swoje pojęcia? Najzagorzalszy idealista *zgadza* się na to wymaganie, chociaż naturalnie *jego* pojęcie o rzeczywistości będzie zupełnie inne od pojecia pozytywisty. Idealista nazwie *rzeczywistością* istotną, prawdziwą, to, co pozytywista nazwie *mniemaniem*,—np. istnienie *ducha*,—i odwrotnie nazwie *mniemaniem*.to, co pozytywista ma za jedyną i wyłączną *rzeczywistość*,—np. *byt materyalny*.

Przy takiej nieokreśloności wyrazu *rzeczywistość*, żaden kierunek filozoficzny nie ma prawa przyswoić sobie monopolu użytkowania tego *wyrazu*. *Wszystkie* kierunki myśli pracują nad określeniem rzeczywistości, nad rozwiązaniem kwestyi: co jest *istotną rzeczywistością*? Pojęcie to nie jest wyrobem filozofii *pozytywnej*, ani też nie jest charakterystyczną cechą tego kierunku; lecz jest pojęciem *ogólnie* filozoficznem, *metafizyczném*. A zatem korzystanie z niego *w imię* pozytywizmu, twierdzenie, jakoby tylko pozytywista miał prawo mówić o *rzeczywistości*, nie jets niczém inném tylko wynikiem owego nieokreślonego, mglistego stanu pojęcia, które niestety charakteryzuje większość metafizycznych rozumowań pozytywistów. Pozytywizm może mieć *swoje* pojęcie o *rzeczywistości*,—nikt mu tego prawa nie odmawia—przeciwnie, powiemy nawet, że *powinien*, pomimo swej niechęci do metafizyki jasno i dobitnie określić *swój* pogląd na *rzeczywistość*, skoro w swych rozumowaniach bez tego *metafizycznego* pojęcia obejść się nie może. Ale z tego nie wynika, aby miał prawo samowolnie zawładnąć tém pojęciem i szafować niém według swego upodobania. A jeżeli to czyni, to przez to daje tylko dowód, że wyrugowanie *metafizyki* z obrębu rozumowań abstrakcyjnych pociąga za sobą nie-

określone, niejasne, mgliste używanie najelementarniejszych pojęć filozficznych, jakiemi są: *rzeczywistość*, *istota*, *zjawisko*, *mniemanie* i t. p.

Prócz powyższych trzech punktów, autor wskazuje jeszcze i na inne znamiona pozytywizmu, których pominąć nie możemy. I tak, na tejże samej III-ciej stronnicy mówi: „czyj umysł dosięgnie poziomu spółczesnej mu *umiejętności* i zachowa się *logicznie*,— ten jest, ale i ten tylko, jest *pozytywistą*.“ Powyżej p. Eger w imię pozytywizmu przywłaszczył sobie monopol *rzeczywistości*; teraz pod tymże samym sztandarem zdobywa sobie śmiało monopol *umiejętności* i *logiki*! Śmiałość nielada, lecz godna lepszej sprawy! Więc każdy, kto stoi na wysokości spółczesnej mu *nauki* i *logiki* jest— *pozytywistą*! Iluż-to pozytywistów rodzi się na świat w skutek tego jednego łaskawego patentu pana Egera!! Możemy się np. zapytać, czy *Budda* lub *Konfucyusz* „dosięgli poziomu spółczesnej im umiejętności i zachowali się *logicznie*?“ A ponieważ nie mamy powodu zaprzeczyć temu, gdyż obaj byli najmędrszymi i najbardziej postępowymi przedstawicielami swego czasu, a zatém śmiało możemy ich nazwać *pozytywistami!* A *Platon* czy nie stanął na wysokości spółczesnej mu *nauki* i *logiki*? Niewątpliwie, — a zatém wprzyszłości już nie nazywajmy go *idealistą* lecz *pozytywistą*. A *Kartezyusz*, twórca nowożytnego *spirytualizmu* i *dualizmu*, — czyż nie dosięgnął poziomu spółczesnej mu umiejętności — czyż się nie zachował logicznie? on—co tyle zasług położył nietylko na polu filozofii, lecz i na polu matematyki, astronomii i fizyki? Niechże tedy od dnia dzisiejszego nazywa się *pozytywistą*. A dlaczegóż tego miana w znaczeniu pana Egera mielibyśmy odmówić *Spinozie*, *Leibnitzowi* lub *Kantowi*? Pierwszy z nich wprawdzie uchodził dotąd za *panteistę*, ale przecie był to w każdym razie umysł stojący na wysokości swego czasu i logiczny. *Leibnitz* jest wprawdzie obrońcą *idei wrodzonych* i *idealnej harmonii świata*, ale przecież chyba jako wynalazca *rachunku różniczkowego* dosięgnął poziomu spółczesnej mu umiejętności i zachował się *logicznie*.— A *Kant*? Był to wprawdzie głęboki metafizyk i nadto twórca krytyki rozumu, o której pozytywista Comte najmniejszego wyobrażenia nie miał; ale Kant stanął na wysokości współczesnéj mu nauki i logiki, choćby tylko dlatego, że rozwinął teoryą ciał niebieskich podjętą przez Laplace'a i mającą swoje naukowe znaczenie po dzień dzisiejszy. Dlaczegoż tedy Kant nie miałby być zaszczycony mianem *pozytywisty?* Jednėm słowem, według pana Egera, wszystkich prawdziwych mędrców i prawdziwych uczonych wszystkich czasów należałoby nazwać *pozytywistami*, czy tego chcą lub nie.

W naszych czasach najznakomitsi uczeni, stojący niewątpliwie na wysokości swéj nauki, przyznają się do różnych szkół filozoficznych, wielu z nich otwarcie broni *ducha* przeciwko negacyom pozytywizmu. Tacy nawet mężowie jak *Mill*, *Lewes*, *Spencer* zaprotestowali przeciwko zaliczeniu ich do *pozytywistów*.

Pan Eger wobec tych faktów nie ma innego wyjścia jak tylko albo strącić tych i wielu innych mężów ze stanowiska, na którém ich dzisiejsza nauka postawiła; albo też nazwać ich *pozytywistami* pomimo ich woli i wiedzy.

Do takich rezultatów doprowadza samowolne określenie kierunków i szkół filozoficznych. Już nieraz mieliśmy sposobność wykazać, że nasi adepci pozytywizmu nie mogą się wyrzec *idealizowania* swego przedmiotu. Ponieważ zaś rzeczywisty, historyczny pozytywizm, z przyczyny swéj oschłości, tej potrzebie zadosyć uczynić nie jest zdolnym; więc wytwarzają w swym umyśle jakiś idealny, *subjektywny* pozytywizm, ogołocony ze znamion rzeczywistych, a wyposażony natomiast jakiemiś ogólnikowemi znamionami, bez żadnej jasnéj i określonéj myśli. Inaczéj objaśnić sobie nie możemy owego nałogu podszywania pod miano pozytywizmu najprostszych wymagań nauki, rozumu, logiczności, przypisywania temu kierunkowi na jego *wyłączną* własność tego, co jest *powszechnie* uznaną podstawą wszystkich poważnych kierunków i szkół filozoficznych

Przy takiém postępowaniu nie trudno wpadać egzaltacyą, i wypowiadać następujące słowa: (stron. III i IV) „Jeżeli *takie* jest pojęcie pozytywne, — a jest takiém (??) — jakże mu można uwłaczać!?... Zadawalibyśmy kłam najusilniejszym *pragnieniom* naszym—dojścia do prawdy; uwłaczalibyśmy *najwznioślejszéj* naszéj stronie — konsekwentnéj inteligencyi; sprzeciwialibyśmy się niezwalczonemu prawu społecznego rozwoju — postępowi. Do tego tylko ten zdolny, czyj umysł niedość bogaty w umiejętną wiedzę, lub czyj rozum zachowuje się wadliwie. Jest to więc albo niedorost, albo anomalia "

Z tego dytyrambu wynika, że według pana Egera, każdy, kto nie jest pozytywistą, jest albo niedorostem albo anomalią, czyli że świat dzieli się tylko na trzy kategorye, jakiemi są: *pozytywista*, *niedorost* i *anomalia*. Przyznajemy, że zestawienie to wynikające bezpośrednio i *logicznie*, ze słów autora, nie bardzo jest pochlebném dla pozytywistów; a w każdym razie wolno nam się zapytać, do jakiéj z powyższych kategoryi należy *pozytywista*, który, ogłaszając *kodeks* pozytywizmu, nie jest w stanie scharakteryzować

jasno i dobitnie treści i dążności tego kierunku myśli, lecz gubi się w nieokreślonych ogólnikach.

Pomimo niegrzeczności, z jaką traktuje wszystkich, którzyby się odważyli *uwłaczać* pojęciu pozytywnemu, autor utrzymuje daléj, (str. IV) że filozofia pozytywna *jest najbardziéj pobłażliwa*. A to jakim sposobem? Otóż na tej zasadzie, że, jak mówi autor, „wiedza umiejętna nie może stawać w zawody z nieświadomością, anomalji w *ustroju mózgu* nie uleczy rozumowaniem.“ Cóż z tego wynika? To, że pozytywna pobłażliwość pana Egera polega na tém, iż wszyscy, którzy się nie gromadzą około sztandaru pozytywizmu, ma bądź za *nieświadomych*, bądź za upośledzonych pod względem ustroju mózgowego. Dziękujemy uprzejmie za taką pobłażliwość, nim ją jednak przyjmiemy, niech nam wolno będzie wypowiedziéć żądanie, aby pan Eger udowodnił naocznie, przy pomocy metody doświadczalnéj, że ustrój mózgu pozytywistów jest koniecznie *normalny*.

Niestety, przykład samego Comte'a, twórcy pozytywizmu, za tém nie przemawia. Wiadomo bowiem, że sami pozytywiści nie chcąc odpowiadać za fantazmagorye mistrza, nazwane *religią pozytywną*, oświadczyli, że Comte uległ rozstrojowi umysłowemu. Pocóż tedy autor wszczyna dopiero tak delikatną kwestyą, która należy wyłącznie do anatomii, fizyologii i psychiatryi i w każdym razie nie pozostaje w żadnym logicznym związku ze *słówkiem wstępném*, mającém na celu określić istotę *pojęcia pozytywnego*, *urobić* właściwe wyobrażenie o pozytywizmie?

Przejdźmy do szczegółów.

Całą swoję pracę autor pod nowym napisem: *Podstawy rzeczywistości* podzielił na 9 rozdziałów, z których pierwszy traktuje *o metodzie*, drugi o *przedmiocie wiedzy*, dalsze o sześciu naukach pozytywnych, jakiemi są: *matematyka*, *astronomia*, *fizyka*, *chemia*, *biologia* i *socyologia*; ostatni zaś *o pojęciu pozytywném świata* czyli *filozofii pozytywnéj*.

Wykład tak obszernego materyału na 67 stronicach, jest naturalnie nader pobieżny. Zarówno treść jak i układ tych rozdziałów przypominają *Kurs filozofii pozytywnéj* Comte'a i z tego powodu mogą służyć za podstawę do obeznania się z ruchem i dążnościami pozytywizmu, jakie stanowiły treść *słówka wstępnego*. To wszystko jednak nie usprawiedliwia owéj niesłychanéj stanowczości i pewności siebie, z jaką autor w tych rozdziałach zasady pozytywizmu wygłasza, Wszystko co autor tutaj mówi, wypowiedzianém jest w formie wyroczni, niedozwalającéj żadnego zaprzeczenia. O krytyce, o rozbiorze zdań przeciwnych, o naukowém przezwyciężeniu

trudności stojących na zawadzie pozytywistycznemu objaśnieniu rzeczy, mowy niema. Autor do tego stopnia przekonany jest o *bezwzględnéj* prawdzie pozytywizmu, o *nieświadomości i nieuctwie* wszelkiéj przeciwko niemu opozycyi, że uważa za zbyteczne uwzględnienie poglądów przeciwnych i dla tego ze *swoich* zasad pozytywizmu wyłącza wszelki pierwiastek badawczy, krytyczny, rozbiorowy. Z opozycyą przeciwko *pozytywizmowi* skończył ostatecznie w słówku wstępném; a teraz szybuje już bez przeszkody po przestworze czystego pozytywizmu. *Kodeks* w formie stanowczych paragrafów; *dogmat* w formie niezaprzeczalnych artykułów — oto sposób wykładu autora.

Czy *taki* wykład był *koniecznym* ze względu na zwięzłość, którą autor miał na oku (str. V)?, nie chcemy przesądzać. Wątpimy jednak, aby czysto *dogmatyczne* rozwiązanie kwestyi *spornych* w nauce, mogło służyć za dowód, że autor uczynił zadość wygłaszanym przez siebie wymaganiom, że zna dokładnie pojęcia, którym swoje przeciwstawia, że zachowuje w porównaniu i wywodach tę bezstronność, jaka cechuje abstrakcyjne rozumowanie logicznego umysłu, że w ogóle dosięgnął poziomu spółczesnej mu umiejętności. Spółczesna nauka o ile wiemy, zezwala na *stanowcze* wygłaszanie tylko takich zdań, które mogą być *udowodnione*, a naukowe udowodnienie jakichkolwiek zdań, wymaga już od czasów Bakona uwzględnienia tak zwanéj *instancyi przeciwieństw* t. j. znajomości i rozbioru zjawisk i zdań mogących osłabić stanowczość, niezaprzeczalność naszych poglądów. W imię tego wymagania wszyscy naukowi obrońcy idealnych przekonań uwzględniają poglądy przeciwne, poddają realizm, pozytywizm i materyalizm krytycznemu rozbiorowi. Na jakiéj zasadzie pozytywizm miałby prawo odrzucać zdania przeciwne bez dowodu i rozbioru, siłą a dogmatyczną wiarę narzucać w swoję nieomylność? Jeżeli pozytywizm odrzuca wszelkie pojęcia teologiczne i metafizyczne—to chcąc stanąć na wysokości spółczesnéj nauki, musi do swego systematu wprowadzić *krytykę* teologii i metafizyki, zdolną usprawiedliwić jego poglądy—inaczéj nie może rościć pretensyi do charakteru *naukowego*. Otoż w pracy pana Egera nie napotykamy ani śladu *krytyki*; rozumowania jego na wskróś są *dogmatyczne*. Dowodów na to nie potrzebujemy szukać daleko.

Kwestyą zasadniczą *o metodzie*, autor traktuje na niespełna dwóch stronnicach i zbywa ją kilkoma niejasnemi, ogólnikowemi zdaniami. Tak np. na samym wstępie mówi o *prawdzie* i *rzeczywistości*, nie zdając sobie jasnéj sprawy ze znaczenia i wzajemnego do siebie stosunku tych pojęć.

„*Prawda*, mówi autor (str. 1), jest to co było, co jest i co będzie.“ „Dla docieczenia *prawdy* robimy spostrzeżenia i posługujemy się doświadczeniem.“

Z tych urywkowych orzeczeń widzimy, że autor bierze *prawdę* w znaczeniu *metafizyczném* to, jest, w znaczeniu *bytu* istot nego, objektywnego, od naszéj myśli niezależnego. Jeżeli prawda ma bezwzględnie oznaczać to, co było, co jest i co będzie, to naturalnie wyznać muszę, że ona istnieje zupełnie niezależnie od mego *ja*. *Ja* w przeszłości *nie* byłem,—*prawda* jednak *była; ja* stnieję w bardzo szczupłych granicach, *prawda*, w powyższém znaczeniu obejmuje daleko szerszy zakres, bo wszystko to, co jest; wreszcie według pojęcia pozytywizmu ginę wraz z doczesném istnieniem, nie mam zatém *przyszłości*, prawda zaś mnie *przetrwa*, bo jest tém, *co będzie*. Z zasady nie mamy nic do nadmienienia przeciwko takiemu rozumieniu *prawdy*; pomimo to jednak zwrócić musimy uwagę autora na dwa następujące punkta: po pierwsze: Powyższe pojęcie *prawdy* nie jest wcale *pozytywistyczném* lecz wydaném zostało przez takich *idealistycznych metafizyków*, jak *Parmenides* i *Platon*. Sam p. Eger idąc za Comte'm zarzuca na str. 35 *metafizykom*, że *upostaciowywują* pewne *zasady*, uważając je za *niepodległe* jak np. zasady: Porządek, Harmonia, Opatrzność Piękno, Dobro, Sprawiedliwość, Wieczność, Duch, Siła, Przyczyna i t. d. Dlaczego autor przy wyliczeniu tych *postaci* metafizycznych opuścił *prawdę?* Ona należy do nich tak samo jak *piękno*, *dobro* i t. d., a autor sam dopuszcza się *metafizycznego* upostaciowania *prawdy*, przyznaje ją za *niepodległą*, skoro mówi, że *prawda* jest to co *było*, co *jest*, co *będzie*. Nic innego *metafizycy* nie utrzymywali ze względu na *porządek*, *harmonią*, *Opatrzność* i t. d. Drugi punkt, na który musimy zwrócić tu uwagę, dotyczy *logicznéj* istoty *prawdy*. Prócz powyższego *metafizycznego* czyli *bytowego* znaczenia prawdy, pojęcie to ma jeszcze i znaczenie *podmiotowe*, *umysłowe*, *logiczne*. W tém znaczeniu *prawdą* nazywamy już nietylko sami *byt*, to co było, co jest i co będzie, lecz *poznanie* tego wszystkiego a zatém *przyswojenie* przez umysł tego co było, co jest i co będzie. A że poznanie i umysłowe przyswojenie treści przedmiotowéj dokonywa się tylko przy pomocy *logicznego* rozwoju *myśli*, *pojęcia*, więc z tego stanowiska *prawda* jest zbiór wszystkich *logicznie* urobionych myśli i pojęć dotyczących przedmiotowego bytu czyli *rzeczywistości*. Jestto zatém *prawda poznana*, *podmiotowa* w przeciwstawieniu do prawdy *bytowéj*, *przedmiotowéj*, *metafizycznéj* Lecz i tu, w obrębie *logicznego* pojęcia prawdy, odróżnić należy *ideał* prawdy, jako zupełne, wszechstronne wyczerpujące, umiejętne

poznanie rzeczywistości, od *prawdy* dostępnéj *dla nas*, dla naszych ograniczonych zdolności umysłowych. Ideał prawdy—jestto prawda *bezwzględna;* dostępna zaś *dla nas* prawda, jest prawdą *względną*. Oznaczenie względnéj, czyli dostępnéj dla nas prawdy, to jest rozwiązanie pytania: o ile zdolni jesteśmy przybliżyć się do *ideału* prawdy, z natury rzeczy opierać się musi na *krytyce* władz umysłowych t. j. na rozbiorze wiarogodności *zmysłów* i *rozumu*. Krytyka ta jest przedmiotem *logiki*.

O wszystkich tych zasadniczych kwestyach, bez rozbioru których mowy być nie może o *krytycznéj* i *umiejętnéj metodzie*, p. Eger nie wspomina ani słówkiem. Wraz ze swym mistrzem Comte'm wyrzucił *logikę* z zakresu tak zwanych pozytywnych umiejętności. Nie dziw zatém, że w skutek takiego niekorzystnego zaniedbania koniecznéj podstawy wszelkiéj ścisłości i jasności myśli, zasadnicze pojęcia autora są chwiejne, nieokreślone i mgliste.

Dla zaznaczenia rozległości tego zarzutu podamy tu jeszcze kilka przykładów.

O rzeczywistości autor mówi (str. 2), że *dosięgamy* jéj za pomocą *zmysłów* i *sądu*, lecz, że nienależy mniemać, aby wszystko, co uważamy za *rzeczywiste*, było *prawdziwém*. „W pojęciu *rzeczywistości*, twierdzi on, mogą nas mylić *zmysły*, możemy błądzić w sądzeniu; tylko wszystko co jest *prawdziwe*, musi być *rzeczywiste*.“ Późniéj autor znowu mówi, że „umysł jest w stanie wybiedz po za dane, po za wiadomości, jakich dostarczały *zmysły:* może przekroczyć granice *rzeczywistości*, ale rezultaty podobnych zaciekań nie przedstawiają żadnéj pewności, gdyż nie mogą być sprawdzone.“

Czém-że według autora tedy jest *rzeczywistość*, w porównaniu z prawdą? która z nich prawdziwsza? Z ostatniego zdania, że „umysł jest w stanie wybiedz po za *dane*, po za *wiadomości, jakich nam dostarczały zmysły* i może przekroczyć granice *rzeczywistości*“, wynika, że autor przez *rzeczywistość* rozumie *dane*, czyli *wiadomości*, jakich nam dostarczają *zmysły*. Na podobne określenie *rzeczywistości* nie zgodzi się żaden umysł *krytyczny*. Ale nie chcemy autorowi odmawiać prawa określania wyrazów według swego widzimi się; wymagamy tylko, aby sam od swoich określeń nie odstępywał,—bo takie odstępstwo *uwłacza najwznioślejszéj naszéj stronie—konsekwentnéj inteligencyi*. Jeżeli *rzeczywistość* według autora nie jest niczém inném, tylko zbiorem wiadomości, dostarczonych przez *zmysły*, to jakżeż autor na tejże saméj stronnicy mógł powiedzieć, że „w pojęciu *rzeczywistości* mogą nas mylić *zmysły?*“ Jedno z dwóch: *albo* pojmowanie rzeczywistości opiera się *istotnie* na świadectwie zmysłów, a wtedy zmysły są wyłącznem i jedy-

ném źródłem poznania, i mylić nas nie mogą; *albo* też zmysły mogą nas *mylić* w pojmowaniu rzeczywistości, a wtedy wiadomości dostarczane przez zmysły *nie są* rzeczywistością. W tym zaś przypadku nie mamy prawa ganić umysłu za to, że *wybiega* po za wiadomości, dostarczane przez zmysły, gdyż jestto dowodem jego *krytyczności*, że się nie daje wprowadzać w błąd przez zmysły. Autor tedy przyznaje z jednéj strony *omylność* zmysłów, ale twierdząc, że zaciekania *umysłu* wybiegające po za zmysłowe dane, nie przedstawiają *żadnéj* pewności, *nie mogąc* być sprawdzone, odmawia z drugiéj strony umysłowi zdolności zrektyfikowania *mylnego* świadectwa zmysłów. Więc: zmysły *mogą* nas mylić; umysł nie posiada *pewności;* trzeciego źródła poznania rzeczywistości nie ma. Cóż z tego wynika? Nic innego, tylko bezwzględny *skeptycyzm*, *wątpienie!* Czyż na takiéj zawikłanéj, niejasnéj *metodzie* można oprzeć filozofią *pozytywną*, filozofią, przywłaszczającą sobie wyłączne prawo *pozycyi*, *twierdzenia?*

Dodajmy, że na téj saméj stronnicy *o metodzie* napotykamy jeszcze następujące wyroczniowe zdanie: „Jeżeli umysł nasz *zatwierdzi prawdę* jakiego zjawiska, to osiągniemy *pewność*.“ Pytamy: czy umysł może *zatwierdzić prawdę* jakiego zjawiska, skoro wszelkie wybieganie po za wiadomości dostarczane przez zmysły nie posiada żadnéj *pewności?* Jeżeli nam nie wolno wybiegać po za świadectwo zmysłów, jeżeli nie posiadamy *innych* zasobów prawdy, czerpanych *z samego* umysłu, — to na jakiéj zasadzie mamy *zatwierdzić* prawdę tego świadectwa? W każdym razie podobne *zatwierdzenie* bez *samoistnego kryteryum*, niezależnego już od treści świadectwa, podobném byłoby do owéj czczéj formalności, któréj się dopuszczają różni dyrektorowie prywatnych i nieprywatnych instytucyi, gdy kładą bezmyślnie swój podpis *zatwierdzający* pod postanowienia, ktorych treści ani zrozumieć ani sprawdzić i skrykować nie są zdolni. Czyż *umysł* według p. Egera w ten sposób ma *zatwierdzać* świadectwo zmysłów? Wiemy dobrze, że sensualizm powoluje się w tym względzie na wzajemną kontrolę i dopełnienie świadectw zmysłowych; lecz jakież wtedy mają znaczenie nieokreślone wyrażenia *omylność* zmysłów: *zatwierdzenie* ich świadectwa przez *umysł?*

„Aby uznać za prawdziwe to, co się wydaje rzeczywistém, mówi autor, musimy znaleźć taką cechę, która się da wyrazić w formie umiejętnego *prawa*. Prawem zaś umiejętném nazywamy stałą i niezbędną zależność zjawiska od okoliczności, które mu towarzyszą, — inaczéj mówiąc: prawem umiejętném są warunki zjawiska łącznie wzięte.“ Nie zgadzamy się na takie określenie po-

jęcia *prawa* — gdyż to co autor tutaj *prawem* nazywa, należy nazwać właściwie *przyczyną, przyczynowością*. A do rzędu praw musimy zaliczyć i wymagania *logiczne* i *moralne*, które nie są objęte przez określenie autora. Ale pomimo to wyznajemy, że zdania powyższe odznaczają się przynajmniej jasnością i ścisłością. Nie rozumiemy tylko, jak autor o kilka wierszy niżéj znowu mógł powiedzieć: „Najwyższym stopniem *pewności*, jaką człowiek posiąść może, jest *prawo rozumowe*, prawo, z którego wnioskujemy inne prawa, dające się sprawdzić.“ To *prawo rozmowe* zjawia się u autora jak Deus ex machina. Mówił on przedtém, że *rękojmią* pewności prawa umiejętnego jest to, że je przyjmuje *każdy* umysł. Lecz jakim cudem *prawo umiejętne*, polegające na określeniu warunków *zjawiska*, przeistacza się na *prawo rozumowe*, z którego *wywnioskować* możemy inne prawa — tego nam autor nie objaśnia. W tém pojęciu *prawa rozumowego* widzimy tedy tylko nowy dowód niejasności umysłu, przyswajającego sobie pojęcia przypadkowe, bez należytego rozbioru ich znaczenia. Jeszcze trudniej zrozumieć, w jakim związku pozostaje owa *najwyższa pewność* praw rozumowych z twierdzeniem dogmatyczném autora wypowiedzianém pod koniec rozdziału o metodzie, że wszystkie nieodwołalne zdobycze umiejętności pozytywnych: matematyki, fizyki, chemii i t. d. zawdzięczamy *jedynie* i *wyłącznie* metodzie *doświadczalnéj*. Dotąd prawdy *rozumowe* odróżniano zupełnie jasno od prawd *doświadczalnych, empirycznych*. Kant wykazał, że prawdy rozumowe mają cechę bezwzględnéj *stanowczości, powszechności* i *niezmienności;* gdy tymczasem prawdy empiryczne mają zawsze charakter *przypadkowy, jednostkowy* i *zmienny*. *Każdy* umysł myślący *musi* przyznać prawa rozumowe *logiki, matematyki* bez pomocy *empirycznego* dowodu; nadto każdy wyznać musi, że prawa te zawsze i wszędzie były i będą jedne i teżsame, niezmienne. Nie można przypuszczać, aby twierdzenie i zaprzeczenie jednéj i téjsaméj rzeczy mogło być kiedykolwiek prawdą (prawa logiczne *tożsamości, przeciwieństwa* i *wyłączonego trzeciego*); podobnież nie można przypuszczać, aby prawa rozumowe matematyki np., że dwie ilości równe trzeciéj są sobie równe, że całość większa od swych części i t. d., mogły być kiedykolwiek zmienione. Wszystkie te prawdy rozum nasz przyznaje zupełnie *niezależnie* od *doświadczenia;* żadne *doświadczenie* tych praw nie zmieni, ani też im nie nada większéj siły, — gdyż one są podstawą samego *doświadczenia*, bez nich mowy być nie może o prawidłowem myśleniu, a zatém i o doświadczeniu. Są-to prawa *organiczne* naszego rozumu, w imię których rozum się rozwija i działa, nad sobą i nad światem się

zastanawia. Tymczasem wszelkie prawdy *doświadczenia* są przypadkowe i zmienne. Jakieś nowe odkrycie, nowy wynalazek może odrazu zmienić najszumniejsze teorye *empiryczne*, może wykazać omylność lub fałsz wszystkich tak zwanych *praw*, uznanych dotąd za niewątpliwą podstawę *empirycznego* poglądu na świat. Z tego zaś wynika, że żaden *krytyczny* empiryk nie będzie się domagał dla swych prawd *bezwzględnego* uznania, gdy tymczasem *logik* i *matematyk* dla swych prawd *bezwzględnego* uznania domagać się mają prawo, co więcéj domagać się *muszą*, jeżeli myśl ludzka nie ma być oddaną w ręce *nielogicznéj* samowoli, nierozumu. W obec takich prawd zasadniczych, jakież może mieć znaczenie ów *dogmat*, powtarzany uporczywie bez wszelkiéj krytyki, że wszystkie zdobycze umiejętności, nawet *matematyki*, zawdzięczamy jedynie i wyłącznie metodzie *doświadczalnej?*

Zastanawialiśmy się umyślnie obszerniéj nad kwestyą o metodzie, żeby wykazać szczegółowo brak krytyki, jasności i ścisłości w zasadniczych pojęciach tak autora, jak w ogóle pozytywizmu. Brak ten jest bezpośrednim wynikiem lekceważenia *metafizyki* i *logiki*, bez których istnieć nie może *krytyczna*, a zatém i ściśle *umiejętna* filozofia. *Metafizyka* rozbiera zasadnicze pojęcia *bytu*, *rzeczywistości;* — pozytywizm tych pojęć *nie rozbiera*, — a jednak ciągle się niemi posiłkuje, bo bez nich w swych rozumowaniach obejść się nie może. *Logika*,—analizuje procesy poznawania rzeczy, wykazuje znaczenie i wiarogodność zmysłów i rozumu: pojęć, sądów, wyników i t. d.—*pozytywizm* téj kwestyi *wiarogodności* władz umysłowych nie rozbiera — a jednak *dowierza* zmysłom i *wątpi* o wiarogodności rozumu, wybiegającego po za wiadomości zmysłowe. Zkąd się tu ma wziąć *krytyka* i *logiczna* ścisłość rozumowania?

Dalszych części książeczki p. Egera nie będziemy rozbierali szczegółowo, gdyż wszechstrone wykazanie powyższych niedostatków pozytywizmu, jako teoryi filozoficznéj, przekraczałoby granice obecnego sprawozdania. Od takiego rozbioru zwalniamy się tém bardziéj, że wszystko, cośmy dotąd powiedzieli, charakteryzuje dostatecznie pracę p. Egera.

H. Struve.

KONIEC ZESZYTU PIERWSZEGO.

Redaktor i wydawca *H. Benni.*